

**RAYMOND E. FEIST**  
**Kronador**  
**the**  
**Assassins**

**'FEIST WRITES FANTASY OF EPIC SCOPE, FAST-  
MOVING ACTION AND VIVID IMAGINATION'**  
**WASHINGTON POST**

RAYMOND E. FEIST

# SKRYTOBÓJCY W KRONDORZE

(KRONDOR: THE ASSASSINS)

II TOM Z CYKLU: DZIEDZICTWO WOJNY ŚWIATÓW

Przełożył Sawicki Andrzej

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

Wydawnictwo: Zysk i S-ka: 2003



# Spis treści

Karta tytułowa

SKRYTOBÓJCY W KROKODORZE

Prolog WYJĄZDY

ROZDZIAŁ 1 UCIECZKA

ROZDZIAŁ 2 KROKODOR

ROZDZIAŁ 3 PRZYJĘCIE

ROZDZIAŁ 4 NIESPODZIANKI

ROZDZIAŁ 5 SEKRETY

ROZDZIAŁ 6 KONSUZJA

ROZDZIAŁ 7 ŻASADZKA

ROZDZIAŁ 8 NAPRĄCIE

ROZDZIAŁ 9 DECYZJE

ROZDZIAŁ 10 UJAWNIENIE

ROZDZIAŁ 11 PODCIBODY

ROZDZIAŁ 12 IMPROWIZACJA

ROZDZIAŁ 13 KAMPUSŁAŻ

ROZDZIAŁ 14 ŻABIJANIE

ROZDZIAŁ 15 DESPERACJA

ROZDZIAŁ 16 ODKRYCIE

ROZDZIAŁ 17 BŁĘDNY TROP

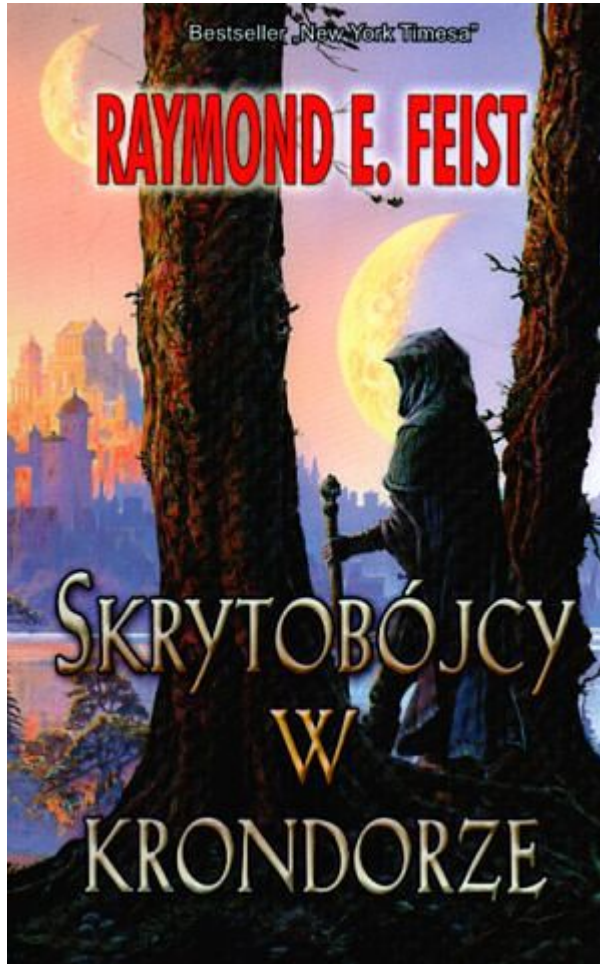
ROZDZIAŁ 18 ŻDEMASKOWANIE

Epilog SPOTKANIA

Bestseller „New York Timesa”

**RAYMOND E. FEIST**

SKRYTOBÓJCY  
W  
KRONDORZE



# Prolog

## WYJAZDY

Wzdłuż grzbietu rzędami maszerowali żołnierze.

Tabor podzielono na dwie grupy, z których pierwszą odprawiano teraz z rannymi i zabitymi. Tych ostatnich miano uroczyście spalić w Krondorze. Wzdłuż szlaku niosły się chmury kurzu wzniesanego kołami wozów i podszwami butów maszerujących do domu; delikatny pył mieszał się z gryzącym dymem gaszonych właśnie obozowych ognisk. Przez tę mgiełkę przedzierały się z trudem pomarańczowe i złote promienie wschodzącego słońca, które niczym świetliste włócznie przesywały niebo szarego skądinąd poranka. Z oddali niosły się trele ptaków, ignorujących pobitewny zgiełk.

Arutha, Księżę Krondoru i władca Zachodnich Dziedzin Królestwa Wysp, siedział na koniu i podziwiając piękno poranka oraz śpiewu ptaków, patrzył, jak jego ludzie ruszają w drogę do domu. Walka, choć krwawa, była na szczęście krótka, ale mimo że straty były mniejsze od przewidywanych, wciąż nie mógł się pogodzić z myślą o śmierci choćby jednego żołnierza oddanego pod jego komendę. Tymczasem pozwalając, żeby piękno roztaczającego się przed nim widoku na kilka chwil złagodziło jego żal i gniew.

Wciąż przypominał wyglądem młodzieńca, który przed dziesięciu laty zasiadł na krondorskim tronie, choć zmarszczki w kącikach oczu i nitki siwizny, znacząco ciemne jeszcze włosy wskazywały, że brzemię władzy nie było dlań lekkie. Dla tych, którzy dobrze go znali, pozostał wciąż tym samym człowiekiem – sprawnym administratorem, genialnym wodzem i

oddanym sprawie człowiekiem, który bez wahań byłby poświęcił własne życie, aby uratować najmniej ważnego ze swoich żołnierzy.

Powiódł wzrokiem od wozu do wozu, jakby pragnął zobaczyć każdego z leżących na nich ludzi i wyrazić im swą wdzięczność za dobre wykonanie zadania. Najbliżsi mu ludzie wiedzieli, jak wielką w duchu płacił cenę za każdą ranę zadaną człowiekowi, służącemu Krondorowi i Królestwu.

Teraz jednak odsunął od siebie smutki i zaczął się zastanawiać nad konsekwencjami zwycięstwa. Nieprzyjaciel od dwóch dni był w odwrocie, choć był to niewielki oddział mrocznych elfów. Znacznie większe zgrupowanie zatrzymali dwaj giermkowie Aruthy, James i Locklear, którym udało się zniszczyć maszynę portalu, co uniemożliwiło wrogom wtargnięcie do Mglistej Kniei Dimwood. Sukces ten przypłacił życiem mag, zwany Patruszem, ale jego poświęcenie wznieciło zamęt wśród najeźdźców, którzy wszczęli wewnętrzne walki. Niedoszły zdobywca Delekhan podczas walk o pozyskanie Kamienia Życia zginął wraz z Gorathem, wodzem moredhelów, który okazał się mężem godnym i szlachetnym, jakiego Arutha nie spodziewałby się znaleźć wśród mrocznych elfów. Krondorski Książę przeklął ten starożytny i tajemniczy artefakt, spoczywający pod opustoszałym Sethanonem i pomyślał, że dałby wiele za to, iżby otaczająca Kamień tajemnica albo związane z nim niebezpieczeństwo, rozwiąły się za jego życia.

Syn Delekhana, Moraedulf, zginął od pchnięcia sztyletem z ręki Naraba, niegdysiejszego sojusznika Delekhana. Wedle porozumienia, jakie zawarto z Narabem, wycofujący się moredhelowie nie mieli być nękani przez wojska Królestwa, dopóki podążali prosto na północ. Wydano też rozkazy, zapewniające moredhelom bezpieczny powrót do domu – o ile nigdzie nie będą się zatrzymywali na dłużej.

Zgromadzone w Dimwood siły Królestwa rozsyłano teraz do rozmaitych garnizonów – większość wracała na zachód, a niektóre na północ, do pogranicznych baronii. Jednostki miały ruszyć nieco później tego samego ranka. Do niedawna jeszcze skrycie stacjonujący na północ od Sethanonu garnizon zostanie przeniesiony w inne miejsce, gdzie podeśle mu się uzupełnienie zaopatrzenia.

Poranne mgły zaczęły się rozpraszać, zostawiając tylko dymy i kurz, a na twarz Aruthy padły promienie słońca. Dzień był już ciepły i wspomnienia chłódów minionej zimy szybko się zacierały w pamięci. Arutha trzymał emocje na wodzy i zajął się rozważaniem ostatniego zamachu na spokój swego Królestwa.

Po zakończeniu Wojny o Przetokę obdarzył tsurańskich magów swoim zaufaniem. Przez blisko dziesięć lat podróżowali wedle swej woli pomiędzy światami, korzystając ze stworzonych za pomocą magii przetok. Teraz czuł się zdradzony, ponieważ jego zaufanie zostało głęboko zranione. Rozumiał doskonale racjonalne powody, jakimi się kierował Makala, jeden z tsurańskich Wielkich, podczas próby zawładnięcia ukrytym pod Sethanonem Kamieniem Życia – u ich podstaw legła wiara, że Królestwo posiada potężną niszczycielską broń, źródło mocy dające przewagę wojenną temu, kto nim włada. Gdyby znalazł się na miejscu Makali i żywił te same podejrzenia, być może podjąłby podobne działania. Ale nawet w tym wypadku nie mógł dłużej pozwolić na to, by Tsurani swobodnie wędrowali po Królestwie, co oznaczało koniec dziesięciu lat swobodnej wymiany handlowej pomiędzy światami. Na razie nie miał zamiaru zastanawiać się nad tym, jak wprowadzić w życie konieczne zmiany, wiedział jednak, że w bliskiej przyszłości będzie musiał usiąść z najbliższymi doradcami i obmyślić plan, który zabezpieczy przyszłość

Królestwa. Wiedział też, że konieczne zmiany wzbudzą niemal powszechne niezadowolenie.

Zerknąwszy w prawo, zobaczył dwóch ogromnie znużonych, młodych ludzi, siedzących na koniach. I pozwolił sobie na jeden z rzadkich uśmiechów, ograniczających się zresztą jedynie do uniesienia kącików warg, co jednak złagodziło jego skądinąd poważny wyraz wciąż jeszcze młodo wyglądającej twarzy.

– Panowie zmęczeni? – spytał z przekąsem.

James, starszy giermek książęcy, odpowiedział mu spojrzeniem oczu otoczonych sinymi obwódkami znużenia. Obaj z giermkiem Locklearem mieli za sobą kilkudniową morderczą jazdę, podczas której w siodłach podtrzymywały ich tylko magiczne zioła. Teraz ogarnęła ich potężna fala zmęczenia i bólu mięśni, będąca wynikiem zbyt długiego korzystania z eliksiru. Całą noc przespali kamieniem na poduszkach w namiocie Aruthy, obudzili się jednak zmęczeni i osłabieni do cna. James, który nigdy nie tracił rezonu, wezwał na pomoc swą zuchwałość.

– Nie, sir, my zawsze tak wyglądamy, gdy się budzimy. Zwykle nas nie wzywacie, dopóki nie wypijemy pierwszej kawy, która stawia nas na nogi.

– Widzę, giermku, żeś nie stracił nic ze swego łajdackiego uroku. – Arutha parsknął śmiechem.

Do miejsca, w którym siedzieli na koniach książę i jego giermkowie, podszedł niewysoki człowiek o ciemnej brodzie i włosach.

– Dzień dobry Waszej Wysokości – odezwał się Pug z ukłonem.

Arutha odpowiedział równie uprzejmym skinieniem głowy.

– Mistrzu Pug, czy wrócisz z nami do Krondoru? Na twarzy Puga pojawiło się zakłopotanie.

– Nie od razu, Wasza Wysokość. Są pewne sprawy w Stardock, które powinienem zbadać. Udział tsurańskich Wielkich w ostatnim ataku na



Sethanon sprawił mi wiele trosk. Muszę się upewnić, że tamci byli jedynymi zamieszanymi w to magami i że pozostający w Akademii są wolni od podejrzeń.

Arutha znów powiódł wzrokiem za oddalającymi się wozami.

– Mistrzu Pug, musimy omówić rolę, jaką odegrali Tsurani w twojej Akademii, ale nie będziemy o tym rozprawiali ani teraz, ani tutaj.

Pug kiwnął głową ze zrozumieniem. Choć wszyscy znajdujący się w zasięgu słuchu byli świadomi tajemnicy Kamienia, który spoczywał pod Sethanonem, mądrze było omówić wszystko na osobności. Pug wiedział też, że Arutha rozmyślał o zdradzie Makali, która doprowadziła do minionej bitwy pomiędzy wojskami księcia a nacierającymi od północy siłami moredhelów. Spodziewał się też, że krondorski Książę będzie obstawał przy ściślejszej kontroli tych, którzy mogli przechodzić przez przetokę – magiczne wrota – pomiędzy Midkemią i ojczystym światem Tsurani, Kelewanem.

Owszem, Wasza Wysokość. Ale pierwej powinienem zadbać o bezpieczeństwo Katali i Gaminy.

Rozumiem twoje troski – stwierdził Książę. Córka Puga została uprowadzona i magicznie przeniesiona w odległy świat, by odciągnąć maga od Midkemii, gdy tsurański Wielki usiłował zawładnąć Kamieniem Życia.

Chcę się upewnić, że nikt już nigdy nie spróbuje wyrzucić na mnie nacisku przez członka mojej rodziny. – Spojrzał na Księcia ze świadomością, iż tamten wie, o czym mowa. – W przypadku Williama nic nie mogę zdziałać, ale muszę zapewnić bezpieczeństwo Katali i Gaminie w Stardock.

William jest żołnierzem i podejmowanie ryzyka należy do jego rzemiosła. – Arutha uśmiechnął się do Puga. – Ale otoczony sześcioma kompaniami Królewskiej Krondorskiej Gwar dii jest tak bezpieczny, jak

tylko żołnierz może być w tych czasach. Każdy, kto zechce wywierać na ciebie nacisk przez Williama, szybko się przekona, że niełatwo doń dotrzeć.

Wyraz twarzy Puga wskazywał, że maga wcale to nie cieszy.

– Mógł się stać kimś znacznie większym. – Spojrzenie, jakie rzucił Arucie wyraźnie mówiło, iż w duchu oskarża Księcia o taki stan rzeczy. – Wciąż jeszcze może to uczynić. Nie jest jeszcze za późno, by wrócił ze mną do Stardock.

Arutha nie stracił rezonu pod gniewnym spojrzeniem maga. Doskonale rozumiał rozgoryczenie Puga i jego ojcowską chęć ujrzenia syna przy rodzinie. Ale gdy przemówił, w jego tonie zabrzmiała wyraźna niechęć do stawania pomiędzy ojcem a synem i popierania Puga.

– Wiem, że obaj macie różne zdanie na temat jego wyboru i przyszłości, ale zostawiam to wam i proszę, byście mnie nie wciągali w swoje spory. Jak ci już powiedziałem, Mistrzu, kiedy poprzednio sprzeciwiałeś się wstąpieniu Williama do królewskiej służby, jest kuzynem Króla przez adopcję i wolnym, dorosłym człowiekiem, nie miałem więc żadnego powodu, by mu odmawiać. – Zanim Pug zdołał wygłosić kolejny sprzeciw, Książę podniósł dłoń. – Nie mogłem tego uczynić nawet ze względu na ciebie. – W jego głosie pojawiły się łagodniejsze nutki. – Zresztą, on sobie radzi znacznie lepiej niż przeciętny żołnierz. Zgodnie z tym, co mówi mój Miecznik, ma wyjątkową smykałkę do żołnierki. – I nagle Arutha zmienił temat. – Czy Owyn wrócił do domu?– Owyn Belafote, najmłodszy syn Barona Timmons, okazał się cennym sprzymierzeńcem Jamesa i Locklear podczas ich ostatnich walk i wysiłków.

– O świcie. Powiedział, że musi naprawić stosunki ze swoim ojcem.

Arutha, nie spuszczając wzroku z Puga, skinął dłonią na Lockleara.

Mam coś dla ciebie, Mistrzu. – Gdy Locklear się nie ruszył, Książę spojrzał nań surowym wzrokiem. – Mości giermku. .. dokument proszę! –

Locklearowi niewiele brakło, by zasnął w siodle, ale głos Księcia błyskawicznie wyrwał go ze słodkiej beczynności. Pchnąwszy konia w stronę maga, podał mu jakiś pergamin. – Swoim podpisem i pieczęcią poświadczam, że otrzymujesz ostateczną władzę we wszystkich dotyczących magii sprawach w całych Dziedzinach Zachodnich – oznajmił Arutha, uśmiechając się lekko. – Nie sądzę, bym miał jakiegokolwiek trudności ze skłonieniem Króla, aby rozciągnął ten przywilej na całe Królestwo. Od lat dawaliśmy ci posłuch, Mistrzu Pug, ale ten dokument daje ci władzę w wypadku, gdybyś musiał załatwiać jakiegokolwiek sprawy z innym szlachcicem lub królewskim oficerem beze mnie, za plecami. Mianujemy cię oficjalnie nadwornym magiem Kronodoru.

Dziękuję ci, Wasza Wysokość – odparł Pug. Patrzącym nań wydawało się przez chwilę, że mag chce coś powiedzieć, ale zaraz się rozmyślił.

Arutha przechylił swą jastrzębią głowę.

– Masz pewne zastrzeżenia, prawda?

Cóż... szczerze powiem, że powinienem zostać z rodziną w Stardock. Jest tam sporo do zrobienia, co mi nie pozwoli na skuteczną służbę Koronie, Arutho.

Rozumiem. – Westchnął Arutha. – Ale jeżeli nie zechcesz zamieszkać w pałacu, nadal zostanę bez nadwornego maga.

Mogę ci podesłać Kulgana, by wtykał ci szpilki, Książę – odparł Pug z uśmiechem.

Nie, mój były nauczyciel miewa skłonności do zapomina nia o mojej pozycji i potrafi mnie ofuknąć wobec całego dworu. Ma to fatalny wpływ na morale.

Czyje? – szepnął Jimmy jakby sam do siebie.

Moje, oczywiście – odpowiedział Arutha, nie spojrzawszy w jego stronę. Potem zwrócił się do Puga. – A mówiąc poważnie, zdrada Makali pokazała

mi całą mądrość mojego ojca, który zaangażował maga, by mu doradzał w sprawach dotyczących magii. Kulgan jednak zasłużył sobie na odpoczynek. Jeżeli więc nie ty, Mistrzu, ani młody Owyn, to kto?

Pug milczał chwilę, rozważając postawioną przed nim kwestię.

Mam jednego ucznia– powiedział wreszcie – który mógłby w przyszłości zostać twoim doradcą. Jest tylko jeden problem.

Jaki? – spytał Arutha.

Ona pochodzi z Kesh.

– To dwa problemy – stwierdził Arutha. Pug lekko się uśmiechnął.

Znając twoją siostrę i żonę, Księżę, nie pomyślałbym, że myśl o kobiecej radzie jest aż tak bardzo obca Waszej Wysokości.

Nie jest. – Arutha kiwnął głową. – Ale wielu na moim dworze nie będzie się chciało z tym... pogodzić.

Arutho... – odparł Pug. – W przeszłości nie zauważyłem, byś osobliwie się przejmował opiniami innych, gdy raz podjąłeś decyzję.

Mistrzu Pug – odparł Księżę. – Czasy się zmieniają. A ludzie się starzeją.

Milczał przez chwilę, obserwując kolejny oddział zwijający obóz i zbierający się do drogi. Potem odwrócił się do maga, pytając unosząc jedną brew.

Ale... Keshanka?

Nikt jej przynajmniej nie zarzuci, że bierze stronę jednej z dworskich koterii – odpowiedział Pug.

Mam nadzieję, że żartujesz? – Arutha parsknął śmiechem.

Nie, nie żartuję. Jest niezwykle utalentowana, jak na swój wiek, oprócz tego zaś to osoba kulturalna i wykształcona, czyta i pisze w kilku językach oraz znakomicie się orientuje w sprawach magii, czego akurat się wymaga od książęcego doradcy. Co zaś ważniejsze, wśród moich uczniów jest

jedyną osobą, która rozumie konsekwencje wpływu magii na politykę i przeszła zaprawę na keshzańskim dworze. Pochodzi z Jal-Pur, więc wie też, jak stoją sprawy na wschodzie.

Arutha rozważał to wszystko przez chwilę.

Przybądź do Krondoru, Mistrzu, kiedy będziesz mógł i po wiedz mi coś więcej. – Zawyrokował wreszcie. – Nie mówię, że nie zamierzam w ogóle dać się przekonać, ale musisz jeszcze nad tym popracować. – Arutha uśmiechnął się tym swoim pół uśmiechem i zawrócił konia. – Tak czy owak, myślę, że warto ponieść związane z jej nominacją ryzyko po to, by zobaczyć miny szlachty na dworze, kiedy się na nim zjawi kobieta z Kesh.

Będę ją wspierał, na co masz, Książę, moje słowo – stwierdził Pug.

Arutha obejrzał się jeszcze przez ramię.

Bardzo ci na tym zależy, prawda?

Bardzo. Jazhara to osoba, której w razie konieczności powierzyłbym życie mojej rodziny. Jest tylko o kilka lat starsza od Williama i przebywa z nami w Stardock od prawie siedmiu lat, więc wiem wszystko o niemal trzeciej części jej życia. Można jej zaufać.

Mocno powiedziane – stwierdził Arutha. – I bardzo dobrze. Tak więc, kiedy będziesz mógł, przybądź do Krondoru i dokładnie to omówimy. – Skinąwszy Pugowi dłonią, odwrócił się do Jamesa i Lockleara. – Panowie, czeka nas długa jazda.

Locklear z najwyższym trudem ukrył ból, jaki mu sprawiła myśl o kolejnych dniach w siodle, choć wojska nie miały się aż tak spieszyć, jak dwaj giermkowie przed kilkoma dniami.

– Wasza Wysokość, za pozwoleniem, jedna chwilka. Chciałbym porozmawiać z Diukiem Pugiem – odezwał się nagle James.

Arutha wyraził zgodę machnięciem dłoni i obaj z Locklearem ruszyli przed siebie.



Gdy Księżę oddalił się poza zasięg słuchu, Pug zwrócił się do młodzieńca z zapytaniem.

Jimmy, o co chodzi?

Kiedy mu powiesz?

Co? – spytał Pug.

Mimo obezwładniającego niemal zmęczenia Jimmy zdołał się przekornie uśmiechnąć po swoim.

To, że dziewczyna, którą mu polecasz, jest wnuczką jednego z braci Lorda Hazara-Khana z Jal-Pur.

Myślałem, żeby z tym poczekać do bardziej odpowiedniego momentu. – Pug stłumił śmiech. Potem na jego twarzy pojawiła się ciekawość. – A ty skąd o tym wiesz?

Mam swoje źródła informacji. Arutha podejrzewa, że Lord Hazara-Khan jest związany z kashańskim wywiadem na zachodzie, co niemal na pewno odpowiada prawdzie, o ile mam dobre informacje. Tak czy owak, Księżę się zastanawia, jak przeciw stawić kashańskiemu wywiadowi swoją własną organizację... ale ustalmy, że ja ci tego nie powiedziałem.

Rozumiem. – Skinął głową Pug.

Ponieważ mam swoje ambicje, uważam za mądrą rzecz pilne śledzenie tych spraw.

Węszysz, podsłuchujesz i podglądasz?

Coś w tym rodzaju. – Jimmy wzruszył ramionami. – A zresztą... nie masz wśród kashańskich szlachcianek wielu kobiet z Jal-Pur o imieniu Jazhara.

Jimmy, daleko zajdziesz, o ile wcześniej cię nie powieszają – zachichotał Pug.

Jimmy odpowiedział serdecznym śmiechem, który na chwilę sprawił, że zapomniał o zmęczeniu.

Nie jesteś pierwszym, który mi to mówi.

W przyszłości niechybnie jakoś się zgada o jej pochodzeniu i krewnych – stwierdził Pug. – Lepiej się pospiesz – dodał mag, pozdrawiając oddalających się coraz bardziej Aruthę i Lockleara.

James kiwnął głową i zawrócił konia.

Masz rację. Do zobaczenia, milordzie.

Do zobaczenia, mości giermku.

James trącił końskie boki piętami, a zwierzę lekkim truchtem ruszyło za Aruthą i Locklearem. Giermek zrównał się z tym ostatnim, gdy Arutha odjechał, by omówić z Konetablą Gardanem sprawy związane z powrotem wojsk do stałych garnizonów.

Co tam? – spytał Locklear, gdy James podjechał bliżej.

Musiałem zadać Diukowi Pugowi pewne pytanie. Locklear ziewnął tak, że niemal wywichnął sobie szczękę.

Mógłbym spać przez tydzień – stwierdził z uczuciem. Źle się wybrał z tą deklaracją, bo akurat podjechał do nich Arutha.

Kiedy wrócimy do Krondoru, możesz przespać całą noc. Potem oczywiście ruszysz na północ – rzekł sucho, usłyszawszy Lockleara.

Sir, na północ?

Wróciłeś z Tyr-Sog bez pozwolenia, choć przyznaję, że nie bez ważnych powodów. Teraz gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, musisz wrócić na dwór Barona Moyiet i dosłużyć do wyznaczonego terminu.

Locklear zamknął oczy, jakby ogarnął go nagłe ból. Po chwili otworzył je.

Myślałem, że... – jęknął.

...że jakoś się wykręcisz od powrotu na wygnanie – podsunął mu Jimmy cicho.

– Jeżeli dobrze się spiszesz w służbie Moyieta, to może odwołam cię do Kronloru nieco wcześniej – stwierdził Arutha, litując się nad wyczerpanym do cna młodzikiem. – O ile... – znacząco zawiesił głos – będziesz się trzymał z dala od wszelkich kłopotów.

Locklear kiwnął głową, nie czyniąc żadnych uwag, więc Arutha trącił końskie boki piętami i ruszył naprzód.

– No, przynajmniej przed wyjazdem wyśpisz się w ciepłym, pałacowym łóżu – stwierdził James.

– A co z tobą? – spytał Locklear. – Nie masz w Kronlorze spraw, które powinienes dokończyć?

James zamknął na chwilę oczy, jakby poczuł znużenie na samą myśl o pracy.

– Owszem, jest trochę kłopotów z Gildią Złodziei – odpowiedział po chwili. – Ale nic takiego, co by wymagało twojej ręki. Ze wszystkim sprawię się sam. – Locklear prychnął tylko i nie odpowiedział. Był zbyt zmęczony, by wymyślić jakąś celną ripostę. – Po tej całej awanturze z magami Tsurani i moredhelami moje utarczki z kronlorскими złodziejaskami wydadzą mi się nudne – dodał James.

Zerknąwszy spod oka na przyjaciela, Locklear stwierdził, że James już rozmyśla o problemach i kłopotach sprawianych przez Szyderców – Gildię Złodziei. Kochający awantury szlachcic z mrozącą krew w żyłach pewnością pojął, że jego przyjaciel umyślnie mówi o tym lekkim tonem, ponieważ w istocie miał na karku wyrok śmierci, wydany nań za porzucenie Gildii i przejście na służbę książęcą.

Wyczuł też, że chodziło jeszcze o coś innego. W przypadku Jamesa zawsze było jeszcze coś innego.

# ROZDZIAŁ 1

## UCIECZKA

W mrocznych korytarzach niosło się echo pościgu.

Ucieczka przed prześladowcami, którzy się uparli, żeby go zabić, już prawie kompletnie wyczerpała Limma. Młody złodziejasek modlił się w duchu do Ban-atha, Boga Złodziei, żeby ci, co go tropili, nie mieli takiej wiedzy o systemie krondorskich kanałów i ścieków, jak on sam. Wiedział, że nie jest tak jak oni szybki, nie zdoła im też stawić czoła w walce – jego jedyna nadzieja leżała w przechytrzeniu upartych prześladowców.

Wiedział też, że strach i przerażenie są jego wrogami, mogącymi sprowadzić go do poziomu ogłupiałego ze zgrozy wyrostka, i wykorzystując wszystko, co mogło mu dodać ducha, brodził w mroku, czekając na ludzi, którzy przyjdą, by go zabić. Zatrzymał się na chwilę na skrzyżowaniu dwóch szerszych kanałów, a potem ruszył w lewo, kierując się raczej dotykiem niż wzrokiem, ponieważ jedynym źródłem światła była jego mała latarnia z ruchomą zasuwą. Pozwolił sobie tylko na bardzo niewielkie odsunięcie osłony, bo też niewiele potrzebował światła, by wiedzieć, dokąd ma się kierować. Były też w kanałach miejsca, gdzie światło sączyło się z góry przez świetliki, kraty lub szczeliny w ulicznym bruku, albo wpadało z bocznych odgałęzień. Długą drogę musiały przebyć te promyki, które teraz pomagały mu przebrnąć przez śmierdzące, leżące pod miastem kanały. Były tu też i rejony pogrążone w całkowitym mroku, gdzie był ślepy, jakby urodził się bez oczu.

Dotarł do przewężenia, gdzie średnica rury się zmniejszała, pozwalając jedynie na przepływ nieczystości. Limm myślał o takich miejscach jako o

swego rodzaju „tamach”. Musiał tu przykucnąć, żeby nie łupnąć głową o sklepienie i brodzić boso przez brudną wodę, która zawsze zbierała się w takich miejscach, aż poziom podniósł się na tyle, aby puścić ścieki zardzewiałą rurą.

Dotarłszy do tego miejsca, Limm rozstawił nogi szeroko i wparłszy stopy wysoko w boki okrągłego kanału, ruszył kołyszącym się krokiem, wiedział bowiem, że w odległości najwyżej dziesięciu stóp jest paskudny spadek, w którym ścieki spływają rurą do znacznie szerszego kanału leżącego dwadzieścia stóp niżej. Było tu tak stromo, że jedynie twarde i grube odciski, jakie miał na podeszwach stóp, uchroniły go przed ześlizgiem. Chłopiec zupełnie zamknął latarnię, bo wszedł na skrzyżowanie, w którym tunel był dobrze widoczny na długiej przestrzeni; wie dział doskonale, gdzie się znajduje, natomiast bał się śmiertelnie, że najmniejszy promyk światła może zdradzić prześladowcom jego obecność. Po omacku okrążył róg i wszedł w boczny korytarz. Ten odcinek miał ze sto stóp długości i najdrobniejsze światło byłoby doskonale widoczne na całej przestrzeni.

Spiesząc się w tej niezbyt dlań dogodnej pozycji, czuł podmuchy powietrza i drgania głośno chlupoczącej wody w rurze pod sobą. W tym rejonie było ujście kilku innych wylotów, i miejscowi złodzieje nazywali go Studnią. Dźwięk rozbryzgiwanej wody krążył echami w małej rurze, utrudniając lokalizację jego źródła, szedł więc powoli. Było to miejsce, w którym pomyłka o sześć cali mogła go strącić w objęcia śmierci.

Dotarłszy do miejsca odległego o dziesięć stóp, natknął się na kratę, w którą niemal uderzył głową, tak bardzo się skupił na łowieniu słuchem odgłosów pościgu. Kucnął, by w razie czego zmniejszyć powierzchnię rażenia, na wypadek gdyby odbite światło wpadło do tunelu.



Po kilku chwilach usłyszał głosy, choć z początku nie mógł rozróżnić ani słowa. A potem odezwał się jeden z prześladowców.

... nie mógł uciec zbyt daleko. To tylko dzieciak.

Widział nas – powiedział przywódca i chłopiec natychmiast pojął, kim był ten człowiek. Wizerunek jego samego i kom panów wrył się w pamięć uciekiniera, choć widział ich tylko przez chwilę – zaraz potem odwrócił się i dał nura w mrok. Nie znał jego imienia, wiedział jednak, z kim zetknął go los; żył wśród jemu podobnych przez całe swoje życie, ale spotkał tylko kilku równie jak tamten niebezpiecznych.

Nie łudził się co do swoich możliwości i wiedział, że nigdy nie zdoła stawić czoła takim ludziom. Często się chełpił, była to jednak fałszywa odwaga stosowana do przekonania silniejszych od niego, iż nie poradzą sobie z nim tak łatwo, jak mogliby sądzić. Jego zuchwałość i skłonność do podejmowania śmiertelnego ryzyka kilkakrotnie uratowała mu życie, nie był jednak wcale głupcem. Od pierwszego spojrzenia zrozumiał, że ci ludzie nie dadzą mu nawet szans na spróbowanie jakiejś sztuczki – zabijają go bez skrupułów, ponieważ był jedynym, który mógł zaświadczyć, że popełnili okropną zbrodnię.

Rozejrzawszy się dookoła, młodziutki zbieg dostrzegł sączący się z góry strumyczek wody. Ryzykując odkrycie, oświetlił ostrożnie sklepienie na tyle tylko, by cokolwiek zobaczyć. Szczyt kraty nie sięgał sufitu, a po drugiej stronie ujrzał przejście ciągnące się w górę.

Bez namysłu wspiął się na kratę i przełożył nad nią ramię, ponieważ doświadczenie mu podpowiedziało, że istnieje możliwość przecięcia się na drugą stronę. Modląc się w duchu do Ban-atha, by się nie okazało, iż rozrósł się za bardzo od czasu, kiedy po raz ostatni próbował podobnej sztuczki, przepchnął się w górę i odwrócił. Najpierw przeszła głowa. Obracając ją lekko, wepchnął twarz pomiędzy górny pręt i kamienne

sklepienie. Wiedział z doświadczenia, że uszy mniej bolą, jeżeli nie odchyli ich w tył. Rosnące poczucie zagrożenia pomogło mu przemóc ból, jaki towarzyszył przeciskaniu głowy, ponieważ wiedział, że prześladowcy są coraz bliżej. Ale przepychając się przez szczelinę, czuł rosnący z każdą chwilą ból policzków. Czuł słonawy smak krwi i potu, ale nie ustawał i wwiercał się w otwór coraz głębiej. Z oczu płynęły mu łzy, ale wpychał uszy coraz dalej – jedno okropnie tarło o kamień, drugie o rdzę kraty. Na ułamek sekundy ogarnęła go panika i jego wyobraźnię wypełniły obrazy zbliżających się doń nieubłagane prześladowców, podczas gdy on tkwi nieruchomo niczym robak w sieci.

I nagle głowa znalazła się po drugiej stronie. Teraz już znacznie łatwiej było przełożyć ramię i bark. Młody złodziejczek przepychał się dalej, licząc na to, że nie będzie musiał przemieszczać sobie stawów. Przecisnąwszy drugie ramię, zrobił wydech i przepchnął pierś. I wtedy pojął, że niestety będzie musiał zostawić latarnię, bo ta nie przejdzie – tkwiła teraz w dłoni, która zostawała jeszcze za kratą.

Nabrawszy tchu, puścił latarnię i przecisnął się resztą ciała. Znalazł się po drugiej stronie, gdzie przyłgnął do drabiny. Latarnia zagrzechotała o kamienie.

– Tam jest! – rozległ się okrzyk z tyłu i do tunelu wpadła struga światła.

Limm przez chwilę trwał nieruchomo, a potem spojrzał w górę. W słabym świetle dziura nad nim była prawie niewidoczna. Chłopak uniósł się w górę, wpierając dłonie w ściany tunelu, a nogi oparłszy o kratę. Obie dłonie wcisnął w boki pionowego szybu. Do odepchnięcia się od kraty potrzebne mu były solidne uchwyty dla dłoni. Pomacawszy dookoła, wepchnął palce w szczelinę pomiędzy dwoma kamieniami i właśnie znalazł drugą, gdy poczuł, że coś dotyka jego stóp.

Natychmiast podciągnął nogi i zaraz potem usłyszał przekleństwo.

Cholerne szczury!

Nie możemy tędy przejść – stwierdził drugi głos.

Mój miecz może!

Złodziejaszek zebrał resztki sił i wciągnął się wyżej, co było niebezpiecznym posunięciem – puścił uchwyt na szczycie kraty, złożył dłonie przy bokach i pchnięciem nóg podniósł się w górę. Zaraz potem odwrócił dłonie, wcisnął grzbiet w ścianę komina i podciągnął stopy, wpierając je w przeciwległą ścianę. Usłyszał zgrzyt żelaza, gdy ktoś w dole pchnął mieczem przez kratę. Gdyby się zawahał przed chwilą, byłby teraz nadziany na sztych.

Przepadł w tym kominie! – zaklął szpetnie prześladowca.

Musi gdzieś wyleźć na wyższym poziomie – odezwał się drugi.

Limm poczuł, że płótno koszuli przesuwa mu się po grzbiecie, gdy jego bosa stopy obsunęły się na kamieniach i zaczął zjeżdżać w dół. Naprężył uda, by mocniej wgnieść stopy w komin, błagając los, by jakoś się utrzymać. Bóstwa pecha musiały gdzieś się zdrzemnąć, bo udało mu się powstrzymać jazdę w dół.

Uciekł! – zawołał jeden z prześladowców. – Gdyby miał spaść, już by tu był!

Wracajmy na górę i rozstawmy gęściej sieci! – zagrzemiał przywódca. – Nagroda dla tego, kto go zabije! Chcę, by do rana ten szczur był już trupem!

Limm piął się w górę – stopa, dłoń, druga stopa, druga dłoń, cal po calu, obsuwając się w dół o jedną stopę na każde dwie, które zyskiwał. Szło to powoli i zmęczone mięśnie domagały się choć chwili wytchnienia, on jednak nie pozwolił sobie na żaden odpoczynek. Chłodny podmuch z góry był znakiem, że dociera już do kolejnego poziomu ścieków. Modlił się, by

górnym tunel był dostatecznie duży, ponieważ nie uśmiechała mu się myśl o zsuwaniu się w dół i ponownym przeciskaniu przez kratę.

Dotarłszy do krawędzi komina, zatrzymał się na chwilę, zaczerpnął tchu i odwrócił się, chwytając brzeg. Jedną ręką trafiła na coś lepkiego i śliskiego, druga jednak zaczęła się mocno moczyć. Limm nie był przesadnym czystościem, ale teraz pomyślał, że dałby wiele za czystą szmatę, którą mógłby się otrzeć z tego świństwa.

Zawisł na rękach i przez chwilę czekał w bezruchu. Wiedział, że ludzie, którzy go ścigali, mogli się tu pojawić lada moment.

Chłopak był z natury impulsywny, w niebezpiecznych sytuacjach przywykł działać szybko i bez namysłu. Do Matecznika, ostoi Szyderców, przybyło prawie jednocześnie siedmiu chłopców w podobnym wieku. Sześciu z nich już nie żyło. Śmierć dwóch była przypadkiem – poślizgnęli się na dachach. Trzech powiesili książęcy ceklarze jako schwytanych na gorącym uczynku pospolitych złodziejasków. Ostatni zginął poprzedniej nocy z rąk tych samych ludzi, którzy teraz ścigali Limma, a młody złodziejask był świadkiem tego właśnie morderstwa.

Odczekał chwilę, by uspokoić walące jak szalone serce i odzyskać oddech. Podciągnąwszy się w górę, wczołgał się do większej rury i ruszył w mrok, nie odejmując prawej ręki od ściany. Wiedział, że w większości tunelów i kanałów może się poruszać niemal z zawiązanymi oczami, wiedział też jednak, że jeden błędnie wzięty albo pominięty zakręt może tak wszystko pomieszać, że człek się kompletnie pogubi. W tym miejskim kwartale był jeden centralny zbiornik i znajomość pozycji względem niego dawała smykowi swobodę poruszania się równą tej, jaką zapewniłaby mu mapa kanałów, ale trzeba było uważać, by się nie zgubić.

Posuwał się bardzo ostrożnie, nasłuchując odległych dźwięków gulgoczącej wody, przesuwał głowę z lewej na prawą, by się upewnić, że

słyszcy właściwy dźwięk, a nie jego echo odbite od ścian tunelów. Poruszając się po omacku, rozmyślał jednocześnie o szaleństwie, jakie ogarnęło miejskie podziemie w ostatnich paru tygodniach.

Początkowo wyglądało to niegroźnie – ot, kolejna szajka, taka jak inne, które od czasu do czasu usiłowały wywalczyć sobie większe terytorium. Sprawę zwykle kończyła wizyta kilku osiłeków należących do Grupy Datków Jednostronnych a Niedobrowolnych albo słówko szepnięte ludziom Szeryfa.

Tym razem jednak stało się inaczej.

W dokach pojawiła się nowa banda, składająca się w znacznej części z opryszków keshkańskich. Sama w sobie rzecz nie była niezwykła, Krondor był znacznym portem i spora część handlu szła przez Kesh. Nietypowa natomiast była ich obojętność na groźby ze strony Szyderców. Zaczęli od prowokacji, otwarcie wwożąc i wywożąc towary z miasta, przekupując urzędników i działając tak, jakby kusili Szyderców do interwencji. Wyglądało na to, że nie bali się konfrontacji i nawet na nią czekali.

W końcu Szydercy zaczęli działać, co skończyło się ich klęską. Jedenastu cieszących się najbardziej ponurą sławą zabijaków – którzy stanowili ramię bezprawia Gildii Złodziei – zostało zwabionych do składu w końcu na poły opustoszałego nabrzeża. Gdy weszli do środka, ktoś podpalił budynek i zaparł drzwi, skutkiem czego wszyscy zginęli. Zaraz potem w krondorskim podziemiu rozgorzała wojna, ogarniająca wszystko i wszystkich.

Szydercy ponieśli ciężkie straty, ale dostało się i napastnikom, pracującym dla kogoś znanego jedynie jako Pełzacz, gdy Książę Krondoru zajął się przywracaniem porządku w mieście.

Rozeszły się pogłoski, że pojawili się ludzie przebrani za Nocne Jastrzębie, to znaczy członków krondorskiej Gildii Skrytobójców, którzy



chcieli zwabić do kanałów książęcych ceklarzy, by ci ostatecznie unicestwili Szyderców. Nie trzeba było dodawać, że gdyby pod ziemię zeszyły odpowiednio liczne oddziały książęcej gwardii, wszyscy znaleźieni na dole – czy to skrytobójcy, czy podszywający się pod Jastrzębie, czy Szydercy – zostaliby otoczeni i pojmami. Plan był sprytny, ale spełził na niczym.

Wszystko przejrzał i wszystkiemu zapobiegł Jimmy Rączka, niegdysiejszy Szyderca, choć zaraz potem gdzieś przepadł, wykonując jakąś misję dla Księcia. Książę jednak zebrał armię i opuścił miasto – a Pełzacz uderzył ponownie.

Od tamtej pory obie strony przyczaiły się, czekając na rozwój wydarzeń. Szydercy skryli się w Mateczniku, który był ich doskonale ukrytą ostoją, a ludzie Pełzacza znikli w nieznaną nikomu norze gdzieś na północnych rubieżach doków. Do wykrycia tej kryjówki wysłano kilku ludzi, którzy przepadli bez wieści.

Kanały stały się bezpiecznym terytorium, na które nieliczni tylko ośmielali się zapuszczać, a i to wyłącznie w największej potrzebie. Limm byłby siedział cicho i bezpiecznie w Mateczniku, gdyby nie dwie sprawy: ponure pogłoski i wiadomość od starego przyjaciela. Żadna z nich sama w sobie nie mogłaby go wyciągnąć z kryjówki, ale obie razem zmusiły go do działania.

Szydercy nie mieli zbyt wielu przyjaciół; lojalność wśród złodziei rzadko rodziła się z sympatii czy choćby wspólnoty interesów, częściej jej źródłem był strach przed obcymi, lub wzajemny. Miejsce w Bractwie Złodziei zdobywało się siłą lub przebiegłością.

Od czasu do czasu jednak między żyjącymi poza prawem wyrzutkami tworzyły się więzy silniejsze niż zrodzone ze zwykłej potrzeby, i dla tych niewielu przyjaciół warto było podejmować ryzyko. Limm na palcach

jednej ręki mógł policzyć ludzi, dla których gotów był zaryzykować głowę – bo tym właśnie groziło pojmanie przez wrogów – ale dwoje z nich znajdowało się teraz w potrzebie i należało im powiedzieć o krążących po mieście pogłoskach.

Coś tam drgnęło w mroku przed nim i chłopak natychmiast znieruchomiał. Przez chwilę czekał, łowiąc uchem różne dźwięki. Myliłby się ten, kto by sądził, że w kanałach zalega cisza; w każdym ich miejscu słychać było daleki szum wody wpadającej do wielkiego podmiejskiego zbiornika na ścieki i wypływającej z niego do ujścia w porcie, a także szmery biegających wszędzie szczurów i ich piskliwe sprzeczki.

Limm czekał, myśląc o tym, że wiele dałby za jakiegokolwiek światło. Chłopcy w jego wieku rzadko okazywali cierpliwość, ale wśród Szyderców była to cecha niezbędna – skłonny do pochopnych działań złodziejaszek szybko kończył na szubienicy. Limm zdobył swoją pozycję wśród Szyderców, zostawszy najbardziej pomysłowym i zręcznym kieszonkowcem w Krondorze i zasłynawszy ze swej umiejętności przemykania się w tłumie na targu albo ruchliwej ulicy bez ściągania na siebie uwagi, co przywódcy podziemnego bractwa wysoko cenili. Większość jego rówieśników wciąż jeszcze pracowała w ulicznych szajkach urwisów, którzy wszczynając zwady, odciągali uwagę przechodniów i kramarzy, podczas gdy inni Szydercy kradli ze stoisk rozmaite towary – albo wywołanym zamieszaniem osłaniali ucieczkę starszych złodziejskich kompanów.

Cierpliwość Limma została w końcu wynagrodzona – usłyszał odległe echo podeszwy buta przesuwanej po kamieniu. Niedaleko przez nim dwa kanały łączyły się w nieco głębszym zbiorniku. By przejść na drugą stronę, trzeba będzie brodzić w płytkiej, brudnej wodzie.

Młody złodziejaszek pomyślał, że to dobre miejsce na zasadzkę. Chłupot poruszanej przez brnącego breji zaalarmuje wszystkich w pobliżu i prześladowcy rzucą się na niego, jak psy na królika.

Przez chwilę zastanawiał się nad kolejnymi, stojącymi przed nim możliwościami. Nie było sposobu, by obejść to skrzyżowanie. Mógł zawrócić, co jednak oznaczało kilka dodatkowych godzin wędrówki przez pełne niebezpieczeństw miejskie podziemia. Mógłby uniknąć brodzenia, przyłgnąwszy do ściany i skierowawszy się w korytarz biegnący w prawo. Musi zaufać ciemnościom i swoim umiejętnościom bezszelestnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Oddaliwszy się od skrzyżowania, może względnie bezpiecznie podążać swoją drogą.

Ruszył powoli, bardzo ostrożnie stawiając jedną stopę tuż przed drugą, tak by niczego nie przesunąć ani by nie nastąpić na jakikolwiek przedmiot, mogący zdradzić jego obecność. Zwalczając pokusę pośpiechu, wstrzymywał oddech i zmuszał się do wolnego ruchu.

Krok po kroku zbliżał się do skrzyżowania, a gdy dotarł do rogu, za który miał skręcić, usłyszał kolejny dźwięk – cichy brzęk metalu o kamień, jakby pochwa sztyletu czy miecza musnęła mur. Natychmiast zamarł w bezruchu.

Mimo ciemności miał zamknięte oczy. Nie wiedział, czemu tak się dzieje, ale dawno już stwierdził, że zamknięcie oczu wyostrza inne zmysły. Zastanawiał się nad tym w przeszłości, ale w końcu dał sobie spokój z szukaniem wyjaśnień. Wiedział tylko, że jeżeli straci część uwagi na bezowocne wytrzeszczanie oczu w mrok, ucierpią na tym jego słuch i dotyk.

Po długiej chwili bezruchu usłyszał szmer płynącej ku niemu fali. Ktoś – jakiś sklepikarz albo rzemieślnik – opróżnił zbiornik albo otworzył jedną z pomniejszych śluz, które zasilają kanał. Ten szmer był jedynym dźwiękiem,

jaki mógł zagłuszyć odgłos jego przejścia, i chłopak skwapliwie przemknął za róg.

Szybko ruszył przed siebie, nadal zachowując ostrożność, ale jednocześnie się spiesząc, musiał bowiem oddalić się od tych, którzy pilnowali skrzyżowania za nim. Liczył w duchu kroki i gdy doszedł do stu, otworzył oczy.

Jak się tego spodziewał, przed sobą zobaczył plamkę światła, o której wiedział, że pochodziła od nikłej strugi sączącej się z otwartej kraty na Rynku Zachodnim. Oczywiście światła nie wystarczyło, żeby cokolwiek widzieć, ale był to punkt kontrolny, potwierdzający jego domysły co do miejsca, w którym się znajdował.

Poruszając się szybko, dotarł do przecznicy biegnącej równoległe do tunelu, którym szedł, zanim niemal wpadł na zaczajonych wrogów. Wlazłszy w śmierdzące ścieki, przeciął płynący wolno strumień i bezdźwięcznie wydostał się na przeciwległy chodnik.

Rychło wrócił na stary szlak. Znał kryjówkę swoich przyjaciół, wiedział też, że było to miejsce względnie bezpieczne, ale w tych czasach nikt nigdzie nie mógł liczyć na to, iż wrogowie go nie dosięgną. Miejsce, zwane kiedyś Złodziejskim Szlakiem, czyli krongorskie dachy, stało się taką samą strefą wojny jak kanały. Przestrzegający prawa mieszkańcy Krongoru mogli spać pogrążeni w błogiej nieświadomości co do toczącej się nad ich głowami i w podziemiach wojny, ale Limm wiedział, że nawet jeżeli nie natknąłby się w kanałach na ludzi Pełzacza, ryzykował trafienie na księżących ceklarzy albo na morderców udających Nocnych Jastrzębie. I Nie mógł ufać nikomu nieznanemu, a i wśród znajomych miał niewielu, którym mógłby w tych dniach zawierzyć.

Zatrzymał się i po omacku dotknął ściany z lewej. Pomimo iż szedł na oślep, kierując się tylko liczbą kroków, stwierdził nie bez satysfakcji, że

pomylił się tylko o mniej niż stopę w ocenie miejsca, gdzie w mur wprawiono żelazne uchwyty. Ruszył w górę. Pomacawszy dla pewności ścianę, stwierdził, że jest w wąskim kominie, a zaraz potem odkrył nad sobą klapę w podłodze piwnicy. Sięgnąwszy w górę, zmacał zasuwę. Lekkie pociągnięcie upewniło go, że można ją przemieścić w bok.

Ostrożnie zastukał: dwa szybkie, następujące po sobie uderzenia, przerwa, znowu dwa szybkie, przerwa i raz jeszcze pojedyncze stuknięcie. Odczekał, licząc w duchu do dziesięciu a potem powtórzył serię w odwrotnej kolejności: raz, przerwa, dwa, przerwa i znów dwa. Zasuwa przesunęła się w bok.

Kłapa uniosła się w górę, ale w piwnicy panowały takie same ciemności jak w kanałach pod nią. Ktokolwiek był na górze, wolał pozostać niewidzialnym.

Gdy Limm zaczął wysuwać się z wylotu komina, poczuł, że chwytają go twarde dłonie, ciągną w górę, a ktoś jeszcze szybko i cicho zamknął pod nim klapę.

– Co ty tu robisz? – spytał szeptem jakiś kobiecy głos. Limm usiadł ciężko na podłodze, czując, że opada go śmiertelne znużenie.

– Pozostaję przy życiu – odparł cicho. Nabrawszy tchu, podjął wątek. – Wczoraj w nocy widziałem, jak zabito Słodkiego Jacusia. Paskudni dranie... ci, co pracują dla Pełzacza.

– Trzasnął palcami. – Jeden skręcił mu kark jak kurczakowi, a jego kompani stali tylko i patrzyli. Nie dali Jacusiowi szansy na tłumaczenia, błagania czy modlitwę. Zabili go, jakby był pluskwą na ścianie. – Z trudem powstrzymywał łzy; fala ulgi i poczucia bezpieczeństwa niemal go załamała. – Ale nie to jest najgorsze.

– Rosły człowiek z poprzetykaną nitkami siwizny brodą zapalił latarnię. Zmrużone powieki świadczyły o jego determinacji i Limm natychmiast



zrozumiał, że kiepsko z nim będzie, jeżeli szybko nie poda ważnego powodu, dla którego złamał zasady i pogwałcił zaufanie, zjawiając się w tej kryjówce. – Wyjęty Spod Prawa nie żyje.

Ethan Graves, niegdysiejszy przywódca jednej z powołanych przez krondorskich Szyderców drużyn osiłków, późniejszy brat i opat Ishapiańskiego Zakonu, a teraz ukrywający się przed księżęcą i królewską sprawiedliwością zbieg zamknął oczy, by oswoić się z usłyszaną wiadomością.

Kobieta o imieniu Kat miała dwakroć mniej lat od swego towarzysza i była starą znajomą Limma.

Jak to się stało? – spytała teraz.

Mówią, że padł ofiarą morderstwa – odpowiedział Limm.

– Nikt nie wie niczego pewnego, nie ma jednak wątpliwości, że jest martwy.

Graves usiadł przy niewielkim stole, mocno nadwerężając konstrukcję małego taboretu swoim ciężarem.

A skąd to wiadomo? – spytał podejrzliwie. – Nikt przecie nie wie, kto nim jest... znaczy, był.

Powiem wam, co wiem – zaczął Limm. – Kiedy przy szedłem do Matecznika wczoraj wieczorem, Mistrz Dnia wciąż jeszcze tam był. Siedział z Mickiem Giffenem, Regem deVrise i Philem Paluchem. – Graves wymienił z Kat szybkie spojrzenia. Przytoczone przez Limma imiona i przezwiska należały do przedstawicieli starszyny krondorskiego złodziejskiego cechu. Giffen został po Gravesie przywódcą osiłków, deVrise był szefem włamywaczy i przemytników, a Phim dowodził drużynami kieszonkowców, targowych złodziejasków i ulicznych łobuziaków. – Mistrz Nocy się nie pokazał – ciągnął Limm.

– Rozesłano wieści i zaczęliśmy go szukać. Tuż przed świtem dowiedzieliśmy się, że znaleziono go pływającego w kanałach nieopodal portu. Ktoś mu rozbił czerep.

Nikt nie byłby się ośmielił go dotknąć! – zachnęła się Kat.

Nikt, kto by wiedział, z kim ma honor – poprawił Graves.

– Ale ktoś, kto nie dbał o zemstę Szyderców... – Niegdysiejszy opat wzruszył ramionami.

– I tu sprawa się komplikuje – stwierdził Limm. – Mistrz Dnia powiedział, że Nocny miał się spotkać z Wyjętym Spod Prawa, czyli Cnotliwym. O ile się znam na rzeczy, jeżeli Cnotliwy miałby się z tobą spotkać, a ty byś się nie pokazał, z pewnością miałby swoje sposoby, żeby o nieposłuszeństwie powiadomić Nocnego albo Dziennego. Tymczasem nic takiego się nie stało. Dzienny więc posłał jednego ze swoich chłopców, Timmy'ego Bascolma, jeżeli go pamiętacie. – Słuchacze kiwnęli głowami. – A w godzinę później... i jego znaleziono martwego. No to Mistrz Dnia ruszył na miejsce z grupą osiłków, a w godzinę później wracają do Matecznika jak spłoszone dzieciaki i pieczętują kryjówkę. Nikt nic nie mówi, ale wieści i tak się rozchodzą: nigdzie nie można znaleźć Cnotliwego. Graves milczał przez długą chwilę.

No to musi być trupem. Inaczej się tego nie da wyjaśnić – stwierdził ponuro.

W kanałach pojawiły się takie draby, że można zemdleć na sam ich widok, więc wspólnie z Jacusiem doszliśmy do wniosku, że zaczęto łowy i najlepiej będzie, jak się gdzieś na pewien czas przytamy. Ostatniej nocy skryliśmy się pod Pięcioma Punktami. – Kat i Graves znali tak nazwany rejon kanałów. – A kiedy tamci zabili Jacusia, pomyślałem, że najlepiej będzie schować się tu z wami.

Chcesz prysnąć z Krondoru? – spytał Graves.

Owszem, jeżeli weźmiecie mnie ze sobą– odparł urwis. – Prawdę rzekłszy, rozpętała się tu wojna, a ja jestem ostatnim z mojej szajki, który został przy życiu. Jeżeli Wyjęty Spod Prawa nie żyje, wszystkie zasady zostaną zawieszane. Wiecie, jak to jest. Bez Cnotliwego każdy musi myśleć o sobie i zawierać układy, na jakie go stać.

Graves kiwnął głową.

– Znam prawo. – W jego głosie nie było rozkazującej, wodzowskiej nutki, jaką Limm poznał dawniej, gdy Graves żelazną ręką rządził krondorskimi opryszkami, zgromadzony mi w Drużyny Osilków. Ale niegdysiejszy opat uratował kilka krotnie Limmowi życie, ratując go z łap łupieżców spoza organizacji i wydostając spod rąk ceklarzy. Limm gotów był spełnić każde jego polecenie.

Graves zastanawiał się przez chwilę nad sytuacją.

Chłopcze, zostaniesz tutaj – powiedział wreszcie. – Nikt z Gildii nie będzie wiedział, żeś pomógł mnie i Kat, a prawdę rzekłszy, bardzo cię polubiłem. Zawsze jak dotąd byłeś dobrym chłopcem. Za bardzo polegasz na sobie samym i jesteś nieco zarozumiały, ale który chłopak nie jest? – Potrząsnął z żalem głową. – Tam na zewnątrz wszyscy będą przeciwko nam... Szydery, książęcy i ludzie Pełzacza. Zostało mi wprawdzie kilku przyjaciół, ale gdy kanały spływają krwią, któż wie, na kogo można liczyć?

Ale wszyscy wiedzą, że uciekłeś! – Sprzeciwił się Limm. – Tylko ja i Jacuś wiedzieliśmy, że jest inaczej, ponieważ nam powiedziałeś, abyśmy ci mogli przynosić jedzenie. Te wiadomości, które wysłałeś do Świątyni, do kilku twoich przyjaciół, i tego maga, z którym podróżowałeś... – Machnął dłonią, jakby usiłując sobie przypomnieć imię.

Do Owyna – podsunął mu Graves.

O właśnie, do Owyna – powtórzył Limm. – Po mieście rozeszły się wieści, żeście uciekli do Kesh. Wiem przy najmniej o kilkunastu drabach,

których wysłano za mury, by was wytropili.

Graves kiwnął głową.

Z pewnością wysłano też w różne strony kilkunastu mnichów ze świątyni z takim samym zadaniem. – Westchnął. – Tak to zaplanowałem. Ukryj się tu, gdy oni szukają cię tam.

To był dobry plan, Graves – odezwała się Kat, która do tej pory zachowała milczenie.

Myślałem – podjął wątek Graves – żeby posiedzieć tu jeszcze z tydzień do dziesięciu dni, aż tamci wrócą, sądząc, że któryś z nich nas po prostu przeoczył, a potem jakiejś nocy poszlibyśmy do portu i popłynęli do Durbinu, ot jeszcze jeden kupiec z córką...

Żoną! – syknęła gniewnie Kat.

Limm uśmiechnął się tak, że gdyby nie uszy, kąciki warg zetknęłyby się ze sobą nad jego karkiem.

Graves wzruszył ramionami i rozłożył ręce jak ktoś, kto ma już dość sporów.

– Młodą żoną – dokończył.

Dziewczyna objęła go za szyję.

Żona – powiedziała łagodnie.

No, jak do tej pory szło wam nieźle – stwierdził Limm – ale teraz dostanie się do portu to niełatwa sprawa. – Rozejrzał się po piwnicy. – Co tam jest na górze? – spytał, wskazując sklepienie.

Budynek jest zamknięty – stwierdził Graves. – Dlatego zbudowałem tu kryjówkę. Tam na górze jest opuszczone domostwo, w którym zapadł się dach. Człowiek będący właścicielem umarł i budynek przypadł Księżciu tytułem niespłaconych podatków. A naprawa starych domów nie jest tym, czemu Jego Wysokość poświęcałby ostatnio bezsenne noce.

Limm kiwnął głową z aprobatą, podziwiając przebiegłość rozmówcy.

– A jak długo tu zostaniemy przed wyjazdem?

– Ty nigdzie nie jedziesz – stwierdził Graves, wstając z miejsca. – Jesteś dostatecznie młody, by coś ze sobą zrobić, chłopcze. Porzuć kręte ścieżki bezprawia i znajdź sobie jakiegoś pana. Zapisz się do terminu u rzemieślnika albo najmij się u kogoś do służby.

Uczciwa praca? – Limm aż podskoczył. – Od kiedy to Szyderycy szukają uczciwej pracy?

Jimmy poszukał i znalazł – wytknął mu Graves, wymierzając weń palec. Owszem – poparła go Kat. – Jimmy Rączka.

Ba! Uratował Księciu życie – zachnął się Limm. – Został członkiem dworu. A i tak ma wyrok śmierci! Nie mógłby wrócić do Szyderców, choćby błagał na kolanach.

Jeżeli Cnotliwy nie żyje, wyrok został cofnięty – stwierdził rzeczowo Graves.

Co więc mam robić? – spytał markotnie Limm.

Skryj się gdzieś i nie wyściubiaj nosa, dopóki wszystko się nie uspokoi – poradził mu Graves – a potem wynieś się z miasta. W miasteczku Biscart, dwa dni marszu w górę wybrzeża żyje pewien człek, nazwiskiem Tuscobar. Ma tam swój kram. Jest mi winien przysługę. Nie ma też synów i nikt nie chce zostać u niego czeladnikiem. Idź do niego i poproś, żeby cię wziął na służbę. Jak będzie się sprzeciwiał, powiedz mu: „Jeżeli to zrobicie, Graves uzna, że jesteście z nim kwita”. On zrozumie.

A co on tam robi?

Sprzedaje sukno. Nieźle zarabia, bo handluje z bogatymi szlachcicami, kupującymi materiały na suknie dla żon i córek.

Wyraz twarzy Limma wskazywał, że chłopak nie jest pod wrażeniem.

Wolę pojechać do Durbinu i spróbować szczęścia przy was. Co tam zamierzacie robić?

Będziemy prowadzić uczciwe interesy – stwierdził Graves.

– Mam trochę złota. Kat i ja otworzymy oberżę.

– Oberża... – Limmowi rozbłysły oczy. – Lubię oberże.

– Opadłszy na kolana, uniósł ręce w dramatycznie błagalnym geście. – Weźcie mnie ze sobą. Proszę... Mogę w oberży robić wiele rzeczy. Będę podkładał do ognia na kominkach i wskazywał klientom drogę do ich pokojów. Mogę przynosić wodę i dyskretnie zaznaczać najbardziej napełnione sakiewki do późniejszej podrywki.

– To ma być uczciwie prowadzona oberża – zachnął się Graves.

Limm wyraźnie oklapnął.

W Durbinie? No, jeżeli tak mówisz...

Będziemy mieli dziecko – stwierdziła Kat. – Chcemy, żeby wyrosło w uczciwie prowadzonym domu.

Limmowi odjęło mowę. Usiadł i przez chwilę wytrzeszczał oczy na oboje uciekinierów.

– Dziecko? – wydusił z siebie po chwili. – Czy wyście pogłupieli?

Graves uśmiechnął się krzywo, a Kat zmarszczyła brwi.

Co jest głupiego w tym, że ludzie mają dzieci?

Nic, jeżeli się jest piekarzem, wieśniakiem lub kimkolwiek, kto ma spore szansę na dożycie późnego wieku – stwierdził Limm. – Ale dla Szydery...  
– Zostawił tę myśl niedokończoną.

Która godzina? – spytał Graves. – Tak długo tu siedzi my odcięci od powierzchni, że się całkiem pogubiliśmy.

Blisko północy – odpowiedział Limm. – A bo co?

Jeżeli Cnotliwy nie żyje, choćby to były tylko plotki, mogą się zdarzyć rozmaite rzeczy. Okręty, które skądinąd zostałyby w porcie, przed świtem mogą podnieść kotwicę.

Limm spojrzał uważnie na Gravesa.

– Wy coś wiecie?

Graves wstał z małego stołka.

Chłopcze, ja wiem mnóstwo rzeczy.

Proszę, weźcie mnie ze sobą! – Limm aż podskoczył. – Jesteście jedynymi przyjaciółmi jakich mam, a jeżeli Cnotliwy nie żyje, kto wie, komu przypadnie tu władza. Jeżeli Pełzaczowi, to i tak już prawie wszyscy z nas pójdą do piachu... a nawet, gdy to będzie ktoś z naszych ludzi, któż mi powie, jak mam ocalić swoje życie?

Graves i Kat wiedzieli, w czym tkwi istota problemu. Pokój wśród Szyderców narzucano niejako od góry i nie należało go mylić w przyjaźnią. Ze zmianą władzy wpływały na wierzch dawne urazy i zaczynało się wyrównywanie starych porachunków. Niejeden z pływających w kanałach nieboszczyków do ostatnich chwil życia nie miał pojęcia, za jakież to minione przewiny przychodzi mu płacić najwyższą cenę. Graves westchnął z rezygnacją.

Niech ci będzie. Przyznaję, że w ciemnych barwach widzę twoją przyszłość w Krondorze, a nam przydać się może dodatkowa para oczu i zręczne palce. – Spojrzał na Kat, która bez słowa kiwnęła główką.

Jaki mamy plan?

Musimy być przez świtem na przystani. Jest tam guegański statek kupiecki, Stella Maris, którego kapitan jest moim starym znajomym. Czekać na moment, kiedy będziemy mogli prze mknąć na jego pokład, przyczał się, opowiadając wszystkim, że musi uzupełnić zapasy. Jak tylko postawimy nogi na jego deskach, podniesie kotwicę i ruszy do Durbinu.

O świcie wypłynie wiele okrętów i statków i nikt nie zwróci uwagi na jeden więcej – dodała Kat.

Kiedy ruszymy do portu? – spytał podniecony urwis.

Godzinę przed świtem. Wciąż będzie dostatecznie ciemno, by skryły nas cienie, a miasto obudzi się na tyle, że idący szybkim krokiem ludzie nie zwrócą na siebie niczyjej uwagi.

Będziemy udawać rodzinę – uśmiechnęła się Kat.

Na szczupłej, niemal dziecięcej twarzy Limma pojawił się kwaśny wyraz.

– Co? Ty masz być moją mamusią?

Kat była tylko o dziesięć lat starsza od Limma.

Starszą siostrą – rzekła krótko.

Widzę jednak pewną trudność – stwierdził Limm.

– Wydostanie się na ulicę. – Graves kiwnął głową. Limm już się nie odezwał, ponieważ obaj wiedzieli, że nie sposób wymyślić planu czy przebrania, i nie można liczyć na cud, który pozwoli im bezpiecznie przedostać się na przystań. Będą po prostu musieli opuścić kryjówkę i zaryzykować niebezpieczną, choć krótką wędrówkę przez mroczny tunel, w którym równie dobrze mogą się natknąć na szczury, co na zaczajonych morderców. Niczego nie da się przewidzieć. Limm poczuł nagle zmęczenie.

– Chyba się trochę prześpię.

– Dobry pomysł – stwierdził Graves. – Tam w kącie jest prycza, na której możesz się położyć.

Limm ruszył we wskazanym kierunku i rzeczywiście się położył.

Jakie mamy szansę? – spytała szeptem Kat.

Marne – stwierdził jej kochanek. – Musimy zdobyć dla chłopaka jakieś ubranie. Obdartusy i brudasy w porcie nie są czymś niezwykłym, ale jego by wyrzucili nawet z balu gałganiarzy. – Po chwili ciągnął z nieco sztucznie brzmiącym optymizmem w głosie. – Tak czy owak, jeżeli Cnotliwy nie żyje, w mieście rozpęta się chaos i nikt chyba nie zwróci na nas uwagi.

Mamy inny wybór?



Tylko jeden – stwierdził Graves – ale nie chcę korzystać z tej możliwości... chyba że nas złapią.

Co to za możliwość?

Graves spojrział na dziewczynę, dla której porzucił wszystko, co miał w życiu do tej pory.

Został mi jeden przyjaciel, który nic nie zyska na mojej śmierci. W razie konieczności wyślę do niego Limma z prośbą o pomoc.

Kto to jest? – spytała szeptem Kat.

Graves zamknął oczy, jakby przyznając sam przed sobą, że niełatwo szukać pomocy komuś, kto jest człowiekiem tak samodzielnym i zaradnym jak on.

Jedyny złodziej, który może się za mną skutecznie wstawić u Księcia Krondoru.

Jimmy?

Ten sam – kiwnął głową Graves. – Jimmy Rączka.

# ROZDZIAŁ 2

## KRONDOR

Kolumna powoli zbliżała się do miasta.

Krondor oświetlały promienie późnego, popołudniowego słońca i czarne miejskie wieże wyraźnie się rysowały na tle cytrynowożółtego nieba. Na wschodzie zbierały się różowawe, jakby lekko drgające chmury. Za tylną strażą książęcą kolumna się nieco zwężała, wpływając do miasta najbardziej na południe wysuniętą bramą, która też była bramą najbliższą Zamkowi. Jak na tę porę dnia, panował tu zwykły ruch; kilku handlarzy wprowadzało do miasta swoje wozy, a wieśniacy, którzy odwiedzili miasto rankiem, zaczęli się zbierać do powrotu.

– Niezbyt uroczyste powitanie – stwierdził z przekąsem James.

Locklear zauważył, że niewielu ciekawskich gapiło się na kompanię towarzyszącą Arucie w drodze powrotnej do Kwartału Zamkowego. Inni mieszczanie zupełnie ich ignorowali, co zresztą było widoczne od momentu, w którym przekroczyli granicę krondorskich murów.

Arutha chyba nie wysłał przodem gońca z wiadomością o naszym powrocie.

Nie, za tym się kryje coś innego – mruknął James, który niemal zawsze zapominał o zmęczeniu, gdy coś go zaintrygowało.

Locklear spojrzał na twarze tych, którzy stali na chodnikach, gapiąc się na mijających ich żołnierzy z książęcej kompanii, i zobaczył w nich niepokój.

– Chyba masz rację – powiedział.

Jako stolica Zachodnich Dziedzin Królestwa Wysp, Kronдор nigdy nie był miastem cichym. Nawet w najgłębszych ciemnościach przed świtem we wszystkich dzielnicach słychać było rozmaite dźwięki i głosy. Był to jakby puls miasta i James znał go równie dobrze jak własne tętno. Wsłuchawszy się weń, natychmiast pojął, że miasto mówi „dzieje się coś złego”. Teraz, na godzinę przed zachodem słońca, gród był cichszy, niż należałoby się tego spodziewać.

Locklear usłyszał to samo: wszystko było przygłuszone, jakby każdy tłumiał głos, mówiąc ciszej niż zwykle. Nawet woźnice zaprzęgów pokrzykiwali na muły łagodniej, a ich wrzaski wisiały w powietrzu krótko, jakby hałaśliwi zwykle wozacy nie chcieli zwracać na siebie niczyjej uwagi. Wołająca dziecko matka czyniła to szybko, ostro, i nie darła się jak zwykle, co sił w płucach, i tylko wołała cicho i nagłoco.

Jak myślisz, co się tam dzieje? – spytał Locklear.

Niezadługo się dowiemy – odezwał się Arutha wyprzedzający nieco przyjaciół.

Obaj wysłali spojrzenia przed swego władcę i zobaczyli! zgrupowanych we wrotach pałacu ludzi, którzy przyszli powitać Księcia. Na czele stała Księżna Pani, Anita, która uśmiechała! się z ulgą, ujrzawszy, że mąż wraca cało i zdrowo. Dziesięcioletnie małżeństwo i macierzyństwo nie zostawiło na niej za wiele śladów. Księżna wyglądała jak młoda dziewczyna. Swoje rude jak płomień włosy zebrała w kok pod wielkim, białym, modnym kapeluszem, tkwiącym na nich, wedle określenia, jakie nasunęło się Jamesowi, niczym żaglowiec na falach rudego oceanu. Ale taka była moda, a nie żartowało się z Księżnej, szczególnie wtedy gdy drugi uśmiech przeznaczała dla patrzącego na nią giermka.

James odpowiedział takim samym przyjaznym uśmiechem i przez chwilę cieszył się ciepłem powitania Księżnej. Jego chłopięce zadurzenie w

Anicie przekształciło się obecnie w głęboką obustronną sympatię, a ponieważ Księżna była zbyt młoda, by mu matkować, traktowała go z humorem i swobodą jak starsza siostra. Wszyscy zresztą widzieli, że odnosiła się doń jak do młodszego brata, którego nie dał jej los. Doszło do tego, że jej dzieci nazywały go „Wujaszkiem Jimmym”.

Na prawo od Anity stali bliźniacy, Bornic i Erland, którzy kuksali się ukradkiem, bo zachowanie powagi i spokoju było na dłuższą metę dla obu dziewięciolatków niemożliwe. James wiedział, że bracia byli inteligentni i niesforni. W przyszłości mieli zająć odpowiednie pozycje wśród najpotężniejszych wielmożów Królestwa, teraz jednak byli tylko rozbrykanymi urwisami, którym znudziło się odgrywanie roli książątek i wypatrywali tylko, komu by tu wyciąć jakiś figiel. Tuż przed matką stała młodsza o cztery lata od Strasznych Bliźniaków księżniczka Elena. Rysy pięknej twarzyczki odziedziczyła po matce, ale gęste, ciemne włosy miała po ojcu. Ujrzawszy jadącego na czele gwardii przybocznej ojca, rozpromieniła się.

– Tatuś! Tatuś! – zawołała impulsywnie.

Arutha podniósł dłoń i zatrzymał cały orszak. Nie czekając na oficjalne powitanie ze strony Mistrza Ceremonii, zeskoczył z siodła i podbiegł do swej rodziny. Najpierw porwał w ramiona żonę, a potem uściskał synów i córeczkę. I James skinieniem podbródka wskazał Locklearowi stojących karnie strażników.

– Willie ma służbę – mruknął.

William był synem Puga i kadetem, który wkrótce miał zostać oficerem. Młodzieniec wymienił z Jamesem spojrzenia i ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

Kompania dostała rozkaz rozejścia się i James wraz z Locklearem zeskoczyli z siodła. Zaraz też podbiegli stajenni chłopcy i zajęli się

zdrożonymi wierzchowcami.

Służba wymagała od giermków gotowości na rozkazy Księcia, obaj więc podeszli i stanęli z prawej strony Aruthy.

Anita obdarzyła obu giermków ciepłym uśmiechem, a potem zwróciła się do męża.

Wiem, że nie powinnam była się martwić. Zawsze do mnie wracasz.

Zawsze – odpowiedział Książę, uśmiechając się ze znużeniem i radością.

Z tyłu za członkami książęcej rodziny stała niezbyt liczna grupka dworskich urzędników, którym Arutha skinął teraz głową. Z wyrazów ich twarzy wyczytał, że zanim będzie mógł się nacieszyć długo niewidzianą rodziną, musi wziąć udział w Radzie. Zauważył natychmiast obecność Szeryfa Krondoru i westchnął. Zwiastowało to poważne kłopoty w Krondorze, ponieważ Szeryf, choć był w grodzie nie lada figurą, nie należał do stałych członków ni dworu, ni Rady.

– Mości Konetablu – zwrócił się do Gardana – zechciej zobaczyć, czego chcą Szeryf i inni, a za pół godziny spotkajmy się w moich osobistych komnatach. Zanim zasiądem do Rady, powinienem zmyć z siebie podrózne brudy. – Uśmiechnął się do Anity. – I kilka chwil chcę spędzić w towarzystwie żony i dzieci. – Pochyliwszy się ku księżnej, pocałował ją w po liczek. – Zabierz dzieci do naszych komnat, najdroższa. Za minutę będą z wami.

Gdy Anita odprowadziła dzieci, Książę skinął dłonią na Jamesa i Lockleara.

– Niegrzeczni chłopcy nie mogą się spodziewać odpoczynku – stwierdził i dodał, powiódłszy wzrokiem po pałacowych gwardzistach. – Wygląda na to, że William zaraz pęknie, jeżeli nie podzieli się z kimś nowinami, więc zobaczcie, co go tak pili; Jestem pewien, że usłyszycie odmienną nieco wersję tego, co mi dworacy podsuną na Radzie. Jeżeli trzeba będzie

powęszyć tui tam po mieście, ruszajcie mi zaraz, ale wracajcie najpóźniej pod koniec kolacji. – Potem spojrział Jamesowi prosto w oczy. – Wiesz, co masz robić.

James kiwnął głową. Gdy odprowadzał Lockleara, ten się odezwał.

Co to miało znaczyć?

Niby co?

No, to: „Wiesz, co masz robić”.

Arutha i ja pracowaliśmy nad czymś od czasu, gdy cię odesłano do Tyr-Sog.

Wiem, czemu mnie tam zesłano – odparł Locklear zmęczonym głosem. – Wiem aż za dobrze – dodał, rozmyślając o tym, że już wkrótce będzie musiał wrócić do zimnego i dalekiego miasta na północy.

James dał, znak strażnikowi, który szkolił kadetów, ten zaś natychmiast wyprężył się niczym struna.

– Członkowie dworu! – ryknął.

Kadeci i tak stali już w postawie zasadniczej, ale na widok zbliżających się giermków stężeli jak kamienne posągi.

James skinął głową, witając się z Miecznikiem McWirthem.

Jak dziś sobie radzą kadeci, Mistrzu?

Nic nie warta banda, mości giermku. Ale dwóch czy trzech może zdoła dożyć do chwili, w której zapracują na zaszczyt służenia w mojej armii.

James uśmiechnął się nie bez kpiny, przypominając sobie, że jakoś nie bardzo się lubili z Mistrzem Miecza. Jako członek książęcego dworu młodzieniec nie należał w zasadzie do oficerów – ćwiczył szermierkę z Aruthą i w rzeczy samej był ulubionym partnerem Księcia, bo jako jeden z niewielu ludzi w Krondorze potrafił sprostać mu w szybkości. Jako giermek miał też pozycję dającą mu niekiedy komendę nad szkolonymi przez Mistrza żołnierzami, co starego niezmiennie irytowało.

James wiedział jednak, że McWirth szkoli swoich podwładnych bardzo rzetelnie, a promowani przez niego oficerowie, osobliwie ci wybierani później do książęcej Gwardii Przybocznej, byli co do jednego świetnymi żołnierzami. Podczas swoich licznych podróży James widywał i to, co w wojsku było najlepszego, nie miał też wątpliwości, że aktualnie spogląda na chlubę armii Zachodnich Dziedzin.

– Mistrzu, muszę porozmawiać z księżęcym kuzynem, jak tylko skończycie.

Zgryźliwy staruch zmierzył Jamesa ponurym spojrzeniem i młody giermek po raz kolejny podziękował losowi, że nie musi znosić, na przykład, inspekcji czy przeglądów rynsztunku w wydaniu McWirtha. Ten tymczasem odwrócił się ku kadetom.

– Rrrrozejść się! Kadet William, do mnie! – wrzasnął. Inni kadeci rozbiegli się do swoich zajęć, a William podbiegł do przełożonego i wzorowo się wyprężył.

– Na rozkaz, sir! – krzyknął, aż James zmrużył oczy.

Członkowi dworu spodobało się skorzystać z waszego towarzystwa – stwierdził stary z przekąsem. Tymczasem William uśmiechnął się do obu młodzieńców.

Witajcie, panowie.

Reszta kadetów zniknęła obecnym z oczu.

Kiedy skończycie – odezwał się McWirth – oczekuję, że dołączycie do waszych towarzyszków albo się zajmę waszym ekwipunkiem, kadecie. Czy to jasne?

Taaaaest, sir! – huknął William, salutując sprężyście. Stary odszedł sztywno i wszyscy trzej młodzi ludzie spojrzeli na siebie, uśmiechając się jednocześnie.

Jakie nowiny? – spytał James.

Rozmaite, i sporo ich – odpowiedział William. Był nie wysokim młodzieńcem, choć wyższym nieco od ojca, o ciemnych włosach i oczach. Podczas minionych kilku miesięcy, gdy służył w książęcej kompanii kadetów, stracił chłopcę miękkość rysów i rozrósł się w barach. Znakomicie sobie radził z dwu-1 ręcznym mieczem, co było nie lada sztuką i czego serdecznie mu zazdrościli niemal wszyscy koledzy, okazał się też wyjątkowo uzdolnionym jeźdźcem. – W przyszłym tygodniu będę promowany!

Gratulacje – odparł Locklear. – A ja będę wygnany.

Znowu? – zdumiał się William.

Nadal. – Parsknął śmiechem James. – Arutha przyjął do wiadomości, że Locky miał ważne powody do powrotu, ale doszedł do wniosku, że jego zasługi nie są dostatecznie wielkie, by ponownie go tu sprowadzić z mroźnej północy.

Locky zmarszczył brwi.

Jutro znów ruszam do Tyr-Sog.

Zabawne rzeczy dzieją się w mieście – odezwał się James. – Słyszałeś coś, Willie?

Imienia tego mogli używać jedynie członkowie rodziny Aruthy, James i Locklear, bo na podobną poufałość młody kadet nie pozwalał nikomu więcej.

– Owszem – odpowiedział zagadnięty. – To dziwne. Kadeci mają dość zajęć i niewiele okazji do wymiany nowinek z żołnierzami innych kompanii, ale słyszało się to i owo. Wygląda na to, że w ostatnim tygodniu niezwykle wielu mieszczuchów obudziło się nieboszczykami.

James kiwnął głową.

To wyjaśnia, dlaczego na Księcia czekał Szeryf.



Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, rzeczywiście wydaje się to dziwne – stwierdził Locklear. – On zwykle nie pcha się do takich uroczystości.

James na krótką chwilę pogrążył się we wspomnieniach. W przeszłości kilkakrotnie się zdarzyło, że kiedy zajmował się złodziejskim fachem, musiał pokrzyżować szyki Szeryfowi Meansowi. Parę razy omal nie został jego gościem w lochach miejskiej Katowni. Szeryf uznał w nim członka książęcego dworu i traktował z odpowiednim szacunkiem, ale ich stosunki w najlepszym razie można było określić jako chłodne. Jamesa dość niespodzianie nawiedził wizerunek znacznie młodszego Wilfreda Meansa, który patrzył w ślad za śmigającym po miejskich dachach Jimmym; rdzawe wąsy konstabla drżały z wściekłości na zuchwałość młodocianego złodzieja.

Szeryf jednak był człowiekiem obowiązkowym i jak mógł starał się utrzymać krondorskich łotrzyków w ryzach. Do niedawna jeszcze udawało mu się to całkiem dobrze, w odróżnieniu bowiem od swoich poprzedników na tym stanowisku Wilfred Meansa nie brał łapówek ani nie przyjmował żadnych „przysług” w zamian za ustępstwa w służbie.

Jeżeli ten człowiek zjawił się osobiście, by pomówić z Aruthą tuż po jego powrocie, znaczyło to, iż Szeryf doszedł do wniosku, że trzeba natychmiast przedstawić Księżciu jakąś ważną sprawę.

Wracaj na służbę, Williamie – zwrócił się obojętnym tonem do kadeta. – Locky i ja mamy zobaczyć się z Aruthą.

Locky... – odezwał się William – to może lepiej jeszcze raz się pożegnajmy, bo przecież wkrótce znów ruszasz na północ.

Locklear teatralnie wzniosł oczy do nieba, ale uściśnął podaną mu rękę.

– Williamie, uważaj na tego łotrzyka. Nie chciałbym, żeby go zabito, gdy mnie tu nie będzie.

– Nie zdążysz na moją promocję – stwierdził William. James uśmiechnął się szeroko.

– Nie trap się, Willie. Urządzi ci się święto jak się patrzy. Nawet bez tego łobuza, który nie wie, czemu wabi ku sobie dziewczki jak magnes, znajdziemy kilka nadobnych panien, które będą na nas patrzeć z zachwytem, gdy ty będziesz polerował swe nowiutkie oficerskie ostrogi.

William tylko się zarumienił.

– Uważaj na siebie, Locky.

Locklear pożegnał się z nim, a gdy kadet wrócił do swoich obowiązków, odezwał się do Jamesa.

– Widziałeś ten rumieniec. Głowę dam, że chłopak nigdy i jeszcze nie był z kobietą.

James dał przyjacielowi lekkiego kuksańca.

Nie każdy jest tak urodziwy jak ty, Locky.

Ale jemu idzie na dwudziesty rok! – jęknął Locklear z teatralną przesadą.

Jest bystrym chłopakiem i ma przyjemną dla oka powierzchowność. Podejrzewam, że do twego powrotu stan rzeczy ulegnie gruntownej zmianie.

Tak myślisz? – spytał Locklear.

O, jestem nawet tego pewien – stwierdził James, gdy obaj wkraczali do pałacu. – Idę o zakład, że uda mi się znaleźć dla niego jakąś chętną dziewczkę, która weźmie go do łóżka... w ciągu najbliższych pięciu lat.

Uśmiech Lockleara znikł jak zdmuchnięty przez wiatr.

– Pięć lat! – wystękał ze zgrozą. – Chyba nie sądzisz, że Arutha będzie mnie tam trzymał przez pięć lat? – jęknął boleśnie.

James parsknął śmiechem. Gdy obaj biegli do komnat Księcia, wymierzył przyjacielowi kuksańca, Locklear się zręcznie uchylił... i obaj

giermkowie na chwilę znów stali się niesfornymi chłopcami.

Do komnat Księcia dobiegli obaj wtedy, gdy Arutha wracał do nich po krótkim widzeniu się z żoną i dziećmi. Teraz szedł szybkim krokiem przez krótki korytarz, łączący jego prywatne apartamenty z Komnatą Narad i resztą dworu. James podbiegł, by zająć miejsce za swoim lennym panem, Locklear zaś ustawił się o krok za nim. Po obu stronach drzwi do Komnaty Narad stali dwaj młodzi giermkowie, którzy ujrzawszy nadchodzących, szybko otworzyli wierzeje.

Aruthę powitał Mistrz Ceremonii, Brian De Lacy. Przy jego prawym boku ustawił się Ochmistrz Jerome. Obaj skłonili się Księżciu jak jeden mąż; Ochmistrz szybko kiwnął głową obu giermkom. Jerome był przed dziesięciu laty razem z Jamesem i Locklearem członkiem kompanii giermków, James nigdy nie pomijał okazji, by się przeciwstawić starszemu giermkowi, który był zarozumiałcem i tyranem. Teraz Jerome uczył się u boku de Lacy'ego trudnej sztuki zarządzania codziennymi sprawami dworu, i James musiał przyznać, że jego drobiazgowość sprawiała, iż doskonale się do tego nadawał.

– Jestem bardzo znużony i chciałbym zjeść podwieczorek rodziną, więc odłożmy ile się da na formalną dworską audiencję jutro. Jakie sprawy nie mogą czekać?

De Lacy kiwnął głową i podniósł wzrok.

– Czy nie powinniśmy zaczekać na konstabla? – spytał, odnotowawszy obecnych w pamięci.

W tejże chwili do sali wszedł Gardan.

– Wasza Wysokość, racz mi wybaczyć. Chciałem się upewnić, że ludzie zadbali o konie i broń.

Arutha zmarszczył brwi, a na jego usta wrócił znany obecnym półuśmiech.

Gardanie, nie jesteś już sierżantem. Tylko Konetabłem Kronodoru. Od tego, by się upewnić, czy zadbano o ludzi, konie i broń, masz innych.

Jest coś, co chciałbym z tobą omówić, Wasza Wysokość – stwierdził. I dodał, zerknąwszy na zebranych w komnacie szlachciców: – Ale to może poczekać, dopóki nie skończysz. Wasza Wysokość? – Arutha skinieniem głowy wyraził zgodę.

Podczas twojej nieobecności, Wasza Wysokość, przybył goniec z Kesh. Sprawy, o jakich nas powiadamia, nie mają zbyt wielkiego znaczenia dla Korony, ale powinieneś je rozstrzygnąć osobiście – stwierdził de Lacy.

Arutha skinieniem dłoni wskazał mu Jamesa.

– Zostaw je jemu. Przeczytam wieczorem i rano będziesz miał odpowiedź.

De Lacy podał listy Jamesowi, który wetknął je pod kurtkę, nawet nie zerkając na pisma.

Mistrz Ceremonii spojrział na Szeryfa, który wystąpił naprzód i się skłonił.

– Wasza Wysokość, z prawdziwą przykrością muszę złożyć raport o morderstwach, które popełniono w mieście pod twoją nieobecność.

Książę milczał przez chwilę, rozważając to, co usłyszał.

Dlaczego sądzicie, że tę sprawę należało przedstawić mi osobiście? Morderstwa nie były i nie są czymś niezwykłym.

Tym razem jest inaczej, Wasza Wysokość. Zabito kilkunastu wpływowych ludzi w ich łóżkach w nocy, podczas gdy obok spały ich żony... którym nie stała się żadna krzywda.

Arutha spojrział na Jamesa, ten nieznacznie skinął głową. Giermek wiedział, o czym w tej chwili pomyślał Książę: „Jastrzębie Nocy”.

Od dziesięciu lat w mieście nikt nie słyszał o zabójstwie popełnionym przez członków Bractwa Śmierci. Skrytobójcy wynajęci przez agentów

Murmandamusa znikli pod koniec Wojny Światów. Przed kilkoma miesiącami rozeszły się plotki o ich powrocie. Potem nagle znów się pojawili w granicach Królestwa. James osobiście zabił ich przywódcę, ale nie żywił złudzeń – Jastrzębi łatwo spłoszyć się nie da. Jeżeli mieli swoje zgrupowanie w Krondorze, z pewnością wiedzieli już o śmierci tego, który zwał sam siebie Navonem du Sandałki udawał kupca z Kenting. Po ujawnieniu jego tożsamości niewiele brakło, a James byłby się dał zabić w pojedynku – ocalał jedynie dzięki litrom potu, które wylał, ćwicząc Aruthą walkę na rapiery.

– Co odkryli wasi ludzie? – spytał Arutha Szeryfa nie bez niepokoju na twarzy.

– Nic konkretnego, Wasza Wysokość. Ofiary... no cóż, niektórzy z nich, jak zwykle w takich wypadkach, byli ludźmi 'mającymi wrogów w interesach. Inni jednak należeli do miejskiego drobiazgu i znani byli tylko w kręgach swoich rodzin. W tych morderstwach nie sposób doszukać się jakiegoś wspólnego punktu. Wydaje się, że czynnikiem, który zdecydował o śmierci tych ludzi, był... przypadek.

Arutha usiadł głębiej i zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał. Szybko przeglądał i kolejno odrzucał w myślach rozmaite możliwości.

– Przypadek? – spytał w końcu. – A może po prostu nie dostrzegamy elementu, który łączy te morderstwa. Niech wasi ludzie rankiem wrócą do spraw i przepytają rodziny ofiar, ich współpracowników, sąsiadów i wszystkich, którzy mieli z nimi cokolwiek wspólnego. Ktoś z nich powinien mieć jakąś ważną informację, której wagi nie dostrzegamy, bo po prostu nie wiemy czego szukać i o co pytać. Poślijcie z ludźmi skrybów i każcie im zapisywać rozmowy. Przejrzawszy wszystko, może odkryjemy jakiś związek pomiędzy tymi morderstwami. – Westchnął, i obecni zobaczyli, jak bardzo Książę jest zmęczony. – Wracajcie do swoich zajęć,

Szeryfie. Przyjdźcie do mnie jeszcze raz ; po jutrzejszej porannej audiencji i omówimy sprawę dokładniej. Jutro wieczorem chcę mieć raporty waszych ludzi. – Szeryf skłonił się i wyszedł z sali. – Co jeszcze? – zwrócił się Księżę do de Lacy'ego.

– Nic, co by nie mogło poczekać, Wasza Wysokość. Arutha wstał.

Zwolnijcie wszystkich dworzan aż do jutra, do godziny dziesiątej rano. – De Lacy i Jerome wyszli, a Arutha zwrócił się do Gardana i giermków. – Mości Konetablu, powiedzcie mi teraz, o czym chcieliście ze mną pomówić.

Wasza Wysokość, służyłem waszemu domowi od dziecka. Byłem żołnierzem i sierżantem u ojca Waszej Księżęcej Mości, i waszym Kapitanem oraz Konetabl. Czas mi wrócić do domu, sir. Chciałbym złożyć rezygnację i odjechać do Crydee.

Arutha kiwnął głową.

Rozumiem. Czy nie możemy pomówić o tym przy kolacji?

Jak sobie życzysz, Księżę – odparł Konetabl.

Owszem, tak sobie życzę. Locklear, lepiej się zbieraj do jutrzejszego wyjazdu – zwrócił się Arutha do giermka. – Rozkaz podróży i przepustki zastaniesz rankiem w swojej kwaterze. Wyjedziesz z patrolem do Sarth. Jeżeli nie uda nam się zobaczyć przedtem, to zechciej przyjąć ode mnie życzenia szczęśliwej podróży.

Dziękuję Waszej Wysokości – odparł Locklear, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy.

Teraz Arutha znów się zwrócił do Jamesa.

– Ty wiesz, co masz robić.

Arutha i Gardan wrócili do apartamentów książęcych, giermkowie udali się w stronę przeciwną. Kiedy oddalili się poza zasięgi książęcych uszu, Locklear zwrócił się do Jamesa, naśladując głos i intonację Aruty.

– „Ty wiesz, co masz robić”. No dobrze, co to wszystko! znaczy?  
– Przede wszystkim znaczy to, że się nie wyśpię. – Westchnął James.  
– A, rozumiem – odparł Locklear. – W ten sposób chcesz mi rzec, że to nie moja sprawa.

– Owszem – uciął James. W drodze do pałacowego skrzydła, w którym mieli swoje kwatery, nie rzekł już nic więcej. Ode zwał się dopiero, gdy stanęli przed drzwiami komnatki Lockleara. Nie sądzę, byśmy się jeszcze zobaczyli przed twoim wyjazdem, więc zechciej na siebie uważać i nie daj się zabić.

Locklear potrząsnął dłonią przyjaciela, a potem mocno go uściskał.

– Postaram się.

James uśmiechnął się szeroko.

Trzymam cię za słowo. Jeżeli los nam będzie sprzyjał, zobaczymy się podczas Święta Letniego Przesilenia... oczywiście o ile się nie wygłupisz tak, że Arutha każe ci tam zostać dłużej.

Postaram się – powtórzył Locklear.

– Dobrze by było – poradził mu James. Zostawiwszy przyjaciela, pospieszył do swoich komnat. Jako członkowi książęcej świty należał mu się własny pokój, ale ponieważ był tylko giermkim, przydzielono mu skromną komnatkę: było w niej łóżko, siódło do pisania i zjadania posiłków oraz drewniana szafka o podwójnych drzwiach, w której trzymał ubrania. Wszedłszy do środka i zamknąwszy drzwi za sobą, James rozebrał się. Miał na sobie podróżne ubranie, ale do tego, co zamierzał zrobić, było zbyt porządne. Otworzywszy szafę, odsunął na bok kilka koszul, które należałoby już wyprać, i dopiero pod nimi znalazł to, czego szukał. Była to szara kurtka i ciemnoniebiesie portki, połatane i zabarwione tak, by wyglądały na znacznie brudniejsze, niż były w istocie. James wdział jedno i drugie, a potem wzuł najstarsze z posiadanych butów, w cholewę jednego z

nich wsuwając prosty, lecz dobrze wykonany i ostry niczym brzytwa sztylet. Przybrawszy wygląd ulicznika, szybko wymknął się za drzwi i unikając sług oraz strażników, przedostał się do pałacowych piwnic.

Wkrótce potem przemykał niczym duch sekretnym przejściem łączącym podziemia krondorskiego zamku z miejskimi kanałami – a gdy zapadła noc, Jimmy Rączka znów podążył Złodziejskim Szlakiem.

Gdy James dotarł do miejsca, w którym podmiejskie kanały łączyły się z lochami pod pałacem, na górze słońce zdążyło już się skryć pod horyzontem. Niebo miało pozostać jasne jeszcze przez jakiś czas, ale ulice spowił już mrok niewiele mniej gęsty od nocnego. Za dnia w kanałach były miejsca, w których tunele rozjaśniało światło sączące się z góry, zwłaszcza w ściekach położonych blisko powierzchni albo z miejsc pod ulicami, gdzie były dziury w bruku, albo przez celowo czynione świetliki.

Po zachodzie słońca wszędzie jednak w podziemiach zapadały ciemności, z wyjątkiem kilku miejsc mających własne oświetlenie, ale doświadczony łazik mógł się poruszać w nich bezpiecznie. Od chwili, kiedy wyszedł z pałacu, James przez cały czas wiedział, gdzie jest.

Młody człowiek był niegdyś członkiem Bractwa Złodziei, czyli Szyderców i jako taki przyswoił sobie każdą sztuczkę, jaka zapewniała przetrwanie w tych surowych okolicznościach i jakie zdołał I wymyślić sam dzięki żywej inteligencji. Teraz w milczeniu podszedł do skrytki, którą przygotował sobie wcześniej na podobną I okoliczność i przesunął sztuczny kamień, wykonany przezeń osobiście ze szmat, gliny, drewna i farby. Skrytka była tak zmyślna,! że ktoś postronny nie zdołałby jej wykryć nawet w dużo lepszym oświetleniu. James odłożył sztuczny kamień na ziemię i wyjął z za niego latarnię z osłoną. W skrytce trzymał też dodatkowy zestaw wytrychów i kilka przedmiotów, których posiadanie trudno byłoby! mu wytłumaczyć, gdyby je znaleziono w jego pałacowej garderobie: środki



żrące, wyposażenie do wspinaczki i kilka sztuk dość niezwykłej broni. Stare przyzwyczajenia miały twarde żywot.

Zapalił teraz latarnię. Nie trzymał jej w pałacu, ponieważ kto mógłby zauważyć, jak się przemyka z lochów pod pałacem do podmiejskich kanałów, najważniejsze zaś było utrzymanie w sekrecie sposobu przenikania do pałacu poprzez tunele. Wszystkie pałacowe plany, poczynając od tych najwcześniejszych, wskazywały na odrębność dwóch systemów – podobnie zresztą jak plany, nie ukazywały żadnych połączeń pomiędzy kanałami pękniętymi w obrębie miejskich murów i podgrodziem. Przemysłowcy i złodzieje szybko jednak udowodnili, że plany książęcych budowniczych są niedokładne, przekopali bowiem własne sekretne przełęczy pod murami.

James podkreślił knot, zapalił go i przesunął osłony tak, że na zewnątrz wydostawała się jedynie nikła smużka światła wystarczająca mu do bezpiecznej nawigacji w kanałach. Mógłby sobie poradzić i bez światła, czego niejedyn raz już próbował, musiałyby jednak przemieszczać się bardzo powoli, cały czas macając ściany, a dziś miał do pokonania sporą odległość.

Szybko sprawdził wszystko, by się upewnić, że nie zostawił śladów zdradzających jego skrytkę przed tymi, którzy mogliby iść tędy przypadkowo. Zastanawiał się nad nieustającą potrzebą Zabezpieczenia wszystkiego i wszystkich, która stworzyła osobliwy paradoks: korpus Królewskich Inżynierów tracił mnóstwo czasu i złota na szybką reperację miejskich kanałów, które Szyderycy i inni złodziejaskowi równie szybko uszkadzali, żeby porobić obie tajne przejścia wyjęte spod nadzoru władz. James często im odkrywał nowe przerwy i wyłomy – i czasami nikomu ich nie zdradzał, ponieważ były mu przydatne, co znaczyło dlań więcej niż osłabienie bezpieczeństwa pałacu.

Rozmyślając o tym, że z przynależnością do książęcego dworu wiązało się więcej obowiązków niż przywilejów – co nigdy mu nie przyszło do głowy, gdy wstępował w szeregi kompanii giermków, niegdysiejszy złodziejaszek szybko podążył na spotkanie pierwszego ze swoich informatorów.

Ostatniego zaczął szukać dopiero przed świtem. Niełatwo mu było zachować spokój. Pierwsi trzej z poszukiwanych przez niego ludzi gdzieś po prostu przepadli. W porcie panował niezwykły spokój i nawet w pobliżu hałaśliwych skądinąd miejsc, takich jak oberże i tawerny, było cicho. Dzielnica biedaków stała się najwyraźniej terenem bezpańskim, a wiele należących do Szyderców kryjówek i spelunek było pozamykanych.

James nie natknął się też na żadnego z Szyderców, co samo w sobie niezwykle nie było. Jego zdolność bezszelestnego przemykania się przez kanały i po dachach nie należała do wyjątkowych. Tej nocy jednak się czuło, że jest inaczej niż zwykle. Kana-1 łów często używały i osoby postronne. Nie należący do Szyderców żebracy mieli w nich miejsca, gdzie mogli sypiać bez przeszkód, nie narażając się na napaści ze strony obcych. Przemysłowcy przynosili ładunki z tajnych magazynów pobudowanych przy I ujściach większych nadmorskich tunelów do ukrytych pod miastem I piwnic. Wszelka taka działalność była źródłem hałasu: niezbyt! głośnych dźwięków, które zwykle uchodziły uwagi tych, co nie umieli ich rozpoznawać... ale sieje słyszało. Dziś wszędzie panowała cisza. W kanałach rozlegał się tylko szmer wody, popiskiwanie szczurów oraz przypadkowy szcęk maszyn – pomp, kół wodnych i szurgot podnoszonych i opuszczanych śluz.

James wiedział, że wszyscy mieszkańcy kanałów przyczaili się i czekali na rozwój wydarzeń, a to oznaczało kłopoty! W przeszłości, gdy zaczynały się kłopoty, Szydercy zamykali część kanałów położoną nieopodal

Dzielnicy Biedaków i barykadowali dojścia do Gniazda Szyderców, przez członków złodziejskiego bractwa zwanego Matecznikiem. W wyznaczonych! miejscach zajmowali stanowiska uzbrojeni osiołkowie i czekali! aż kryzys minie. Nie należący do stowarzyszenia też się kryli do chwili, gdy kłopoty stawały się przeszłością. Ci, którzy znajdowali się na zewnątrz tych enklaw spokoju, padali ofiarami okol liczności. James przypominał sobie, że ostatnim razem coś takie! go się zdarzyło podczas następnego roku po zakończeniu Wojna Światów, kiedy skrytobójcy ranili Księżniczkę Anitę i Arutha ogłosił prawo wojenne.

Im dalej przedzierał się w głąb leżących pod ulicami kanałów i przemykał górą, tym głębszej nabierał pewności, że pod jego nieobecność wydarzyło się coś równie poważnego. Teraz ukradkowo rozejrzał się dookoła, by zyskać pewność, że nikt go nie śledzi i ruszył w głąb zaułka.

Było tu miejsce, gdzie o ceglany mur oparto parę przewróconych skrzyń, tworząc dość mizerne, ale lepsze niż żadne, schronienie przed kapryсами niepogody. Wewnątrz jednej z tych skrzyń leżał jakiś nieruchomy kształt. Gdy James poruszył skrzynią, spłoszył cały rój much, które z brzęczeniem zerwały się do lotu. książęcy giermek nie musiał tykać leżącego, by stwierdzić, że a honor z nieboszczykiem. Odwróciwszy go z ręcznie na plecy, spojrział w twarz Starego Erwina, niegdysiejszego marynarza, którego zamiłowanie do mocnych trunków pozbawiło dorobku tego życia, rodziny i ostatnich strzępów ludzkiej godności. „Ale – pomyślał James – nawet taki miejski szczur jak Erwin zasłużył na lepszy koniec, niż poderżnięcie gardła jak rzeźnemu baranowi”.

Gęste, prawie zestalone skrzepy krwi wskazywały na to, iż morderstwo popełniono znacznie wcześniej – prawdopodobnie rankiem dnia poprzedniego. Teraz już James był pewien, że ego zaginionych informatorów spotkał podobny los. Zabójcy albo mordowali bez wyboru, i

informatorzy giermka mieli nadzwyczajnego pecha, albo ktoś systematycznie zabijał jego kron-orских agentów. Logika podpowiadała, że druga z możliwo-i była znacznie bardziej prawdopodobna. Młody ćwik wstał i spojrział w niebo. Noc miała się ku końcowi sączące się od wschodu szare światło znamionowało nadejście świtu. W mieście było tylko jedno miejsce, w którym mógł znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania bez ryzykowania konfrontacji z Szydercami.

Wiedział, że przed wieloma laty, zanim został członkiem dworu Aruthy, Książę zawarł osobliwe porozumienie z Szydercami, ale znał bliższych szczegółów. Pomędzy nim samym a złodziejskim bractwem ustalono swego rodzaju zbrojny pokój. Trzymał się I nich z daleka, oni zaś unikali jego. Właził do kanałów i z nich wyłaził, kiedy i gdzie mu się chciało, a w razie potrzeby śmigał dachach jak za dawnych czasów, oni zaś udawali, że go nie dostrzegają. Nie żywił jednak żadnych iluzji co do rodzaju powitania, jakie by go spotkało, gdyby zajrzał do ich Gniazda. Wiedział, że albo się należało do Szyderców, albo nie – on zaś zamknął sobie drogę do Matecznika przed blisko czternastu laty.

Odłożywszy na bok myśli o złożeniu wizyty w siedzibie bractwa, ruszył ku jednemu miejscu, gdzie mógł zasięgnąć jakichś informacji.

Wróciwszy do kanałów, szybko przedostał się do miejsca pod pewną dość osobliwą oberżą. Zbudowano ją na granicy pomiędzy dzielnicą zamieszkaną przez najbiedniejszych Krondorczyków i kwartałami nieco zamożniejszymi, w których osiedlali się rzemieślnicy, wyrobnicy i ich rodziny. Był tu pokryty mułem właz, zamknięty na sekretny rygiel. Przesunąwszy dźwignię, James usłyszał lekki zgrzyt, gdy na bok odsunęła się część kamiennej podmurówki.

„Kamień” wykonany z gipsu pokrywającego płótno maskował wejście do wąskiego tunelu. Znalazłszy się w nim i zamknąwszy za sobą sekretne

drzwi, James podniósł zaślepki latarni. Był prawie pewien, że zna wszystkie pułapki, jakimi utrudniono krótkie skądinąd przejście, ale ponieważ w tym twierdzeniu kluczowym słowem było „prawie”, ruszył dalej z wielką ostrożnością.

Dotarłszy do przeciwległego krańca przejścia, stanął przed solidnymi dębowymi drzwiami, po drugiej stronie których, jak wiedział, były schody wiodące do piwniczki pod gospodą. Zbadał ostrożnie zamek i stwierdziwszy ku swojemu zadowoleniu, że nic się w nim nie zmieniło, zręcznie go otworzył, skorzystawszy z zestawu swoich wytrychów. Gdy zamek otworzył się ze szczękiem, książęcy giermek pchnął ostrożnie drzwi, ponieważ istniała możliwość, że ktoś założył pułapkę po ich drugiej stronie. Nid się nie stało, więc James kilkoma skokami pokonał schody.

Znalazłszy się na górze, trafił do piwniczki zastawionej beczkami i workami. Przecisnąwszy się przez istny labirynt rozmaitych przeszkód, wspiął się na drewniane stopnie wiodące na parter budynku, do znajdującej się za kuchnią spiżarni i otworzył drzwi.

Powietrze rozdarł krzyk młodej kobiety a w chwilę później miejsce, gdzie przed sekundą jeszcze stał James, przeszył bełt puszczony z kuszy. Grot łupnął o drewniane drzwi, a młody człowiek dał nura szczupakiem w bok, przeturlał się po podłodze i wstał, podnosząc w górę otwarte dłonie.

– Spokojnie, Lucas! To ja!

Oberżysta, który w młodości był żołnierzem i zawołanym kusznikiem, okrążył już stół i odrzuciwszy kuszę, wyciągał swój kord. Przed chwilą, usłyszawszy krzyk dziewczyny, porwał kuszę i strzelił niemal na oślep ku drzwiom. Teraz zawahał się na moment, a potem wsunąwszy miecz do pochwy, ruszył w stronę Jamesa. Okrążył pień do rąbania mięsa.

Bałwanie jeden! – syknął cicho, jakby się bał podnieść głos. – Koniecznie chcesz, by cię zabito?

Żeby nie zełgać, to nie – odparł James, wstając z podłogi.

Ubrany jak podrzędny rzeźmieszek wślizgujesz się chyłkiem do mojej piwnicy. Skąd miałem wiedzieć, że to ty? Powinieneś mnie powiadomić, że się zjawisz tą drogą, albo poczekać z godzinę i wejść od frontu, jak każdy uczciwy człowiek.

No, uczciwy to ja jestem – stwierdził książęcy giermek, wychodząc z kuchni przez szynk do wspólnej izby. Rozejrzawszy się dookoła, usiadł na krześle. – Mniej więcej.

Lucas uśmiechnął się skąpo.

– Znam gorszych od ciebie. Co cię tu sprowadza drogą, jakiej szczur byłby się brzydził?

James zerknął przez ramię na dziewczynę, która przyszła za nim i za Lucasem do wspólnej izby. Odzyskała spokój, gdy się okazało, że intruz jest przyjacielem gospodarza.

– Przepraszam, że was przestraszyłem. Dziewczyna odetchnęła głęboko.

– No, nieźle wam to wyszło. – Stała wyprostowana, a jej ciemne włosy tworzyły żywy kontrast z jasną cerą, której bladość była wywołana przestraszaniem. Wyglądała na osobkę mniej więcej dwudziestoletnią.

Nowa służąca? – spytał James.

Nie, to moja córka, Talia.

Lucas, ty nie masz córki! – James aż przysiadł. Właściciel oberży „Tęczowa Papuga” usiadł naprzeciwko.

Talio, skocz do kuchni i zobacz, czy się tam coś nie przy pali – zwrócił się do dziewczyny.

Tak, ojciec – odpowiedziała, wychodząc.

Mam córkę – zwrócił się Lucas do Jamesa. – Kiedy jej matka umarła, wysłałem ją do brata, który ma farmę nieopodal Tannerbrook.

Nie chciałeś, żeby wyrastała w oberży? – Uśmiechnął się James.

Nie – westchnął Lucas. – Tu bywa czasami dość... nie przyjemnie.

O, chyba się mylisz – stwierdził James, udając naiwne go kmiotka. – Nie zauważyłem.

Lucas wymierzył weń oskarżycielsko paluch.

– Jimmy zwany Rączką, w tym krześle siadywali znacznie bardziej niegodziwi od ciebie ludzie.

James podniósł dłonie, jakby się poddawał.

– Nie będę się z tym spierał. – Spojrzał w stronę kuchennych drzwi, jakby mógł je przewiercić spojrzeniem. – Lucas... ona nie zachowuje się jak wiejska dziewczka.

Oberżysta rozsiadł się wygodniej i przetarł kościstą dłonią swe poznaczone pasmami siwizny włosy.

Nieopodal farmy mojego brata było opactwo mniszek i Talia spędzała znacznie więcej czasu, pobierając u nich nauki, niż przy dojeniu krów. Umie czytać, pisać i rachować. Bystra z niej dziewczyna.

Pięknie. – - James kiwnął głową z aprobatą. – Choć wątpię, żeby twoi zwykli klienci cenili te jej umiejętności wyżej, niż... to, co widać.

Twarz Lucasa powlekła się chmurą.

– Jamesie, to dobra dziewczyna. Któregoś dnia poślubi porządnego chłopaka, nie jakiegoś drapichrusta... zresztą sam wiesz, jacy tu przychodzą. Zebrałem dla niej posag i... – Zniżył głos, jakby się bał, że zostanie usłyszany w kuchni. – Jamesie, jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który posiada odpowiednie znajomości wśród młodych ludzi, jako że mieszkasz w pałacu... i w ogóle. No, przynajmniej od czasu, kiedy Laurie wyjechał i został diukiem w Saladorze. Możesz to jakoś załatwić, by dziewczyna poznała odpowiedniego chłopaka? Przebywa w mieście od kilku dni, a ja już zgłupiałem jak rekrut na pierwszych zajęciach z musztry. Jej bracia zginęli na wojnie, więc ona jest wszystkim, co mi zostało... –

Rozejrzawszy się po dobrze utrzymanej, ale dość surowej izbie, ciągnął rzeczowo. – Chcę dla niej czegoś więcej niż to tutaj.

Rozumiem. – Uśmiechnął się lekko James. – No cóż, zobaczę, co się da zrobić. Przyprawdzą tu kilku porządnym chłopaków na kufelek piwa, a resztę zostawmy naturze...

Ale nie Lockleara! – Zachnął się Lucas. – Trzymaj go z daleka od mojej oberży!

Nie ma obawy. – James parsknął śmiechem. – Prawdopodobnie akurat teraz wyjeżdża przez północną bramę. Przed nim długa służba w Tyr-Sog.

Do izby weszła Talia.

Wszystko gotowe, ojczy – oznajmiła.

Dobra dziewczynka – odparł oberżysta. – Otwórz drzwi i wpuść tych, co czekają na śniadanie.

No, dobrze – zwrócił się Lucas do Jamesa po wyjściu dziewczyny. – Nie zaryzykowałbyś nagłej śmierci w kanałach tylko po to, by pogadać o mojej córce i dworskich chłopakach. Co było aż tak pilnego, że przylazłeś tu przed świtem?

Z twarzy Jamesa natychmiast znikły wszelkie ślady wesołości.

– Lucasie, w kanałach toczy się wojna. Ktoś morduje moich przyjaciół. Co się dzieje?

Lucas rozsiadł się wygodniej i kiwnął głową.

Wiedziałem, że się zjawisz któregoś dnia. Myślałem nawet, że przyjdiesz wcześniej.

Dopiero co wróciłem do miasta. Byłem w podróży z Księciem... załatwiałem dlań pewne sprawy.

Cóż... – odezwał się Lucas. – Arutha będzie musiał pilnie się przyjrzeć pewnym problemom, ponieważ nagromadziło się ich aż nadto. Nie wiem nic pewnego, ale mówi się tu i tam, że na przystaniach i w podziemiach



ciągle ktoś kogoś morduje. Giną Szydercy i porządni obywatele. Słyszałem, że Keshanie przejmują domy i budynki, które kiedyś były własnością kupców z Królestwa, a w porcie pojawiły się nowe bandy rabusiów. Nikt nie wie nic pewnego poza tym, że wielu Szyderców zostało zabitych, a inni się poukrywali. Nie widziałem żadnego z nich od tygodnia. I jeszcze coś, większość moich klientów wychodzi i wraca za dnia. Ludzie nie chcą łączyć przez miasto po zachodzie słońca.

– Kto za tym stoi, Lucasie? – spytał James.

Lucas rozejrzał się dookoła, jakby w obawie, że może go usłyszeć ktoś niewidzialny. A potem przemówił cicho.

– Ktoś, kto sam siebie nazywa Pełzaczem. James cofnął się i wparł grzbiet w oparcie krzesła.

– Nie wiem czemu, ale wcale mnie to nie dziwi – mruknął sam do siebie.

# ROZDZIAŁ 3

## PRZYJĘCIE

Młody paż zapukał w drzwi z twarzą wzorowo obojętną, jak przystało dwunastoletniemu chłopcu stojącemu przed książęcymi apartamentami. Gdy zza drzwi rozległ się głos zapraszający Jamesa do wejścia, giermek odczekał, aż dwóch paziów otworzy przed nim oba skrzydła. Wewnątrz zastał Księcia jedzącego z rodziną śniadanie; bliźniacy szturchali się ukradkowo, starając się, by tego nie spostrzegł ojciec. Matka spojrzała na nich karcąco i obaj natychmiast zmienili się w dwa wzorce dobrych manier. Mała Księżniczka nuciała sobie radośnie jakąś własną piosenkę, nabierając łyżką gorący grysik.

Księżna Anita powitała wchodzącego i kłaniającego się Jamesa ciepłym uśmiechem.

– Nasz giermek raczył wreszcie się zjawić – stwierdził sucho Arutha. – Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy ci kłopotów tym porannym zaproszeniem?

James odpowiedział uśmiechem na uśmiech Księżnej, potem wyprostował się i zwrócił do Księcia.

– Wasza Wysokość zechce mi wybaczyć spóźnienie, ale byłem odziany zupełnie nieodpowiednio na posiłek z członka mi rodziny królewskiej. Przykro mi, że się spóźniłem.

Arutha wskazał giermkowi miejsce przy swoim prawym boku, gdzie zgodnie z etykietą powinien stać i czekać, aż kaprys Księcia pošle go gdziekolwiek. James stanął, gdzie mu kazano, i przez chwilę sycił się

ciepłym towarzystwa ludzi, których uznał za jedyną rodzinę, jaką miał w życiu.

Wzajemne relacje pomiędzy Księciem Krondoru i jego giermkim były niezwykle i wyjątkowe. Bywały chwile, w których stawali się bardziej towarzyszami niż panem i sługą, a niekiedy łącząca ich więź przekształcała się w niemal braterską. Jedną rzeczą się nie zmieniała: James nigdy nie zapomniał, że Arutha jest Księciem Krondoru, on zaś wiernym i lojalnym sługą.

Wyglądasz mi na zmęczonego – stwierdził Książę.

Bo sporo czasu minęło od mojej ostatniej solidnej drzemki w ciepłym łóżku – odparł James. – Wczoraj w nocy też nie spałem.

I co, warto było?

Z jednej strony, rzekłbym, że owszem – odpowiedział James. – Z drugiej... nie.

Arutha spojrział na żonę i dzieci.

Czy powinniśmy porozmawiać na osobności? – spytał cicho.

Sądzę – odpowiedział James – że nie byłby to przedmiot odpowiedni na rozmowę przy posiłku, jeżeli o to pytałeś, Książę.

– Wróć do moich prywatnych komnat i zaczekaj – polecił mu Arutha. – Przyjdę tam za kilka minut. – James zrobił, co mu kazano, i przeszedł – niedaleko zresztą – do książęcego gabinetu. Wewnątrz było jak zawsze schludnie i panował porządek. Zmęczony nocnymi wędrówkami młodzieniec usiadł w fotelu nieopodal książęcego biurka i oparł się wygodnie. Ocknął się niedługo potem, gdy do komnaty wszedł Arutha. – Co, zasnąłeś? – spytał książę z uśmiechem, gdy James zerwał się na nogi.

– Wasza Wysokość... jazda do domu była długa, męcząca, a wczorajszą noc znów spędziłem bez snu.

Arutha skinieniem dłoni kazał giermkowi wrócić na krzesło.

Odpocznij trochę podczas relacji, ale nie zapadaj ponownie w drzemkę.

Sir... – odpowiedział James, usiadłszy. – Trzech moich informatorów przepadło jak kamienie w mętnej wodzie.

Z tego, co mi powiedział nasz zacny Szeryf, wnioskuję, że w Krondorze utworzył się worek z morderstwami, a na domiar złego wygląda na to, że ofiary wybierane są zupełnie przypadkowo. Ale zniknięcie twoich informatorów wskazuje na to, że ktoś wie o nas znacznie więcej, niż my o nim... i nie chce dopuścić do tego, by ów stan rzeczy uległ zmianie.

Ja też nie w dostrzegam żadnej reguły w doborze ofiar – stwierdził James.

– Na razie nie widzimy żadnej reguły – poprawił go Książę. W tejże chwili rozległo się pukanie do drzwi. – Chwileczkę!

– zawołał Arutha. – To Gardan z dokumentami potwierdzają cymi jego rezygnację – zwrócił się do Jamesa.

A więc nas opuszcza? – spytał giermek.

Niechętnie go zwalniam, ale zasłużył sobie na odpoczynek. Zamierza wrócić do Crydee i resztę życia spędzić przy wnukach, a niełatwo mi sobie wyobrazić lepszą jesień dla człowieka. I podejrzewam, że jego oskarżenia dotyczące tego, iż ostatnio i tak nie dawałem mu zbyt wielu zajęć, są prawdziwe. Wystąpił z propozycją, bym na jego miejsce wybrał kogoś mającego zdolności administracyjne, przynajmniej dopóki sam zamierzam się nieustannie wtrącać w dowodzenie armią. Treść tej rozmowy niech zostanie między nami. – James tylko kiwnął głową. Arutha wskazał mu drzwi. – Jak będziesz wychodził, wpuść Gardana. A potem wróć do siebie i porządnie się wyśpij. Wieczorem będziesz mocno zajęty.

Co, znów mam dać nura w miasto? – spytał James.

Nie – odparł Arutha. – Moja żona urządziła bal powitalny, na którym się ciebie oczekuje.

James teatralnie wzniosł oczy do nieba.

– Anie mógłbym pójść i jeszcze pomyszkować trochę po śmierdzących kanałach?

– Nie. – Arutha parsknął śmiechem. – Będiesz stał i udawał zainteresowanie, gdy bogaci kupcy zaczną ci opowiadać o swoich bohaterskich wyczynach handlowych, a ich nadęte ważnością tatusiów córeczki będą zarzucały na ciebie sieci swych skąpych uroków cielesnych. To polecenie służbowe. – Książę musnął palcem leżący na stole dokument. – Mamy też wieści o wschodnim magnacie, który zamierza nas zaszczyścić niespodziewana wizytą. Musimy się przygotować na to, by go czymś zająć. A uliczne morderstwa pozbawiają życie uroku, nieprawdaż? – dodał sucho.

– Nie inaczej, Wasza Wysokość.

Z tymi słowy James otworzył drzwi i wpuścił Gardana, który pozdrowił go. Po wejściu starego Konetabla James wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Dwór jeszcze się nie zebrał. Za kilka chwil de Lacy i Jerome mieli wpuścić do Wielkiej Sali przedstawicieli szlachty, kupców i innych ludzi mających jakieś petycje do złożenia na ręce Księcia. Kiwnąwszy uprzejmie głową obu dostojnikom, James pospieszył do mniejszych bocznych drzwi i przeszedłszy przez nie, ruszył ku swojej izbie. Nie bardzo mu się podobała myśl o przyjęciu Księżnej Anity, ale teraz z neodpartą siłą wzywał go syreni śpiew jego łóżka. Kilka tygodni na północy i niemal tygodniowe wygniatanie w siodle końskiego grzbietu podczas podróży powrotnej, kiedy do podtrzymania sił miał tylko magiczne ziołowe wywary, zrobiły swoje.

Dotarłszy do skrzyżowania dwóch korytarzy, znalazł pazia i polecił młodzikowi obudzić się na godzinę przed dzwonem na kolację. Doszedłszy do swej izby, rzucił się na łożo i po kilku minutach spał jak zabity.

Muzycy pociągnęli smykami i zadęli w trąbki, gdy Arutha zwrócił się do żony z ukłonem. Choć mniej formalne, niż przyjęcia na królewskim dworze

w Rillanonie, ucztę i bale w Krondorze odbywały się też zgodnie z tradycją. Jedną z zasad była ta, że nikt nie ruszał w tany przed Księciem i Księżną.

Arutha był doskonałym tancerzem, co wcale Jamesa nie dziwiło. Nikt nie zdołałby tak chwacko wywijać rapierem jak Księżę Krondoru, gdyby nie miał znakomitego wyczucia równowagi, refleksu i rytmu. A tutejsze tańce były proste. James słyszał, że dość skomplikowane były tańce w Rillanonie – formalne i nieco sztywne, podczas gdy tu, na dworze o znacznie silniejszych wpływach tradycji tańce przypominały te, przy jakich się bawili wieśniacy i mieszczaństwo w całych Zachodnich Dziedzinach, tyle że wykonywano je z nieco większą godnością i mniej żwawo.

James patrzył, jak Anita i Arutha skłonili się jednocześnie wodzirejowi. Ten podniósł laskę i dał sygnał muzykom – kilku wiolinistom, dwóm perkusistom i trzem grajkom dmącym w różnej wielkości flety. Rozległy się skoczne tony i Anita cofnęła się o krok, odstępując od Aruthy, a potem trzymając go za rękę, zakręciła się jak fryga, aż zawirowała jej ozdobna suknia. Zręcznie też przeszła pod mężowskim ramieniem, a James pomyślał, że na szczęście te wielkie białe kapelusze damy nosiły jedynie do wyjścia. Byłoby niewłaściwe, gdyby Anita nurkując pod ramieniem męża, zgubiła nakrycie głowy.

Myśl ta wydała mu się tak zabawna, iż lekko się uśmiechnął.

– Co waści tak bawi, Jamesie? – spytał stojący nieopodal Jerome.

Uśmiech natychmiast znikł z warg giermka, który nigdy nie darzył Jerome'a sympatią, a ich wzajemna niechęć datowała się od pierwszego oficjalnego zjawienia się Jamesa na dworze. Jerome podjął wtedy pierwszą – i jedyną – próbę podporządkowania sobie niesfornego młodzika. James dał natychmiast starszemu wyrostkowi w pysk, zwałił go z nóg i poinformował, że jest osobistym giermkiem Księcia i jako taki nie podlega

nikomu innemu. Informację tę poparł sztych własnego sztyletu Jerome'a przytknięty do krtani starszego chłopaka, który nawet nie zauważył, kiedy go pozbawiono broni. James nigdy nie musiał powtarzać nauczki.

Od tamtego dnia Jerome unikał starć z Jamesem, choć od czasu do czasu podejmował próby tyranizowania młodszych giermków. Zostawszy asystentem i uczniem de Lacy'ego, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kolejnym Mistrzem Ceremonii, Jerome w ogóle zrezygnował z tych zwyczajów i zawarł z Jamesem coś w rodzaju zbrojnego pokoju. James nadal uważał go za nadętego dupka, ale uznał, że jest mniej dokuczliwy niż wtedy, gdy obaj byli młokosami. Od czasu do czasu potrafił nawet na coś się przydać.

– Ot, po prostu przyszła mi do głowy zabawna myśl na temat mody – odpowiedział teraz Jerome'owi.

Jerome też pozwolił sobie na lekki uśmiech, ale zaraz potem ponownie spoważniał. Nie podjął próby rozmowy, choć z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że docenił trafność uwagi Jamesa.

Dworacy odziali się w to, co kto miał najlepszego, i każdy z gości wyglądał jak ilustracja z podręcznika najnowszej krondorskiej mody. James doszedł do wniosku, że te coroczne zmiany fasonów i kolorów są śmieszne, ale poddawał się im ze stoickim spokojem. W tym roku na przykład na żądanie Księżnej zmieniono krótkie peleryny gwardzistów, ponieważ dawne, szare uznano za zbyt surowe.

Stojący pod ścianami członkowie gwardii honorowej nosili lekkie, brązowe kurtki, w kolorze lokującym się pomiędzy miedzią i złotem – ozdobione wyszywanym czarnym haftem wizerunkiem orła unoszącego się nad górskim szczytem. James nie był pewien, czy ta zmiana tradycji mu odpowiada, zauważył też, że szkarłatny ceremonialny płaszcz Księcia wciąż zdobiło stare godło.

Do sali balowej tymczasem weszła kolejna grupa gości. James pochylił się ku Jerome'owi.

– To zwykli goście? Jerome kiwnął głową.

Przedstawiciele tutejszej szlachty, bogaci kupcy i kil ku starszych stopniem wojskowych, którzy zwrócili na siebie uwagę Księcia Pana.

Są wśród nich jacyś Keshanie?

Owszem, kilku – odparł Jerome. – Kupcy. Macie może na myśli jakichś konkretnych Keshan? – spytał, spojrzawszy ponad ramieniem Jamesa.

James lekko potrząsnął głową: akurat taniec miał się ku końcowi.

– Nie, ale chciałbym.

Nawet jeżeli Jerome'a zaintrygowała ta uwaga, nie zdradził się z tym. James nie mógł nie podziwiać jego psychicznej odporności, ponieważ większą część czasu Mistrza Ceremonii zajmowały pertraktacje z różnymi idiotami, z których wielu było ludźmi majątymi i wpływowymi. Zdolność puszczania mimo uszu niektórych wypowiedzi rozmówców była umiejętnością, której James mu zazdrościł i zamierzał ją osiąść.

Na drugim krańcu sali z końcem tańca wszczął się jakiś ruch. Arutha skłonił się Anicie i podał jej dłoń, którą Księżna przyjęła i małżonek odprowadził ją na podium.

Tymczasem w głębi sali zagrzmiało, gdy de Lacy uderzył końcem swej laski o posadzkę, oznajmiając przybycie jakiegoś ważnego gościa. Starczy, lecz silny jeszcze głos De Lacy'ego zahuczał donośnie.

Wasza Wysokość, oto Lord Radswil, Diuk Olasko.

Radswil z Olasko? – spytał James.

Wymawia się Radswil, panie ignorancie – wyszeptał mu do ucha Jerome. – To jedno ze wschodnich państw... dokład niej rzecz biorąc, księstwo, mój przyjacielu – dodał z udawanym niesmakiem w głosie. – Ten



człowiek jest młodszym bratem Wielkiego Księcia Vaclava i stryjcem Księcia Aranoru. – Zniżając głos jeszcze bardziej, Jerome zakończył słowny popis. – Co oznacza, że jest spokrewniony z królami Roldem.

W sali wszczął się ruch – tancerze ustępowali na boki, dając drogę rosnącemu gościowi i członkom jego orszaku, którzy podeszli do podwyższenia, gdzie siedzieli już Arutha z Anitą. James przez chwilę przyglądał się uważnie przybyszowi i nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Mimo wytwornej odzieży James poznał w Diuku gwałtownika i tyrana. Wschodni dostojnik miał na głowie wielki, aksamitny, czekoladowej barwy kapelusz wyglądający jak zbyt obszerny beret, zawadiacko przesunięty tak, że jego skrzydło opadało Radswilowi na jedno ramię. Kapelusz zdobiło długie, białe pióro przypięte doń wielką, srebrną broszą. Czarną kurtkę Diuka skrojono tak, iż James widział wyraźnie szerokie bary arystokraty, nie podbudowane wypchanymi poduszkami – co świadczyło o tym, iż ich posiadacz byłby sobie poradził w każdej karczemnej burdzie. Całości stroju dopełniały doskonale uszyte czarne obcisłe spodnie i także pończochy. U boku Diuka wisiał rapier, podobny do tego, jakiego używał Arutha, mocny i niezawodny. Jediną różnicą w broni obu książąt było to, że rapier Radswila miał zdobioną złotem i srebrem gardę.

Przy lewym boku gościa szła młoda, mająca może piętnaście, może szesnaście lat dziewczyna, odziana w suknię podobną do tej, jaką włożyła Księżna, tyle że wyciętą tak nisko, jak tylko pozwalały na to skromność i dobre obyczaje. James przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Była piękna na osobliwie drapieżny i niebezpieczny sposób, miała też oczy łowcy szukającego zdobyczy. Przez głowę Jamesa przemknęła myśl, że dobrze, iż jego przyjaciela Lockleara nie ma na dworze. Od chłopięcych lat Jimmy żartował, że któregoś dnia Locklear da się zabić przez jakąś dziewczynę, a ta – mimo młodego wieku – wyglądała na dostatecznie niebezpieczną.

Nagle James poczuł, że i jego ktoś uważnie obserwuje. Przy prawym boku Radswiła szli dwaj młodzi ludzie, mniej więcej w wieku Jamesa, o ile mógł sądzić z ich wyglądu. Idący bliżej Diuka wyglądał jak jego młodsza wersja – miał mocną budowę, był krępy i pewny siebie. Drugi z młodzieńców, oddalony nieco od Radswiła, był na tyle podobny do pierwszego, by można go było uznać za jego młodszego brata, miał jednak szczuplejszą budowę ciała, a w jego patrzących na Jamesa oczach czaiła się groźba. Badał uważnie giermka wzrokiem równie bystrym jak jego własne spojrzenie i książęcy giermek natychmiast pojął, co tamten robi – wyszukuje spojrzeniem potencjalnych nieprzyjaciół. James poczuł dreszcz – a tymczasem Diuk skłonił się Arucie.

Zaraz potem wystąpił naprzód Jerome, któremu jako asystentowi Mistrza Ceremonii przypadła w udziale prezentacja gości.

Wasza Wysokość, niechże mi wolno będzie przedstawić Radswiła, Lorda Steznichii i Diuka Olasko.

Witam na moim dworze, milordzie – odezwał się Arutha. – Przyznam, że nie byliśmy przygotowani na wasze przybycie. Myśleliśmy, że się zjawicie pod koniec tygodnia.

Racz przyjąć moje przeprosiny, Wasza Wysokość – skłonił się Diuk, przemawiając głębokim głosem z lekkim tylko śladem obcego akcentu. – Wypłynawszy z Oparum, trafiliśmy na przyjazne wiatry i w Saladorze zjawiliśmy się tydzień wcześniej, niż planowaliśmy. Nie chcieliśmy zwlekać i skorzystaliśmy z okazji, by ruszyć dalej. Ufam, że nie sprawiliśmy Waszej Wysokości żadnego kłopotu.

Arutha potrząsnął przecząco głową.

– Nie, wcale nie. Po prostu nie zdążyliśmy przygotować odpowiedniego powitania, to wszystko.

Diuk się uśmiechnął i James stwierdził, że nie było w tym śladu prawdziwego ciepła. Człek ten miał uprzejme maniere, był wykształcony i potrafił się zachować, ale w głębi duszy został awanturnikiem, którego James natychmiast w nim poznał.

– Przepraszam Waszą Wysokość. Uznałem, że ten bal wydano na naszą cześć. – Twarz Anity na chwilę ściął chłód, ale Diuk natychmiast odwrócił się do niej. – Wasza Wysokość, to był żart niezbyt dobrej próby. Sprawa zresztą jest mało ważna. Zatrzymaliśmy się tu tylko ze względu na uprzejmość wobec waszego męża i dworu. Zmierzamy do Durbinu w Kesh. Z Krondoru udajemy się przez Góry Trollhome, gdzie spodziewamy się znaleźć przyjemność w łowach na egzotyczne zwierzęta i istoty. Drobną uprzejmość z waszej strony znacznie przekroczyła nasze najśmielsze oczekiwania.

James zobaczył, że Jerome sztywnieje z urazy. Drażliwy niegdysiejszy giermek dokładnie przestrzegał dyplomatycznego protokołu, a Diuk zdołał zamknąć usta Arucie, nie dając mu okazji do uprzejmych przeprosin i odpowiedzi subtelną obrazą. Ten człowiek najwyraźniej wcale nie czuł żadnego skrępowania w obecności władcy Zachodnich Dziedzin.

Anita przyszła na świat wśród dworaków i doskonale się orientowała w zawikłaniach etykiety. Natychmiast pojęła, że wszystko, co powie w odpowiedzi na uszczypliwość gościa, tylko pogorszy sytuację. Pochyliła więc tylko głowę.

– Podejrzewam, że my tu na Zachodzie nie potrafimy poznać się na subtelności Wschodu. Czy nie zechcielibyście, panie Diuku, przedstawić nam członków swego orszaku?

Diuk skłonił się i zwrócił ku młodszemu z mężczyzn.

– Wasza Wysokość, niechże mi będzie wolno przedstawić mojego bratanka, Vladica, syna Arcyksięcia, dziedzica tronu i Księcia Delfina

Olasko, a poprzez więzy krwi, Księcia Roldem.

Wymieniony z imienia młodzieniec wystąpił naprzód i skłonił się przed Księciem i Księżną Krondoru. – A oto jest Kazamir – przedstawił Diuk drugiego z młodych ludzi – mój syn, dziedzic tytułu i majątności... i także Księżę Roldem z krwi. Drugi z młodzieńców skłonił się lekko, bez szacunku właściwego komuś o jego pozycji stojącemu przed Aruthą. – A to jest moja córka, Paulina, Księżniczka Roldem wedle krwi.

Arutha też skłonił się uprzejmie.

– Jesteście wszyscy mile widziani w Krondorze. – Nieznacznie skinął dłonią na Jerome'a, który szybko wyszedł, by przygotować izby dla Diuka i członków jego orszaku. James znów musiał przyznać, że Jerome doskonale się wywiązywał ze swoich obowiązków. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że komnaty będą wywietrzone, z zapasami wina i świeżych owoców, a pod ich drzwiami znajdzie się drużyna paziów gotowych na rozkazy Diuka. – Świątujemy bezpieczny powrót z dalekiej wyprawy na północ – odezwał się Arutha. – Z największą ochotą powitamy wasz udział w naszej zabawie.

Diuk uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję. Z plotek i raportów, jakie dotarły do nas w drodze z Saladoru do Krondoru, mogę wnioskować, że kłopoty, z jakimi się zetknęliście, nie były małe. Ten bal jest zatem najlepszym sposobem uczczenia bezpiecznego powrotu. Ale Wasza Księżęca Mość zechce mi wybaczyć, jestem zmęczony podróżą i wolałbym odpocząć. Młodzi mogą jednak zostać... niech się nacieszą muzyką i zabawą.

James natychmiast zrozumiał, że Diuk nie ofiarował dzieciom możliwości wyboru, tylko wydał im polecenie. Syn i córka zwrócili się ku ojcu z ukłonem, a następca tronu tylko lekko pochylił głowę. Radswil skłonił się Księciu i wyszedł, a Arutha mógł nieznacznie skinieniem dłoni

wyrazić zgodę. Mistrz Ceremonii spotkał Diuka i jego orszak przy drzwiach i poprowadził ich do kwater.

Arutha tymczasem zwrócił się do Jamesa.

– Mości giermku, zechciej zadbać o to, by nasi goście dobrze się bawili.

James skwitował rozkaz ukłonem i zstąpiwszy z podwyższenia, dwornie przedstawił się gościom. Zdając sobie doskonale sprawę z faktu, iż przybysze ze Wschodu przywiązywali, jak to Olaskanie, wielką wagę do form, zaczął grzecznie.

– Książę Vladicu, i wy, pani i panie, czy mogę wam zaproponować swoje towarzystwo?

Vladic przez chwilę jeszcze uważnie patrzył na Jamesa lekko zmrużonymi oczami, a potem skinieniem głowy wyraził zgodę.

I nagle James odkrył, że trzyma Paulinę pod ramię; księżniczka podsunęła mu swoją rękę tak zręcznie, że niewiele miał w tej sprawie do powiedzenia. Niewiele brakło, a byłby stracił rezon.

– Powiedz mi, mości giermku – zaczęła Paulina, gdy oboje ruszyli ku stołowi z przekąskami – w jaki sposób trafiłeś na służbę Księcia?

Jamesa natychmiast uderzyło podwójne wrażenie niezwykłości. W zapachu księżniczki było coś – może jakieś egzotyczne pachnidło – co sprawiło, iż poczuł podniecenie i gwałtowny przypływ pożądania, to z kolei natychmiast obudziło jego „zmysł kłopotów”. Paulina była dość atrakcyjną dziewczyną – wielu ludzi byłoby ją uznało za piękność – i z pewnością jedną z bardziej urodziwych na tym przyjęciu, James jednak od dawna zdążył poznać kobiety na tyle, iż nie powinien był czuć tak nieodpartego pożądania.

Zerknąwszy ku jej krewniakom, ujrzał, że Kazamir jest lekko rozbawiony, a Vladic przybrał maskę obojętności.

Zmusiwszy się do przemyślenia odpowiedzi na zadane mu pytanie, rzekł z uśmiechem.

– Zostałem wynagrodzony za usługi oddane Koronie. Dziewczyna raczyła wyrazić zdziwienie.

– Ach tak? – Dwa słowa mogły niekiedy ukrywać w sobie mnóstwo znaczeń, czego James akurat został świadkiem.

Giermek wdział na twarz najbardziej czarujący ze swoich śmiechów.

– Owszem. Oczywiście nie mogliście tego wiedzieć, jako że pochodzicie z odległego kraju. Zanim wstąpiłem na książęcą służbę, byłem złodziejem.

James nie mógł nie podziwiać ogromnej siły woli i opanowania księżniczki, która na ułamek sekundy zastygła w bezruchu, opanowując nagłą chęć odskoku w tył.

– Doprawdy? – wykrztusiła zdławionym głosem. Stojący za nią Kazamir stłumił chichot, a Vladic lekko skrzywił usta w cieniu uśmiechu.

W tejże chwili młody ćwik spostrzegł stojącego obok Williama, który podszedł do stołu, by coś przekąsić.

– Wasza Wysokość, niechże mi będzie wolno kogoś wam przedstawić – zaczął grzecznie. Skinieniem dłoni wezwał kadeta, by się zbliżył, a gdy ten to uczynił, James kontynuował. – Mam zaszczyt przedstawić Waszej Wysokości Williama conDoin, syna Diuka Stardock i kuzyna naszego Księcia. William czeka na promocję, za kilka dni zostanie porucznikiem rycerstwa w królewskiej armii. – Zaraz potem szybko przedstawił Williamowi gości zgodnie z ich pozycją społeczną.

Księżniczka natychmiast przeniosła swe zainteresowanie na kadeta i skierowała nań całą siłę swych dziewczęcych uroków. William stanął w pąsach i James przekonał się, że jego podejrzenia były słuszne – Księżniczka wzmocniła czymś swój naturalny wdzięk.

– Może kadet zechce mi pokazać pałac, podczas gdy wy, mości giermku, dotrzycie towarzystwa mojemu bratu i kuzynowi?

James zerknął na Mistrza McWirtha, który stal nieopodal podwyższenia i nieznacznym skinieniem głowy dał staremu znać, że William będzie mu potrzebny jako przedstawiciel gospodarza, który oprowadzi po zamku goszczącą u nich szlachetną pannę. Starego szermierza wcale to nie zachwyciło, ale kiwnął głową Jamesowi.

– Kadecie Williamie, jestem pewien, że księżniczka z przyjemnością obejrzy galerię ściennych kobierców i ogrody księżnej Anity – powiedział.

Księżniczka uwolniła ramię Jamesa i wsunęła rączkę pod I łokieć Williama – a uczyniła to z wdziękiem i łatwością węgorza przemykającego przez wodę.

– Jak mam się do was zwracać, młody rycerzu? – spytała Williama.

– Will, Wasza Wysokość. Przyjaciele mówią mi Will. Gdy William dał się poprowadzić księżniczce ku galerii!

kobierców, James wskazał księżętom Vladicowi i Kazamirowi stół z przekąskami i winem. Księżę Następca wziął puchar wina i upił niewielki łyk.

– Doskonale – stwierdził z uznaniem. – Z Darkmoor?

Najpewniej tak. – Potwierdził James. – Większość win j sprowadzamy właśnie stamtąd.

A wy mości giermku, nie pijecie?

Jestem na służbie – uśmiechnął się James.

Rozumiem. – Kiwnął głową Kazimir. – Muszę wam przyznać, żeście się bardzo zręcznie wywinęli. Niewielu młodych | ludzi tak łatwo rezygnuje z towarzystwa mojej siostry.

Chętnie dam temu wiarę – stwierdził James. – Jest | w niej coś...

Vladic przez chwilę patrzył na Jamesa nie bez uznania w oczach I młody giermek znów nie mógł się oprzeć uczuciu, że jest oceniany jako ewentualny przeciwnik.

– Jesteście bardzo wrażliwi, giermku – stwierdził w końcu gość. – Moja kuzynka odczuwa żywą potrzebę podziwu mężczyzn. Sięgnęła więc po... dodatkowe środki, wzmagające jej wrodzony wdzięk i urok.

Aaa... – domyślił się James. – Magia. Czar czy eliksir?

Lewa ręka. Ma na niej pierścion, który kupiła od kobiet ty parającej się w naszych stronach takimi rzeczami. Obawiam się jednak, że ta potrzeba odczuwania męskiego podziwu sprawi wiele kłopotów jej przyszłemu mężowi.

– Powinna więc wyjść za mąż za człeka odznaczającego się niezwykłą sprawnością w szermierce albo cierpliwością.

Vladic kiwnął głową i znów upił nieco wina. Potem wziął z talerza niewielki płat melona i zaczął go delikatnie skubać zębami z miną wskazującą na to, iż wreszcie coś w Krondorze poszło mu w smak.

– Wasze obyczaje tu, na Zachodzie, uderzają swoją prostotą, co jest odświeżającą odmianą po intrygach, jakich pełno na dworach wschodnich. – Nie wątpię – kiwnął głową James. – Myśmy tu ludzie prości, na zachód od Krzyża Malaka. Rzadko bywałem na Wschodzie, ale tam wszystko jest...

– Bardziej cywilizowane? – podsunął mu Kazamir. James lekko się uśmiechnął.

– Ja bym powiedział, że starsze... ale jeżeli będziecie obstawać przy swoim określeniu, uznam, że nie warto się spierać. Vladic uśmiechnął się lekko i po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy James spostrzegł, że gość lekko się odprężył.

– Cóż, uważam, że to sprawa punktu widzenia. Nasze narody są bardzo stare, podczas gdy Zachodnie Dziedziny powstały stosunkowo niedawno.



W Olasko od stuleci nie widzieliśmy goblina czy elfa. Pomiedzy ziemiami północnymi a naszą ojczyzną leży pięć czy sześć rozległych państw.

– Elfy to ciekawy lud – stwierdził James. – Ale goblinów widziałem tyłu, że wystarczy mi do końca życia.

– Mówiono mi, że nie są za bardzo bystre, ale potrafią sprawić sporo kłopotów, gdy się na nie poluje – ciągnął Kazamir.

– Owszem, jeżeli ktoś lubi polować na zwierzynę zbrojną w łuki i miecze – odpowiedział James. – Jestem mieszczuchem z urodzenia i niewiele mam łowieckich doświadczeń. Nie mam też żyłki do myślistwa.

– Gdyby nie ono, życie byłoby okropnie nudne – stwierdził Vladic.

James uśmiechnął się szeroko.

Mnie jakoś nigdy ono nie nudziło, więc może dlatego nie ciągnie mnie do łowów.

Jesteście więc szczęśliwym człowiekiem – odpowiedział Kazamir. – My mamy swoje wojny, owszem, ale nie zdarzają się za często, a poza nimi niewiele jest spraw, które kuszą człowieka żadnego wrażeń.

Mój kuzyn jest typowym przedstawicielem naszej szlachty i otwarcie szuka chwały. Ale zręczność ramienia do łuku czy miecza, wyzwanie stwarzane przez łowy ustępują w ważności, temu, ot... – Wskazał ku miejscu, gdzie stał Arutha słuchający tego, co mu szeptał do ucha jeden z miejscowych szlachciców. – Ten człowiek pragnie objąć jakiś urząd, chce zaaranżować odpowiednie małżeństwo dla córki, szuka sprzymierzeńca przeciwko wrogowi lub pożąda czegoś innego, co może dostać tylko od władcy. Na dworze mojego ojca intrygowanie jest sposobem życia.

To czcigodny Randolph z Silverstone. – James parsknął śmiechem. – Idę o zakład, że usiłuje nakłonić Księcia, by ten przekonał jednego z zadziornych sąsiadów, aby zabrał swoje bydło z łąk należących do Silverstone.

Kazamir parsknął śmiechem, co zabrzmiało jak szczeknięcie ogara.

– Nikła to intryga, kuzynie.

Vladic zrobił lekko urażoną minę, jakby nie podobała mu się kpina ze strony krewniaka, ale zmilczał.

– Długo zostanieie waszmościowie w Krondorze? – spytał James.

Kazamir wzruszył ramionami.

– Ojciec zaplanował to jako rodzaj wycieczki na zachód, podejrzewam więc, że na kilka dni się tu zatrzymamy. Pragnie zapolować w Górach Trollhome, gdzie, jak nam mówiono, można się natknąć na wielkie dziki, a nawet dzikich trollów, albo i – jeżeli plotki okazałyby się prawdziwe – na smoka. James z trudem ukrył rozbawienie.

Poszcęściło mi się zobaczyć smoka na własne oczy i mogę tylko rzec, że trzeba być szaleńcem, by któregoś z nich szukać samemu.

Szaleńcem? – Twarz Kazamira lekko stężała.

To żart. – James szybko rozłożył ręce w geście przeprosin.

– W kiepskim guście. Rzecz w tym, że smoki daleko przekraczają nasze wyobrażenia na ich temat. Żeby na nie polować, trzeba zabrać ze sobą armię. – Twarz Kazamira złagodniała nieco, James jednak nie był pewien, czy uraza została zapomniana. – Nawet trollów należy unikać, no, chyba że się nie ma wyboru. Nizinne trolle to tylko dzikie bestie, ale i tak daleko groźniejsze niż lew czy niedźwiedź, bo są znacznie bardziej przebiegłe i podstępne, a zwykle polują w grupach po dwie, trzy sztuki. Ich górscy kuzyni mają swój język i potrafią posługiwać się bronią. Ktoś, kto zechce na nie polować, powinien wiedzieć, że łatwo sam może zostać zwierzyną łowną.

– Interesujące. – To było wszystko, co Vladic zechciał rzec na ten temat.

– A tu w okolicy na co można polować? – zadał po chwili pytanie.

– A właśnie – zainteresował się Kazamir. – Na co? James wzruszył ramionami.

Jeżeli udacie się na północ, na pogórze u stóp Gór Calastius, znajdziecie sporo rozmaitego zwierz, na którego możecie polować do woli. W pobliżu Królewskiego Traktu zwierzę ta godne łuku czy oszczepu spotyka się rzadziej, ale na pogórze znajdziecie jelenie, łosie, niedźwiedzie i wielkie lamparty. Czasami z północnych gór nadleci jakiś wyvern – i jest to najbliższa smokowi bestia, której mógłbym ewentualnie stawić czoło.

Jeżeli zatrzymamy się tu na kilka dni, czy moglibyście zorganizować nam wycieczkę w te góry? – spytał Vladic.

– Porozmawiam z ochmistrem. – James kiwnął głową.

– On zaś omówi to z łowczym i dowódcą załogi, którzy postarają się o przewodników i zbrojną eskortę. Wystarczy, że udacie się na północ – o dzień drogi stąd jest już kraj na tyle dziki, że możecie polować do woli.

Vladic zrobił minę człowieka usatysfakcjonowanego, tak samo nadął się Kazamir.

Doskonale. Porozmawiam jutro z moim stryjem i, jeżeli nie będzie to kolidowało z jego planami, może zdołam go prze konać, byśmy poświęcili dwa, trzy dni na taką wyprawę.

Podejrzewam jednak, że na czas naszej nieobecności trzeba będzie znaleźć jakieś zajęcie dla mojej siostry. – Uśmiech Kazamira się pogłębił.

James zmarszczył czoło w udatnie przesadnym strapieniu, co wywołało wybuch śmiechu Kazamira.

Myślę, że zdołam przekonać Księżnę Anitę, by coś wymyśliła. Nie jestem pewien, czy się nie mylę, ale mniemam, że większość młodych ludzi na naszym dworze, którym powierzono by to zadanie, znalazłaby się w nie lada kłopotcie.

Ale wy, panie giermku, nie mieliście oporów, przekazując moją siostrę opiece tego młodego kadeta – stwierdził Kazamir tonem lekkiej rezerwy.

Młodemu Willowi brak... doświadczenia. – James pochylił się ku niemu i odezwał konspiracyjnym szeptem. – Niezależnie od tego, jak atrakcyjna i urodziwa jest wasza siostra, byłaby musiała zainicjować coś więcej, bo Willa stać tylko na niezbyt zgrabnie rozgrywany flirt. A o ile znam się na ludziach, wasza siostra nigdy by się do czegoś takiego nie posunęła.

Kazamir uderzył Jamesa w ramię i ryknął śmiechem.

– Mości Jamesie, może wasi ziomkowie są prostolinijni, ale wy... o, z was gracz nie lada! Owszem, moja siostra szuka dobrze ustosunkowanego i mającego męża. W żadnym wypadku nie podejmie ryzyka i nie wda się w romans bez przyszłości. W noc poślubną jej mąż będzie się spodziewał, że znajdzie ją nietkniętą... i się nie zawiedzie. Ale do tego czasu Paulina zdoła unieszczęśliwić wielu młodych ludzi.

Ze względu na pochodzenie ze społecznych nizin i spędzoną wśród Szyderców młodość James traktował takie sprawy z wyrozumiałością; poznał wiele kobiet jeszcze jako chłopiec i jako mężczyzna świadom przyjemności łoża nie bardzo miał ochotę cenić naród, który inne miary ustalał dla mężczyzn, a inne dla kobiet. Wśród szlachty i wśród gminu spotkał jednak wielu mężczyzn, mających o tym inne zdanie... i przyznawał im prawo do odmiennego stanowiska.

Biorąc pod uwagę fakt, że korzysta... z dodatkowych środków zwiększających jej urok, czy nie komplikuje to spraw w waszej ojczyźnie?

Większość mężczyzn w Olasko po prostu się boi jej ojca – stwierdził Vladic, odstawiając pusty puchar i odprawiając paza, który chciał go ponownie napełnić. – W moim kraju nie wielu odważyłoby się stawić czoło jego gniewowi.

James wzruszył ramionami i kiwnął głową na znak, że się z tym zgadza.

– Gdybym był mieszkańcem waszego kraju, uznałbym to za mądre; Diuk wygląda na nie lada przeciwnika.

Uśmiech Kazamira znikł nagle.

– Mości Jamesie, wszystkim by dobrze zrobiło, gdyby zakarbowali to sobie w pamięci. – James był niemal pewien, że tę uwagę skierowano bardziej do Vladica niż do niego. I nagle Kazamir znów się uśmiechnął. – Ale... wielu mężczyzn w moim kraju gotowych jest podjąć próbę usidlenia mojej siostry.

James zamrugnął, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

Usidlenia?

Jak wspomniałem, u nas w Olasko jesteśmy miłośnikami mi niebezpiecznych przygód. Kobiety traktuje się jak zdobycz; kto zdobył kobietę, pyszni się tym, jakby złowił jaskiniowego niedźwiedzia.

Ciekawy sposób ujmowania sprawy – stwierdził James dość neutralnym tonem. – Myślę, że mój przyjaciel, Locklear, mógłby się z tym zgodzić.

Ugania się za kobietami?

Nieustannie – przyznał James.

To powinien być zawołanym szermierzem – rzekł Vladic.

Owszem, jest. A czy to ma jakieś znaczenie?

– Bo choć w mojej ojczyźnie po młodym człowieku się oczekuje, że będzie miał tyle miłostek, ile wytrzymają jego lędźwie i sakiewka, do jego obowiązków należy także obrona honoru siostry zimnym ostrzem, o ile zhańbi ją inny mężczyzna.

James uśmiechnął się szeroko.

– To musicie mieć w Olasko mnóstwo pojedynków. Vladic odpowiedział podobnym uśmiechem i skinieniem głowy.

– Nieustannie się szatkujemy.

Na całe szczęście mój przyjaciel Locklear jest w drodze na północ, gdzie przez jakiś czas jeszcze będzie służył na Pograniczu. Los wam oszczędzi, Wasza Wysokość, konieczności nadziewania go na rożen waszego rapiera w jakiś chłodny poranek. Ja osobiście, gdy mam okazję, wolę się rano wysypiać.

Ja także – odparł Książę Następca. – Wziąwszy pod uwagę długość naszej podróży i – rozejrzał się po sali – nie wielką szansę na to, iż do końca balu spotkam tu jakąś pannę z wysokiego rodu chętną do zawarcia znajomości, myślę, że j powinienem się udać na spoczynek.

Kazamir też powiódł wzrokiem dookoła.

– Zgpdzam się ze szlachetnym przedmówcą– stwierdził. – Sądzę, że ciepłe łóże bardziej mi dziś posłuży niż trunki i zabawy.

James natychmiast skinął dłonią na jednego z paziów, a gdy ten podszedł, polecił mu odprowadzić księżęta do komnat gościnnych. Pożegnawszy się z nimi życzeniami dobrej nocy, wrócił do nadal siedzącego na podwyższeniu Aruthy.

Tymczasem muzycy dalej dręczyli powietrze. Znalazłszy się u boku Aruthy, James usłyszał zadane półgłosem pytanie Księcia.

– Co myślisz o tej wizycie?

Giermek odpowiedział cicho, tak żeby mógł go usłyszeć jedynie Arutha.

– Uważam, że wszystko to jest dziwne. Pozornie mogło by się wydawać, że Diuk szuka odpowiedniego męża dla swej córki, a sam zamierza się zabawić polowaniem na jakieś miejscowe osobliwe zwierzęta.

Pozornie, powiadasz... – powtórzył Arutha, nie spuszczać wzroku z tancerzy.

Ponieważ w tej części Królestwa znajdzie się niezbyt wielu odpowiednio wysoko postawionych młodzieńców – a żaden z nich nie ma więcej niż

dziesięć lat – ten powód się nie utrzyma przy dokładniejszym badaniu sprawy.

A jakie inne powody mógłbyś wymyślić?

Cóż, syn powiada, że chcą zapolować na trolle i smoki w Górach Trollhome, ale mnie się to też nie widzi. Nie dalej jak tydzień temu biliśmy się z trollami pod Romney i jestem pewien, że zostało ich tam dość, by Diuk i jego rodzina mieli okazję do łowów po kres swoich dni. Co się tyczy polowań na smoki, to nawet krasnoludy ich nie szukają. Czekają, aż jakiś smok wylezie z legowiska, a potem cała społeczność rusza do walki. Nie, Diuk może i być sobie dostatecznie szalony, by polować na trolle oraz smoki, ale nie one są powodem jego podróży na Zachód. Podejrzewam, że prawdziwe pobudki, jakimi się kierował, znajdziemy w Durbinie.

Czego mógłbyś chcieć w Durbinie? Na wschodzie jest dwadzieścia wielkich keshkańskich portów.

James wzruszył ramionami.

– Gdybyśmy wiedzieli, czego szuka w Durbinie, dowiedzielibyśmy się i tego, dlaczego kłamie.

Arutha spojrzał bacznie na swego giermka.

Ty coś podejrzewasz... – Zaraz po tym zdaniu znów zaczął się przyglądać tancerzom.

Owszem. – James kiwnął głową. – Ale nie wiem niczego konkretnego, do czego by się można było przyczepić. Mam tylko niejasne przeczucie, że wszystko się ze sobą wiąże: morderstwa, zaginięcia obywateli i przybycie tego magnata z zagranicy.

Jeżeli coś znajdziesz, daj mi znać.

Wasza Książęca Mość będzie pierwszym, który się dowie – stwierdził James.

Wyspałeś się?

Wcześniej? Owszem – odparł James, wiedząc, jakie będą następne słowa.

– To dobrze – rzekł Arutha. – W takim razie... wiesz, co masz robić.

James skłonił się Księżciu i Księżnej, a potem szybko i niepostrzeżenie wyszedł z sali. Wychodząc, skinął dłonią paziowi, rozkazując mu iść za sobą. Młodziak natychmiast ruszył za starszym giermkim.

Przeszedłszy do Komnaty Kobierców, znalazł ją pustą. Udał się więc do Ogrodów Księżnej, gdzie zobaczył czerwonego jak burak Williama stojącego obok księżniczki Pauliny. Kadet ograniczył swoją aktywność intelektualną do poziomu bełkoczącego coś niewyraźnie półgłówek, a dziewczyna trzymała go pod rękę i terkotała szybko, wskazując kolejne kwiaty.

Ehem... – chrząknął James. Kłaniając się księżniczce, natychmiast dostrzegł malującą się na twarzy Williama ulgę. – Wasza Wysokość, ten paź odprowadzi cię do waszych komnat. Wasz ojciec i brat raczyli już się udać na spoczynek.

Ale jeszcze jest wcześnie. – Dziewczyna nadęła usteczka.

Jeżeli wolicie, paź zaprowadzi was z powrotem na bal. Ale kadet William... jest potrzebny gdzie indziej. – Paulina gotowa była jeszcze się spierać, więc James dodał: – Rozkaz książęcy.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, a potem zmusiła się do uśmiechu i spojrzała na Williama.

Dziękuję za to, żeście zechcieli się podjąć roli mojego przewodnika. Szkoda, że wszystko skończyło się tak szybko. Może jeszcze zdarzy się okazja do spotkania.

Mmmm... pani... – wybąkał William.

James poczuł nagły przypływ pożądania, gdy dziewczyna go mijała, on zaś dwornie się skłonił. Gdy odeszła, uczucie natychmiast minęło.



Odwrócił się do Williama, który stał jak kołek, zmieszany, ogłupiały i mrugający.

Dobrze się czujesz?

Nie wiem – odparł młody kadet wciąż jeszcze oszołomiony. – Kiedy byliśmy razem, ja... nie wiem, czym wyjaśnić to, co czułem. Ale teraz, gdy sobie poszła...

Magia – stwierdził James rzeczowo.

Magia?

Jej brat powiedział, że ona korzysta z magii. Wzmacnia swój osobisty urok.

Niełatwo mi w to uwierzyć – odparł William.

I mówi to ktoś urodzony na wyspie magów – stwierdził książęcy giermek, wywołując kolejny rumieniec na twarzy kadeta. – Uwierz mi. – James położył dłoń na ramieniu młodego żołnierza. – Muszę dbać o ludzi będących w służbie Aruthy, a wygląda mi na to, iż dobrze by ci zrobiło, gdybyś strzelił sobie kilka kufli piwa.

Chyba tak – odpowiedział William. – Muszę jednak wracać do koszar kadetów.

Nie, jeżeli pójdziesz ze mną – rzekł James.

Jak służba Arucie może się wiązać z piwem?

Muszę zajrzeć tu i tam. – Książęcy giermek uśmiechnął się szeroko. – A spacer z przyjacielem od knajpki do knajpki doskonale ukryje prawdziwy cel przechadzki.

William westchnął z rezygnacją, usiłując nie myśleć o możliwej reakcji McWirtha na plan Jamesa, a potem ruszył za przyjacielem i po chwili ogród był pusty.

# ROZDZIAŁ 4

## NIESPODZIANKI

William patrzył prosto przed siebie.

Wiedział, że przez cały czas bacznie obserwuje go McWirth. Podczas minionego roku stary Miecznik badał postępy Williama z większą uwagą niż sukcesy innych, a teraz gdy kadetów od promocji dzielił zaledwie tydzień, Williamowi wydawało się, że McWirth ocenia każdy jego gest i każde mrugnięcie.

William tłumaczył to tym, że nie był zwykłym kadetem. Oceniano, iż jest może najlepszym szermierzem, gdy przychodziło do dwuręcznego miecza, a do strategii i taktyki też miał niezwykłą smykałkę. Fakt, iż przez adopcję był królewskim kuzynem, też mógł mieć coś wspólnego ze szczególnym traktowaniem go przez Miecznika. Niezależnie jednak od tego, jak się starał go zadowolić, stary niezmiennie oceniał jego wysiłki jako niezadowalające. Podczas ćwiczeń z mieczami jego pchnięcia były o włos za niskie, a decyzje o wysłaniu w pole oddziałów wsparcia podczas ćwiczeń taktycznych oceniano na przedwczesne. William zaczął się nawet zastanawiać, czy stary nie żywi doń osobistej urazy, ale teraz przegnał tę myśl z głowy, bo oto Miecznik zatrzymał się przed nim.

– Późno się wróciło, co? – zapytał McWirth przyjaznym tonem.

William wciąż czuł piasek pod powiekami, bo w istocie spal krótko, teraz jednak podjął próbę otrząśnięcia się z senności.

Tak jest, sir! Dość późno! – odparł tak rześkim tonem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

Znaczy, jesteście zmęczeni?

Nie, mości Mieczniku!

To dobrze – odpowiedział McWirth, podnosząc głos tak, by mogli go usłyszeć i inni kadeci. – Ruszamy dziś na ćwiczenia. Banda opryszków otoczyła wieś Tratadon i musimy pognać co koń wyskoczy, by uratować piękne tratadońskie panny z łap tych łotrów. – Spojrzawszy na Williama, dodał: – Te dranie to oczywiście chłopcy z regularnej obsady garnizonu, którym nic nie sprawi większej przyjemności, jak dokopanie przyszłym oficerom, więc zróbcie, co się da, żeby – gdy przyjdzie do liczenia guzów – oni stękali głośniej niż wy.

Tak jest, mości Mieczniku! – ryknęli jak jeden kadeci, i Za piętnaście minut wszyscy macie być w siodłach i pod bronią.

William kopnął się z innymi do zbrojowni i biegnąc, rzucił tęskne spojrzenie na pałac, gdzie – jak sądził – jego przyjaciel James chrapał jeszcze w najlepsze. Byłby go sklął w duchu, ale przypomniał sobie, że giermek wcale go siłą w Tęczowej Papudze nie zatrzymywał – a ta dziewczyna, Talia, była bardzo urodziwa. I miała naprawdę bardzo miły uśmiech.

Niestety, nie miał za wiele czasu, by to powspominać, bo gdy wpadł do zbrojowni i zaczął wdziawać rynsztunek, jego myśli zajęły już wyłącznie czekające ich ćwiczenia.

James patrzył z góry na dziedziniec, po którym gnali do zbrojowni kadeci szykujący się na ćwiczenia w terenie. Przeglądając plan zajęć, zmusił się do jego dokładnego przestudiowania i wiedział, że William i jego towarzysze mają przed sobą morderczy wysiłek. Tratadon był odległy o cztery godziny forsownej jazdy, a gdy kadeci dotrą na miejsce, kompania, która miała odegrać rolę opryszków, zdąży się dobrze okopać. McWirth robił wszystko, by jego podwładni doskonale poznali trudy żołnierskiego życia, z jakimi zetkną się w przyszłości.

Mości giermku? – usłyszał łagodny głos i natychmiast się otrząsnął ze zmęczenia.

Słucham – odpowiedział paziowi, mobilizując ponownie swą czujność.

– Jego Wysokość czeka na was w swoim gabinecie. James kiwnął głową, opędzając się od uczucia zmęczenia, które ogarniało go ciepłą falą za każdym razem, kiedy tylko się zatrzymywał. Gdy dotarł do drzwi gabinetu Aruthy, stojący przed nimi inny paź otworzył je, tak że giermek mógł wejść, nie zwalniając nawet kroku.

Arutha siedział przy biurku. Ujrawszy wchodzącego, wskazał mu jeden z dwóch kubków stojących obok sporego dzbana.

– Częstuj się.

James napełnił kubek i z przyjemnością wciągnął w nozdrza aromat ciemnej, kesańskiej kawy. Do książęcego kubka dodał jeszcze łyżkę miodu.

– I pomyśleć, że przed kilku laty wprost nie znosiłem kawy – stwierdził.  
– Teraz się zastanawiam, jak można bez niej przebrnąć przez poranek.

– Albo bez chochy – rzekł Arutha, przyjmując podany mu kubek.

Usłyszawszy nazwę porannego napoju Tsurani, James wzruszył ramionami.

– Do niej akurat nie mogę się przyzwyczać. Na mój gust jest za gorzka i za mocno pachnie korzeniami.

Arutha skinieniem dłoni wskazał giermkowi krzesło.

– Za kwadrans mam poranną audiencję, ale ty w niej dziś nie będziesz brał udziału. Chcę, byś załatwił dla mnie dwie sprawy – jedną drobną, drugą nie. – James kiwnął głową, ale się nie odezwał. – Diuk Radswil i członkowie jego rodziny chcą zapolować. Wydadź polecenie łowczemu, by przygotował grupę, która pojutrze będzie towarzyszyć Diukowi Olasko podczas jego wyprawy w góry. Ruszają pojutrze na łowy w dzień.

– To ta drobna sprawa – stwierdził James. Arutha potwierdził.

Znajdź swoich zaginionych agentów tak szybko, jak to tylko możliwe, i spróbuj się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za zamęt panujący w naszym mieście. Powinieneś się do tego zabrać dyplomatycznie, ponieważ musisz zacząć od miejskiego aresztu i dogadać się jakoś z Szeryfem Meansem.

Owszem... mam się dowiedzieć, czemu na nas czekał, gdyśmy wrócili do Krondoru.

Arutha spojrział na swego młodego przyjaciela, jakby chciał wyrazić uznanie dla jego bystrości.

– A ty jeszcze się tego nie dowiedziałeś?

– Miałem... inne zajęcia. – James stłumił ziewnięcie. Arutha dopił kawę i wstał. James również się podniósł z krzesła.

Zaistniały pewne problemy pomiędzy Miejską Strażą i ceklarzami Szeryfa. Means się skarży, że podwładni Kapitana Gurutha za bardzo się wtrącają w sprawy dzielnicy biedaków.

Aaaa – mruknął James. – Spory dotyczące kompetencji.

Coś w tym rodzaju – stwierdził Arutha. – Wedle tradycji Straż Miejska ma się zajmować sprawami zewnętrznego bezpieczeństwa miasta, podczas gdy konstable Szeryfa powinni zwalczać przestępczość, ostatnio jednak jedni zaczęli zbyt często się ścierać z drugimi z drobnych doprawdy powodów. Odrobina rywalizacji nie zaszkodzi, w przeszłości zresztą też za bardzo ceklarze i strażnicy się nie lubili, ale teraz sprawy zaszły za daleko.

– Czego ode mnie oczekujesz, Książę?

Arutha podszedł do drzwi wiodących do sali audiencyjnej i otworzył je.

– Chcę, by te niesnaski ustały, zanim dojdzie do otwartych bójek i aktów wrogości – powiedział. – Zobacz, czy nie mógł byś zwrócić ich uwagi na to, co się dzieje w Krondorze. Niech skierują swoją energię przeciwko

kronadorskim skrytobójcom i niech przestaną się na siebie boczyć. – Książę zamknął za sobą drzwi i zostawił giermka samego.

James dopił ostatni łyk ciepłej kawy, a potem szybko odwrócił się i wyszedł na korytarz zewnętrzny. Jak zwykle miał sporo do zrobienia i niezbyt wiele czasu, by się z tym uporać.

James bardzo lubił kronadorskie poranki. Wyszedłszy z pałacu, po raz nie wiedzieć już który zachwycił się żywotnością i ruchliwością książęcego miasta. Słońce wstało zaledwie przed godziną, a wszędzie już wrzała robota i ludzka aktywność. Ku bramom ciągnęły wozy na spotkanie przybywającym lub wyruszającym karawanom albo ku dokom, gdzie czekały na wyładunek lub załadunek rozmaite statki kupieckie. Strumień ciągnących do swych zajęć robotników i tragarzy zasilili kupcy idący, by pootwierać swoje kramy, klienci udający się na zakupy oraz tysiące innych mieszczuchów i przybyszów spoza miasta.

Wiatr od portu przyniósł ożywczy zapach oceanicznej soli i James wciągnął powietrze w płuca. Odetchnąwszy głęboko, poczuł się jak nowo narodzony. W południe do tej woni dołączy zapach gnijących owoców, odpadków mięsa i kości, a także ludzkich nieczystości. James był z urodzenia mieszczuchem, dla którego smród, jaki niósł się w ciepłe dni od farbiarni i warsztatów garbarzy albo z nieczystości gromadzących się wokół zagród dla bydła przy rzeźniach czy kurnikach, był czymś naturalnym i tak zlewał się z innymi zapachami, że mężczyzna w ogóle go nie wyczuwał. Ale oczywiście jego poranny brak był dodatkową przyjemnością.

Giermek raz jeszcze zaczerpnął tchu z niemałą satysfakcją i w tejże samej chwili wół ciągnący przejeżdżający obok wóz ulżył swoim umęczonym kiszkom, wyrzucając zawartość spod ogona prosto pod nogi Jamesa. Ten zatkał nos i odskoczył, myśląc jednocześnie, że bogowie mają dość złośliwe poczucie humoru, czego świadkiem bywał kilkanaście razy

dziennie, a co dodawało goryczy jego utrapieniom. Ale oczywiście, gdyby się to wydarzyło komuś innemu, pękałby teraz ze śmiechu.

Pospieszył przez Królewski Targ, który oczywiście niewiele miał wspólnego z królami, a nazwany tak został z powodu bliskości pałacu. Przekupnie pootwierali już swoje kramy i wszędzie kręcili się klienci, przyglądający się wystawionym na sprzedaż towarom.

James szedł wzdłuż ulicy Górnej, unikając miejsc, gdzie na kilku skrzyżowaniach tłoczyły się wozy i wózki. Przyszło mu do głowy, że rankami konstable mogliby się zająć regulacją ruchu na co bardziej zatłoczonych przejazdach. W południe ruch malał, teraz jednak na ulicy aż się gotowało – w kilku miejscach woźnice, wieśniacy i dostawcy zawijali już rękawy i wykrzykując] obelgi, rwali się do bitek.

Przepchnąwszy się przez ciżbę mieszczuchów i przybyszów, dotarł do następnego rogu, gdzie bójka zdążyła już wybuchnąć. Utknęły tu beznadziejnie dwa wozy, bo jeden się przewrócił, a koń ciągnący drugi spłoszył się, cofnął i wepchnął tył wozu na ścianę. Dwaj konstable biegli już z daleka, a Jamesa też ktoś odepchnął na bok.

– Z drogi! – zabrzmiał czyjś głos.

James potknął się i wpadł na młodą kobietę niosącą kosz pełen ziarna, które oczywiście wysypało się na ziemię. Dziewczyna głośnym wrzaskiem zaczęła się domagać rekompensaty. James zwrócił jej pieniądze, wymamrotał jakieś przeprosiny i okręcił się na pięcie,] bo z drugiej strony znów go ktoś szarpnął za ramię.

Okazało się, że natrętem jest dowódca Miejskiej Straży, Kapitan Guruth. Był to krępy jegomość o czarnej brodzie, ciemnych oczach i niskim, dudniącym głosie, którym w tej chwili wydał władczy ryk.

– Co tu się wyrabia? – Gapie natychmiast ucichli, ale dwaj walczący wozacy nadal okładali się pięściami. Zza pleców Kapitana wyłonili się

strażnicy, którzy natychmiast zaczęli zaprowadzać porządek, tłukąc ciżbę drzewcami włóczni – i zaraz potem wsparli ich miejscy konstable. Dwaj tłukący się wozacy natychmiast dostali po łbach, co podziało na nich jak kubel zimnej wody, a Kapitan potoczył wzrokiem po tłumie. – Wszyscy precz! Rozejdźcie się do swoich zajęć, albo co do jednego wyładujecie na miejskim odwachu! – Tłum szybko się rozproszył, a Guruth wbił wzrok w Jamesa. – Mości giermku? – odezwał się tonem wyraźnie wskazującym, że czeka na jakieś wyjaśnienia.

James poczuł lekką irytację, której źródłem było to, że został odepchnięty na bok przez strażników i zwrócono się doń tym szczególnym tonem, jakim przedstawiciele władz traktują podejrzanych. Co więcej, wszystko to świadczyło, że uważa go się za intruza w mieście, w którym przyszedł na świat.

– Załatwiam sprawy dla Księcia – odpowiedział, opanowując się nie bez wysiłku.

Kapitan parsknął śmiechem, niskim i ochrypłym.

Cóż, więc lepiej ruszajcie precz, podczas gdy ja postaram się to jakoś rozsypać – stwierdził.

Zadanie, jakie mi zlecił Książę, wymaga obecności waszej i Szeryfa. Zechciejcie mi towarzyszyć w drodze do jego biura – rzucił James tonem rozkazu i ruszył przed siebie, nawet się nie oglądając.

Usłyszał za sobą rozkaz Kapitana, który polecił podwładnym zostawić sprawę konstablom i ruszyć za nim. Wkrótce potem na kamieniach bruku rozległ się miarowy trzask podkutych żołnierskich buciorów, co było dla Jamesa sygnałem, że patrol Straży ruszył jego śladem. Przyspieszył więc kroku, pewien, że karni stróże porządku dotrzymają mu tempa. Biuro Szeryfa było niedaleko, przy Starym Targu.



Budynek służył jednocześnie za wejście do miejskiego aresztu, którego cele leżały pod ziemią. Była to spora piwnica, poprzedzielana kratami na większe i mniejsze pomieszczenia, w liczbie ośmiu – dwie cele wspólne i sześć pomniejszych izolatek. Turma była pełna niemal o każdej porze dnia i nocy – kilkunastu śpiących pijaków, drobnych złodziejasków, uczestników burd i innych sprawców kłopotów czekało na zmiłowanie książących sędziów.

Dwa położone wyżej piętra zamieszkiwali miejscy urzędnicy i konstable nie mający rodzin i domów w mieście. Na widok wchodzących Szeryf Means podniósł wzrok znad stołu, którego używał jako biurka.

– Mości Kapitanie, panie giermku. – Skłonił uprzejmie głowę. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – Wyraz twarzy Szeryfa mówił, że wizyta wymienionych nie sprawia mu żadnej przyjemności, ale jako człek bogobojny musi cierpliwie znosić przeciwności losu. Konflikty pomiędzy Miejską Strażą i ceklarzami ochłodziły stosunki pomiędzy Szeryfem i Kapitanem, a Jamesa Means do tej pory po prostu starał się nie zauważać.

Niechęć ta datowała się od czasów dzieciństwa dzisiejszego książącego giermka, kiedy to Jimmy Rączka był cierniem w tyłku każdego miejskiego konstabla. Niezależnie od pozycji społecznej, jaką James osiągnął obecnie, miał pewność, że Means uważał go w duchu za złodzieja i to z tych najbardziej podejrzanych.

Teraz książący giermek szybko przemyślał i odrzucił kilka możliwych sposobów załagodzenia konfliktu. Arutha powiedział mu, czego się po nim spodziewa, ale wybór sposobu osiągnięcia celu należał do niego samego. Musiał też przyznać, że ludzie, z którymi trzeba było rzecz załatwić, wiedzieli, co to honor – doszedł więc do wniosku, że nie ma co kluczyć.

– Panowie, mamy problem – zaczął.

Kapitan i Szeryf wymienili szybkie spojrzenia, dając sobie nawzajem do zrozumienia, iż żaden z nich nie ma pojęcia, o co chodzi.

Jaki problem? – spytał Kapitan.

Obaj zajmujecie się bezpieczeństwem miasta, ale każdy w innym nieco aspekcie, więc jednemu brak informacji, które posiada drugi. Pewien jestem jednak, żeście zauważyli, iż ostatnio w naszym mieście znacznie wzrosła liczba morderstw.

– Dla tej właśnie przyczyny poszedłem powitać Księcia, mości giermku – prychnął Szeryf nie bez złości w głosie.

James postanowił, że lepiej będzie nie zwracać uwagi na ton, w jakim szef miejskiej policji wygłasza swe uwagi.

Jego Wysokość – stwierdził – obawia się, że za tym wzrostem liczby zabójstw może się kryć coś poważniejszego, niż skłonni bylibyście przyznać.

To raczej mało prawdopodobne – odparł Kapitan Guruth.

– Owszem, noże i sznury są w robocie, trup pada gęsto, ale nie sądzę, by te zabójstwa miały jakiś punkt wspólny.

Szeryf znów dał upust swoim odczuciom.

– Kapitanie, jesteście żołnierzem. Wasi chłopcy świetnie się sprawiają, gdy trzeba rozpędzić tłum, wybijając kilka koszów zębów, ale żaden z nich nie potrafi węszyć i tropić złoczyńców. Od tego są moi ceklarze.

James z trudem stłumił wybuch śmiechu. Ceklarze mieli na liście płac kilkunastu informatorów, ci jednak często dostawali od Szyderców dwakroć większe sumy za karmienie konstablów fałszywymi informacjami, a każdy, kto byłby zaryzykował i naprowadził stróżów prawa na właściwy trop, szybko skończyłby na dnie zatoki.

Zaczął więc z innej beczki.

Nie wiem, co Jego Wysokość powiedział każdemu z waćpanów o ostatnich wydarzeniach dotyczących konfrontacji z członkami Bractwa Mrocznego Szlaku i Jastrzębiami Nocy.

Nocne Jastrzębie! – sarknął Guruth. Zaklął sąźniście.

– Pienią się jak chwasty. Myślałem, żeśmy ich wytępiłi dziesięć lat temu, kiedy spaliliśmy Dom Wierzb.

James natychmiast zrozumiał, że coś przeoczył. Guruth był młodym żołnierzem, sierżantem lub porucznikiem, kiedy Arutha i James poprowadzili drużynę żołnierzy przeciwko krongorskiemu gniazdu Nocnych Jastrzębi, mieszczącemu się w podziemiach najlepszego miejskiego burdelu. Znaleźli tam moredhela i byli świadkami potęgi króla czarnoksiężnika mrocznych elfów, Murmandamusa, ponieważ każdy z zabitych Jastrzębi wstawał z martwych i ponownie rzucał się w wir walki.

Ci, którzy wzięli udział w nocnych zmaganiach pod Domem Wierzb i przeżyli, nigdy nie mieli zapomnieć tej bitwy. Wielu z tych, co weszli do podmiejskich kanałów, by zniszczyć gniazdo morderców, zginęło wtedy w płomieniach.

– Wiecie, co mam na myśli, mości giermku – stwierdził Guruth.

James kiwnął głową.

Owszem, pamiętam. Ale jak się tego dowiedzieliśmy po drodze do Armengaru i w Kenting – dodał z westchnieniem – te ptaszki są liczne, i jak tylko zniszczy się jedno ich gniazdo, zaraz gdzieś lęgną się inne.

Po naszym mieście grasują więc skrytobójcy? – spytał Szeryf. Nie brał on udziału w walce przed wielu laty, słyszał jednak o niej dość, by teraz spojrzeć na Gurutha i Jamesa z nie chętnym szacunkiem.

Na to wygląda – stwierdził James. – Co prawda trzeba powiedzieć, że nikt, kto doniósł nam o morderstwie, nie widział przy tym Nocnego Jastrzębia.

Co i nie dziwota – mruknął Szeryf. – Oni zwykle nie chcą, by ich widziano. Ludzie nawet mówią, że posługują się magią.

Nie jest to dalekie od prawdy – rzekł James. – Wtedy, gdy się sprzymierzyli z Murmandamusem, przyjmowali niekiedy pomoc Czarnych Zabójców, a ci już z pewnością zadawali się z mrocznymi mocami. – Czarni Zabójcy byli znającymi magię przybocznymi Murmandamusa. James pamiętał, że większość z nich niezwykle trudno było zabić. Wzruszył ramionami. – Ale ci, których rozgromiliśmy w zeszłym miesiącu pod Kenting, nie korzystali z pomocy żadnego maga. I umierali jak zwykli ludzie.

Guruth uśmiechnął się krzywo do Jamesa.

Ale mimo to spaliliście ich trupy?

W rzeczy samej, tak. Woleliśmy nie ryzykować. – James odpowiedział mu takim samym uśmiechem.

– Czego Księżę od nas oczekuje? – spytał Szeryf, już przekonany, że sprawa jest poważna.

James nie miał dokładnych poleceń, ale teraz, kiedy obu oficerom ukazał wspólnego wroga, doszedł do wniosku, że dobrze by było skłonić ich do zawarcia pokoju.

– Jego Wysokość martwi się możliwością, że te Nocne Jastrzębie służą wrogim mocom. – Spojrzał na Kapitana.

- Dobrze byłoby, gdybyście zebrali swoich ludzi i zajęli się wartami przy bramach oraz patrolowaniem okolic miasta i podgrodzia. Spróbujcie podwoić liczebność posterunków przy bramach i rewidujcie każdy wóz, wózek i stado bydła, które wydadzą się wam podejrzane. Wszyscy mężczyźni, którzy nie zdołają się opowiedzieć i wytłumaczyć powodów swego przybycia do Kronodoru, powinni zostać zatrzymani i przesłuchani. – Następnie zwrócił się do Szeryfa. – Podczas gdy ludzie Kapitana będą dbali

o bezpieczeństwo poza miastem, wy zajmijcie się patrolowaniem miasta. Powinniście też podesłać kilku ludzi celnikom, którzy będą sprawdzali ludzi i towary docierające do miasta drogą morską. – Wystarczyła minuta, by James obciążył konstablów i strażników taką liczbą zajęć, że każdy z nich miał przekląć dzień, w którym się urodził. Giermek wiedział jednak, że zostało im zbyt mało czasu na sprzeczki i spory kompetencyjne. Zakotował sobie w pamięci, żeby zajrzeć do akcyźników, których należało powiadomić o tym, że zjawi się u nich sześciu konstablów do pomocy przy kontrolach ludzi i towarów. – Wkrótce otrzymacie waszmościowie dalsze instrukcje, zgodnie z wolą Księcia.

Czy coś jeszcze, mości giermku? – spytał Kapitan.

Nie, ale muszę jeszcze rozmówić się z samym Szeryfem.

Ruszam więc do swoich zajęć. Muszę ustalić nowy grafik służb i powiadomić ludzi, że przez jakiś czas będą musieli się zadowolić patrolami poza miastem. – Zasalutował Jamesowi i Szeryfowi, a potem wyszedł.

Gdy zostali sami, Szeryf spojrzał pytająco na Jamesa.

– O co chodzi, mości giermku?

– Wspomnieliście przy Kapitanie, że wasi konstable potrafią węszyć na mieście, zastanawiam się więc, czy wśród nich nie j masz jednego, który jest w tym szczególnie zręczny?

Means odchylił się wstecz i pogładził wąsy, które czas zdążył już zabarwić siwizną. Jego włosy zachowały jeszcze sporo z dawnej barwy, ale też więcej w nich było bieli i szarości. Ale jego wzrok wskazywał wyraźnie, że stary nie stracił niczego z dawnej! drapieźności i przebiegłości, że nadal potrafił zastawić pułapkę j na złodzieja i wciąż potrafi używać miecza czy pałki.

Młody Jonathan. Jak nikt potrafi podejść informatora – powiedział po chwili milczenia.

Dobrze – odezwał się James. – Jeszcze jedno... Bez urazy, panie Szeryfie, ale czy możecie mu ufać? Wiecie... w przeszłości różnie bywało...

Bez urazy, mości giermku – odparł Szeryf. – Wiem, o czym mówicie. – W przeszłości Jastrzębie udowodniły, żeł potrafią przenikać do armii, a nawet do pałacu. – Temu chło-1 pakowi możecie ufać. Jest moim najmłodszym synem.

Ha! – Uśmiechnął się James. – Wobec tego cofam wszelkie wątpliwości. Czy on jest gdzieś tutaj?

Nie, do zmięzchu trzyma służbę. Mam go wysłać do was 1 do pałacu?

Owszem. Powinienem tam wrócić przed zmięzchem. Niech się stawi w biurze Konetabla. Jeżeli mnie tam nie będzie, zostawię dla niego wiadomość, gdzie mnie szukać.

Mości giermku, czy wolno mi zapytać, do czego potrzebny wam jest mój syn?

James uśmiechnął się lekko.

Mości Szeryfie, w przeszłości nasze... nieporozumienia... przeszkadzały współpracy. Zamierzam to zmienić. – Po chwili jego twarz okryła się cieniem. – Za swego dość krótkiego życia widziałem tyle podstępnych zabójstw, że starczyło by na setki innych żywotów. Zamierzam znaleźć tego, kto się kryje za tymi pozornie niczym nie związanymi ze sobą morderstwami, aby położyć im kres!

Jeżeli tak powiadacie... – Szeryf kiwnął głową i chrząknął.

Pożegnawszy się z Szeryfem, James wyszedł. Przez jakiś czas włóczył się po mieście i szukając zaginionych agentów, starał się wzbudzić jak najmniej podejrzeń. Zajrzał do siedziby Urzędu Celnego i powiedział starszemu radcy, że wkrótce zjawi się tu sześciu konstablów, którzy pomogą akcyźnikom w przeszukiwaniu towarów i badaniu pasażerów. Dał też do zrozumienia, że interesują go bardziej podejrzani ludzie niż podejrzane

ładunki – przemyt w końcu był tylko przestępstwem, a morderstwo należało do zbrodni karanych gardłem. Agent machinalnie pokiwał głową i James zrozumiał, że będzie musiał tu wrócić za dzień lub dwa, by sprawdzić, czy zmiany wprowadzono w życie. Jako chłopiec marzył o różnych rzeczach – o bogactwie, sławie, władzy – i żeby ziścić te marzenia, gotów był walczyć choćby z diabłem, ale nigdy mu nie przyszło do głowy, że jednym z jego głównych wrogów staną się biurokraci.

Kontynuując swą wycieczkę po mieście, zaglądał w różne miejsca, usiłując skrycie wywęszyć, czyjego agenci pozostawali jeszcze przy życiu. Jednemu czy dwóm sztuka mogła się udać, o ile dobrze się poukrywali, ale trzech zaginionych i jeden zamordowany... to znaczyło, że większość, jeżeli nie wszyscy, nie żyją. Kolejnego wniosku, który z tego wszystkiego sam się nasuwał – że ktoś wiedział, kim byli, a z pewnością także wywęszył, że pracowali dla książęcego giermka – wolał na razie nie zgłębiać.

Z nadejściem nocy znad Morza Goryczy nadpłynęły ciemne chmury i cały Krondor szybko się pogrążył w mroku. „Bardziej mi to przypomina mgłę niż deszcz” – pomyślał James, spiesząc z powrotem do pałacu. „I to paskudną, nieprzyjemną mgłę”.

Jeżeli ranek był jego ulubioną porą dnia, późne popołudnie i wczesny wieczór należały do tych, podczas których nie czuł się swobodnie. Ulice były pełne zmęczonych mieszczuchów i obywateli, którzy pracując cały dzień, spieszyli teraz do sklepów i kramów, by porobić zakupy przed zamknięciem. Ci, którzy zamierzali się solidnie upić, klnąc głośno, toczyli się ku szynkom i tawernom, a z zapadnięciem zmroku wychodzili na łów mniej praworządni obywatele miasta.

Kiedyś sam należał do ludzi nocy ukrywających się za dnia, a nocą ruszających na łowy, grabiąc i rabując uczciwych, ciężko pracujących mieszczuchów, gdy nie łupili jeden drugiego. Jeśliby miał glejt od Mistrza

Nocy Szyderców, nikt z Bractwa Łap-serdaków nie ośmieliłby się go niepokoić. Zostawiliby go nawet ci, którzy nie należeli do Złodziejskiej Gildii, bo ochrona Szyderców nie była czymś, co należałoby lekceważyć.

Teraz był człowiekiem Księcia i choć dawało mu to nieco inną osłonę, wiedział, że nie chroniło go to wcale przed jego niegdysiejszymi towarzyszami. Zdradził Szyderców, by ostrzec Księcia przed planowanym przez Jastrzębie zamachem na jego życie – i czyniąc to, złamał prawa Gildii. James nie znał szczegółów układu, jaki zawarł z Szydercami Arutha, który uczynił go następnie członkiem swego dworu. Mimo tego cudu, James nie łudził się. Choć pozostawał w dobrych stosunkach z wieloma Szydercami, wiedział, że nadal ciąży na nim wyrok śmierci wydany przez bractwo. Do tej pory Szydercy nie chcąc ściągać na Gildię książęcego gniewu, udawali, że Jamesa po prostu nie zauważają, ale wszystko sprowadzało się do uprzejmej tolerancji. Oczywiście włąził do kanałów czy na dachy wedle swej woli, ale gdyby Szydercy uznali, że jego wycieczki stanowią dla nich zagrożenie, położyliby im kres szybko i ostatecznie.

Gdy go zmęczyło przepychanie się przez ludzką ciżbę, postanowił przedostać się do pałacu, korzystając ze skrótów wiodących bocznymi uliczkami. Jeżeli się pospieszy, zdąży może jeszcze wyprosić jakiś posiłek w kuchni, a potem zajdzie do biur Konetabla, zanim się tam pojawi Jonathan Means. Zniknięcie jego tajnych informatorów martwiło go bardziej, niż chciałby się do tego przyznać, i jeżeli szpicle Meansa wiedzieli cokolwiek, może zdoła coś odkryć, korzystając z ich usług.

Szybko dał nura pomiędzy dwa budynki, w przestrzeń zbyt wąską, by ją można było nazwać uliczką, i przebiegłszy między domami, znalazł się na sąsiedniej ulicy. Przemknąwszy pomiędzy ludźmi, dotarł na przeciwległą stronę i wszedł w znany sobie zaułek.



Po obu jego stronach wznosiły się dwupiętrowe budynki, poczuł się więc tak, jakby wszedł w ciemny jar. Przejście było długie, brudne i ciasne, ale wychodziło na ulicę, którą od portu dzielił tylko jeden kwartał. Potem jeszcze tylko szybki przemarsz nabrzeżem i znajdzie się przy portowej bramie w pałacowych murach.

Skręcał właśnie w Zaułek Kramarzy, będący częścią drogi, która miała go zawieść do pałacu, kiedy nagle poczuł, że jest śledzony. Ktoś wyszedł z uliczki, którą właśnie opuścił.

Wiedział, że nie powinien się odwracać, ciekaw był jednak wyglądu prześladowcy. Zatrzymał się na chwilę przed sklepową wystawą i usłyszał, że idący za nim człowiek również przystanął. Szkło było dość brudne i niezbyt starannie odlane, więc zniekształcone odbicie niewiele mu ukazało. Kilku mijających go ludzi było rybakami, naprawiaczami sieci i różnymi rzemieślnikami, których miejsce było przy dokach. James błagał los, by zanim będzie musiał ruszyć dalej, pozwolił mu choć z daleka spostrzec konstabla.

Ruszając dalej, stracił okazję do wejścia w uliczkę, którą mógłby skrócić drogę. Szedł szybko... i nagle zwolnił, nasłuchując kroków idącego za nim człowieka.

Teraz zyskał pewność, że było ich dwóch. Szli tak, że we względnej ciszy były dostatecznie duże przerwy, iż mógł odróżnić kroki prześladowców od kroków innych przechodniów podążających w różnych kierunkach.

Zauważywszy dość popularną piwiarnię Pod Rannym Lampartem, puścił się ku niej biegiem, jakby nie chciał się spóźnić na umówione spotkanie i skierował się prosto do drzwi.

Znalazłszy się wewnątrz, przez chwilę mrugał, przyzwyczajając wzrok do zadymionej atmosfery. Komina od dawna nikt tu nie czyścił, a kilku

bywalców kurzyło fajki albo sążniste cygara. James nigdy nie potrafił znaleźć w tym smaku i zastanawiał się często, jak ktoś mógł to polubić.

Pospieszywszy do szynkwasu, wcisnął się pomiędzy dwóch żeglarzy, którzy powitali to niechętnymi pomrukami, ale zrobili mu miejsce. Stojący z prawej był jegomościem o kreciej twarzy i oczach, w których czaiła się groźba, a z lewej opierało się o ladę potężnie zbudowane chłopisko, prawie tak wielkie jak Konetabl Gardan. James wbił wzrok w przestrzeń przed sobą.

– Piwo, proszę – zażądał.

Barman miał gębę jak znoszony trep, a worki pod oczami sprawiały, iż robił wrażenie człowieka, który lada moment zaśnie na stojąco. Kiwnąwszy głową, napełnił kamionkowy kufel i postawił go na szynkwasiu przed Jamesem. Młody człowiek zapłacił i puścił w gardło pierwszy łyk. Piwo było ciepłe i gorzkie, ale udał, że pije z upodobaniem.

Drzwi się otworzyły i James pojął, że do środka wchodzi przynajmniej jeden z jego prześladowców. Zaryzykował szybkie spojrzenie wstecz, zobaczył dwóch mężczyzn odzianych jak zwykli rzemieślnicy, którzy stali w drzwiach i mrugając, usiłowali dostrzec, gdzie też skrył się ten, kogo tropili.

– Ja nie! – zachnął się głośno James, zwracając się do draba, który stał po jego lewej stronie.

Zagadnięty się odwrócił i spojrzał z góry na Jamesa.

Co ty nie? – spytał.

Ja tego nie powiedziałem – odparł James.

A kto powiedział? – spytał olbrzym, nagle zainteresowany.

On powiedział – stwierdził James, wskazując drzwi. – On i jego przyjaciel.

Ale co powiedzieli? – warknął pijus, poirytowany tym, że rozmowa zmierzała w kierunku, którego nie potrafił śledzić.

Ja nie powiedziałem, że jesteś pijanym synem zasyfionej keshkańskiej dziwki.

Drab chwycił Jamesa za koszulę.

Jak mnie nazwałś?

Ja cię nie nazwałem pijanym synem zasyfionej keshkańskiej dziwki – wystękał James. – To oni tak cię nazwali.

Marynarz ryknął jak rozjuszony niedźwiedź i runął na dwóch mężczyzn, którzy szli za Jamesem. James odwrócił się do kretowatego, który został po prawej.

– Powinieneś usłyszeć, co ci dwaj mówili o tobie. Zagadnięty tylko się uśmiechnął.

– Przyjacielu, jeżeli chcesz, bym ci zdjął z karku tych dwóch, to musisz zapłacić.

– Znasz mnie? – odparł James z westchnieniem mówiącym wyraźnie, że choć człowiekowi nie zawsze się wszystko udaje, nie powinien ustawać w wysiłkach.

Wiem, kto się tu kręci, Jimmy zwany Rączką.

Ile?

Jak dla ciebie... pięćdziesiąt złotych suwerenów.

Za tyle to mógłbym ich wyprawić w podróż dookoła świata. Ile za to, by zasnęli na dziesięć minut?

Dziesięć.

Sztama – odpowiedział James, gdy z tyłu rozległ się głośny trzask i łoskot. Ludzie pospiesznie odskakiwali od walczących, a ciśnięty przez kogoś taboret przeleciał nad szynkwasem i rozbił kilka butelek.

Pomimo sennego wyglądu barman miał dość ikry, by przeskoczyć nad szynkwasem, opierając się o ladę jedną ręką, a w drugą chwytając solidną dębową pałkę.

– Żadnych awantur! – ryknął.

James wydobył z sakiewki dziesięć sztuk złota i położył je na ladzie. Kretowaty zwinął je nieznacznym ruchem dłoni i wyciągnął sztylet, odwracając się, by odeprzeć spodziewaną napaść.

James tymczasem śmignął w przeciwną stronę – ku tylnym drzwiom, przez które wpadł do spiżarni. Spędzone w Krondorze młodsze lata sprawiły, że mapę miasta miał niemal wytłoczoną na wewnętrznej stronie sklepienia czaszki. Wiedział, że na tyłach oberży nie znajdzie żadnej uliczki, ale jest tu dziedziniec z furtką, która otwiera się na port.

Przebiegłszy przez spiżarnię, minął drzwi wiodące do kuchni, a potem wyskoczył przed furkę na dziedziniec. W odległości dwudziestu stóp przed sobą zobaczył dużą, dwuskrzydłową bramę. Podbiegłszy do niej, podniósł poprzeczną belkę osadzoną w dwóch żelaznych klamrach i opuścił ją na ziemię przy nogach. Przystąpił przez nią, pchnął jedno skrzydło... i nadział się na potężne uderzenie obleczonej w skórzaną rękawicę pięści, która niczym dyszel trafiła go w szczękę.

Zrobiwszy malowniczego zeza, książęcy giermek zwałił się na bruk podwórza.

# ROZDZIAŁ 5

## SEKRETY

James spróbował ruszyć głową.

Lewa skroń pulsowała bólem – musiał uderzyć się przy upadku o kamienie – i łupało go z prawej strony twarzy. Ruszył się jeszcze raz i znów poczuł łomotanie pod czaszką. Odkrył przy tym, że ma związane z tyłu ręce i opaskę na oczach.

Aaaa... chłopaczek się budzi – usłyszał czyjś niski głos. Twarde łapska oparły go plecami o ścianę, a potem odezwał się ten sam niski, dudniący głos. – Napijesz się?

Tak, proszę – odpowiedział głosem, który nawet w jego uszach brzmiał nikło i dziwnie piskliwie.

No proszę, jaki grzeczny – roześmiał się ktoś drugi, szybko przywołany przez pierwszego do porządku.

Dajcie mu wody – rozkazał bas. James odczekał chwilę, dopóki ktoś mu nie przytknął do ust kubka z wodą. Pił powoli, zwilżając pierwej gardło, kupując w ten sposób czas na pozbieranie myśli. Wypełniająca mu głowę mgła zaczęła się powoli rozwiewać. – Lepiej ci już? – spytał bas.

James nabrał tchu w płuca.

– Owszem, Walterze. Co prawda mógłbyś mnie tu zaprosić nieco grzeczniej; nie musiałeś mi rozbijać czerepu.

Bas zachichotał.

Mówiłem wam, dupki, że on się nie da zwieść. Zdejmijcie mu tę opaskę. – Odzyskawszy zdolność widzenia, James zamrugał i zobaczył stojących nad sobą trzech ludzi. Znajdowali się w jakiejś piwnicy. Pod ścianą, w

której nie było okna, zgromadzono jakieś skrzynie i beczki, pokryte zakurzonymi pokrowcami. – Jak długo byłeś nieprzytomny, Jimmy? – spytał bas.

Dość długo, Walterze. Z godzinę, co?

Walter ujął Jamesa za ramiona i odwrócił w tył, potem zdjął mu sznury krępujące nadgarstki.

– Przepraszamy za to, ale niełatwo cię było... zatrzymać – powiedział.

– Walterze, jeżeli chciałeś pogadać, to są inne sposoby. Nazwany Walterem powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach.

– Wiesz, Jimmy, czasy się zmieniły i nic już nie jest takie jak dawniej. A w mieście same kłopoty. – Walter Blont należał do najbardziej skutecznych osiłków bractwa i szkolił go sam Ethan Graves. Był człowiekiem spokojnym, który podchodził do swoich zajęć fachowo, bez gniewu czy nienawiści. Miał okrągłą, pocziwą twarz zwieńczoną czupryną czarnych niegdyś, a teraz poznaczonych już siwizną, włosów.

James przez chwilę nie odpowiadał, tylko się przyglądał kompanom Blonta. Obaj wyglądali na typowych pracujących dla Gildii osiłków – mieli grube karki, szerokie bary i nogi niczym pnie drzew. Każdy z nich potrafiłby prawdopodobnie gołą pięścią rozbić komuś czerep. Żaden nie wyglądał na osobliwie bystrego, choć James wiedział, że wygląd może być zwodniczy. Nie znał ich, pewien był jednak, że żaden z tych dwóch nie szedł jego tropem, gdy postanowił skręcić do piwiarni.

To znaczy, że ci co za mną szli, nie byli twoimi ludźmi?

Nie – odparł Walter. – Tak się skupili na tym, by cię nie stracić z oczu, że nie spostrzegli, iż sami też są śledzeni.

– Uśmiechnął się, wyszczerzywszy powykrzywiane i dziurawe zęby, których odsłonięcie sprawiło, że wyglądał znacz nie gorzej niż wtedy, kiedy się nie uśmiechał. – Ostatnio w Krondorze zaroilo się od rozmaitych

bandziorów. Każdy niemal statek i każda karawana przywozi nowych osiłeków i łamaczy kości. Ktoś tworzy sobie armię... i poważnie się do tego zabiera.

James usiadł na jednej ze skrzyń.

– Walterze, zechciej zacząć od początku.

Zagadnięty usiadł naprzeciwko i potarł dłonią podbródek. Zamyślił się na chwilę.

– Wszystko się zaczęło parę miesięcy temu. Słyszałeś o typie, którego nazywają Pełzaczem?

James kiwnął głową i natychmiast tego pożałował. Okropnie łupnęło go pod czaszką.

– Od kilku miesięcy nieustannie i wszędzie natykaliśmy się na jego ludzi. Z początku wyglądało to niegroźnie; ot, pojawi li się zwykli natręci, których się szybko przywoła do porządku. Ale potem sprawy wymknęły się nam spod kontroli.

Walter powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach.

My trzej, to wszyscy, którzy zostali z osiłeków bractwa. Kilka nocy temu ktoś się wdarł do Matecznika...

Do Matecznika wdarli się jacyś intruzi i nie zostali zatrzymani? – zdumiał się James.

Zdjęli przedtem wszystkich wartowników, a potem uderzyli szybko i z dużą siłą, nie zostawiając nam czasu na reakcję. Razem z Joshem i Henrym byliśmy na zewnątrz, ale gdyśmy usłyszeli o napaści, daliśmy nura do kanałów. Nieźle poharataliśmy tych czterech, którzy chcieli nas zatrzymać. – Skinieniem dłoni wskazał człowieka z lewej. – Josh dostał kosą po żebrach, a moje ramię musiał szyć Henry... żeglarską igłą i nicią. Znaleźliśmy w Mateczniku same ruiny i zgliszcza... i od tamtej pory kryjemy tyłki, gdzie się da.

To prawdziwa wojna, mości giermku – dodał człowiek nazwany Henrym. – Na żadnym polu bitwy nie widziałem takiej rzezi jak tam.

Byłeś żołnierzem? – spytał James.

Kiedyś – odpowiedział Henry. – Dawno temu. James skinął głową i znów się skrzywił boleśnie.

Muszę się tego oduczyć.

– Przepraszamy za to, żeśmy ci dali w łeb, ale jesteś taki chybki, żeśmy nie widzieli innego sposobu na to, by cię tu sprowadzić – powiedział Walter.

James skrzywił się ponownie. Wiedział, że łeb będzie go bolał jeszcze przez jakiś czas.

– Mogliście mi posłać list.

– Ciężko by było... a zresztą nie łazimy już zwykłymi szlakami, nie wtedy, gdy po kanałach grasują skrytobójcy i podrzynacze gardeł.

– Skrytobójcy? – spytał James z nagle obudzoną czujnością. – Nocne Jastrzębie?

– Diabli wiedzą – odparł Walter. – Nie noszą tych czarnych strojów, w jakie oblekali się wcześniej, ale są okrutni i wyglądają na takich, co się znają na zabijaniu.

– Podchodzą do tego bardzo poważnie – dodał Henry. Walter kiwnął głową.

– Do tej pory nas nie znaleźli, bo nikt prawie nie zna tego miejsca. Wyjście po ciebie było trochę ryzykowne, ale jeden z małych żebraków, który skrycie przynosi nam tu żarcie, zobaczył cię gdzieś na górze i powiedział, że będziesz tędy przechodził, więc było nie było... Dawniej umiałeś przejść przez całe miasto, tak że nikt cię nie zauważył.

James uśmiechnął się smętnie.



Wciąż to potrafię, ale ostatnio niewiele miałem powodów do ukrywania się. Raczcie pamiętać, że pracuję dla Księcia.

I w tym sęk. Potrzebujemy pomocy.

Kto? Szydercy?

Ci, co zostali – rzekł Walter ponuro.

O co chodzi Cnotliwemu? – spytał James, wiedząc, że Walter nigdy by sobie nie pozwolił na przemawianie w imieniu Szyderców bez akceptacji Wyjętego Spod Prawa. Jego rozmówca musiał być kimś w rodzaju posłańca. Trzej opryszkowie spojrzeli na siebie.

Ty nic nie słyszałeś – stwierdził Walter.

A co miałem słyszeć?

Krążą plotki, że Cnotliwy nie żyje. James aż się cofnął i zaczerpnął tchu.

Trzeba będzie spłacić wiele rachunków, prawda? Walter wzruszył ramionami.

Nie zostaje się tym, kim był, bez narobienia sobie wielu wrogów. Faktem jest, że – o ile to oczywiście prawda – tu i ówdzie niektórzy z radości pijana umór.

Kto przewodzi Szydercom?

Nikt – odparł Walter. – My trzej to prawdopodobnie ostatni z łamignatów, którzy ocaleli z pogromu w Mateczniku. No, może gdzieś jeszcze zachowało się kilku, którzy się skryli, jak my. Ale większość wybito podczas najazdu na Matecznik.

Jimmy, oni wymordowali wszystkich. Kieszonkowców, żebraków, dziwki i uliczników... wszystkich bez wyboru.

Wymordowali uliczników? – spytał James z niedowierzaniem w głosie.

Pod koniec tamtego dnia widziałem chyba tego małego Limma i dwóch lub trzech innych, jak przemykali kanałami, alej nie dam głowy, czy to byli

oni. Nie sprawdzałem, bo gnało za i nimi przynajmniej sześciu chłopów. Może udało mu się prysnąć, ale każdy, kto nie był dość chybki albo nie miał szczęścia, dał gardło. Wieści rozeszły się szybko i wszyscy, którzy mogli, czmychnęli z miasta albo poznikali w rozmaitych dziurach.

Mości giermku... – odezwał się Henry. – Ci, którzy to j zrobili, nie byli portowymi śmieciami albo łamignatami, takimi jak my. To byli mordercy, zabijający wszystkich bez chwili namysłu. Podrzynali gardła cicho i sprawnie; załatwili nam połowę ludzi, zanim pozostali w ogóle zdążyli spostrzec, co się dzieje. Powiadam wam, od kilku dni w kanałach idą łowy, w których stawką jest życie. Zabij albo zostaniesz zabity. Nie tak, jak kiedyś. A my... nic, tylko się kryjemy.

James rozejrzał się dookoła.

To dawna kryjówka przemytników?

A co, byłeś tu kiedyś? – spytał Walter.

Kilka razy, kiedyśmy pracowali z Trevorem Hullem i jego bandą. Regentem był wtedy Bas-Tyra.

Pamiętam – stwierdził Walter. – Większość dzisiejszych Szyderców nie zna tego miejsca, a na górze był kiedyś stary młyn, który później został spalony. Puszczono tędy brukowany trakt, więc z góry nie sposób tu wleźć.

Jest w tych skrzyniach coś do żarcia?

Jeżeli nawet było, to dawno się zepsuło – stwierdził Josh.

Nikt tu nie zaglądał od czasu, kiedy Trevor Hull przeszedł na stronę Księcia i zaczął pływać pod banderą Korony.

Jak sądzicie, ilu ludzi wie o tym miejscu? – spytał James.

Niewielu. – Walter wzruszył ramionami. – Zakładając oczywiście, że którykolwiek przeżył rzeź w Mateczniku. Z tej kryjówki korzystali głównie ludzie Hulla... a z naszych przychodziło tu tylko paru łamignatów.

– To niech tak zostanie, jako nasz mały, prywatny sekret.

James wstał i lekko się zachwiał, gdy zadrżały pod nim kolana. Oparłszy się o ścianę, stał przez chwilę spokojnie i bez ruchu.

Która godzina? – spytał.

Jedna do świtu lub coś koło tego – odparł Henry.

Niech to licho! – sarknął James. – Muszę szybko wrócić do pałacu, a przez was mam teraz dwa razy dalej.

Najlepiej zrobisz, jak zajdziesz na posterunek straży, dwie przecznice stąd, i weźmiesz kilku strażników, by cię odprowadzili na miejsce.

Za długo to potrwa – stwierdził James. – A zresztą, znam szlak, który mnie zawiedzie na odległość jednego kwartału od pałacu, i nikt mnie nie zauważy.

Walter się uśmiechnął z przekąsem.

– Cóż, ty potrafiłeś to jak nikt inny, prawda? Zawsze umiałeś wszędy się wcisnąć tak, by nikt niczego nie spostrzegł. Dla tego mogłeś się podejmować tych nocnych wycieczek na własną rękę bez wiedzy Mistrza Nocy.

James roześmiał się tak, że każdy artysta wzięłby do pozowania przy portrecie Uosobienia Naiwności.

– Ja miałbym pracować bez pozwolenia Mistrza Nocy?

– spytał z udaną zgrozą. – I ryzykować, że zostanę złapany przez ciebie i twoich chłopców, którzy zrobią mi krzywdę? Nigdy w życiu!

– Dobrze, że przynajmniej wyście zachowali dobry humor – stwierdził Henry, wodząc wzrokiem od Josha do Waltera. Potem spojrział na Jamesa. – Co mamy robić?

Zostańcie tutaj. Spróbuję wrócić do rana z jakimś żarciem i napitkiem dla was.

A czemu mielibyście to zrobić? – spytał Josh.

Bo mnie poprosiliście – odpowiedział James. – A zresztą na razie pracujecie dla mnie.

Ale nasza przysięga, jaką złożyliśmy Szydercom... – zaczął Josh.

Zachowuje ważność, dopóki istnieją jacyś Szydercy – dokończył James. Ruszył ku ścianie przeciwległej do wyjścia na kanały. – Jeżeli zdarzy się cud i Cnotliwy wróci, wszelkie wasze zobowiązania wobec mnie zostaną anulowane. Wie, co znaczy złamanie złożonej mu przysięgi. Ale dopóki go nie masz... cóż, dam wam zajęcie, dzięki któremu będziecie mieli włożyć co do pysków, nie łamiąc prawa.

Nie będziemy musieli łamać prawa? – zdziwił się Josh.

Osobliwy koncept – stwierdził Henry.

James wyciągnął palec ku każdemu z nich po kolei.

Będą wam potrzebni wszyscy przyjaciele, jakich macie... a na razie poza mną nie widzę tu żadnego.

To prawda, Jimmy. – Walter kiwnął głową.

Od tej pory masz mi mówić „mości giermku” albo „wielmożny Jamesie”.

Tak jest, mości giermku. Pojąłem – odparł Walter. James badał palcami ścianę, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Przesunął rygiel i otworzył drzwi, które wykonano tak, by niczym nie różniły się od kawałka kamiennego muru. – Nie miałem pojęcia, że jest tu coś takiego! – stęknął Walter.

Bardzo nieliczni wiedzieli – odparł książęcy giermek. Już miał zniknąć za drzwiami, ale zatrzymał się w progu. – Posłuchajcie. Jeżeli nie zjawię się w ciągu paru najbliższych dni, przyjmijcie, że zdarzyło się najgorsze i musicie sobie radzić sami. Na waszym miejscu odszukałbym wtedy Szeryfa i powiedział mu wszystko, co wiem. Means to twardy dziadyga, ale jest uczciwy.

Niewiele mogę rzec o jego uczciwości, ale chętnie przyznam, że jest twardy – odpowiedział Walter. – Ale pomyśli się o tym później... jak będzie trzeba.

James kiwnął głową i przestąpił próg. Zamknawszy drzwi za sobą, znalazł się w absolutnej ciemności. Wiedział, że po przejściu stu kroków trafi na pochylnię wiodącą do klapy w sklepieniu lochu, przez którą trafi do piwnicy w domu stojącym niegdyś obok spalonego obecnie młyna. Na szczęście dla niego, tego miejsca nie pokryto brukiem, a gęste chaszczki i krzaki chroniły go przed wzrokiem postronnych.

Wyszedłszy na zewnątrz, kroczył przez mrok, i unikając większych skupisk ludzkich, przedostał się do muru otaczającego teren pałacu. Trafiwszy do północnej bramy miasta, przeszedł obok zaskoczonego wartownika, który go poznał i otworzył usta, jakby chciał zadać jakieś pytanie, ale giermek nawet się nie zatrzymał, by je usłyszeć.

Dotarłszy na niewielki dziedziniec, który oddzielał pałac od miasta, szybko ruszył ku wejściu. Stojący tam dwaj wartownicy już chcieli go zatrzymać, ale w porę go poznali.

Mości giermku? – odezwał się jeden z nich. – Czy szykują się jakieś kłopoty?

Zawsze się szykują kłopoty – odparł młodzieniec, dając im znak, by otworzyli bramę. Jeden z wartowników wykonał polecenie i James przeszedł mimo bez dalszych komentarzy.

Znalazłszy się na szczycie wiodących do pałacu schodów, skinął dłonią na pierwszego pazia, którego spostrzegł.

– Zanieś Księżciu wiadomość, że wróciłem i stawię się przed nim, jak tylko się trochę ogarnę i odzieję w coś przyzwoitego.

Paź zmarszczył nos, bo bijący od giermka smród dało się prawie kroić nożem, ale natychmiast potem przypomniał sobie o swoich obowiązkach.

– W tej chwili, mości giermku! – warknął służbiście znikł w głębi korytarza. James pobiegł do swej komnaty, zdejmując z siebie ubranie niemal w biegu. Postanowił, że wykąpie się nieco później, a na razie będzie się musiał zadowolić otarciem ciała z grubsza ręcznikiem zanurzonym w misie z wodą. Po dziesięciu minutach, wyszedłszy z komnaty, natknął się na tego samego paza, którego wysłał z wiadomością do Księcia. – Mości giermku, Jego Wysokość czeka na was w swoim gabinecie – oznajmił młodzik.

James pospiesznie ruszył do komnat Aruthy, zapukał i wszedł, usłyszawszy zaproszenie. Wewnątrz, nieopodal drzwi znalazł stojącego z bardzo nieszczęśliwą miną młodego człowieka w barwach miejskich konstablów, patrzącego niepewnie na siedzącego za stołem Księcia.

Ten tu młodzieniec cię szukał – stwierdził Arutha, wskazując konstabla skinieniem głowy. – Ponieważ nikt cię nie mógł i znaleźć, Gardan przysłał go do mnie. Konstabl utrzymuje, żeś miał się z nim spotkać w pewnej sprawie, którą ty i Szeryf uzna liście za ważną. Trochę się zaniepokoił, kiedy się okazało, że] nikt nie ma pojęcia, gdzie cię szukać.

Niewiele mogłem na to poradzić – uśmiechnął się James – bo mnie zatrzymały... okoliczności niezależne od mojej woli. Twarz Aruthy pozostała obojętna, ale w jego głosie pojawiła się nikła nutka rozbawienia.

Wygląda na to, żeś mi oszczędził trudu posyłania ci gwar-1 dii na ratunek.

Zdołałem się jakoś dogadać z tymi, co mnie pojмали.'

– Arutha wskazał mu krzesło. James nie usiadł od razu, tylko j spojrział na młodego konstabla. – Jesteście Jonathan Means?

– Tak, mości giermku – odparł zagadnięty. Był może w tym | samym wieku, co William, ale okazywał tę spokojną pewność j siebie, jaką James dawno już się nauczył szanować u miejskich sług prawa. W obecności

Księcia mógł czuć się niezręcznie, alei giermek był pewien, że młody Means potrafiłby dać sobie radę w każdej ulicznej burdzie.

Opowieści o twoich bohaterskich wyczynach wysłucham później – rzekł Arutha. – Teraz chcę się tylko dowiedzieć, co j się dzieje w moim mieście?

Nic dobrego – odpowiedział James. – Ten tu młody zuch i inni konstable niechybnie poświadczą, że ostatnio popełniono wiele morderstw, których nic pozornie ze sobą nie łączy. Ale... choć tak to może wyglądać na pierwszy rzut oka, ja uważam, że istnieje pewna prawidłowość, jaką się kierują zabójcy. My tylko nie umiemy jej dostrzec.

Ty jednak żywisz jakieś podejrzenia, prawda? – Na poły stwierdził, na poły spytał Książę.

James kiwnął głową.

– Pełzacz. Wygląda na to, że podjął kolejną próbę wysadzenia Szyderców z siodła, a z tego, co słyszałem, można by wysnuć wniosek, że mu się to udało.

Czy to ma znaczenie, że jakąś bandę rzezimieszków wypiera inna? – spytał Arutha, jakby się głośno zastana wiał. – Temu, co dostaje pałką po łbie, wszystko jedno, kto ją trzyma w łapie.

Odłożywszy na bok moje znajomości wśród Szyderców i przyjaźń, jaką zawarłem z niektórymi spośród nich, istnieje jednak pewna różnica. Szydercy to złodzieje. Owszem, są wśród nich rozmaite ptaszki – jedni potrafią pozbawić człeka sakiewki na targu tak, że ani się spostrzeże, inni zaś po prostu walą po łbach pijaczków, którzy wracają do domów. Są wśród nich ulicznicy, żebracy, a także tacy, co jak ja kiedyś, potrafią się zakraść do zamkniętych dokładnie domów i wynieść z nich wszystko, co nie za gorące i nie przybite do podłogi calowy mi ćwiekami. Ale nie masz wśród nich zabójców.

Mówiono mi, że jest inaczej – sprzeciwił się Arutha.

Och, oczywiście, od czasu do czasu jakiś niezręczny łamignat przyłoży komuś zbyt mocno albo jakiś raptus mieszczuch obudzi się nie w porę i narobi wrzasku, gdy mu wnoszą z domu kufry. W zamieszaniu, owszem, ktoś mu wsadzi sztylet pomiędzy żebra... ale żeby zabijać z zimną krwią? Nie, Cnotliwy zawsze to podkreślał – morderstwo ściąga na Szyderców zbyt wiele nie pożądanej uwagi.

Arutha wspomniął swoje dawne spotkanie z człowiekiem, którego uważał za Cnotliwego. Znajomość ludzi powiedziała mu, że James ma rację.

– A co z tym Pełzaczem i jego ludźmi?

James przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Czy Szeryf powiedział, po co was wezwałem do pałacu?

Nie. Rzekł tylko, że potrzebujecie w pałacu konstabla i że wybrał mnie.

Poprosiłem go, by mi przysłał kogoś, kto ma smykałkę do wyciągania z ludzi tego, co wiedzą, bez wtykania ich stóp w ogień.

Po raz pierwszy od przybycia do pałacu młody konstabl pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

– No... mam jednego czy dwóch informatorów, którzy mi James przez chwilę mierzył młodego człowieka wzrokiem.

Potrzeba mi pomocy – odezwał się wreszcie, podjąwszy decyzję. – Wasza Wysokość, porozmawiałem z Guruthem i ojcem Jonathana. Udało nam się wspólnie ustalić, kto odpowiada za poszczególne dzielnice miasta.

To dobrze – pochwalił go Arutha.

James zaczął opisywać, co widział podczas myszkowania po mieście, a potem opisał dokładniej dwóch ludzi, którzy go śledzili, gdy z ulicy zdjęli go ludzie Waltera. Następnie przeszedł do tego, co mu Walter powiedział o ludziach, którzy rozgromili Matecznik.



Wasza Wysokość, jeżeli mam się tym zająć, potrzebuję kilku ludzi, takich jak Jonathan, Walter i jego towarzysze. Zamierzam powołać własną kompanię.

Kompanię? – zdziwił się Arutha. – Jamesie, mój ty zuchu, giermkowie nie dowodzą kompaniami.

James uśmiechnął się szeroko.

Jeżeli Wasza Wysokość zechce sobie przypomnieć, to nie dalej jak przed kilkoma tygodniami dowodziłem całym garnizonem w North Warden.

Z tym się nie będę spierał – Arutha odpowiedział takim samym uśmiechem.

Kompania to może niewłaściwe określenie. Byłaby zresztą tak czy owak zbyt liczna, ale potrzebuję tu ludzi takich jak Jonathan, którzy nie zwrócą na siebie niczyjej uwagi, gdy będą zaglądali tu i tam, a którzy będą pracowali dla mnie.

Czy to będzie w porządku? – spytał Jonatan, zwracając się do Księcia. – ... Wasza Wysokość – dodał szybko.

Owszem – odparł Arutha. – Będzie, jeżeli tak postanowię. Twój ojciec nie musi znać szczegółów twojej pracy dla Korony. Powiedz mu tylko, że z mojego polecenia będziesz czasami odwoływany ze służby, by nam pomagać w sprawach bezpieczeństwa państwa.

Myślę, że zda mi się kilkunastu mężczyzn, a może i kilka kobiet – stwierdził James. – Pod warunkiem, że będą to odpowiedni ludzie.

Co masz na myśli, mówiąc o tym, że powinni być odpowiedni? – spytał Arutha.

Przebiegli, nieprzejednani, zdolni do radzenia sobie w rozmaitych sytuacjach i lojalni.

– Lojalni wobec ciebie? – drążył temat Książę. James milczał przez chwilę.

– Wasza Wysokość – odparł wreszcie. – Niektórzy z ludzi, których zamierzam zwerbować, niezbyt wysoko sobie cenią uznanie Korony. Bardziej przemawia do nich idea lojalności wobec konkretnego człowieka i osobiste, wzajemne zobowiązania. Są ludzie, których broniłbym za cenę własnego życia i którzy wzajemnie gotowi będą dać w razie potrzeby głowę za mnie, ale nie dałbym za nich złamanego szeląga, gdyby złożyli przysięgę wierności Koronie. Układ może nie jest idealny, ale inny być nie może.

Arutha kiwnął głową.

Wiesz o tym, że od pewnego czasu myślę o założeniu siatki wywiadowczej, którą można byłoby przeciwstawić wywiadowi Imperium Kesh. Niejednokrotnie omawialiśmy z królem wady systemu, w którym opieramy swe decyzje na informacjach sprzedawczyków i plotkarzy. Nieważne, co wobec naszego dworu twierdzi ich ambasador, Kesh zawsze kieruje oczy ku północy, marząc o odzyskaniu starożytnej prowincji Bosanii i Doliny Marzeń.

A przy okazji wezmą wszystko, co im wpadnie w ręce.

– James lekko się uśmiechnął. Arutha kiwnął głową.

W tej chwili najbardziej mnie trapią pogłoski o wycięciu w pień Szyderców, ponieważ jeżeli połączymy je z twoją konfrontacją z agentami Pełzacza w Silden i oczywistym związkiem pomiędzy Pełzaczem i Jastrzębiami w Kenting, nasuwa mi się tylko jeden wniosek.

Jaki?

Szykuje się coś wielkiego. A my dostrzegamy tylko małe fragmenty całości.

Bąłem się, że usłyszę coś takiego. – James przytaknął.

– Myślałem, że przynajmniej z Jastrzębiami skończyliśmy, kiedy zabiłem ich wodza w Cavell.

Jamesie, dam głowę, że już niedługo odkryjemy, iż był tylko jednym z wielu lokalnych przywódców – stwierdził obojętnie Arutha. – Podczas tych wszystkich lat, jakie minęły od naszego pierwszego starcia z Nocnymi Jastrzębiami, jedna myśl kołatała mi się po głowie, ale dopiero teraz ją sobie uświadomiłem.

Jakaż to myśl? – spytał James, wymieniając zdziwione spojrzenia z Jonatanem.

Tych zabójców jest zbyt wielu.

James nie rozumiał, w czym rzecz. Zmarszczył brwi i lekko przechylił głowę w bok.

– Jak to, zbyt wielu?

Arutha wstał i James natychmiast zrobił to samo. Księżę roz-1 począł zwykłą przechadzkę po komnacie, ale giermek w obecności Jonathana nie chciał okazać zbytnej poufałości z władcą.

Zabójców wynajmuje się z różnych powodów – zaczął Arutha. – Pierwszym jest wymuszenie: posyłając! list z żądaniem okupu, jaki masz zapłacić za to, iżby cię nie zabito. Jeżeli j okazujesz nieposłuszeństwo, zostajesz zamordowany. Drugim powodem może być wynajęcie zabójcy do usunięcia kogoś z przy czyn politycznych, dla korzyści albo z zemsty.

Księżę raczył zapomnieć o trzecim powodzie – stwierdził James.

Nie, nie zapomniałem – odparł Arutha, niecierpliwie machnąwszy ręką. – Nie wymieniam religijnego fanatyzmu, ponieważ Świątynia Lims-Kragmy przed wielu laty odzegnała się od wszelkich kontaktów z Jastrzębiami, a Świątynia Guis-Wa ma swoją sektę morderców, a ci, z którymi się zetknęliśmy, nie mieli na uszach rytualnych nakłuc Krwawych Łowów.

James lekko poczerwieniał. Arutha rzadko podejmował dyskusję, pierwiej się do niej nie przygotowawszy.

Przyjmuję nagane.

Gdyby motywem było wymuszenie, przynajmniej ze dwóch lub trzech przestraszonych obywateli przybiegłoby do nas ze skargami – stwierdził Arutha. – Możemy więc o tym zapomnieć. Zostaje morderstwo dla korzyści.

Czyjej korzyści?

– Oto jest pytanie. Dlaczego ktoś miałby zabijać przypadkowych obywateli i unicestwiać Szyderców?

James nie odpowiedział, bo zdał sobie sprawę z faktu, że pytanie wcale nie było retoryczne. Arutha chciał poznać jego zdanie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział, pomyślawszy chwilę – czemu się zabija przypadkowo dobranych obywateli, poza nie jasnym podejrzeniem, że morderstwa wcale nie są tak przypadkowe, jak myślimy... albo jak ktoś chce, żebyśmy myśleli. Ale jeżeli idzie o Szyderców, jedynym powodem wydaje mi się ten, że ktoś chce zająć ich miejsce... lub uniemożliwić im zauważenie czegoś, co chce zostawić w ukryciu.

Arutha wymierzył weń palec.

Trafiłeś w sedno. O który więc z tych powodów chodzi według ciebie?

Zgaduję, że ktoś chce zająć ich miejsce. – James westchnął ze znużeniem. – Gdyby chodziło o tajemnicę... cóż, nie osiąga się takiego celu, mordując tuziny złodziejasków, dziwek, uliczników i wszelkiej maści opryszków. To się robi inaczej... szuka się spokojnego miejsca i załatwia wszystko spokojnie i po cichu. W okolicznych lasach i górach jest przynajmniej kilka miejsc, gdzie można założyć bazę operacyjną, nie dalej jak dzień jazdy od miasta. Można w nich ukryć nawet kompanię ludzi i nikt niczego nie zauważy. Nie, jeżeli wypierają Szyderców z kanałów, znaczy chcą przejąć kontrolę nad całym krongorskim światkiem przestępczym.

– Zgadzam się – stwierdził Arutha. – Powiedz mi teraz, jak połączyć te sprawy z tym, czego się do tej pory dowiedzieliśmy o Jastrzębiach.

– Nie mam pojęcia. – James z trudem stłumił ziewnięcie. I – Wygląda na to, że współpracują z Pełzaczem, ale mają swój własny cel.

Arutha skinął głową.

– Przypomnij sobie tych fałszywych Jastrzębi, na których w kanałach natknął się Locklear, kiedy prowadził do pałacu Goratha?

Owszem, znam tę historię. – James przytaknął...

Czy udało się ustalić, dla kogo pracowali?

No cóż... – Giermek wzruszył ramionami. – Od trupów niewiele się można dowiedzieć, więc Locky ich nie przesłuchał, a ja wtedy założyłem, że pracowali dla tych, którzy starali się nie j dopuścić Goratha do pałacu. Choć teraz skłony jestem przypuścić, że chodziło im o to, żebyś posłał swoje drużyny do oczyszczenia kanałów, Książę.

Tak czy owak, chcieli, by wina spadła na Jastrzębie – stwierdził Arutha. – Mam pewną teorię. Przypuśćmy, że Jastrzębie współpracowały z Pełzaczem, kiedy to odpowiadało ich celom, być może w ramach jakiegoś swojego, bardziej dalekosiężnego planu, albo po prostu dla uzyskania konkretnych, krótkotrwałych korzyści. W końcu, dostarczanie ludziom żywności i uzbrojenia w tych wszystkich kryjówkach po całym królestwie nie przychodzi łatwo. I założmy, że z jakichś tam swoich własnych powodów ten Pełzacz zaczął się ich obawiać. Idealnym rozwiązaniem problemu byłoby zrzucenie na nich] winy za wszystko, co on i jego banda rzezimieszków wyprawiają w Krondorze.

– Wszystko więc sprowadza się do tego – uściślił James – żenię wolno nam pomijać założenia, iż nie tylko jedna banda grasuje po mieście? Te Jastrzębie i jeszcze jedna grupa skrytobójców do wynajęcia?

– Na to by wyglądało – odparł Arutha. – Można by sądzić, że to niewielka banda najemników, jeżeli wnioskować z liczb, z jakimi dotychczas mieliśmy do czynienia. – Usiadł ponownie. – Chcę, żebyś obecnego tu Jonathana wziął pod swoje skrzydła i zaczął pracę nad założeniem siatki wywiadowców. Nie powiem ci, jak się do tego zabrać, ale radzę, żebyś werbował ludzi dostatecznie szczerwanych, by się nie dali złapać, i dostatecznie lojalnych, by cię nie sprzedali za garść złota. Zatwierdzę wszelkie koszty, wystarczy, że mi je zgłosisz. Powiedz swemu ojcu – te słowa zostały skierowane do Jonathana – że od czasu do czasu będziesz wykonywał pewne zadania dla mnie. Nie musisz opowiadać mu się szczegółowo, wystarczy, że go powiadomisz, iż jeżeli od czasu do czasu będziesz musiał opuścić posterunek albo się nie stawisz na służbę, uczynisz to z mego rozkazu.

Jak sobie życzysz, sir – odparł młody człowiek z ukłonem. Potem lekko się uśmiechnął. – Nie spodoba się to ojcu, ale nie będzie sprzeciwów.

Masz swoją kompanię – stwierdził Książę, spojrzawszy na Jamesa.

Giermek błysnął zębami w uśmiechu.

Czy teraz mogę poszukać czegoś do zjedzenia i trochę się przespać?

Owszem, ale rano masz się zająć tym, o czym rozmawialiśmy.

Co porabiają nasi goście z Olasko? – spytał James, idąc ku drzwiom.

Wysyłam Diuka i jego krewniaków ku górcom na polowanie – odpowiedział Arutha. – Uwolni to nas od nich mniej więcej na tydzień, potem wyprawimy pożegnalną ucztę i bal, pomachamy im z ulgą, gdy odpłyną do Durbinu.

Wasza Wysokość... – Skłonił się giermek, cofając się ku drzwiom.

Zanim zapomnę – odezwał się Książę, gdy James miał przestąpić próg. – Bądź tu jutro rano. Zaczynamy dzień od uroczystej promocji kadetów.

James utrzymał uśmiech na twarzy, ale jęknął boleśnie w duchu. Po kolacji i kąpieli zostanie mu do rana mniej niż pięć godzin snu.

Jonathan też pożegnał Księcia ukłonem i wyszedł za giermkim.

– Chodźmy do kuchni, by coś zjeść – zaproponował James, ustępując paziowi miejsca, by ten mógł zamknąć drzwi. – Porozmawiamy przy kolacji, a ja zyskam dodatkowe pół godziny snu.

Młody konstabl uśmiechnął się lekko i ruszył za giermkim w stronę wabiącego zapachami skrzydła gospodarczego.

# ROZDZIAŁ 6

## KONSULJA

Na dziedzińcu huknęły trąby.

Arutha wyprowadził dworskich dostojników na balkon wiszący nad dziedzińcem. Gdy stanął tuż przy balustradzie, stojący przed kadetami McWirth zasalutował.

– Baaaaczność! – zagrzemiał.

Księżę milczał przez chwilę, a potem przemówił.

– Dziś, młodzi panowie, wasze wysiłki zostaną nagrodzone ostrogami i promocją na pierwszy stopień oficerski. Do każde go stopnia, na jaki sobie później zasłużycie, będzie wam wolno dodawać tytuł „rycerz”. Stary to tytuł, którego początki giną w pomroce dziejów. Uznaje się powszechnie, że jeden z pierwszych ! władców Królestwa władał przy pomocy niezbyt licznej drużyny rycerzy, którzy złożyli przysięgę, iż będą wspierali Koronę, choćby za cenę swojego życia. Z wami jest podobnie, ale podczas gdy żołnierze składają przysięgę wierności swemu panu, wasza przysięga wiąże was z Koroną. Będziecie zobowiązani okazywać posłuszeństwo każdemu szlachcicowi w tych ziemiach i w miarę możliwości będziecie mu pomagać, przede wszystkim jednak macie pamiętać o tym, że winniście wspierać Króla na Wschodzie i mój urząd, tu, na Zachodzie. – James uśmiechnął się lekko. Znał ] Aruthę od dawna, nigdy jednak nie usłyszał, by Księżę żądał dla siebie tego, co wedle niego należało się jego urzędowi i tytułowi. Każdy inny magnat na miejscu Aruthy rzekłby teraz: „Winniście wspierać mnie, tu, na Zachodzie”. – Niektórzy z was – ciągnął Księżę – dostaną dziś przydziały do garnizonów na Północy, gdzie zaczną służbę w domach



magnatów potrzebujących młodych oficerów, dopóki ich własni synowie nie dorosną na tyle, by sami mogli objąć komendę nad ojcowskimi drużynami. Kilku z was może objąć w tych domach stanowiska mieczników, inni wrócą do Kronloru, gdy synowie panów podrosną. Jeszcze inni dostaną przydziały do zamków na pograniczu – a niektórzy zostaną w Kronlorze. Zrozumcie jednak, że miejsce służby ma znaczenie drugorzędne. Wybraliście służbę narodowi, gdziekolwiek będziecie. Nigdy o tym nie zapominajcie. Niektórym z was uda się osiągnąć w życiu wysokie rangi i zdobyć znaczne majątki... ale te przywileje nie są nagrodami. Traktujcie je jako środki, dzięki którym będziecie mogli skuteczniej służyć Królestwu. – Książę przerwał, a potem podjął wątek. – Podczas konfliktu z Tsurani, który później zyskał miano Wojny Światów, stanęliśmy twarzą w twarz z wrogiem, z którym obecnie mamy pokój. Walka jednak była długa i ciężka, ponieważ nasi nieprzyjaciele byli ludźmi honoru, oddanymi służbie. Przeciwstawiliśmy im takie samo poświęcenie, które stało się zbawieniem naszego narodu. – Ponownie przerwał, milczał przez chwilę, a potem zakończył. – Panowie oficerowie, rad jestem, że mogę was powitać w szeregach ludzi oddanych służbie Królestwu.

Skinął głową McWirthowi, który oznajmił: – Usłyszawszy swoje nazwisko, każdy wystąpi przed szereg i podejdzie po swoje ostrogi. – Potem odczytał pierwsze nazwisko z listy i pierwszy kadet wyszedł przed szereg. Dwaj paziowie przymocowali mu ostrogi do butów. Jedenastu kadetów kolejno złożyło przysięgę i otrzymało ostrogi. Ostatnim z nich był William.

Z prawej strony obok Aruthy stał Konetabl Gardan, dla którego promocja była końcowym obowiązkiem, w jakim miał wziąć udział przed rezygnacją ze służby. Teraz zaczął wydawać przydziały i rozkazy wyjazdu. Czterej kadeci mieli się udać na Północ, do pogranicznych baronii. Pięciu zostało skierowanych na służbę w rozmaitych garnizonach na Zachodzie.

Dwaj pozostali – w tym William – dostali przydział do garnizonu w Krondorze.

James zauważył, że po otrzymaniu przydziału William lekko zmarszczył brwi i zaciekał go powód niezadowolenia przyjaciela. Krondor był najlepszym z możliwych miejsc służby w Zachodnich Dziedzinach, zarówno pod względem wygód, jak i możliwości awansu. Na Wschodzie, gdzie nieustanne utarczki z dokuczliwymi sąsiadami toczony w pobliżu stolicy mogły przynieść łaski Korony, sprawy stały inaczej, ale na Zachodzie awanse i polityka zaczynały się i kończyły w Krondorze.

Sądę, że masz jakieś sprawy na mieście – usłyszał niespodziewane pytanie Aruthy.

Owszem, mam. Kiedy powinienem wrócić?

Jak będziesz miał mi coś ważnego do powiedzenia – oznajmił Książę, cofając się do swojego gabinetu. – Nie jesteś już starszym giermkim.

Decyzja Księcia była tak niespodziewana, że niewiele brakło, a James byłby się potknął.

– Sir?

Stojący jeszcze na dziedzińcu Arutha odwrócił się i uśmiechnął do niesfornego sługi i przyjaciela, wzywając go ku sobie skinieniem dłoni. Potem się odwrócił i wszedł do pałacu. James spiesznie podążył za nim.

– Nie bierz tego osobiście do siebie, mój drogi, ale ostatnio tak często włączając się po okolicy, znikalesz z pałacu – oczywiście miałeś po temu ważne przyczyny – że de Lacy i Jerome nieustannie mi się skarżyli na konieczność ciągłego wprowadzania poprawek do planu służb. Pozostajesz nadal moim osobistym giermkim, ale na starszego drużyny giermków trzeba awansować kogoś innego. A wreszcie... po tym, jak dowodziłeś garnizonem, zajmowanie się poskramianiem niesfornych urwisów mógłbyś uznać za upokarzające.

James lekko się uśmiechnął.

– Ja bym rzekł, że to irytujące.

Arutha parsknął śmiechem, w jednym z rzadkich u niego przejawów dobrego humoru.

– Niech będzie, że to upokarzające. Zanim uciekniesz, powierzę ci jedno, ostatnie zadanie. Jutro o świcie drużyna Diuka Olasko wyrusza na swoją myśliwską wyprawę. Nie bardzo pojmuję, czemu, ale wyrazili życzenie, żeby eskortą dowodził porucznik rycerz William.

– Paulina... – James zmarszczył brwi.

Arutha usiadł przy swoim biurku. Skinieniem dłoni polecił stojącemu przy drzwiach de Lacy'emu, by otworzył drzwi i wpuścił czekających na audiencję u Księcia interesantów i dworaków.

Owszem, księżniczka. Będzie towarzyszyła ojcu i obu książętom na łowach. A co?

Szuka kandydata na męża... odpowiednio bogatego i wpływowego.

– Innymi słowy, syna jakiegoś Diuka?

James kiwnął głową.

Podejrzewam, że nikt jej chyba nie uprzedził, iż Diuk Stardock jest... diukiem dość niezwykłym, wedle miar większości ludzi.

Ma jednak wpływową rodzinę – stwierdził Arutha.

Z tym się nie będę spierał – uśmiechnął się James. – Uważam jednak, że powinienem poświęcić chwilę czasu na przygotowanie Williama... w końcu czeka go nie lada zadanie.

Arutha przeniósł już wzrok na drzwi, w których ukazywali się właśnie pierwsi suplikanci prowadzeni przez Mistrza de Lacy.

Nie chcę o tym słyszeć – pożegnał Jamesa. – Wiesz, co trzeba zrobić, więc zrób to.

Tak jest, sir – odparł James w drzwiach. Pospiesznie przeszedł na plac ćwiczeń, zamierzając znaleźć McWirtha i Williama, zanim świeżo upieczony porucznik rycerstwa zostanie wysłany na patrolowanie Doliny Marzeń albo myszkowanie za opryszkami w chaszczach i lasach, jakich pełno było pomiędzy Krondorem i Krańcem Ziemi. Potem będzie musiał jeszcze odszukać Jonathana Meansa i zająć się tkaniem sieci swoich agentów.

Williama znalazł w koszarach kadetów, gdzie młody człowiek wyjmował swój dobytek z niewielkiej szafki, w której przez ostatnie półrocze trzymał rynsztunek i przedmioty użytku osobistego. McWirth nadzorował odprawę niedawno pasowanych rycerzy, ale jego nastrój radykalnie się zmienił. James pomyślał, że stary patrzy na młodych ludzi z ojcowską dumą i troską. Zaraz potem przypomniał sobie, że już niedługo stawią się w Krondorze nowi kadeci, wybrani spośród synów szlachty, wyróżniających się oficerów i kilku młodych, obiecujących żołnierzy, a stary wojak znów wdzije maskę tyrana, którego nigdy nic nie może zadowolić.

Zanim James zdążył otworzyć usta, William podniósł nań oczy.

Krondor! Czemu, u licha, Krondor? – spytał.

Nie mam pojęcia – odpowiedział James – ale każdy inny na twoim miejscu wycinałby hołubce z radości. Will, tu, a nie gdzie indziej, zaczynają się kariery!

William spojrzał na Jamesa, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale umilkł.

– Muszę to wszystko przenieść do zbrojowni.

James wiedział, że młodzi, nieżonaci oficerowie mieli tam właśnie swoje małe, prywatne kwatery.

– Pomogę ci.

William kiwnął głową, choć jeszcze się nie rozchmurzył. Żeby przenieść wszystko do zbrojowni, potrzebował przynajmniej dwóch nawrotów, i rad był z pomocy. Przypasał miecz, będący jedynym ćwiczebnym orężem, który chciał zabrać ze sobą, i wzięwszy zawiniątko z bielizną, podał je Jamesowi. Sam podniósł drugie, w którym upakował dwie pary butów, opończę i dwie książki, a potem kiwnął dłonią, prosząc Jamesa, by ruszył przodem.

James odwrócił się i skierował ku drzwiom, mijając Miecznika McWirtha. William zatrzymał się obok starego wojaka.

– Mości Mieczniku... – zaczął.

– Słucham, poruczniku – odezwał się spokojnie McWirth. James odwrócił się, ujrawszy lekko zaskoczony wyraz twarzy Williama, zrozumiał, iż do przyjaciela nie dotarło jeszcze, że nie jest już kadetem i McWirth nie będzie na niego wrzeszczał. William milczał przez chwilę, jakby nie wiedział, co rzec.

– Chciałbym wam podziękować za wszystko, czegoście mnie nauczyli – stwierdził wreszcie. – Mam nadzieję, że w przyszłości nie sprawię wam zawodu.

Stary Miecznik uśmiechnął się lekko.

– Synu... gdyby istniał choć cień szansy na to, że w przyszłości zawiedziesz oczekiwania moje i Księcia, nie byłbyś dostał tych błyskotek. – Wskazał dwie ostrogi lśniące dumnie przy butach młodego rycerza. – Poradzisz sobie. A teraz pospiesz się i zabierz swoje rzeczy do zbrojowni, zanim inni porucznicy zobaczą, że sam to wszystko dźwigasz, i zaczną robić ci wymówki, że powinieneś zatrudnić do tego któregoś z paziów albo jakiegoś żołnierza na służbie. – James stał przez chwilę bez ruchu, a potem nagle się roześmiał. William zrozumiał nagle, że jako rezydujący w garnizonie porucznik rycerstwa mógłby przecież zlecić przeniesienie

tobołków któremuś z paziów lub jednemu z żołnierzy. – A wam, giermku, niech nie przyjdzie do głowy ochota zostania jego psim rabusiem. Zabierajcie się stąd obaj, a żywo – zagrział stary w dawnym stylu.

Tak jest, mości Mieczniku! – odparł James.

Skąd się wzięło to określenie? – spytał William, gdy obaj szli korytarzem.

Słyszałem, że w dawnych czasach rycerzom wiodło się rozmaicie... i ich giermkowie musieli się czasem niezłe nagło więc, skąd wziąć posiłek dla swoich panów.

William uśmiechnął się szeroko.

– Powinienem was zatem wziąć na giermka, mości giermku? James odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Zapłaciłbym złotego suwerena, by zobaczyć, jak się do tego zabieracie, sir – odparł z przekąsem. – Jeżeli naprawdę chciałbyś mieć osobistego giermka, mogę zobaczyć, czy któryś z mniej bystrych nie zechciałby nim zostać... bez żadnych niemal szans na awans. I ciekaw jestem, z czego byś go opłacał?

Dotarłszy do zbrojowni, przeszli przez rozległe drzwi, mijając dalej stojaki z mieczami, tarczami, bronią drzewcową i innymi morderczymi narzędziami. W głębi hałasował płatnerz, naprawiający i ostrzący sztuki, które stępił żołnierze przy codziennych ćwiczeniach. Znalazłszy schody na tyłach, wspięli się po nich na piętro. William położył swój tobołek na podłodze.

Ten pokój nie jest chyba zajęty – stwierdził, wskazując na otwarte drzwi.

Oszczędzę ci konfuzji – odparł James. – Powinieneś poczekać, aż izbę przydzielili ci najstarszy z rezydujących tu bezzennych rycerzy. – Wskazał na pozornie puste pomieszczenie. – Ta prawie na pewno należy do Kapitana Treggara.

William lekko się skrzywił. Kapitan Treggar był młodym człowiekiem, o którym powiadano, że poczucie humoru wyciął mu w dzieciństwie pewien chirurg, ale też zamkowi plotkarze j utrzymywali, że jest świetnym żołnierzem, który zachował swój stopień mimo skłonności do tyranizowania podwładnych i czepiania się drobiazgów. Uważano też, że popisał się niezwykłym sprytem, utrzymując pozycję pod czujnym okiem Gardana.

Po kilku minutach na szczycie schodów pojawił się w zbrojowni dźwigający swoje tobołki porucznik rycerz Gordon o'Donald, najmłodszy syn Karla Mallow Haven.

Jest tu jakaś wolna izba? – wystękał.

Czekamy na Treggara – stwierdził William. Gordon cisnął swoje brzemie na podłogę.

– Cóż za piękne zakończenie jakże udanego dna – sarknął. W jego głosie był lekki zaśpiew charakterystyczny dla mieszkańców Kennararch leżącego u podnóża Szczytów Spokoju. Był to młodzieniec o szerokich barach, nieco wyższy od Williama, mający włosy koloru piasku i niebieskie oczy. Z powodu jasnej karnacji jego twarz była mocno opalona i pełna piegów.

– Obaj wyglądacie mi na lekko skwaszonych – stwierdził James. – Mimo żeście dostali najlepsze przydziały służby na Zachodzie.

Właśnie – skrzywił się Gordon. – Gotów jestem się założyć, że mój ojciec poprosił Księcia, by dał mi miejsce, gdzie mogę co najwyżej zarobić guza w łeb podczas bójki na łyżki przy śniadaniu! Dwaj moi starsi bracia polegli na wojnach. Malcolma zabito pod koniec wojen z Tsurani, Patrick poległ pod Sethanonem. Ja jestem najmłodszy i ojciec robi, co może, by mnie zachować przy życiu, dopóki nie obejmę po nim schedy.

Zachowanie życia to godne zajęcie – stwierdził James z udaną powagą.

Dobre może i dla tych, co się tu urodzili, mości giermku, ale na Zachodzie człek ma kiepskie widoki na awans.

James zmarszczył brwi.

– Zechciej mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale któregoś dnia zostaniesz earlem. Czemu po prostu sobie nie kupisz wtedy awansu?

– Mallow Haven to niewielki majątek – stwierdził Gordon – a na Wschodzie bardzo się liczą zaszczyty zdobyte na polu walki. Wy tu macie gobliny, Bractwo Mrocznej Ścieżki i inne rozrywki, ale na Wschodzie nieustannie się wodzimy za łby ze Wschodnimi Królestwami albo z Kesh. Szybko się awansuje... a jeżeli chcesz się ożenić z jakąś panną z dobrej rodziny, musisz wykorzystać wszystkie okazje do awansu, jakie tylko ci się trafią.

James spojrział na Williama i obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Dziewczyna! – powiedzieli jednym głosem, jakby się umówili.

Co to za jedna? – spytał James Gordona.

Mimo opalenizny młodzieniec nie zdołał ukryć rumieńca.

Rebecca, córka Lorda Deep Taunton. Jej ojciec jest diukiem, i żeby ją poślubić, muszę wrócić do domu opromieniony taką sławą, by oślepić choćby króla.

Ha! – James wzruszył ramionami. – Twierdzenie, że na Zachodzie nie znajdziesz porządnej wojny, może i było prawdą kiedyś, ale ostatnio niezupewnie pokrywa się z rzeczywistością.

I przynajmniej jesteś w miejscu, gdzie najłatwiej o awans – dodał William.

Z dołu dał się słyszeć łoskot butów i do drzwi podeszło kilku młodych ludzi w ciężkich wojskowych trzewikach.

– Podnieście swoje tobołki – zaproponował James.



W chwilę później pokazał się z dołu kształt ciemnej głowy, która zwieńczała szerokie bary wchodzącego po schodach Kapitana Treggara. Szli za nim inni młodzi, nieżonaci oficerowie. Na widok czekających na niego dwóch młodych poruczników zmarszczył brwi. Gdy ujrzał Jamesa, na jego twarzy pojawił się nieskrywany niesmak.

A cóż to znowu? – spytał.

Czekamy na przydział pokojów, Kapitanie – odparł William.

Tymczasem po schodach wchodzili inni młodzi porucznicy, aż w końcu korytarz pełen był ludzi. Wszyscy szeptali, popatrywali na Treggara, a niektórzy wzruszali ramionami. James pojął, że czekają na polecenie Treggara. Spodziewane ulokowanie na kwaterze młodego rycerza nie miało przebiec tak gładko, jak się tego spodziewał.

Treggar już miał otworzyć usta, ale James go ubiegł.

– Książę oczekuje, że porucznik rycerstwa William szybko otrzyma kwaterę, bo ma dlań specjalną misję.

Cokolwiek Treggar zamierzał powiedzieć, zostało światu oszczędzone. Zamiast tego wyciągnął rękę.

Drzwi na końcu korytarza. Brak nam izb, więc na razie będziecie musieli dzielić jedną, dopóki ktoś się nie ożeni albo nie zostanie przeniesiony.

Tak jest, Kapitanie – odparł Gordon, przeciskając się pomiędzy oficerami.

Dziękuję, Kapitanie – dodał William i ruszył za współ-lokatorem z konieczności.

Poczekam tu na was, mości poruczniku – stwierdził James.

Zeszliście z utartych szlaków, mości giermku? Słyszałem, że częściej was można znaleźć w ściekach niż w pałacu] – zauważył Treggar.

James spojrzał uważnie na oficera. Treggar miał głęboko osadzone, ciemne oczy, w tej chwili pełne niechęci i wrogości. Jego] krzaczaste brwi

zawsze były silnie zmarszczone, poza chwilami,! kiedy stał przed Księciem albo Konetabłem Gardanem. Powiadano, że więcej niż jeden młodszy oficer i kilku innych z pałacowego garnizonu zostało solidnie pobitych następnej nocy, gdy czymś poirytowali Treggara. Zważywszy na to wszystko, James mówił spokojnie i gładko.

– Chodzę wszędzie, gdzie posyła mnie Książę i gdzie trzeba, ze względu na dobro Królestwa. – Chętnie byłby się postawił Treggarowi, ale doświadczenie wyniesione z lat bójek i bitek z naj-1 różniejszymi przeciwnikami podpowiedziało mu, że tej walki nie mógłby wygrać. Denerwowanie oficera przed frontem jego podwładnych mogłoby tylko przekształcić niechęć w nienawiść, i a mimo nieprzyjemnego charakteru Treggar był ważną figurą pałacowego garnizonu. Było zresztą wielce prawdopodobne, że przeniósłby wrogie nastawienie na Williama i Gordona.

Ujrawszy, że nic nie będzie z planowanej przez Treggara kosztem nowicjuszy zabawy dla młodych oficerów, wszyscy się rozeszli do swoich zajęć. Po chwili ze swej izby wyszli William i Gordon.

Co to za misja, Jamesie? – spytał William.

Poruczniku – warknął Treggar, odwracając się ku przyjaciółom. – Kiedy się zwracacie do wyższego stanowiskiem czy rangą, macie używać jego pełnego tytułu. – Przerwał i do dał po chwili: – Kimkolwiek by był.

Taaaaest, Kapitanie! – zagrzmiał William. – Więc... co to za misja, mości giermku? – zwrócił się uprzejmie do Jamesa.

Macie wziąć dwunastu ludzi eskorty i towarzyszyć Jego Wysokości Diukowi Olasko podczas myśliwskiej wyprawy. Jutro, na godzinę przed świtem zameldujcie się z ludźmi u łowczego.

Tak jest, mości giermku.

Poruczniku, przyjdźcie jeszcze się zobaczyć ze mną, zanim udacie się na spoczynek – dodał James, spojrzawszy na Treggara. – Będę miał dla was

ostatnie instrukcje.

Tak jest, mości giermku – powtórzył William.

James odwrócił się i szybko odszedł. Wiedział, że zostając dłużej, nie osiągnie niczego, poza spotęgowaniem irytacji Treggara. Prawdopodobnie i tak znajdzie on Williamowi jakieś nudne zajęcie do zmierzchu, by ukarać młodego porucznika za to, iż Kapitan stracił zabawę. James znał takich tyranów. William i Gordon będą sami musieli znaleźć sposób na Treggara.

Przecinając dziedziniec, giermek przypomniał sam sobie, że William w końcu nie jest lada wymoczkim i potrafi sam się o siebie zatroszczyć. Podejrzewał też, że na swój spokojny sposób i Gordon może się okazać nie lada twardzielem. Poza wszystkim innym Treggar mieszkał w koszarach od dłuższego już czasu i doskonale wiedział, na co sobie może pozwolić, a czego mu nie wolno w stosunku do młodszych stopniem oficerów. Przełożony internatu oficerskiego miał swoje przywileje, ale też i obowiązki, a gdyby Treggar naprawdę tyranizował młodszych, Gardan już dawno byłby się go pozbył. Arutha i Konetabl mieli jedną wspólną cechę: na dłuższą metę nie można było ukryć przed nimi niczego, co było naprawdę ważne. Obaj szybko rozpoznawali problemy i potrafili je skutecznie rozwiązywać.

Przechodząc przez bramę, zastanawiał się, gdzie zajrzeć pierwiej, jednocześnie machinalnie odpowiadając na dość niedbałe! pozdrowienie wartownika. I nagle przystanął. Wychodził z pałacu przez Zachodnią Bramę, będącą niegdyś głównym wejściem, teraz używaną zazwyczaj w czasie ceremonialnych powitań, procesji podczas świąt religijnych i tym podobnych okazji, bo większość gości wchodziła przez Wschodnią Bramę albo wrota wychodzące na port.

Po przeciwległej stronie placu położonego przed Zachodnią Bramą stał wielki budynek, przed którym jeden z pierwszych I krongorskich książąt

wzniósł fontannę, niezbyt wielką, ale obecnie szanowaną jako zabytek i charakterystyczny znak orientacyjny. Teraz I uważnie spojrzął na budynek za fontanną. Było to spore gmazyszko, którego wielki frontom wskazywał wyraźnie, iż wewnątrz kryje wiele I pomieszczeń. James pamiętał, że budynek był porzucony od wielu lat. „Nie – poprawił się teraz w myślach – nie był porzucony, po prostu nikt go nie zajmował”. Od czasu do czasu widać było ślady jakiejś aktywności – ot, pomalowano któreś z okien lub naprawiono zardzewiały zawias przy drzwiach. Teraz jednak widać i było, iż ktoś się szykował do zajęcia całej budowli.

Co się tam dzieje? – spytał strażnika, kiwnięciem głowy wskazując stary budynek.

Nie mam pojęcia, mości giermku. Od wczoraj nieustannie wjeżdżają tam i wyjeżdżają jakieś wozy.

Ten dom świecił pustkami, jak sięgam pamięcią– stwierdził strażnik stojący po drugiej stronie bramy. – Nie wiem nawet, j kto jest jego właścicielem.

Świątynia Ishapa – odpowiedział James. Obaj wartownicy zerknęli nań podejrzliwie, ale żaden nie spytał, skąd to wie. James dał się już poznać z tego, iż wie o mieście mnóstwo rzeczy i nikt nie podawał tego w wątpliwość. – Zwykle się z tym nie afiszują– mruknął giermek na poły do siebie. – Ciekaw jestem, co się za tym kryje.

Obaj strażnicy doskonale wiedzieli, że pytanie było retoryczne, i żaden nie odpowiedział. James zresztą miał pilniejsze sprawy na głowie, niż nowi sąsiedzi pałacu: Nocne Jastrzębie.

Wyłoniwszy się z przejścia pomiędzy dwoma budynkami, miał już na sobie ubranie znacznie skromniejsze niż to, w którym opuścił pałac. Przed kilkoma laty w rozmaitych punktach miasta pozakładał sobie schowki, w których poukrywał odzież, broń, pieniądze i inne przedmioty przydatne

przy rozmaitych okazjach. Dość często musiał myszkować po mieście w przebraniu, bo przecież nie mógł tego czynić jako książeć giermek.

Teraz przeciskał się przez południową cizbę w targowej dzielnicy nieopodal miejsca, gdzie niepostrzeżenie przechodziła w Dzielnicę Biedaków. Na planie miasta nie było żadnych widocznych granic pomiędzy nimi, wszyscy jednak mieszkańcy Krondoru doskonale wiedzieli, gdzie się kończy targ, a zaczynają doki, w którym miejscu Dzielnica Portowa przechodzi w Rybaczówkę, doskonale też znali położenie poszczególnych rejonów miasta. James doskonale wiedział, że znajomość tych granic była niezwykle ważna i ogromnie przedłużała życie.

Gdy przeciął niczym się nie wyróżniającą uliczkę oddzielającą Dzielnicę Targową od Dzielnicy Biedaków i wszedł na teren tej ostatniej, zobaczył tu węższe i bardziej kręte uliczki. Budynki po obu stronach tłoczyły się jeden przy drugim, zostawiając pośrodku przestrzeń, po której z trudem mógł się poruszać jeden wóz. Głębokie cienie rozstępowały się tu jedynie w południe.

Wkraczając na swe dawne tereny łowieckie, James nie zmienił postawy ani tempa, podwoił jednak czujność. Za dnia uliczki były tu równie zatłoczone i równie ruchliwe jak w innych dzielnicach miasta, ale grasowali tu znacznie więksi niż tam drapieżcy. Niebezpieczeństwa były mniej oczywiste niż w nocy, ale może nawet groźniejsze, bo bardziej zwodnicze. Jamesowi wystarczyło parę chwil, by wyczuć panujący wszędzie niepokój. Spojrzenia przechodniów były bardziej ukradkowe niż zwykle, a ludzie poruszali się szybciej, częściej też spoglądali niespokojnie na boki. Wszyscy mówili zniżonymi głosami i pilnie nie śledzili obcych. Przypadkowe zabójstwa wzbudziły czujność oraz niepokój i bez tego nieufnych mieszkańców okolicznych kwartałów.

Giermek skręcił w jedną z bocznych uliczek, gdzie drewniane schodki wiodły do wejścia na piętro sąsiedniego budynku. W głębi uliczki zgarbiona kobieta wiązała powrozem tobołki na dwukołowym wózku. Drzwi, do których zmierzał, stały I otworem.

James wyjął sztylet i wsunął go w rękaw kurtki. W razie potrzeby wystarczyło potrząsnąć ręką.

– Sophia? – odezwał się cicho, podszedłszy bliżej do I kobiety.

Kobieta odwróciła się i wyprostowała. James odetchnął z ulgą. Miał przed sobą siwowłosą osobę, której zostało jeszcze dość ciemniejszych pasm, by można było poznać kolor, jaki w młodości miały jej włosy. Ujrawszy Jamesa, uniosła rękę w ostrzegawczym geście tak, że w razie potrzeby mogłaby natychmiast przejść do działań bardziej konkretnych. Gdy poznała giermka, odprężyła się.

– Ty łobuzie – rzekła. – Przestraszyłeś mnie tak, że skróciłeś mi życie o kilka lat!

James podszedł bliżej i rzucił okiem na zawartość wózka.

Wyjeżdżasz?

Jak tylko zawiążę ostatni węzeł.

Dokąd się kierujesz?

Jeszcze nie wiem, Jimmy... i nie jestem pewna, czy chcę, by ktokolwiek w Krondorze wiedział, gdzie się zatrzymałam.

James przez chwilę uważnie patrzył na twarz rozmówczynie. Sophia nigdy nie była piękna – w młodości dość często mówiono o niej, że ma końską twarz – natura obdarzyła ją jednak dobrą figurą i silnym ciałem, co w połączeniu z temperamentem sprawiło, iż miała licznych kochanków, wśród ludzi majątnych i wśród biedaków. Zajmowała się sprzedażą uroków, czarów i magicznych napojów, co sprawiło, iż żyła samotnie, choć potrafiła zdobyć sobie kilku zaufanych przyjaciół – do których zaliczał się i James.

Teraz giermek skwitował jej uwagę skinieniem głowy.

Mogę zrozumieć, że chcesz zniknąć, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego?

Z pewnością słyszałeś o tych zabójstwach, nie muszę nawet pytać. Nie byłbyś godny pracować dla Księcia, gdybyś nie wiedział.

I co... boisz się, że powiększysz grono naszych drogich nieobecnych?

Kobieta przytaknęła. Poprawiwszy niebieską suknię, zdjęła czarny szal, okrywający do tej pory wózek i podeszła do drzwi zajmowanej przez siebie izdebki, by ją zamknąć.

Być może nie spostrzegłeś, że wśród ofiar większość stanowią członkowie Bractwa Szyderców, usunięci z niego z powodów, o których z pewnością wiesz więcej niż ja, ale praktykujący Sztukę.

Magowie? – spytał James, który nagle poczuł żywe zainteresowanie tym, co Sophia ma mu do powiedzenia.

Przynajmniej pięciu z nich... o ile nie więcej. Nazwiska większości nie były ci znane, ponieważ uprawiali Sztukę raczej na własny użytek. Wiesz jak to jest, Jimmy... nie popisujemy się publicznie, jak ci ze Stardock. Niektórzy z nas wolą pozo stawać w cieniu.

A inni?

Zajmują się tymi gałęziami Sztuki, które nie są w łaskach władz.

Czarna magia?

Nie, nic tak złowrogiego... Powiedzmy, że jakiś kupiec zbożowy chciałby, żeby jego rywalowi zgniło ziarno w silosach przed wysyłką... albo szuler, który chciałby zwiększyć swoje szansę przed poważną grą. Są wśród nas tacy, którzy potrafią mu dostarczyć tego, czego mu potrzeba.

Za odpowiednią cenę – stwierdził James. Sophia kiwnęła głową.

Jamesie... ktoś morduje krondorskich magów.

Ilu was tu jeszcze jest? – James obejrzał się dookoła.

– Pomóż mi obrócić ten wóz – poprosiła Sophia. – Powin-1 nam była o tym pomyśleć, zanim go załadowałam.

James pomógł kobiecie odwrócić wóz, a potem patrzył, jak stara klęka pomiędzy hołoblami i powoli je podnosi. Wiedział, że nie powinien proponować jej pomocy – Sophia była najbardziej upartą i samodzielną ze wszystkich kobiet, z jakimi kiedykolwiek zetknął go los, a poznał ich sporo.

Do ciągnięcia tego wózka powinnaś kupić jakiegoś kuczka albo niezbyt rośłego konia.

Nie mogę sobie na to pozwolić – stęknęła, ruszając ku ulicy i ciągnąc za sobą cały swój dobytek.

Ja mogę... pożyczyc ci trochę grosza na konia. Zawsze dobrze traktowałam ulicznego ordynusa.

Sophie uśmiechnęła się i nagle James ujrzał przed sobą dziewczynę, o jaką wodziły się za łby największe krondorskie zabijaki.

Nigdy nie byłeś ordynarny, Jimmy. Dokuczliwy... owszem, ale nie ordynarny. – Gdy przestała się uśmiechać, dodała: – Musiałabym karmić zwierzę... ale dzięki za propozycję. – Gdy doszli do rogu, Sophia zatrzymała się nagle. – Zapomniałam zapytać, co cię przyniosło na mój próg.

No... właściwie też drobny problem z magią– roześmiał się James. Opowiedział Sophie o księżniczce Paulinie i jej amulecie. – Jeżeli mój młody przyjaciel ma spędzić pewien czas w jej towarzystwie – zakończył relację – to myślę, że dobrze by było, gdyby miał przy sobie coś, co mógłby przeciwstawić j jej czarom.

Osobliwy dobór słów wywołał uśmiech na twarzy Sophie.

– Czary... podoba mi się ta gra słów. Cóż, mam coś, co może się przydać twojemu przyjacielowi. – Położyła hołoble na ziemi i przeszła na tył wózka. Rozwiązując dopiero co umocowaną plandekę, mruknęła zrzędlawie. –



Dobrze byłoby, gdybyś mi o tym powiedział, zanim wszystko pospinałam. – Sięgnąwszy w głąb wozu, wydobyła niewielki woreczek i przez chwilę | gmerała w jego wnętrzu. – Mam skuteczny napój, ale jego efekt trwa tylko kilka godzin. – Wyjęła z worka niewielki pierścień.

– O, to się chyba nada. – Pierścień był niepozorny, ze srebrzystego metalu i miał oczko z nieprzezroczystego, czerwonego półszlachetnego kamienia. – Chroni swego posiadacza od rozmaitych pomniejszych czarów i uroków – rzekła, podając pierścień Jamesowi. – Ot, akurat przed takimi, z jakich korzysta ta młoda dama. Oczywiście nie zda się na nic przeciwko większym i silniejszym czarom, ale w naszym przypadku ograniczy urok dziewczyny do tego, w jaki ją wyposażyła natura.

Dziękuję – odpowiedział James, biorąc pierścień. – Ile ci jestem winien?

Od ciebie nie wezmę nic, Jimmy. Potraktuj to jako pożegnalny podarunek. – Sophie znów chwyciła hołoble i wyprowadziła wózek na uliczkę, która miała wywieść oboje z dzielnicy Biedaków.

James uchylił się zręcznie, gdy obok niego przemknęło dwóch urwisów. Nastroszył się w pierwszej chwili, podejrzewając, że chodzi o starą sztuczkę „capnij i wiej”, podczas której jeden odcina sakiewką i rzuca ją drugiemu chybkemu w nogach, ale zaraz potem stwierdził, iż ma do czynienia z dwoma chłopakami, ścigającymi się dla samej przyjemności.

Poklepawszy sakwę, by się upewnić, że jest tam, gdzie była przed chwilą, odwiązał ją od pasa i wetknął pod plandekę wozu.

– Pozwól, że i ja ci dam coś na pożegnanie. Gdziekolwiek zamierzasz się osiedlić, będziesz potrzebowała trochę grosza na urządzenie się.

Uśmiechnęła się tak, że aż pojaśniały jej oczy.

Dobry z ciebie chłopak, Jimmy.

Sophio, jak się już urządzisz bezpiecznie, daj mi znać, bym wiedział, gdzie jesteś.

Nie omieszkam, Jimmy – odpowiedziała i zawróciwszy, skierowała się na główną drogę wiodącą ku miejskiej bramie.

James przez chwilę patrzył w ślad za nią, a gdy znikła mu z oczu w ciżbie, zawrócił do pałacu. Niezależnie od dalszych planów na dzisiejsze popołudnie, musiał porozmawiać z Księciem.

Wciąż nie bardzo wiedział, co się kryje za pozornie przypadkowymi morderstwami w Krondorze, ale fakt, iż wśród ofiar znalazło się wielu praktykujących magię, był zbyt ważny, by nie powiadomić o nim Księcia. Popołudniowe słońce grzało jeszcze dość mocno, alej James poczuł, że po plecach pełźnie mu zimny dreszcz.

# ROZDZIAŁ 7

## **ŻASADŹKA**

Konie zaczęły rzeć.

William rozejrzył się dookoła. Usztywniała go odpowiedzialność związana z pierwszą samodzielną misją, jaką mu powierzono, choć miał pod swoimi rozkazami sierżanta wygę i dwudziestu doświadczonych żołnierzy. Kapitan Treggar, choć w izbie jadalnej traktował Williama z wyższością, wziął go na koniec na bok.

– Jeżeli chcesz się wygłupić przed swoimi ludźmi, wydawaj rozkazy – poradził. – Jeżeli chcesz wyglądać na człeka, który wie, co robi, powiedz sierżantowi Matthewsowi, czego chcesz i się nie wtrącaj.

Pomimo osobistej niechęci do dającego radę William wziął ją sobie do serca i jak do tej pory udało mu się nie zbłąźnić. Słońce I sięgało już prawie zenitu, gdy zwrócił się do podoficera.

Sierżancie!

Na rozkaz, sir! – zameldował się zagadnięty.

Zechciejcie znaleźć nam jakieś miejsce na posiłek.

Jechali drogą wijącą się wśród wzgórz ku północnym rubieżom Kronodoru. William zachowywał czujność, choć nie okazywał niepokoju, ponieważ okolica uważana była za względnie I bezpieczną. Od czasu do czasu zdarzały się gdzieś tutaj oczy-l wiście jakieś napady na pojedynczych podróżnych, nic jednak nie świadczyło ostatnio o obecności bandy dostatecznie licznej i uzbrojonej, by mogła się porwać na drużynę konnych. Nieco dalej ku wybrzeżu trafiały się okolice, w których zbrojne ramię

prawa mocno słabło, ale ten teren wybrano, mając na uwadze obfitość łownej zwierzyny i bezpieczeństwo gości.

Sir, tu za zakrętem jest oberża – stwierdził sierżant Matthews, ogorzały stary weteran o zaskakująco błękitnych oczach i niemal białych włosach. – Nie proponowałbym książęcom gościom noclegu w takim miejscu, ale obiad zjeść tu można.

Wyślijcie kogoś, by uprzedził oberżystę, że nadciągamy – polecił William.

Taaaaest, sir!

Jeden z żołnierzy na rozkaz Matthews'a dał koniowi ostrogę i gdy drużyna dotarła na miejsce, wszystko już było gotowe. Oberża była skromnym, piętrowym budyneczkiem zwieńczonym kominem, z którego buchały kłęby dymu. Nad wejściem wisiało godło gospody, na którym wymalowano drzewo i śpiącego pod nim wędrowca obejmującego miłośnie podróżny worek.

– Ta oberża nazywa się „Podróżny i Drzewo”, sir – zameldował Matthews.

Oberżysta już na nich czekał. Wysłany przodem żołnierz musiał mu powiedzieć o randze gości, ponieważ nie wiedząc dokładnie, kto jest kim, oberżysta czapkował każdemu, kto podchodził do drzwi.

Diuk Radswil zeskoczył z konia, a jeden ze służących szybko podał rękę księżniczce Paulinie, by jej pomóc zsunąć się z siodła. Młoda arystokratka uparła się, by włożyć spodnie i dosiadać konia po męsku. Teraz zignorowała pomoc i zręcznie zeskoczyła na ziemię.

Umieram z głodu! – oznajmiła wszystkim. – Czym nam możesz dziś służyć, poczciwcze? – spytała oberżystę.

Pani... – Skłonił się zagadnięty. – Mam półtuszę dziczyzny z korzeniami, która z jednej strony już dochodzi i właśnie zamierzałem ją obrócić na

roźnie. Mam też bażanty, które się pieką i będą gotowe za pół godziny. Do tego wszystkiego żółty ser, ciepły jeszcze chleb, jabłka i inne świeże owoce, a także owoce suszone. W kuchni mam też kilka niedawno złowionych ryb, ale jeszcze się do nich nie zabrałem. Jeżeli zechcecie, mogę...

– Dziczyzna wystarczy – uciął Diuk. – Dodaj jeszcze bażanty. Ale przede wszystkim dawaj piwa, a żywo. Konam z pragnienia.

Tymczasem William polecił Matthewsowi, by ludzie zatroszczyli się o konie, a dopiero potem odpoczęli.

Każę wam przysłać świeżą wodę i owoce – rzucił przez ramię, odwracając się, by dołączyć do gości wewnątrz.

Dziękujemy, mości poruczniku – kiwnął głową Matthews.

William dobrze wiedział, że żołnierze rano zjedli suty posiłek, a na wyprawę zabrali zapasy bardziej obfite, niż zwykle im przysługujące przy forsownych marszach suszone mięso i suchary, ale jego gest został przez podwładnych przychylnie przyjęty. Teraz wszedł za książęcymi gośćmi do środka. Oberża miała wewnątrz jedną sporą izbę z dwoma obszernymi prostokątnymi stołami pośrodku i dwoma mniejszymi okrągłymi w rogu na prawo od drzwi. Wedle lewej ściany umieszczono wiodące na piętro schody, a szynkwas zbudowano w głębi, obok drzwi do kuchni. Prawą ścianę izby zajmował spory kominek, gdzie przygotowywano potrawy. Z kuchni wybiegła właśnie kucharka z przyprawami, które wrzuciła do sporego kotła bulgoczącego obok ognia. Z drugiej strony paleniska ustawiono rożen, na którym tkwiła półtusza dziczyzny, obracana przez wyrostka, gapiącego się szeroko otwartymi oczami na dostojnych gości.

William rozejrzawszy się dookoła, zobaczył, że przy jednym z okrągłych stolików po prawej siedzi dwóch ludzi. Żaden z nich nie miał broni, na pierwszy rzut oka osądził, że są niegroźni. Jeden był starszym, niemal

zupełnie łysym mężczyzną, któremu został tylko wianuszek długich, zwisających na ramiona włosów. Miał też potężny, krogulczy nochał, który jednak nie był nawet w połowie tak wyzywający jak spojrzenie ciemnych oczu nie-1 znajomego. Jego odzież William uznał za dobrze utkaną i skrojoną, choć może trochę niemodną. Towarzysz jastrzębionosego miał na sobie prosty, szary habit z odrzuconym w tył kapturem. William pomyślał, że nieznajomy jest kapłanem, mnichem albo kimś w rodzaju maga. Myśl ta nie przy szła do głowy większości ludzi, ale też większość ludzi nie spędziła dzieciństwa na wyspie pełnej magów. Młody oficer doszedł do wniosku, że będzie musiał sprawdzić swoją początkową opinię o nieszkodliwości obu nieznajomych.

Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył, że oberżysta nadal bije ukłony Diukowi i jego bliskim, zamiast więc zająć miejsce na szarym końcu stołu, podszedł do obu nieznajomych.

– Co tu waszmościowie robicie? – spytał. Mężczyzna w habicie spojrzał nań nie bez zdziwienia, zobaczył jednak, że pytającym jest oficer w barwach książęcych.

– Zatrzymaliśmy się tu przejazdem, sir – odpowiedział.

William wyczuł, że coś przemknęło pomiędzy nieznajomymi i przez chwilę sądził, że się porozumiewają telepatycznie. Sam potrafił rozmawiać ze zwierzętami, którą to umiejętność nabył w dzieciństwie, choć niewiele miał z niej pożytku. Jedynie Fantu, ognisty smok jego ojca posiadał inteligencję wystarczającą, by rozmawiać o czymś więcej niż o jedzeniu i innych pojęciach podstawowych. W sprawach magii, jaką się posługiwali ludzie, William był jedynie biernym obserwatorem, widywał jednak jej przejawy dostatecznie często, by się na nie wyczulić.

Mój Księżę przyjmuje gości z dalekich krajów i zadbanie o ich bezpieczeństwo należy do moich obowiązków. Skąd panowie przybywacie i

dokąd się udajecie?

Przybywam ze wschodu – odezwał się nieznajomy o wyzywającym spojrzeniu. – Jadę zaś na wybrzeże, do wioski zwanej Halden Head.

Ja zaś kieruję się do Kronodoru – stwierdził drugi. – Przyjechałem z Egley.

Obaj panowie więc tylko przypadkiem usiedliście przy jednym stole?

Nie inaczej, sir. To zupełnie przypadkowe spotkanie. Wymieniamy plotki, ot i wszystko.

Wasze nazwiska?

Jestem Jaquin Medosa – odpowiedział człowiek, które go William uznał za maga.

A mnie nazywają Sidi – dodał drugi.

William przyjrzał mu się uważnie. W Sidim było coś niepokojącego. Obaj obcy siedzieli jednak spokojnie, jedli swój posiłek i nikomu nie zagrażali.

– Dziękuję waćpanom za okazane zrozumienie – rzekł wreszcie młody porucznik i już bez dalszych komentarzy wrócił do stołu, przy którym rozsiedli się Diuk i jego rodzina.

Przed gośćmi rozstawiono talerze zjadłem i dzbany z napojami, William zaś dał znak oberżycie i poprosił go, by żołnierzom posłano piwo i świeże owoce. Dopełniwszy obowiązku, usiadł i zaczął się posilać. Od czasu do czasu posyłał ukradkowe spojrzenie dwóm obcym siedzącym przy stoliku w rogu, pogrążonym w rozmowie. Pewien był, że człowiek, który przedstawił się jako Sidi, też przynajmniej dwukrotnie rzucił okiem w ich stronę.

W pewnej chwili księżniczka go o coś zapytała i musiał się skupić na odpowiedzi. Wymieniwszy z nią kilka zdań, podziękował w duchu Jamesowi za to, że dał mu ochronny pierścień, pod którego osłoną odkrył,

że dziewczyna jest przeciętnie urodziwa i ma dość irytujące maniery. Nie dał się oczarować, tak jak za pierwszym razem, kiedy nie mógł się oprzeć ogarniającej go żądzy. Paulina nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej nieodparty urok już na niego nie działa i paplała, jakby była pewna sukcesu. Skończywszy odpowiedź na jej ostatnie pytanie, William zerknął w kąt izby i zobaczył, że obaj obcy gdzieś znikli.

Obóz rozbili dopiero pod wieczór. Krondorscy tropiciele ruszyli przed nimi i znaleźli miejsce odpowiednie na obozowisko, odkryli także tropy zwierzyny łownej. Służący szybko rozładowali wóz ze sprzętem i rozbili namioty dla Diuka i jego rodziny.

William i jego ludzie mieli spędzić noc pod gołym niebem, obok małych namiotów, które przygotowano na wypadek nagłej zmiany pogody. Po zachodzie słońca służba przygotowała kolację, a William wysłał tropicieli, którzy dokonali pobieżnych oględzin okolicy, i rozstawił warty. Nie spodziewał się żadnych niespodzianek, ale nie chciał niczego zostawić przypadkowi, jako że odpowiadał za życie powierzonych jego pieczy gości.

Matthews obszedł posterunki i upewnił się, że wszyscy żołnierze dostali posiłek. W polu obowiązywała zasada, iż każdy osobiście dba o swego konia, więc przed udaniem się na spoczynek każdy wojak musiał na to poświęcić nieco czasu.

William przyłączył się do Diuka i jego rodziny, którzy zajęli spory namiot, rozmiarami zbliżony niemal do pawilonu. Wewnątrz ustawiono duży stół, przy którym sześciu ludzi mogło jednocześnie jeść i pić. Diuk skinieniem dłoni zaprosił młodzieńca, by zasiadł z gośćmi do kolacji.

I co znaleźli tropiciele? – spytał.

Wasza Wysokość, na północny wschód od naszego obozowiska są tropy zwierząt: łosia, jelenia i niedźwiedzicy z małym.



Diuk przeżuł resztki ćwiartki bażanta i odrzucił kości precz. William był rad, że Radswil nie wziął ze sobą psów. Matka nigdy nie pozwalała karmić psów resztkami ze stołu i William wyniósł z domu niechęć do tego zwyczaju. Kośćmi miała zająć się służba.

– Nie będziemy niepokoiłi niedźwiedzicy, dopóki nie odstawi małego – oznajmił Diuk. – Tępienie zwierząt i niepozwalanie im na odchowanie potomstwa jest barbarzyństwem, które zresztą fatalnie się odbija na przyszłym pogłowie zwierzyny. Znaleziono coś jeszcze?

Owszem... może trafimy na wielkiego kota. Wiadomość ta wyraźnie Diuka ucieszyła.

Czy tropicielom udało się ustalić, co to za zwierzę?

– Nie za bardzo, Wasza Dostojność – odpowiedział William. – Zwykle są to kuguary. Zuchwałe drapieżniki ośmielają się zapuszczać do wiosek, by wrócić z owcą lub kurakiem.

Wiem, co potrafią – uciął Radswil. – Są podstępne, ale gdy się je strąci z drzewa, nie potrafią walczyć naprawdę. Co jeszcze?

Czasami zapuszczają się tu lwy z południowego wschodu, choć prawie zawsze uprzedzają nas o tym okoliczni wieśniacy. Zwykle to młode samce bez grzywy.

No, ale to już niezłe trofeum.

I od wielkiego dzwonu trafiają się lamparty.

O, to mi dopiero zwierzyna! – ucieszył się Diuk. – Jak się taki dostanie na drzewo nad tobą, to trzeba się strzec!

Rankiem pošlę zwiadowców raz jeszcze.

Kolacja trwała dość długo, bo Diuk i jego syn wspominali dawne polowania, przeżywali niegdysiejsze tryumfy. Paulina patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie, od czasu do czasu podejmując próby flirtu z

Williamem, który kwitował jej paplaninę uprzejmymi uśmiechami. Książę Vladic milczał, pogrążony we własnych myślach.

Kiedy służba uprzątnęła talerze i naczynia, William pożegnał się z gośćmi, tłumacząc odejście koniecznością sprawdzenia wart. Diuk kiwnął głową na znak, że rozumie.

Młody porucznik odszukał sierżanta Matthews'a.

Jest coś nowego? – spytał.

Nie, wszystko w porządku, sir – odparł podoficer.

Kładę się spać. Obudźcie mnie po północy.

Będziecie trzymać wartę, sir? – spytał Matthews pozornie obojętnym głosem.

William wiedział, że wielu jego kolegów zostawia nadzór nad wartami podoficerom.

Wolę, by moi sierżanci byli jako tako wyspani – odpowie dział, jakby to nie była jego pierwsza misja. – Połóżcie się na | drugą kolejkę, ale uprzedźcie dowódcę warty, by mnie obudził.

Tak jest, sir – odpowiedział Matthews, gdy William ruszył w stronę przygotowanego wcześniej przez siebie posłania. Porucznik wiedział, że sierżant najpewniej zignoruje rozkaz i sam osobiście dopilnuje każdej zmiany wart. Z drugiej strony ten gest, tak samo, jak podesłanie znużonym wojakom piwa i świeżych owoców, miał się spotkać z przychylnym przyjęciem podwładnych.

Położył się i przez chwilę jeszcze czuł wdzięczność do McWirtha, ponieważ podczas ćwiczeń kadeckich często się zdarzało, że chłopcy sypiali na ziemi i nocleg pod gołym niebem nie był dlań niczym nowym. Zaraz potem zasnął zdrowym, mocnym snem.

Otworzywszy oczy, usiadł na posłaniu, zanim jeszcze zdał sobie sprawę z tego, co go obudziło. Nie był to dźwięk, alarm czy okrzyk, ale raczej

jakieś nieokreślone przeczucie. I nagle zrozumiał. Konie były przerażone do tego stopnia, że słyszał ich przestracz równie głośno, jakby rżały. Lada moment zresztą miały podnieść wrzawę. Szybko pobiegł do miejsca, gdzie je zgromadzono, wiążąc na noc do powbijanych w ziemię palików. Wszystkie zwierzęta stały cicho, ale miały podniesione głowy, strzygły niespokojnie uszami i rozdymały nozdrza, jakby łowiąc chrapami niesione wiatrem nocne zapachy.

William nigdy nie lubił rozmów z końmi, które zawsze miały osobliwie rozbiegane myśli.

Co się dzieje? – zajął do umysłu najbliższego konia.

Łowca! – padła odpowiedź, czemu towarzyszyła wizja czegoś mrocznego przemykającego chyłkiem przez pobliski las.

– Zapach łowcy!

William spojrzał w stronę, z której wiał wiatr.

– Człowiek? – spytał.

Odpowiedź była zaskakująca. Niektóre zwierzęta myślały o człowieku, inne miały wizję stwora podobnego do wielkiego kota.

– Sir, co was niepokoi? – spytał sierżant Matthews, który – jak się okazało – wstał również.

Nie wiem – odparł William spokojnie. – Coś płoszy konie.

Może wilki? – spytał sierżant.

William wiedział, że nie ma czasu na wtajemniczanie podoficera w swoje zdolności, więc kiwnął głową.

– Może... ale jest tam coś dostatecznie dużego, żeby konie wpadły w pa...

Nie zdążył dokończyć słowa, gdy konie zaczęły się miotać, rzeć i szarpać powrozy.

– Alarm! – ryknął Matthews. – Do broni!

William wydobyl swój katowski miecz w tej samej chwili, kiedy obok, tuż nad ziemią, przemknęło coś wielkiego i czarnego. Gdy stwór go minął, młody porucznik pojął, że nie był to wielki ptak, ale jakiś szybki i cichy czworonóg. Zwierzę dało nura w mrok pod drzewami na skraju obozowiska, a potem na chwilę pokazało się na tle ognia, ukazując drapieżną, sprężystą sylwetkę.

– Niech mnie grom strzeli! – zaklął Matthews. – Czarna pantera!

Ludzie szukali jeszcze broni, gdy z namiotu wypadli uzbrojeni już Diuk Olasko i jego syn. Gdy William do nich dobiegł, Diuk zdążył już usłyszeć nowiny o wielkim kocie.

– Zuchwały kotuś, prawda? – Uśmiechnął się gość. – Jak to miło z jego strony, że nas powiadomił o swojej obecności. – Diuk rozejrzał się dookoła. – Która godzina?

William spojrzął na Matthewsą.

Trzy godziny do świtu, Wasza Miłość – odparł stary służbista.

Pięknie – stwierdził Diuk. – Zatem zjedzmy coś, a o świcie ruszajmy za naszym skarbem.

– Jak wola Waszej Wysokości – odpowiedział William. Diuk wrócił do swego namiotu, a William wydał sierżantowi polecenie, by ten zadbał o przygotowanie posiłku. Wiedział, że j gdy słońce zabarwi różem szczyty gór na wschodzie, od godziny już będą na tropie wielkiego kota.

Gdy w obozie zaczął się zwykły przed świtem ruch, młody porucznik wpatrywał się w skraj lasu, usiłując przebić wzrokiem panujące tam ciemności. Wrzawa w obozie przybierała na sile, on zaś nie mógł oprzeć się uczuciu, że ukryta gdzieś wśród drzew obserwuje ich wielka pantera.

Diuk wrócił po kilku chwilach, zacierając ręce z niecierpliwości.

Poruczniku, chodźmy coś zjeść, bo później nie będzie czasu, a siły będą nam potrzebne.

Owszem, Wasza Wysokość – odpowiedział William, odrywając wzrok od drzew.

Bardzo to dogodne ze strony tej bestii, że nas powiadomiła o tym, iż jest w pobliżu, nieprawdaż? – zauważył Diuk, gdy obaj szli do jego namiotu. – Można by pomyśleć, że nas zachęca, abyśmy za nią poszli.

William nie odpowiedział, ale pomyślał o tym samym. I wcale mu się to nie spodobało.

Diuk, jego syn, córka i bratanek milcząco pomykali wśród pni drzew spowitych jeszcze w poranne mgły. William i sześciu ludzi z eskorty szli za nimi w odległości kilkunastu kroków. Tyły pochodu zamykali tragarze i służba. William był pod wrażeniem myśliwskich umiejętności olaskańskiej szlachty: widać było, że łowy to dla nich nie pierwszozna. Poruszali się tak zręcznie i cicho, że w porównaniu z nimi doświadczeni żołnierze byli niczym gromadka hałaśliwej dzieciarni.

Prowadził wytrawny tropiciel z krongorskiego garnizonu, który pilnie szukał śladów pantery. William korzystał ze swoich psychicznych zdolności, by odkryć kryjówkę kota, niczego jednak nie wskórał. Wyczuwał pobliskie zwierzęta, kryjące się przed wzrokiem ludzi – wiewiórki i króliki, i złowił nawet myśli dwóch gryzoni.

– Wielkie Iowy! – mówiły do siebie myszy. – Niebezpieczeństwo.

Panująca w lesie cisza budziła niepokój. Zwykle w kniei można było usłyszeć odległe odgłosy wydawane przez zwierzęta – tym razem jednak nie słyszeli niczego. Jedyne słyszalne dźwiękami był plusk kropel spadających z liści i trzask gałązek pod stopami idących z tyłu żołnierzy.

Niepokój Williama rósł z każdym krokiem. Przeszedłszy jeszcze dwadzieścia jardów, zwrócił się przez ramię do idących za nim.

Podejdę do Diuka. Ustawcie się zaraz za służbą.

Tak jest, sir! – szepnął żołnierz i przekazał rozkaz w tył.

William po kilku krokach zrównał się z idącymi za Diukiem tragarzami. Szybko spostrzegł, że ludzie niosący rozmałą myśliwską broń, sieci i inne przedmioty przydatne na łowach, mieli niezbyt tęgie miny. Młody porucznik zbliżył się do księżniczki, ciągnącej kilka kroków z tyłu za bratem. Diuka widział tylko jako niezbyt wyraźny kształt poruszający się w mroku przed nim. Książę Vladic szedł pół tuzina kroków z tyłu, a Kazamir w takiej samej odległości za nim. Mrok przed nimi gęstniał, William zaś poczuł, że znów się odzywa jego wewnętrzny alarm. Idący obok Diuka tropiciel rozglądał się niepewnie, jakby stracił z oczu trop pantery.

William skoczył przed siebie, wyciągając miecz w tejże samej chwili, w której Diuk podniósł rękę, dając znak wszystkim, by się zatrzymali. Radswil trzymał w ręku łuk ze strzałą na cięci-1 wie i wpatrywał się w mrok, na przekór wszystkiemu usiłując coś dostrzec. I nagle William dostrzegł jakiś ruch wysoko nad głową Diuka.

– Uwaga! – wrzasnął ostrzegawczo. – W górze!

Diuk zareagował bez namysłu i natychmiast rzucił się w bok. W tej samej chwili z grubego konaru zwisającego na wysokości kilku stóp nad głową gościa runął w dół wielki, ciemny i sprężysty kształt. Książę Vladic wypuścił strzałę, która przeszła miejsce zajmowane przez wielkiego drapieżnika ułamek sekundy wcześniej. Pantera opadła na ziemię, odwróciła się błyskawicznie i sięgnęła łapą, rozdzierając Diukowi ramę. Radswil runął w tył.

Kot zebrał się w sobie, by skoczyć, ale William zdążył dopaść boku Kazamira. Książęcy syn zwolnił cięciwę i puścił strzałę, która o cal minęła plecy Vladica i ugodziła panterę w łapę.

Młody porucznik rzucił się do Diuka w tej samej chwili, w której zwierz skoczył na swą ofiarę. Powietrze rozdarł świst płytkiej stali, a William poczuł, że jego miecz liznął kota po boku. j Drapieżnik wydał wściekły

wrzask i zamiast zaatakować Diuka, ] śmignął w las, ścigany kolejnymi strzałami z łuku.

Młody oficer pochylił się nad gościem, który odepchnął podaną mu dłoń.  
Za nim! – zawołał Radswil.

Wasza Wysokość, nie!

Z drogi, chłopczyku! – zachnął się Diuk i odepchnął Williama na bok. Porucznik szarpnął go za ramię, skutkiem czego Diuka obróciło w miejscu.  
– Jak śmiesz! – zawołał Radswil, spopieliwszy niemal Williama spojrzeniem.

Sir, jesteście ranni! – zawołał William. – Drapieżnik zwęszy was na milę!

Chłopcze, polowałem na te kotki, zanim tyś przyszedł na świat!  
Puszczaj!

William jednak trzymał, dopóki nie podbiegli do nich syn Diuka, jego córka i bratanek w towarzystwie służby i żołnierzy, którzy szybko ich otoczyli.

Wasza Miłość, to nie był kot!

Co słyszę? – zdumiał się Radswil.

To nie była pantera.

Przecież widziałem! – oponował Diuk, szarpiąc się z Williamem.

Wasza Miłość, to może i wyglądało na kota, ale wcale nim nie było.

Z czym więc mieliśmy do czynienia? – spytał księżę Vladic.

To był mag – odparł William, puszczając wreszcie ramię Diuka. – Mistrz Mniejszej Ścieżki. – Młody człowiek wsunął miecz do pochwy.

Mag? – zdumiała się Paulina. – Skąd wiecie?

Pani... – odpowiedział młody oficer. – Waszą specjalnością są łowy i koty, a moją magowie. Wierzcie mi, wiem, co mówię.

– Zmiennokształtny? – spytał Kazamir. William kiwnął głową.

Spod totemu Lamparta. I nie byle jaki mag, skoro potrafił tak łatwo zmieniać kształt i postać.

Wpadł do obozu, jakby doskonale wiedział, czego chce, ojciec – zauważyła Paulina.

– Chciał, żebyście poszli za nim – stwierdził William.

– Wyście polowali na niego, a on na was. – Porucznik wskazał na stojącego nieopodal tropiciela. – On szedł przed wami, ale mag go przepuścił i rzucił się na was, by złamać wam kark.

Chciał mi złamać kark?

Skoczył tak, by wylądować wam na ramionach. Byłby wam złamał kark albo kręgosłup. Jeśliby Wasza Miłość nie uskoczył, gdy krzyknąłem, byłby teraz konał bardzo bolesną śmiercią.

Święta prawda, Wasza Miłość – odezwał się tropiciel.

– Gdyby was dopadł, byłibyście już trupem.

Uciekając, sieknął was pazurem, by mieć pewność, że za nim pójdziecie – stwierdził William.

Nie mogę go zawieść – odpowiedział Radswil. – Teraz ja na niego zapoluję. – Diuk nie zwracał uwagi na kapiącą mu z ran na barku krew.

Nie, Wasza Miłość. – Sprzeciwił się William, skinieniem dłoni wzywając do siebie Matthewsą. – Łowy uprawiacie dla przyjemności, ale ściganie przestępców to mój obowiązek. Odprowadzicie Diuka do jego namiotu i zadbacie o to, by mu opatrzone rany – zwrócił się do sierżanta. – Chcę mieć tu zaraz tuzin ludzi, uzbrojonych i gotowych na wszystko. A wy – polecił tropicielowi – zobaczcie, czy nie zdołacie znaleźć jego śladu. Ale uważajcie... nie tropicie zwierzęcia, tylko człowieka.

Tropiciel kiwnął głową i zniknął w puszczy. Widać było, że Diuk zamierza się spierać, ale przekonał go książę Vladic.



– Chodźmy, stryju. Najpierw opatrzmy twe rany, a potem pomyślmy, jak zapolować na tych magów.

William widział, że Diuk przez chwilę bada wzrokiem trop, a potem spojrzął na niego, jakby chciał ocenić, czy porucznik podoła próbie. Kiwnął głową na zgodę i wolnym krokiem ruszył w stronę obozu. Wkrótce potem nadciągnęła drużyna wybranych dwunastu ludzi, dobrze uzbrojonych i zdeterminowanych. William dał znak do wymarszu.

– Spodziewamy się zasadzki, ale nie wiemy, czy napadnie nas kot, czy człowiek i się nie dowiemy, dopóki nie uderzy. Trzymać odstęp i naprzód! – rozkazał półgłosem.

Ruszył pierwszy, a za nim w regularnych odstępach poszli żołnierze. Jeden po drugim znikali we mgle.

Wysoko na niebie świeciło już słońce, ale pod baldachimem gałęzi panował głęboki mrok.

– To niesamowite – wyszeptał tropiciel. – Nie powinno być tak ciemno.

William kiwnął głową.

Tak jakby... – Urwał nagle. Wiedział, co to za zaklęcie, choć nie potrafił go nazwać. Pomimo tego, że wyrósł i wy chował się w Stardock, Williama nie ciągnęło do studiowania magii, co stało się przyczyną rozdźwięku pomiędzy nim a jego ojcem Pugiem, ale część nabytej mimo woli wiedzy została mu w pamięci. – To zaklęcie mroku, które rzuca się w celu zasnucia okolicy ciemnościami, by tkający czar mógł niepostrzeżenie przejść obok... – I nagle zrozumiał. – Z powrotem do obozu! – zagrzmiął.

Obszedł nas?

On chce dopaść Diuka! – zawołał porucznik, który zdążył się już odwrócić i biegiem mijał właśnie idącego za nim żołnierza. Pozostali szybko poszli za jego przykładem. – Biegiem ....aaarsz!

Żołnierze puścili się biegiem. Ponieważ zniknęła potrzeba zachowania ciszy, szybko dotarli do miejsca, gdzie nastąpił pierwszy atak. William podniósł dłoń, wszyscy przystanęli, przez chwilę łapali oddech, a potem znów ruszyli biegiem.

Minuty wlokły się powoli – jedynymi dźwiękami, jakie docierały do uszu młodego porucznika, były miarowy tupot butów o ściótkę, szcęk oręża i przyspieszone oddechy jego ludzi. Nikt się nie odzywał, jakby każdy chciał oszczędzić siły na nieuchronną walkę, czekającą ich pod koniec biegu.

William pierwszy usłyszał odgłosy bitewnej wrzawy. Gdy zbliżyli się do obozowiska, usłyszeli je i inni. Przy poruczniku było dwunastu ludzi, z Matthewsem więc zostało ośmiu oraz kilkunastu służących i tragarzy. Razem z Kazamirem i księciem Vladikiem było więc jeszcze jedenastu zdolnych do walki, a William był pewien, że i sam Diuk Olasko potrafi się jeszcze bronić, pomimo odniesionych ran. Biegąc coraz szybciej, William przeklinał własną głupotę. Złamał jedną z podstawowych zasad sztuki wojennej: w obliczu nieprzyjaciela nigdy nie rozdzielaj swoich sił, jeżeli nie jesteś pewien, że dzięki takiemu manewrowi zyskasz konkretne korzyści i przewagę taktyczną.

Zakładał, że ma do czynienia z jednym tylko magiem, co okazało się założeniem błędnym.

Wśród szczęku broni słychać było dzikie parskania i wrzaski kotów, a gdy wpadli do obozu, William zobaczył pierwszego z napastników. Był nim spory lampart, ale jego futro zdobiły plamy – nie miało czarnej barwy, jak u zmiennokształtnego maga. Rzucając się na przeciwnika, William posłał mu myślowy rozkaz: Uciekaj! Źle! Niebezpiecznie! Myśli młodego porucznika natknęły się jednak na mistyczną zaporę, barierę, która chroniła koci umysł

od zewnętrznych wpływów i nie pozwoliła mu na wsłuchanie się w umysł zwierzęcia. Lampart warknął wściekle i skoczył na nowego przeciwnika.

Dwuręczny miecz Williama frunął w górę i ugodził zwierzę w pierś. Impet skoku literalnie nabił lamparta na klingę. Lampart wrzasnął, kilkakrotnie szarpnął się kurczowo, usiłując jeszcze dosięgnąć Williama pazurami, a potem znieruchomiał.

W napadzie oprócz zwierząt brali udział i ludzie. Pośrodku obozowiska stali trzej mężczyźni, każdy w habicie i z posochem w ręku. Dwaj wyglądali na pogrążonych w transie – William był pewien, że to oni właśnie dyrygowali napaścią kilku widocznych i wokół lampartów (oraz pewnie jeszcze paru innych, których na razie nie widział) – a trzeci człek w habicie stał i strzegł dwóch pierwszych. William skoczył właśnie prosto na niego.

Nie chcąc się rozpraszać, nie zwrócił uwagi na ludzi skupionych w grupach po dwóch czy trzech, którzy walczyli z dzikimi bestiami. Zwierzęta atakowały zajadle, jakby kierowane wspólną myślą, wspierając wrodzoną dzikość i przebiegłość ludzką inteligencją, usiłowały powalić każdego z żołnierzy, który choć na chwilę dał się ponieść nerwom.

Mag zobaczył biegnącego nań Williama i uniósł posoch, wymierzając go w młodego oficera. William przygotował się do uniku, ale nie wiedząc, jakiego czaru zamierzał użyć przeciwnik, nie mógł ocenić czasu pozostałego na uskok.

I nagle poczuł uderzającą weń falę bólu, a za sobą usłyszał wrzaski trafionych czarem żołnierzy. Zachwiał się, ale natychmiast pojął, że choć boli go wszystko od paznokci po koniuszki włosów, wciąż jeszcze może się poruszać. Mag, który wymierzył weń posoch, gapił się z niedowierzaniem w oczach, nie pojmując, dlaczego nie udało mu się porazić przeciwnika śmiertelnie. W końcu porzucił rozmyślania, cisnął na ziemię bezużyteczny

posoch, wyszarpnął spod habitu paskudnie wyglądający nóż i skoczył na Williama, wydając iście koci wrzask furii.

William podniósł tylko miecz, i przeciwnik niemal bez jego udziału nadział się na sztych. Młody porucznik pchnął z całej siły i zobaczył ostrze gdzieś ponad prawym barkiem maga, który puścił swój sztylet, wywinął białka oczu, osobliwie zagulgotał i skonał.

William szarpnął, uwalniając miecz i rozejrzał się dookoła. Kilku jego towarzyszy leżało na ziemi w drgawkach agonii.

Wrzaski kotów i okrzyki ludzi przekonały go natychmiast, że nie ma czasu do stracenia. Podniósłszy klingę, ciął od ucha najbliższego stojącego maga: tego, którego spotkał w oberży i który się przedstawił jako Jaquin Medosa. Uderzając, poczuł się tak, jakby rąbnął w pień drzewa – Medosa zachwiał się, ale nie upadł. Williama wcale to nie zdziwiło; widział już kilkakrotnie skutki używania magii i wiedział, że wróg korzysta z sił daleko wykraczających poza te, jakie wspierają jego kości czy mięśnie. Niektórzy z magów, pozornie słabi i bezsilni, potrafili podnieść konia albo znieść bez szkody dla siebie cięcie miecza czy uderzenie grotu elfiej strzały.

Na ułamek sekundy mag skupił swą uwagę na Williamie, zanim jednak zdążył podjąć jakąkolwiek akcję, porucznik ciął

ponownie, oddzielając mu ramię od ciała. Medosa z okropnym wrzaskiem padł zalany krwią z okropnej rany, a William szybko skrócił jego udawkę szybkim pchnięciem w krtań.

Ostatni z magów zginął w chwilę potem i nagle odgłosy walki toczącej się wokół młodego oficera uległy zmianie. We wściekłe wrzaski kotów wkradły się nagle nuty przerażenia. Lamparty nadal walczyły – choć teraz tylko po to, by wynieść łby z zawieruchy.

– Precz od zwierząt! – zawołał William.

Koty, mimo iż uwolnione od czaru, pozostawały groźnymi przeciwnikami i młody oficer wiedział, że jeśli szybko ich nie odpędzi, ucierpi jeszcze kilku z jego ludzi.

Zamknawszy oczy, przywołał obraz młodego lwa, potężnego i rozjuszonego tym, iż lamparty ośmieliły się wtargnąć na jego I teren łowiecki. Wyimaginowany lew ryknął wściekle, obiecując lampartom śmierć i zniszczenie. Żaden lampart z własnej woli nie zadrze z dorosłym lwem, o ile tylko będzie miał możliwość ucieczki.

I – jak się tego należało spodziewać – lamparty natychmiast rzuciły się do ucieczki. Ludzie wydali tryumfalny wrzaski i choć przez kilka chwil jeszcze panowało zamieszanie, niebawem w obozie zapanował spokój.

Sierzancie Matthews! – zawołał William.

Jestem! – rozległ się jęk. William odwrócił się i zobaczył sierżanta, który szedł ku niemu chwiejnym krokiem, trzy mając się za lewe ramię, z którego lała się krew.

Opatrzcie ranę, a potem meldujcie – polecił mu William. | Z namiotu wychylił się Diuk Radswil i jego syn, obaj zbroczeni krwią. – Czy Wasza Miłość ma się dobrze?

Diuk kiwnął głową, tocząc wkoło oszołomionym wzrokiem.

– Te cholerne kociska... Niczego nie rozumiem. Lamparty nie polują w stadach...

– Spójrzcie! – zachnął się poblady nagle Kazamir. William popatrzył na trzech zabitych przez siebie magów i przekonał się, że ich ciała ulegają przemianom. Współ z innymi był świadkiem tego, co widziało niewielu ludzi: przemiany maga w kształt właściwy jego totemowi. Drugi z zabitych przezeń magów, ten o zaskakującej odporności, zmienił się w wielką, czarną panterę. William obejrzał cielsko.

Ten napadł na Waszą miłość – stwierdził, zwracając się do Diuka.

Skąd wiecie? – zapytał Diuk, równie blady jak jego syn.

Tu raniłem go poprzednio – odparł William, wskazując długą ranę na kocim boku. Potem wskazał odrąbaną łapę.

– A tu, ot, odciąłem mu ramię. To był człowiek spotkany przez nas w oberży, Jaquin Medosa.

Medosa. Ja go poznaję – stwierdził wyłaniający się zza pleców krewniaków księżę Vladic, który wykpił się ranami znacz nie mniejszymi niż jego kuzyn czy stryj.

Żyjecie... – stwierdził William z ulgą w głosie.

Mój kuzyni stryj walczy li jak bohaterowie – odpowiedział Vladic. – Przewrócili stół i broniliśmy się z za niego. Obawiam się, że walcząc w mojej obronie, odnieśli kilka poważnych ran.

A księżniczka? – spytał William.

Była za mną – odparł Vladic. – Wraca do siebie w na miocie.

William rozejrzał się dookoła, szacując wzrokiem straty.

Ile było tych kotów?

Co najmniej tuzin – odpowiedział jeden z żołnierzy.

– Może i więcej, sir. William potrząsnął głową.

Przywołanie Totemu. Czar rzadki i potężny. Wasza Miłość, ci, którzy chcą cię zabić, wynajmują ludzi o niemałej wiedzy i mocy. Niewielu magów potrafi dokonać tego, co zrobili ci trzej.

Pochlebiacie mi, mości poruczniku – odezwał się Diuk.

– Ci ludzie nie zamierzali zabić mnie.

Nie rozumiem, sir? – zdziwił się William.

Oni przyszli po mnie – odezwał się Vladic. – Mogli bez trudu zabić stryja, ale chcieli mnie.

William nadal niczego nie rozumiał.

– Pozwólcie, poruczniku, że wam to wyjaśnię – rzekł Diuk, krzywiąc się lekko, gdy jeden z żołnierzy zaczął opatrywać mu ranę. – Gdybyście nie odesłali mnie do obozu, byłbym wespół z waszymi ludźmi nadal na tropie tej bestii, kiedy lamparty uderzyły na obóz. I pewnie wszyscy by tu zginęli. Mogę wam udzielić dokładniejszych objaśnień, kiedy ten pocziwiec opatrzy mi ranę do końca, ale ujmując rzecz w skrócie: ktoś chciał zabić następcę tronu Olasko. I chcieli to uczynić na waszej ziemi, niemal tuż pod nosem waszego Księcia.

William poczuł, że jego żołądek ściska zimna, żelazna obręcz. Nie był to więc zwykły zamach na szlachcica z sąsiedniego królestwa; ktoś zamierzał rozpętać wojnę.

# ROZDZIAŁ 8

## **NAPASĆ**

Słudzy pobiegli przodem.

William dał znak Matthewsowi, by przed zapadnięciem zmroku kazał przeszukać najbliższą okolicę oberży, a tym-1 czasem służba wprowadzała Diuka i członków jego rodziny do środka. Po ataku magów William dokonał szybkiej oceny sytuacji, rozważył kilka możliwości i podjął decyzję.

Podstawą do jej podjęcia było kilka znanych mu faktów. Po pierwsze, atak, którym kierowało kilku magów, został zaplanowany i przeprowadzony bardzo dokładnie – co oznaczało, iż napastnicy zawczasu wiedzieli o tym, że Diuk będzie wtedy przejeżdżał. William na razie wolał się nie zastanawiać nad tym, czy tamci mieli szpiega w pałacu, czy też po prostu ktoś spostrzegł wyjazd grupy i jakimś magicznym sposobem zdołał ich o wszystkim powiadomić. Chciałby, żeby był tu z nim James, który uwielbiał tego rodzaju spekulacje i czuł się wtedy jak ryba w wodzie. Jego sprawą była walka: taktyka, strategia, zaopatrzenie, uzupełnianie strat, a na koniec wreszcie atak i obrona.

Drugim faktem, który musiał wziąć pod uwagę, były poniesione straty: poległo siedmiu z jego dwudziestu ludzi i połowa służących. Wedle wszelkich rachunków zostali zaatakowani przynajmniej przez dwa tuziny wielkich kotów – i w rezultacie tuzin ludzi zginęło, zanim ktokolwiek zdążył się w czymkolwiek zorientować. Diuka, Kazamira i Paulinę uratowała jedynie przytomność umysłu księcia Vlatica, który zdążył



przewrócić stół i zebrał za nim krewniaków. Obrońcy zabijali wszystko, co próbowało przeleźć czy przeskoczyć nad przeszkodą.

Inne szczegóły napaści były niejasne. Niektórzy ze służących opowiadali o tym, że widzieli wśród lampartów ludzi odzianych w czarne habity, inni o tym nie wspominali. Diuk Radswil, Kazamir, Paulina i księżę Vladic zgodnie utrzymywali, że nie widzieli żadnych ludzi w czerni.

William ocenił, że Diuk jest zbyt poważnie ranny, by wracać do Kronloru konno, postanowił więc wysłać do miasta gońców po jakiś powóz i poczekać w oberży na posiłki. Poprosił też, by wraz ze wzmocnieniem przysłano mu uzdrowiciela. Sierżant Matthews zdołał zatrzymać gwałtowny wyciek krwi płynącej z ramienia Radswila, stosując klasyczny żołnierski polowy opatrunek, ale bandaż robił się coraz bardziej wilgotny, a Diuk tracił siły.

Księżniczka Paulina też potrzebowała pomocy, w jej przypadku jednak William zupełnie nie wiedział, co robić. Dziewczyna kuliła się w kącie izby, milczała i wcale nie przypominała zachowaniem niedawnej uwodzicielki – wyglądała na przerażone dziecko.

Gdy zapadła noc, William dokonał pospiesznego przeglądu ludzi i koni. Mieli dość żywności i broni, ale z jedenastu żołnierzy, którzy mu zostali – posłał do miasta trzyosobowy patrol – trzech byli poważnie ranni. Wliczając dwóch księżąt, na wypadek ataku na oberżę miał pod swoimi rozkazami tuzin ludzi zdolnych do obrony. Nie mógł liczyć na oberżystę i jego rodzinę – w razie utarczki cywile przysparzali więcej kłopotu niż pożytku.

Myślał o tym wszystkim, gdy skończył inspekcję i wracał do oberży. Wszystko, co wiedział o magii, brało się z jego wychowania w Stardock, które było zorganizowaną społecznością magów, poświęcających się badaniom i studiom nad Sztuką.

Słyszał jednak historie, które czasami opowiadali sobie młodszy uczniowie, brane przez niego za wymysł wybujałej wyobraźni – opowieści o mrocznych praktykach i tajnych obrzędach, przeprowadzanych przez sługusów złych mocy. Na każdego maga przybywającego do Stardock, by przyłączyć się do wielkiej i cudownej sprawy, przypadał przynajmniej jeden, który trzymał się od wyspy z daleka. Niektórzy kierowali się nieufnością, inni mieli własne mroczne ambicje i powody.

Jedne z tych opowieści dotyczyły magów sprzedających napoje służące złym sprawom i talizmany poświęcone mrocznym mocom, inne kreśliły wizje ludzi służących szalonym bogom. Niektóre z obrzędów, o jakich opowiadano sobie ukradkiem, były krwawe i pełne okrucieństwa, ale William aż do tej pory uważał wszystkie te historie za utkane z tej samej materii, z jakiej snuto krążące przy obozowych ogniskach bajdy do straszenia dzieci.

Teraz jednak młody porucznik zrozumiał, że przynajmniej niektóre z nich były prawdziwe.

Pogrążony w myślach o magii ocknął się dopiero w izbie gościnnej oberży. Powróciwszy do rzeczywistości, spostrzegł, że dwaj żołnierze trzymają pod strażą człowieka, który się przedstawił jako Sidi.

Dlaczego tu zostałeś?

Oberżysta mi powiedział, że jutro ma się tu zjawić bogaty kupiec – wyjaśnił właściciel krogulczego nochala. – Pomyślałem, że zamiast ryzykować samotną podróż, może będzie lepiej, jak tu zaczekam, a potem pojedę razem z nim, pod ochroną jego zbrojnej eskorty. I chyba miałem rację – dodał, spojrzawszy na pokiereszowanych żołnierzy i służących, którzy wciąż jeszcze opatrywali rannych.

William nie mógł się pozbyć podejrzeń.

– Wśród tych, co nas napadli, był człowiek, z którym wczoraj jadłeś obiad... przedstawił się jako Jaquin Medosa.

Choć Sidi być może podejrzewał, że go badają, doskonale udał niewinność i zaskoczenie.

Był bandytą?

Nie, magiem. I miał kompanów.

Wiecie, tak właśnie myślałem – przyznał Sidi. – Mówił z przejęciem o pewnej potędze, której służył; ja, co prawda, myślałem, że chce tylko zrobić na mnie wrażenie, żebym zapłacił za jego posiłek. Ale na bandytę mi nie wyglądał – dodał, potrząsnąwszy głową. William doszedł do wniosku, że nie ma podstaw do podejrzewania tego człowieka o jakikolwiek udział w niedawnej napaści. Gdyby było inaczej, z pewnością nie siedziałby tak spokojnie w tej oberży. – Mielście szczęście, poruczniku – odezwał się Sidi. – W moich podróżach dowiedziałem się co nieco o magii i wiem, że dla kogoś, kto nie zna ochronnych zaklęć albo nie ma jakiegoś talizmanu, nawet niezbyt biegły mag może się okazać śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

William podniósł dłoń, pokazując pierścień, który otrzymał od Jamesa.

– Oto, co mi uratowało życie. Włożyłem go dla całkowicie innej przyczyny, ale osłabił rzucony na mnie czar na tyle, że zdołałem zabić tych magów.

Mówiąc to, śledził bacznie wyraz twarzy rozmówcy, ciekaw wrażenia, jakie na nim wywrze wieść o śmierci napastników, ale Sidi zdziwił się tylko.

Magów? Więc Jaquin nie był sam?

Wszyscy nie żyją– powiedział William, kiwnąwszy głową.

W tejże chwili z góry zszedł po schodach sługa.

– Mości poruczniku, rana Diuka wygląda coraz gorzej – powiedział, zbliżywszy się do Williama.

William ruszył ku schodom, ale zatrzymał się, gdy poczuł dotyk dłoni Sidiego na swoim ramieniu.

– Pozwólcie, że pójde z wami. Leczenie nie jest sztuką całkowicie mi obcą. – Porucznik wahał się przez chwilę, ale w końcu skinął głową. – Mam w kieszeniach kilka środków, które mogą się przydać – dodał Sidi.

William skinieniem ręki posłał żołnierza z Sidim, a potem spieszenie ruszył do izby zajętej przez Radswilę.

Była to największa izba w całej obozowicy, ale tak czy owak wedle wszelkich miar pozostawała ciasną izdebką. Diuk leżał na łóżku. Miał bladą i pokrytą kroplami potu twarz. W chwili | po wejściu Williama zjawił się Sidi z dużym skórzany workiem. Kazimir i Vladic patrzyli bez słowa, jak ludzie usuwają | się na boki, dając przejście medykowi. Sidi położył worek na | łóżku obok rannego i zbadał ranę.

Wdało się zakażenie – stwierdził po chwili. – Ale jest tu coś jeszcze, co w nienaturalny sposób pogarsza sprawę.

Istota, która go zraniła, nie była zwykłym zwierzęciem – rzekł cicho William.

Sidi milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

W moich podróżach widywałem już rany, które się nie goiły. Skrytobójcy używają sztyletów powlekanych magicznymi truciznami, a niektóre zwierzęta też potrafią zadawać rany, co same się psują. Niewiele wiem o tych sprawach, ale mam proszek, który może opóźnić rozwój zakażenia, dopóki nie dowieziecie go do świątyni.

Mów do mnie, człowieku – zachnął się Diuk. – Jeszcze nie umarłem!

Zechciejcie mi wybaczyć, wielmożny panie – sumitował się Sidi. – Ujrzawszy was wczoraj, od razu poznałem, że jesteście wielkim panem.

Obawiam się, że nie mam pojęcia, jak ] się zwracać do tak znacznej osoby.

Panie Diuku, ten człek nazywa się Sidi i twierdzi, że może wam pomóc.

Niech robi, co może – odezwał się Radswil, który bladł z minuty na minutę. – Proszę... – dodał po chwili.

Sidi rozwiązał worek i wyjął zeń jakiś pojemnik.

Panie, to nie będzie przyjemne – ostrzegł.

Człowieku, rób, co trzeba... wytrzymam.

Ciało wokół rany było nienaturalnie białe i opuchnięte, z rany zaś sączyła się krew zmieszana z lepkim, białawym i paskudnie śmierdzącym zgnilizną płynem. Sidi otworzył pojemnik i obficie posypał ranę zielonym, znajdującym się wewnątrz proszkiem. Diuk syknął cicho przez zaciśnięte zęby. Kazamir wychylił się zza pleców Williama i ujął ojca za rękę. Diuk ścisnął palce syna, I a w jego oczach pojawiły się łzy.

Na wszystkich bogów! – stęknął po chwili. – To piecze jak żelazo do wypalania ran!

Bo działa bardzo podobnie – stwierdził rzeczowo Sidi. – Proszek wypala ranę. Nie zawsze sztuka się udaje, ale w przeszłości bardzo często pomagało.

Diuk odchylił głowę i spojrzał w sufit.

– Teraz się chyba prześpię...

Obecni szybko wyszli z izby – z ojcem został tylko Kazamir. Gdy inni schodzili po schodach na dół, Vladic wziął Williama na stronę.

– Mości poruczniku, jaka jest sytuacja?

William doszedł do wniosku, że najlepiej będzie niczego nie ukrywać.

Mamy dwanaście mieczy, i w razie czego możemy się bronić w tej obozynie. Jutro rano do południa możemy się spodziewać przybycia posiłków,

a ja poprosiłem, by przysłano z nimi uzdrowiciela dla waszego stryja, są więc duże szanse, że się z tego wygrzebie.

Zakładając, że wszyscy dożyjemy chwili, w której przy będą posiłki – stwierdził Vladic rzeczowo. Po chwili namysłu spojrzął na Williama. – Spodziewacie się jeszcze jedne go ataku?

William nabrał tchu w płuca, a potem powoli wypuścił powietrze.

Nie wiem, czego oczekiwać, wolę się więc przygotować na najgorsze.

Powiedzcie mi coś więcej o tej napaści. Mówiliście wcześniej, że wiecie co nieco o magii. Skąd się wam to wzięło?

Mój ojciec jest Diukiem Stardock. Ja się tam urodziłem i wychowałem. Wiele widziałem i słyszałem. Ci, co nas zaatakowali, mieli w swoich szeregach przynajmniej jednego, a może i dwóch magów Ścieżki Mniejszej Magii. Ten, co się zaczął na waszego stryja... – William umilkł na chwilę, a potem podjął wątek. – Niektórzy magowie składają przysięgę stworowi z totemu, zyskując w zamian pewne zdolności. Jedną z nich jest zdolność do przybierania kształtu tego stwora. Im I dłuższy jest czas, podczas którego mag pozostaje w tej postaci, tym bardziej zbliża się do zwierzęcego sposobu myślenia, przedsięwzięcie jest więc niebezpieczne. Ale im potężniejszy jest mag, tym w potężniejsze zwierzę może się zamienić. To, że i Jaquin Medosa wcielił się w postać czarnej pantery, wskazuje, że był potężnym i utalentowanym magiem. Myślę, że w Stardock można by znaleźć ludzi, którzy go znali, choć pod innym imieniem. Może znał go i mój ojciec. Mag Totemu Lamparta powinien być dość znaną osobą.

Czemu potężny mag miałby pragnąć mojej śmierci?

Powodów do zabicia księcia krwi może być tyle, ilu ambitnych i żądnych władzy ludzi znajdzie się w waszym kraju – odpowiedział William. – Motywem może być którykolwiek z nich.

Skrytobójcy?

Tak mniemam, bo nie umiem znaleźć lepszego wytłumaczenia, chyba że macie wrogów, którzy są jakoś powiązani z magami. Na dworze Księcia Aruthy znajdziecie ludzi, którzy potrafią wam rzec więcej niż ja. Wszystko, co wiem, jest oparte na domysłach, a te nie są wiele warte.

Książę zamyślił się na chwilę.

I tak daliście mi wiele do myślenia, mości poruczniku. – Potem spojrział mu prosto w oczy. – Ale czemu myślicie, że j dziś w nocy może się jeszcze coś zdarzyć?

Jeżeli napastników było tylko trzech, to nic nam nie grozi. Choćby i wyszli z tego cało, są zbyt zmęczeni, by podejmować jakieś działania przeciwko nam. Wezwanie tak wielu zwierząt spod znaku totemu to wyczyn, po którym trzeba przynajmniej przez kilka dni wypoczywać, zbierając siły. Dlatego było tam dwóch tych magów. Trzeci miał ochraniać kierujących napaścią zwierząt.

Vladic kiwnął głową.

– A wy, jak zdołaliście się oprzeć jego czarowi?

Ochronił mnie ten pierścień. – William podniósł rękę.

Cenny talizman. Ale czemu go włożyliście?

William nie potrafił ukryć zdradzieckiego rumieńca, który wypełził mu na policzki.

Ehm... właściwie to dał mi go przyjaciel, żebym mógł się oprzeć czarowi waszej kuzynki i poświęcić swoje myśli służbie i obowiązkom.

Daleko zajdziecie, poruczniku. – Vladic lekko się uśmiechnął. Potem spojrział ku głównej izbie. – Powinniśmy coś zjeść. Nie sądzę, byśmy mieli spokojną noc.

A to czemu, Wasza Miłość? – spytał William, gdy obaj szli schodami w dół.

Bo dam głowę, że ci, co zadali sobie sporo trudu, by przy gotować tak zmyślną zasadzkę, z pewnością obmyślili i plan zapasowy, na wypadek gdyby pierwszy się nie powiódł.

Nie będę się spierał – odpowiedział William, idąc za księciem i obracając już w myślach kolejne plany obrony oberży.

Zaczął od tego, że obstawił ludźmi każde wejście do budynku. Wycofał dwóch, którzy wcześniej oporzadzali konie, zakładając, iż każdy człowiek poza oberżą będzie narażony bardziej niż inni. Dwóch żołnierzy postawił przy drzwiach kuchennych, a dwóch przy głównych. Jedne i drugie wejście zaparto solidnymi, dębowymi belkami, choć pierwsze spojrzenie na zawiasy przy obu drzwiach powiedziało mu, że mogły one co najwyżej powstrzymać podpitego awanturnika od otwarcia drzwi kopniakiem; żelazo mocno zardzewiało i mocniejsze pchnięcie mogło wyrwać ćwieki z drewna. Obsadził też ludźmi oba okna na parterze. Na górze zostawił sierżanta Matthewsą na warcie przed drzwiami do izby Diuka. Drugi człowiek na piętrze z okna na końcu korytarza miał oko na przedstawenny dziedziniec za oberżą.

Pozostałych sześciu ludzi ułożyło się do snu pod stołami w izbie ogólnej z bronią w zasięgu ręki. Raz czy dwa razy podczas ćwiczeń w terenie Willamowi udało się zasnąć w zbroi, doszedł jednak do wniosku, że nie ma do tego smykałki, a próby zaśnięcia tylko go jeszcze bardziej zmęczą.

Siedział teraz przy stole, na którym jedli posiłek poprzedniego dnia, i był tak podenerwowany, że nawet nie próbował zasnąć. Odtwarzając po raz setny w pamięci wydarzenia minionego dnia, zapomniał o upływie czasu. Rozumiał, że wobec obrotu wydarzeń był bezsilny i zrobił, co mógł, ale miał wrażenie, że nie za bardzo się popisał. Na górze leżał ciężko ranny powierzony jego pieczy szlachcic z sąsiedniego królestwa, kilku jego



podwładnych zginęło, i niewiele brakło, a wszystko byłoby przepadło. Był pewien, że Kapitan Treggar niejedno mógłby mu wytknąć.

Zmęczony tymi rozmyślaniami, osuwał się już w objęcia snu, kiedy jakiś ruch tuż obok obudził jego czujność. Okazało się, że stoi przed nim Sidi.

Przepraszam, poruczniku... nie chciałem was budzić.

Nic się nie stało. Nie mogę sobie pozwolić na sen.

Jeżeli przyjdą, to już niedługo. Do świtu zostały niecałe dwie godziny.

Obcy miał rację. Przedświt był porą, kiedy ludzi najmocniej morzył sen, i dowodzący wszelkimi akcjami wykorzystywali tę porę, gdy tylko mogli.

William uważnie zmierzył wzrokiem dziwnego nieznanego. Badanie utrudniał mrok panujący w izbie, oświetlonej światłem jednej tylko świecy.

Czym się waść zajmujesz, jeżeli wolno mi spytać?

Pochodzę z małej wioski pod Halden Head, nieopodal Wdowiego Cypla.

William znalazł tę okolicę, choć był tam tylko raz.

Surowy kraj.

Być może, ale jak na moje potrzeby nadaje się akuratnie.

– Z czegoż więc waść żyjesz? Sidi wzruszył ramionami.

– Z handlu. Handluję czym się da: różnymi przedmiotami, klejnotami, rzadkimi minerałami... czasami sprzedaję i kupuję wiedzę.

Ludzie i inne stworzenia, takie jak gobliny i trolle, chętnie sprzedają mi rozmaite dobra w zamian za posiadane przeze mnie towary.

Mam nadzieję, że nie handlujecie z nimi bronią – stwierdził William ostrym tonem.

Mam inne dobra, które cenią gobliny i trolle – odparł Sidi z godnością. – Żeby z nimi handlować, niekoniecznie trzeba być przemysłowcem.

Przepraszam wasi za moją nieufność – westchnął William – ale sami rozumiecie, że w tych okolicznościach...

Rozumiem. Jadłem posiłek z człowiekiem, który zaatakował waszą drużynę. I uprawiam działalność handlową, którą wielu ludzi nazwałoby podejrzaną.

William wbił wzrok w drzwi, jakby się spodziewał, że lada moment ktoś spróbuje je wyłamać.

Nadejdą czy nie? – spytał zmęczonym głosem.

Wkrótce się dowiemy – odpowiedział Sidi.

Minuty wlokły się jedna za drugą, aż w pewnej chwili syknął jeden z wartowników.

Poruczniku!

Co jest? – spytał William, wstając i wyciągając miecz z pochwy.

Jakiś ruch na zewnątrz!

William nadstawił ucha. Przez chwilę nie słyszał nic niezwykłego, ale potem coś obudziło jego czujność. Ktoś albo coś skradało się wokół oberży, prawdopodobnie badając okna.

Zaraz potem na zewnątrz zagrzmiął tupot ciężko walących w biegu o ziemię stóp i drzwi z głośnym łoskotem runęły do środka izby. Nie trzeba było ogłaszać alarmu i leżący pod stołami natychmiast się poderwali z bronią w ręku.

Do izby wpadło czterech ludzi, którzy użyli ciężkiej belki jako tarana. Gdy tylko znaleźli się wewnątrz, natychmiast cisnęli ją na podłogę i choć nie mieli broni, rzucili się na Williama, Sidiego i dwóch wartowników. Za nimi wpadli do izby czterej kolejni napastnicy z bronią w ręku.

William kopnął pierwszego z atakujących w podbrzusze i odwracając się ku Sidiemu, ciął następnego mieczem. Sidi wywijał dziarsko sztyletem, stając przeciwko napastnikowi, który obnażał paskudnie wyglądającą szablę.

Hałas dobiegający góry powiedział Williamowi, że Matthews szuka się na przyjęcie dwóch napastników, którzy kopnęli się po schodach na górę.

Uzbrojeni opryszkowie okazali się znacznie trudniejszymi przeciwnikami niż pierwsi czterej, którzy wpadli do izby z taranem. Z tymi ludźmi Williama rozprawili się sprawnie i skutecznie, ale zbrojni przegrupowali się szybko i następowali teraz czujnie z minami ludźmi, którzy doskonale wiedzą, jak używać broni.

Każdy z napastników odziany był w czerń i miał na głowie kaptur z otworami na oczy. Mieli też luźne, workowate spodnie, powtykane w czarne, niskie i miękkie trzewiki. Dość obszerne czarne koszule kończyły się ciasnymi kołnierzami przy szyjach i mankietami w nadgarstkach – mieli też oksydowaną na czarno broń.

– Precz od drzwi i okien! – zawołał William ku swoim. – Mogą mieć łuczników!

Napastnik atakujący Williama zadał błyskawiczne cięcie szablą, które młody oficer sparował swoim dwuręcznym mieczem. Cała izba rozbrzmiewała już szcękaniem stali uderzającej o stal. Napastnik natychmiast powtórzył cięcie z drugiej strony i William zorientował się, że tamten go tylko próbuje. Młody porucznik celowo opuścił nieco gardę, przewidując, że po trzecim próbnym cięciu natychmiast nastąpi czwarte, które przejdzie ponad jego ostrzem i ugodzi go w pierś.

Zamiast tego napastnik wybałuszył oczy, gdy sztych miecza Williama trafił go w korpus. Zaczynając naukę szermierki, młody porucznik dość wcześnie zauważył, że większość ludzi uznaje długi miecz za broń do zadawania cięć i nie podejrzewa nawet, że mogą dostać sztychem. Ćwiczył to tak często, jak tylko się dało, używając długiego miecza, jak inni używają rapiera czy pałasza. Jeden z instruktorów powiedział mu zresztą kiedyś, że cięcie rani, ale pchnięcie zabija.

Padający nie dotknął jeszcze podłogi, kiedy William zobaczył, że dwaj ludzie w czerni biegną ku schodom. Skoczywszy za nimi, stwierdził, że napastnicy walczą z Matthewsem i jego dwoma podwładnymi. William zwalił jednego z tyłu, a drugi drab zabił żołnierza obok Matthewsza.

Matthews ciął napastnika, który zignorował ranę, i odwróciwszy się, pchnął sierżanta na Williama. Obaj szamotali się przez chwilę, a tymczasem zabójca rzucił się do drzwi pomieszczenia zajętego przez Diuka.

Drzwi rozleciały się z trzaskiem, posyłając na wszystkie strony maleńkie drzazgi. Z komnatki obok izby Diuka rozległ się krzyk dziewczyny.

– Księżniczka! – zawołał William, popychając Matthewsza do izby Diuka. Sam podniósł nogę i z całej siły kopnął w drzwi do pokoiku Pauliny. Wstrząs poczuł aż w biodrze, ale drzwi ustąpiły, otwierając się do środka.

Paulina skuliła się w rogu, zakrywszy dłońmi twarzączkę. W tejże samej chwili okiennica z trzaskiem rozpadła się w deszczu drzazg. Do środka wpadł kolejny, odziany na czarno napastnik. William skoczył nań jak tygrys i trzymając miecz w obu dłoniach, pchnął nim napastnika jak oszczepem.

Czarny skonał bez jednego dźwięku.

William ukląkł obok księżniczki, która podniosła nań pełne przerażenia oczy.

– Nic wam nie jest? – zawołał, starając się krzykiem przebić przez jej przestrach. Księżniczka spojrzała nań i potrząsnęła głową. Przyjął to za zapewnienie, że jej nie skrzywdzono. Nie wiedząc, jak sobie radzą pozostali, mógł jej tylko powiedzieć: – Nie ruszajcie się stąd. Przyślę kogoś, kto was zabierze.

Skoczywszy ku drzwiom sąsiedniej izby, zastał w niej Vladica, Kazamira i Matthewsza stojących nad trupami dwóch napastników. Diuk leżał na łóżku, patrząc błędnym wzrokiem na syna i bratanka, jakby się zastanawiał, kim są.

Zobaczywszy, że bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło, William dał rozkaz Matthewsowi.

– Sierzancie, za mną! – Gdy zbiegli ze schodów, zobaczy li trzech leżących na podłodze martwych gwardzistów otoczonych kręgiem pięciu odzianych w czern i równie jak Krondorczycy martwych napastników. Z kuchni dobiegały jeszcze odgłosy walki. – Sierzancie, pilnujcie schodów – zawołał William i skoczył do kuchni. Podłoga zasłana tu była trupami, wśród których William dostrzegł oberżystę, jego żonę i służącą dziewczkę. Dwaj ranni żołnierze trzymali w szachu ostatniego z napastników, który czał się w rogu z szablą w prawej i sztyletem w lewej ręce. – Żywcem brać! – zawołał William.

Przekonawszy się, że nie ujdzie, napastnik podniósł sztylet i poderżnął sobie gardło.

Żołnierze i William odskoczyli w tył, zdumieni desperackim aktem. William zawahał się na chwilę, ale ukląkł przy napastniku. Czarno odziany nieznajomy gapił się w sufit i charczał ciężko, gdy życie uciekało zeń razem z krwią z rozciętej szyjnej tętnicy.

– Fanatycy! – splunął jeden z żołnierzy, trzymający miecz w lewej ręce, bo prawa zwisała mu bezwładnie.

William kucnął na piętach.

Nie inaczej, fanatycy... – stwierdził ponuro.

Poruczniku, co to za jedni? – spytał drugi żołnierz, zaciskający ręką ranę w boku. – Nocne Jastrzębie?

Nie sądzę – odparł William. Domyślał się, kim mogli być napastnicy, na razie jednak wolał te domysły zachować dla siebie. – Zabezpieczmy oberżę jak się da – stwierdził, wstając. Obaj żołnierze jednocześnie kiwnęli głowami, a jeden spróbował oddać Williamowi honory, młody porucznik zbył go skinieniem dłoni. – Lepiej zadbajcie o opatrunek.

Pospiesznie obejrzał kuchnię. Oprócz ciał oberżysty, jego żony i służącej leżeli tu jeszcze trzej mordercy i dwaj strażnicy, których tu posłał, organizując obronę.

Wytknąwszy głowę przez drzwi wychodzące na dziedziniec przed stajnią, zobaczył, że niebo na wschodzie różowieje blaskiem poranka. Usłyszawszy parskanie koni w stajni, pogratulował sobie w duchu pomysł, by nie zostawiać z nimi żadnych ludzi. Gdyby napastników było jeszcze ze dwóch lub trzech więcej, obrońcy byliby już martwi.

Wróciwszy do izby ogólnej, rozejrzył się dookoła.

Kogoś mi tu brakuje – zwrócił się do Matthews. – Gdzie jest Sidi?

Przepadł gdzieś podczas walki – stwierdził któryś z żołnierzy. – Jeden z tych czarnych rzucił się na niego, a on zaczął się bronić sztyletem. Zabiłem tego, co się na niego zamierzył, a on prysnął w mrok, nie zadawszy sobie nawet trudu podziękowania za uratowanie mu życia.

W tych okolicznościach trudno mieć do niego pretensje – mruknął William. – Może zresztą jeszcze wróci. – Co prawda osobiście William w to wątpił. Z tego, co Sidi opowie dział o sobie, można było wysnuć wniosek, że zdarzało mu się być na bakier z prawem, i z pewnością wolał uniknąć śledztwa, które niechybnie trzeba będzie przeprowadzić, żeby wyjaśnić wszelkie okoliczności wydarzeń w oberży. – Jak wygląda nasza sytuacja? – spytał William Matthews.

Poza wami i mną, sir, mamy pięciu ludzi przy życiu.

Owszem, ale już świta. Myślę, że do czasu przybycia posiłków jesteśmy bezpieczni.

– Sir, sprawdzę, co z ludźmi. Wy może trochę odpocznijcie. William kiwnął głową, a potem wstał.

– Wszystkim nam się przyda trochę odpoczynku. – Zaczął wyciągać trupy na zewnątrz, ale w pewnej chwili się zatrzymał.

h– Sierzancie, chcę, by wszystkie trupy tych czarnych zostały dokładnie obszukane. – W duchu żywił niemal niezachwianą pewnością, że przy nieboszczykach nie znajdą niczego prócz sztyletów i mieczy. Wszelkie przedmioty osobistego użytku, klejnoty i wszystko to, co mogłoby powiedzieć coś o ich tożsamości, zostało przez nich starannie ukryte przed wyprawą.

Gdy Matthews zajął się opatrywaniem podwładnych, William podszedł do pierwszego z leżących na zewnątrz napastników. Klękawszy przy trupie, zdjął mu kaptur z głowy i palcami otworzył usta nieboszczyka. Nieznajomy miał wycięty język.

Młody porucznik przysiadł na piętach i potrząsnął głową. Potem spojrzał na południe.

– Czemu, u licha, keshkańscy skrytobójcy mieliby próbować zabić Księcia Olasko? – spytał sam siebie.

# ROZDZIAŁ 9

## DECYZJE

Arutha zmarszczył brwi.

Stanąwszy obok łoża Diuka Olasko, obserwował, jak kapłan z Zakonu Prandura bada ranę wschodniego magnata.

Kapłan od niedawna służył Arucie; został wybrany przez starszyznę Zakonu, by przez rok pełnić obowiązki duchowego doradcy Księcia Kronodoru. Urząd ten pełnili na zmianę kapłani z rozmaitych miejskich świątyń, z których każda miała przysyłać doradcę na okres jednego roku – choć niektóre wołały się od tego wykręcać – a w tym roku doradcą był Ojciec Belson.

Szczupły, czarnobrody i odziany w iskrzący się refleksami pochodni czerwony habit, kapłan wstał i zwrócił się do Aruthy.

Rana uległa zakażeniu, ale jest w niej coś jeszcze... jakiś magiczny element, który przeszkadza procesowi uzdrawiania. Powiadacie, poruczniku, że proszek, jakim ten... Sidi... posypał ranę, był zielony? – Ostatnie zdanie skierował do Williama.

Nie inaczej, Ojczy – odparł William.

Wrócił do pałacu przed godziną, znużony i brudny. Kiedy rano pod oberżą pojawili się krongorscy gwardziści dowodzeni przez Kapitana Treggara, przywieziony przez nich uzdrawiacz obejrzał rany Radswila i oznajmił, że sam sobie z nimi nie poradzi, i ponaglił Treggara do jak najszybszego powrotu. Pod nadzorem Kapitana zabrano jeden ze stojących za oberżą wozów i podczas gdy żołnierze sposobili go do transportu Diuka



oraz jego rodziny, William złożył raport. Tregar wysłuchał go w milczeniu i wydał rozkazy powrotu do stolicy.

Teraz młody porucznik czekał, aż kapłan skończy oględziny rany.

– Potrafię wypalić zakażenie czarem – zwrócił się Ojciec Belson do stojącego obok ojcowskiego łóża Kazamira. – Ale, jak w prawie całej magii mojej Świątyni, kuracja nie należy do łagodnych.

A poskutkuje? – spytał młody książę, najwyraźniej zmartwiony, choć starający się to ukryć.

Owszem, ale zostanie blizna.

Ojciec ma wiele blizn. Zróbcie, co trzeba, byleście go postawili na nogi.

Wasza Miłość, będzie mi potrzebne czyste ostrze i jakaś lampa do opalenia narzędzia.

Arutha posłał po potrzebne przedmioty i skinieniem głowy polecił Jamesowi, by wyszedł.

– Chodź ze mną. – James z kolei kiwnął na Williama. Młody oficer poszedł za giermkim. Gdy obaj znaleźli się na korytarzu, James odwrócił się do Williama. – Dobrze się spisałeś – stwierdził rzeczowo.

William spojrzał na niego, otworzywszy usta ze zdziwienia.

Dobrze? A kto tak powiedział?

Kapitan Tregar. – James pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. – Mówi, że dokonałeś nie lada sztuki, utrzymując w takich okolicznościach przy życiu połowę swoich ludzi i całą książęcą rodzinę.

A ja myślałem, że mnie wyświęcą z armii. – William westchnął. – Nie czuję się tak, jak człek, który dokazał nie lada sztuki. Wciąż mam przed oczami tych zabitych żołnierzy.

Nie chcę, by to, co powiem, zabrzmiało jak pouczenia starego wygi – odezwał się James. – Ale ja widziałem w życiu dostatecznie wiele krwawych utarczek, by wiedzieć, że najpewniej nigdy nie będziesz umiał

lekką przechodzić obok ludzkich cierpień. Pamiętaj tylko, żeś wybrał żołnierkę jako zawód – a długowieczność nie jest związana z tym zawodem. No, a te raz chodźmy.

Dokąd?

Do książęcego gabinetu.

Ot tak? – spytał William, wskazując na swoje potargane ubranie i brudną twarz.

James znów się uśmiechnął.

– Bywało, że z Jego Wysokością czołgaliśmy się przez kanały ściekowe. Pośpiech jest ważniejszy od czystości.

Akurat dotarli do książęcego gabinetu. Jeden ze stojących obok paziów otworzył drzwi. James wprowadził Williama do saloniku, gdzie Arutha przyjmował gości.

Czekali tam Księżna Anita i bliźniaki.

– Kuzyn Willie! – zawołał na ich widok Bornic. W sekundę później okrzyk powtórzył Erland. Chłopcy zeskoczyli z kanapy, na której siedzieli, podczas gdy matka czytała im książkę, i podbiegli, by przywitać się z młodym żołnierzem.

– Biłeś się! – zawołał Erland. – To wspaniale! William spojrzał na dziewięciolatka ze zmarszczonymi brwiami.

– Inaczej byś mówił, gdybyś tam był. Straciliśmy kilku ludzi.

To przygasiło entuzjazm bliźniaków.

A ty? Zabiłeś kogoś?

Owszem. – William ponuro skinął głową.

Williamie i Jamesie, zanim Książę tu zajrzy, zdążycie się odświeżyć – stwierdziła Anita, wstając z miejsca. Wskazała miskę na stoliku w rogu pomieszczenia. – Zabiorę tych dwóch łobuzów gdzieś indziej.

Oj, mamoo... – zaczął Erland.

Anita podniosła palec do ust, nakazując milczenie.

Sprawy państwowe – powiedziała. – Możecie irytować Williama i Jamesa przy kolacji. Przyjdziecie? – spytała, patrząc na obu młodych ludzi.

Oczywiście, chyba że wasz mąż będzie miał dla nas jakieś zadania – odpowiedział James.

William podszedł do miski i zaczął się szybko myć. Gdy podszedł doń paż z czystą koszulą i kurtką, młody oficer zdjął brudną odzież i umył twarz, dłonie oraz kark; nie zamierzał siadać przy książęcym stole brudny, jakby wyszedł z rzeźni. Właśnie wycierał się ręcznikiem, kiedy do gabinetu wszedł Arutha.

– Diuk się z tego wygrzebie – oznajmił bez wstępu. Skinieniem dłoni zaprosił obu młodzieńców, by usiedli na kanapie, którą przed chwilą opuścili jego żona i synowie. Gdy usiedli, Arutha mówił dalej. – Wydarzenia ostatnich dwóch dni wyraźnie wskazują na to, że Królestwo stoi przed groźbą, równie wielką jak ostatnia napaść moredhelów. Mamy na ulicach zabójców, o których nic nie wiemy, wojnę pomiędzy różnymi grupami rzezimieszków, ktoś systematycznie zabija magów w naszym mieście, inni magowie usiłują zamordować naszych szlachetnych gości, a banda keshkańskich Izmalisów pojawia się daleko na północ od naszych granic z Imperium Kesh – stwierdził Arutha. – Dodając wszystko do siebie... nie pamiętam, by sytuacja kiedykolwiek była tak zagmatwana. – James milczał, a gdy William spojrział na niego, zobaczył, że przyjaciel daje mu znak głową, by nie zadawał Księżciu żadnych pytań ani mu nie przerywał. Nastąpiła chwila ciszy, po czym Arutha zwrócił się do swego giermka.

– Jamesie, mam dla ciebie zadanie.

Kolejne? – Uśmiechnął się James.

Nie, to samo, co poprzednio, tyle że mogę je już określić nieco dokładniej. – William siedział bez ruchu, oczekując, że lada moment zostanie odesłany do pełnienia służby. Arutha zauważył niepewność młodego oficera. – Przypuszczam, że moja żona zaprosiła cię na kolację? – William kiwnął głową. – To dobrze, ponieważ ty też będziesz miał w tym swój udział.

Ja? – spytał William.

Arutha uśmiechnął się lekko do przyszywanego krewniaka.

– Masz wrażenie, jakbyś się dopuścił zaniedbania w służbie?

– William znów kiwnął głową. – Niełatwo przejść do porządku dziennego nad utratą ludzi oddanych ci pod komendę – stwierdził Arutha. – A jeżeli się to zdarzy podczas wykonywania pierwszej misji... cóż, może to mieć fatalny skutek dla psychiki.

William poczuł, że do oczu cisną mu się zdradzieckie łzy, zdołał je jednak rozpedzić, mrugnąwszy kilkakrotnie. Poczuł też ogromną ulgę.

Dziękuję, sir – odpowiedział cicho. Arutha milczał jeszcze przez dość długą chwilę.

To, co zostanie tu powiedziane, nie może się wydostać poza ściany tej komnaty – stwierdził wreszcie. Obaj młodzieńcy zgodnie kiwnęli głowami. – Jamesie, od dwóch lat wciąż się zastanawiasz nad potrzebą i sposobami utkania siatki wywiadowczej. – James nie odpowiedział. – Chcę, żebyś przestał się nad tym zastanawiać i zabrał się do jak najspiesniejszego jej budowania. Młody William ci w tym pomoże.

– Ja, Wasza Miłość? Arutha spojrział nań karcąco.

– Im dłużej żyjesz w Krondorze, tym głębiej rozumiesz fakt, iż władca nie może za bardzo szafować swoim zaufaniem. Oczywiście wielu jest ludzi gotowych przysięgać wierność tronowi do ostatniej kropli krwi, ale ich własna natura sprawia, że , nie można im ufać, ponieważ żywią

uprzedzenia, o których nic nie wiedzą, dopóki nie nadejdzie kryzys. Ty zaś podczas ostatnich dwóch dni udowodniłeś, że nie tracisz głowy... a poza tym jesteś synem Puga.

Twarz Williama spochmurniała nieco, gdy usiłował zachować obojętność.

Słucham, sir? – spytał niepewnym głosem.

Wiem, że poróżniłeś się z ojcem w sprawach służby mi i tronowi. Możesz być pewien, że kilka razy mi o tym wspomiano. Uważam, że Pug żywi szczególną lojalność wobec rodziny i kraju. Doświadczył rzeczy, o których wy ani ja nie mamy pojęcia, a jednak pracuje dla ogólnego dobra. Gdybyś był człowiekiem, któremu nie mogę zaufać, wiedziałbym o tym na długo przed twoim przybyciem do Kronloru. A poza wszystkim innym – zakończył przemowę Arutha – jako jeden z młodszych oficerów będziesz ostatnim, którego ktokolwiek mógłby podejrzewać o to, że ma na dworze jakąś szczególną pozycję.

– A co ze mną? – spytał James. Arutha zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Oficjalnie nadal pozostaniesz moim giermkim, obaj jednak będziemy wiedzieli, jak jest w istocie... Pozwalam ci też powoływać się na mnie w tych przypadkach, w których uznasz, że władza związana z twoją publiczną pozycją może się okazać niewystarczająca. – James uśmiechnął się jak wilk, któremu ktoś wręczył klucze do owczarni. – Na koniec, jeżeli tobie i Locklearowi uda się przeżyć, otrzymacie tytuły baronetów – podczas ostatnich kilku lat obaj zaskarbiliście sobie u Korony dług wdzięczności, który wystarczyłby na kilka takich tytułów. Gdybym przyznał je wam teraz, ściągnęło by to na was niepożądaną uwagę obcych. Interesują mnie ci ludzie, którzy się chcieli z tobą skontaktować przed kilkoma dniami.

Mnie też. – Kiwnął głową James. – A zakładając, że niektórzy z moich informatorów są już prawdopodobnie karmą dla ryb w krondorskiej zatoce, powinienem się zastanowić, kim ich zastąpić.

Tu może ci się przydać pomoc młodego Meansa. Musisz zwerbować kilku – nie więcej niż pięciu – którzy będą cię znali z twarzy i imienia. Oni muszą się zająć resztą, włączając w to werbunek pozostałych informatorów i agentów. W przyszłości wyślę cię do pozostałych miast w Królestwie, a także za granicę, tak by powstała prawdziwa siatka. Zajmie to pewnie całe lata. – Książę wstał, a dwaj młodzi natychmiast podnieśli się z krzeseł. – Ale na razie... spróbuj utkać sieć tu, w Krondorze... i nie daj się przy tym zabić.

Do tej pory jakoś sobie radziłem – stwierdził James niedbale.

Dlatego właśnie powierzam tę robotę tobie, mój przy szły Diuku.

James uśmiechnął się szeroko, bo był to stary żart Księcia.

To znaczy, że któregoś dnia dacie mi tytuł Diuka Krondoru?

Może. Jeżeli pierwszej cię nie powieszę – stwierdził Arutha, prowadząc obu gości do jadalni. – Choć podejrzewam, że jeżeli uda ci się utkać sieć wywiadu, który będziemy mogli przeciwstawić keshkańskiemu, wylądujesz pewnie w Rillanonie. Pod wieloma względami tam taka siatka jest potrzebna bardziej nawet niż tutaj. – Ignorując dworski protokół, Arutha własnoręcznie otworzył drzwi. Ujrawszy, że otwarto je od środka, dwaj paziowie stojący wewnątrz jadalni kopnęli się co tchu do krzeseł. William usiadł na końcu stołu, zaraz za Jamesem. Młody oficer popatrzył ciekawie na towarzysza, by zobaczyć, jak ten przyjął postawione przed nim przez Księcia zadanie, i zobaczył, że James już się pogрузzył w myślach i zastanawia się, od czego zacząć. – Skończymy tę rozmowę później – oznajmił Arutha. Potem Książę zajął się żoną i dziećmi.

Księżniczka Elena podśpiewywała jakąś piosenkę swojej lalce, którą posadziła obok swego talerza. Dziewczynka co chwila informowała Williama i Jamesa, że lalce nie podoba się posiłek, głównie dlatego, iż obaj siedzący obok chłopcy nieustannie płatali sobie i Elenie figle.

James kiwnął Williamowi głową.

— Stawiam każde pieniądze na to, że zanim wstaniemy od stołu, lalka zostanie uprowadzona.

William łypnął na knujących coś zdradzieckiego Erlanda i Borrica.

– Nie będę się zakładał. – Kolacja minęła w spokojnym i miłym nastroju; Anita zadawała Williamowi pytania, pomagając mu przebrnąć przez opowieść o jego misji bez wdawania się w szczegóły, które mogłyby zepsuć humor dzieciom.

Po kolacji Arutha wstał i skinieniem dłoni wezwał obu młodzieńców, by poszli za nim do gabinetu. Gdy wyszli, na korytarzu dogonił ich pełen gniewu okrzyk księżniczki.

Mamo! Bornic zabrał mi lalkę.

No i byłbym przegrał – stwierdził filozoficznie James. – Lalka przetrwała do końca kolacji.

Ale niewiele dłużej. – uśmiechnął się William.

Gdy doszli do drzwi gabinetu Aruthy, James otworzył je przed Księciem.

Książę wszedł, a potem giermek zachęcił Williama, by wszedł za nim. Następnie zamknął drzwi i dołączył do stojącego przed książęcym biurkiem towarzysza. Książę skinieniem dłoni zaprosił obu młodych ludzi, by usiedli.

Spero o tym myślałem, mój giermku, i choć wiem, że wolisz chodzić samopas, chcę, byś mi meldował o każdym nowym agencie, którego będziesz chciał zwerbować.

To spowolni całą procedurę, Wasza Wysokość – stwierdził James.

Wiem, ale wolę nie spuszczać sfory agentów zbyt szybko ze smyczy. Chcę, byśmy znaleźli ludzi, na których będziemy mogli polegać.

– Ja też o tym myślałem, Wasza Miłość – rzekł James.

– A może lepiej będzie założyć dwie siatki agentów?

– Co masz na myśli?

1– Chodzi o to, że mógłbym wynająć kilku informatorów wśród tragarzy i służby w oberżach, takich jakich zatrudniałem do tej pory, jakbym chciał zastąpić zabitych, albo tych, co uciekli... a jednocześnie skrycie tkalbym sieć prawdziwych agentów.

Brzmi to niegłupio, ale zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że ci, których wynajmiesz mniej lub bardziej jawnie, zapłacą za sprawy i sprawki twoich prawdziwych agentów?

Wiem, Wasza Wysokość – odpowiedział James. – Ale to twarda gra. Ludzie i teraz umierają, a ci, co zechcą przyjąć złoto Korony za udział w tajnych zmaganiach, powinni wiedzieć, że wiąże się to z ryzykiem. Nie zamierzam zresztą nikogo wystawiać na odstrzał, a jeżeli uda mi się zwerbować kilku niegłupich informatorów i osiłków, którzy będą dostatecznie przebiegli, by zwieść naszych przeciwników, tak by uznali ich za nieszkodliwych, może nie będą musieli płacić za nie swoje sprawki.

Wcale mi się to nie podoba – stwierdził Arutha. – Ale... jest wiele aspektów działalności Korony, które mi się nie podobają. – William siedział w milczeniu z lekko zaskoczoną miną.

– Rozumiesz? – spytał go Arutha.

– Słucham?

-- Pytam czy rozumiesz, że dla dobra służby trzeba czasem popełniać nawet odrażające czyny?

William milczał przez chwilę, a potem otworzył usta.



Sir, podczas minionego roku dowiedziałem się, co znaczy pełnić służbę i nosić broń. Na ćwiczeniach zdobywamy połowę wiedzy. Zabijanie ludzi to prawie cała druga połowa. Ale przyglądanie się i śledzenie towarzyszy... ludzi, których bezpieczeństwo powierzyli mi przełożeni... myślę, że rozumiem.

To dobrze, ponieważ jesteś jedynym młodszym oficerem, któremu mogę zaufać całkowicie... w stopniu wykraczającym poza zwykłą przysięgę na wierność Koronie. Twój ojciec nie żądał niczego za to, iż go przyjęto do rodziny – zresztą nie potrzebował – ale była to bardzo poważna ofiara ze strony mojego ojca wobec chłopca, którego uznał za zaginionego i ocenił, że jest godny tego, by nosić nasze nazwisko. Dzieci nazywają cię i kuzynem Willie, co czynią z sympatii, ale nieświadomie trafiają w sedno: jesteś z conDoinów. Jeżeli nie zdajesz sobie jeszcze sprawy z odpowiedzialności, jaką to na ciebie nakłada, nadszedł czas, byś ją sobie uświadomił.

William siedział przez chwilę w bezruchu, a potem na jego twarzy zaświtało zrozumienie.

Do tej pory nie przyszło mi to do głowy, Wasza Miłość. Ale zaczynam to rozumieć.

To dobrze – odpowiedział Arutha, uśmiechając się po swojemu. – Nie wątpię, że James przyspieszy ten proces, o ile wcześniej obaj nie dacie się zabić.

Co mam robić, Wasza Miłość? – spytał William.

Studiować, chłonać wiedzę, okazywać posłuch przełożonym, nadstawiać pilnie ucha i robić swoje. Od czasu do czasu James poprosi cię, byś zostawił swe zwykłe zajęcia – wtedy masz mu pomóc w każdym podjętym przez niego przedsięwzięciu. W miarę upływu czasu, Williamie, zechcę, byś poznał każdego człowieka oddanego ci pod komendę. Zakarbuuj sobie w

pamięci tych, którym będzie można powierzać szczególnie trudne zadania. Ostatnio służba w Gwardii Przybocznej stała się zajęciem... ceremonialnym. Czas to zmienić. Postaram się z czasem, by wszyscy pojęli, że moja straż przyboczna to wybrańcy z wybranych i najlepsi z najlepszych, ale na razie niech zostanie, jak jest. Gdybyśmy te zmiany wprowadzili teraz, ostrzeglibyśmy tych, którzy stoją za tym całym zamętem w moim mieście, że zamierzamy dobrać im się do skóry. – Arutha usiadł i złożonywszy dłonie, ukształtował daszek z palców, co było jedynym nerwowym gestem, na jaki sobie czasem pozwalał. Po chwili podjął wątek. – Mamy dość dowodów na to, że w naszym państwie działają siły zmierzające do rozpętania chaosu. Nie wiemy tylko, czy wróg jest jeden, czy może kilku, którzy zawarli chwilowy sojusz. Jastrzębie? Czy ich napaść wiąże się w jakiś sposób z tymi Izmalisami? Dlaczego keshkańscy zabójcy tak uparcie starali się zabić Radswiła i Vladica?

Gotów jestem podejrzewać, że gdyby opracowali nieco lepszy plan, nie siedziałbyś tu dzisiaj z nami, Williamie. – William bez słów kiwnął tylko głową. – I kolejne pytanie – dodał Arutha.

– Czemu ktoś zabija magów?

Dobrze byłoby – stwierdził spokojnie James – gdyby był tu z nami Pug albo Kulgan.

Pug zamierza przysłać tu nowego nadwornego maga. Po tej całej sprawie z Makalą i tsurańskimi Wielkimi mamy teraz tych zmiennokształtnych i zabójców mordujących magów...

– Książę westchnął. – Myślę, że Pug ma rację. Powiadomię go, by przysłał tu tę dziewczynę.

Jazhara! – William wytrzeszczył oczy.

Owszem – rzekł Arutha.

Ale ona jest...

Wiem! – uciał Książę. – Jest kuzynką Hazara-Khana. Którego – spojrzał koso na Jamesa – jest, wedle moich podejrzeń, twoim przeciwnikiem na imperialnym dworze Wielkiego Kesh.

Podchlebiasz mi, Wasza Miłość – odpowiedział James. – Żeby utkać sieć agentów tak dobrze, i tak biegłych, jak on to uczynił, trzeba będzie przynajmniej z dziesięć lat.

Nie podoba ci się wieść, że ona tu przyjedzie? – spytał Arutha Williama.

Nie... jestem tylko zaskoczony, Wasza Miłość.

A to czemu?

William na chwilę uciekł spojrzeniem w bok.

Cóż... to Keshanka, spokrewniona z najbardziej wpływowym rodem na północy Imperium. I... jest młoda.

A ty i James, przeciwnie, jesteście siwobrodymi starcami. – Arutha parsknął śmiechem.

William zaczerwienił się potężnie.

Nie... tylko przez całe życie byłem otoczony magami. Przeważnie wszyscy to ludzie starsi, o wielkim doświadczeniu życiowym. Jestem tylko...

No dalej, wykrztuś wreszcie – ponaglił go Książę.

...zaskoczony wyborem mojego ojca.

Arutha przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Dlaczego?

W Stardock są magowie starsi i bardziej doświadczeni.

Kto?

Kto? – zawtórował mu William.

Kto – powtórzył Arutha – byłby według ciebie lepszym kandydatem?

No... ten... owszem, jest kilku... – zaczął William. Błyskawicznie zaczął wyszukiwać w pamięci magów, którzy mogli by służyć radą Księżciu

Krondoru. Dość szybko zdał sobie sprawę z faktu, iż wielu z nich zbyt było zajętych własnymi badaniami, by poświęcić się czemu innemu, niektórym brakło znów zdolności, wymaganych od członków dworu. – Właściwie... – stwierdził po chwili – nie mogę sobie przypomnieć nikogo. Korsh i Watom są też Keshanami, zbyt ich zresztą pochłania kierowanie sprawami Akademii. Zolan Husbar i Kulgan są znów za starzy. Jest kilku innych, ale Jazhara łączy w sobie znajomość obyczajów i polityki z rozległą i głęboką wiedzą na temat magii.

Obawiasz się zdrady?

Nie – odparł William stanowczo. – Absolutnie nie. Jeżeli ona przysięgnie wierność Koronie, w razie konieczności poświęci swoje życie.

Tak też myślałem – stwierdził Arutha, spoglądając badawczo na Williama. – Jest coś, czego mi nie mówisz, ale na razie dam temu spokój. Założę ci specjalny fundusz, z którego będziesz pobierał pieniądze na twoją siatkę agentów – zwrócił się do Jamesa. – Chcę, byś co tydzień składał mi raport, nawet jeżeli będzie on brzmiał: „Nic szczególnego się nie wydarzyło”. Co prawda niechętnie będę takie raporty przyjmował.

James kiwnął głową.

– Jest kilka spraw, które musimy jak najszybciej wyjaśnić. Po pierwsze, trzeba się dowiedzieć, jaki jest związek pomiędzy Jastrzębiami i Pełzaczem. Po drugie, w jakim celu się dokonuje tych pozornie niczym ze sobą nie związanych zabójstw. I po trzecie, dlaczego zabija się magów.

Arutha wstał i obaj młodzieńcy szybko też się podnieśli.

Muszę odwiedzić Diuka Olasko i członków jego rodziny. Możesz do twej listy dodać zapytanie, czemu ktoś się zasadził na magnata z zaprzyjaźnionego kraju i zadał sobie sporo trudu, by zamachu dokonać aż tutaj.

Razem cztery sprawy – stwierdził James.

Arutha nie czekał, aż giermek podejdzie do drzwi, tylko otworzył je sam. Obaj macie się jutro stawić na porannej audiencji – stwierdził.

Bardzo się wygłupiłem? – Z tym pytaniem William zwrócił się do Jamesa, gdy Księżę zniknął w głębi korytarza.

Nie za bardzo – odparł James z uśmiechem. – Co jest pomiędzy tobą i tą dziewczyną?

To długa historia... – William wbił wzrok w kamienie posadzki.

Mamy sporo czasu, więc możesz mi wszystko opowiedzieć.

Ale ja mam złożyć meldunek...

Już to zrobiłeś – rzekł mu James. – Treggar i inni oficerowie już wiedzą, że zatrzymał cię Arutha. Od tej chwili, kiedy będziesz ze mną albo z Księciem, pozostali oficerowie garnizonu otrzymają wiadomość, że wykonujesz specjalne zadanie, i to wszystko.

Jechałem tu z myślą, że po szkoleniu podstawowym odeślą mnie do pełnienia służby gdzieś na granicy. – William westchnął ponuro.

Przecież jesteś kuzynem Księcia, choć przez adopcję. – James parsknął śmiechem. – Chyba sobie nie myślałeś, że pozwoli się członkowi rodu conDoin gnić gdzieś pod Highcastle czy na przełęczy Iron Pass, co?

Wiesz, ja po prostu nigdy nie myślałem o sobie jako członku królewskiej rodziny.

Mogę to zrozumieć. Jakbym spędził dzieciństwo na tej waszej wyspie pośrodku wielkiego jeziora, to też bym się miał za lada szlachetkę.

William ziewnął tak, że mógłby spłoszyć krokodyla.

– Ale jeżeli nie muszę się nigdzie meldować, to wolę sobie pospać.

Na razie trzeba to odłożyć – odpowiedział James, obejmując przyjaciela ramieniem. – Mamy do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

Sprawę? Akurat teraz?

Tak – stwierdził James. – 1 chcę, żebyś mi opowiedział wszystko o tobie i tej Jazharze.

William nie odpowiedział, tylko spojrzał ku niebu z wyrzutem, zadając sobie w duchu pytanie: „Dlaczego ja?”.

James otworzył drzwi wiodące do wnętrza hałaśliwej izby. Tymczasem William opowiadał mu historię swojego związku z czarodziejką, która miała przybyć z wyspy.

Widzisz... to było chłopięce zadurzenie, ona traktowała mnie bardzo uprzejmie, ale opowiadanie o tym ogromnie mnie krępuje. Nie bardzo wiem, co jej rzec, kiedy się tu zjawi.

Ile miałeś wtedy lat?

Szesnaście.

James powiódł wzrokiem po wnętrzu gospody.

– Myślę, że rozumiem. Powinieneś jednak zdawać sobie sprawę z faktu, że ja patrzę na te sprawy nieco... inaczej. Jako szesnastolatek zdążyłem już... nieźle poznać kobiety, zarówno w dobrym, jak i w złym sensie tego słowa. – Wskazał ręką wolny stół w głębi. – O, tam możemy usiąść.

Po drodze na miejsca musieli minąć kilku mężczyzn stojących przy wysokich stołach wzdłuż ścian i popijających piwo. Pośrodku izby stały niższe, okrągłe stoły, przy których można było coś zjeść. Gdzieś klienti rzeczywiście jedli, przeważnie jednak widziało się wszędzie wznoszone kufle z pianistym piwem, ale i znacznie od nich rzadsze puchary z winem.

– Po co tu przyszliśmy? – zapytał William, gdy obaj zajęli miejsca.

James zamasztył gestem objął niemal całe wnętrze oberży.

– Po części po to, by się trochę pogapić na ludzi. – William zmarszczył brwi, nie wiedząc dobrze, co giermek ma na myśli.

– Po części zaś dlatego, że siedzenie w tej twojej ciasnej izdebce z tym drugim porucznikiem... jak mu tam... ee...

Gordonem... – podsunął William.

Atak, z Gordonem... prawdopodobnie wcale by cię nie powstrzymało od popadnięcia w czarną rozpacz z powodu tego, ! żeś się kiepsko spisał w pierwszej misji... a tak między nami spisałeś się bardzo dobrze. A po trzecie... – James machnął dłonią, jakby kogoś witał. – Obiecałem Talii, że cię tu przyprowadzę.

Ty... co?... – zaczął William i umilkł, widząc że dziewczyna już do nich podchodzi.

Jamesie, Williamie, jak to miło, żeście tu wpadli. Czego się napijecie?

Dwa piwa, proszę – oznajmił James. Dziewczyna odwróciła się i odeszła, by przynieść im napój, przedtem jednak uśmiechnęła się lekko do Williama. – ; Sam widzisz – rzekł James.

Co mam widzieć?

Podobasz się jej.

William odwrócił się i popatrzył za przeciskającą się wśród klientów dziewczyną.

Myślisz?

Ja wiem. – James przechylił się przez stół, uścisnął lekko ramię Williama, a potem się cofnął. – Uwierz mi. Ona uważa cię za księcia.

Co takiego? – Zdumiał się lekko już ogłupiały William.

– Powiedziałeś jej, że jestem księciem? James parsknął śmiechem.

– Nie, mój ty chwacie. Ona uważa cię za „księcia wśród mężczyzn”. Znaczy, za miłego, młodego wolnego mężczyznę w wieku odpowiednim do żeniaczki.

– Aaa... – odparł William, który zdążył się już uspokoić – Więc uważasz, że się jej podobam?

James z trudem powstrzymał wybuch śmiechu, bo Talia akurat wróciła z dwoma kuflami. Kiedy je ustawiała, William pozwolił sobie na krótką chwilę niemego zachwytu nad wdziękami dziewczyny, a potem skonfundowany odwiódł wzrok, gdy dziewczyna zwróciła się doń z pytaniem.

– Ty mnie chyba unikasz, Will?

William spojrzał, zobaczył na jej twarzy uśmiech i odpowiedział takim samym uśmiechem.

Nie... Musiałem wyjechać z miasta na krótko, bo Księżę powierzył mi pewną misję.

To pięknie – odpowiedziała z uśmiechem, zbierając położone na stole monety. Potem odwróciła się i odeszła.

William przełknął łyk piwa i spojrzał na Jamesa. Zanim zdążył przemówić, giermek go uprzedził.

Podobasz się jej.

O... tego... – odpowiedział William i ponownie zajął się piwem.

James zachichotał. Siedzieli potem parę chwil w milczeniu. James udawał, że gapi się bezmyślnie na klientów oberży, William jednak zauważył, że wzrok przyjaciela zatrzymuje się na niektórych ludziach, jakby James starał się ich sobie zapamiętać albo jakby kogoś szukał.

– No, kończ swoje piwo – odezwał się na koniec książęcy giermek. – Musimy iść.

Po co? James wstał.

Nie pytaj, tylko się zbieraj. Idziemy.

William pociągnął ostatni łyk, wstał i ruszył za Jamesem.

– Zajrzyjcie tu jeszcze! – zawołała Talia, spostrzegłszy, że wychodzą.

William machnął dłonią, ale James tylko przyspieszył kroku. Gdy znaleźli się na zewnątrz, giermek podniósł rękę.



Poczekajmy.

Na co?

Na tego jegomościa, aż skręci za róg – odparł James, wskazując człowieka, który akurat zbliżał się do rogu kwartału. – A teraz szybko za nim – stwierdził James, gdy nieznajomy znikł im z oczu.

Będziemy go śledzili?

To u ciebie wrodzone czy nabrałeś tej bystrości ode mnie?

– Nie, zawsze taki byłem. Ale czemu go śledzimy?

– Bo kilka dni temu on śledził mnie, wespół z grupką swoich przyjaciół – odpowiedział James. – I chciałbym wiedzieć, czy robił to, bo się we mnie gromadnie zakochali czy może mieli inny powód.

William nic już nie mówił, tylko niedbałym gestem położył dłoń na rękojeści miecza.

# ROZDZIAŁ 10

## WJAWNIENIE

James ostrożnie wyjrzał za róg.

Człowiek, którego widzieli w Tęczowej Papudze, skręcał właśnie za róg w głębi ulicy. Giermek uniósł dłoń, dając Williamowi znak, by poczekał. Zgodnie z oczekiwaniami Jamesa nieznajomy chwilę później wysunął ostrożnie głowę zza rogu, sprawdzając, czy ktoś za nim nie idzie.

To pułapka – stwierdził giermek. William wyciągnął miecz.

Wycofujemy się czy pakujemy się w sam środek?

Ani jedno, ani drugie – odparł James. – Tamci wiedzą, że jest nas dwóch, więc będą przygotowani nawet na ten twój katowski miecz. – Zerknął w górę. – Jak sobie radzisz ze wspinaczką?

Co? – Zdumiał się William. – Mamy tam wleźć?

A gdzieżby? – odpowiedział James, wodząc wzrokiem po dachach. – Za mną – polecił, kierując się ku oberży.

W połowie kwartału natknęli się na niewielki zaułek.

– Nie mamy za wiele czasu – stwierdził James. – Odczekają dwie minuty, a potem się domyśla, żeśmy nie dali się nabrać.

– Szybko znalazł to, czego szukał – drewniane schody wiodące na piętro. Przebiegł po nich chyżo, starając się nie narobić więcej hałasu, niż to było konieczne. William biegł tuż za nim. j Porucznikowi wydało się, że trzeszczenie desek pod jego butami jest dostatecznie głośne, by obudzić wszystkich w promieniu kilku najbliższych ulic i oczywiście ostrzec zaczajonych na nich j opryszków. James jednak wcale się tym nie przejmował. Dotarłszy do drzwi na końcu schodów, wskazał Williamowi

zwisający nad nimi okap dachu. – Podsadź mnie! – polecił szeptem. William splótł dłonie w strzemię i bez wysiłku dźwignął Jamesa, tak że ten szybko znalazł się na dachu, gdzie się odwrócił i wyciągnął rękę do młodego porucznika. – Szybciej!

Chwyciwszy podaną mu dłoń, William sprawnie wciągnął się na dach. W sekundę później obaj skradali się już nisko pochyleni ku przeciwległej krawędzi, gdzie James położył się i ostrożnie zapuścił żurawia w dół. Po chwili nie odrywając oczu od zaczajonych w dole opryszków, wyciągnął w tył rękę z odstawionymi czterema palcami.

Gdy cofnął się ku Williamowi, ten postanowił, że nie będzie sprawdzał wiarygodności obserwacji towarzysza.

Skakałeś kiedy z dachu?

Coś ty? To będzie ze dwadzieścia stóp!

Coś koło tego.

Hm... jeżeli na dole będzie coś miękkiego, by złagodzić upadek... czemu nie?

James uśmiechnął się jak kot zaproszony na mysi bal.

– Tam na dole widziałem cztery takie miejsca.

Wyjąwszy miecz, usiadł na krawędzi dachu i zaczął się spuszczać w dół, aż lewą dłonią chwycił brzeg rynny. Zawisłszy na chwilę, skrócił odległość upadku o prawie połowę, a potem odepchnął się i runął na ostatniego z opryszków, uderzając go stopami. Trafiony zwał się na ziemię, martwy albo nieprzytomny, co zresztą wychodziło na jedno. James też upadł, ale zręcznie złagodził upadek przewrotką. William, nie bacząc na możliwe zadrapania albo powbijane w dłonie drzazgi, spróbował powtórzyć wyczyn Jamesa.

Nie zdążył się chwycić rynny i wyhamować upadku, zwał się więc ciężko jak kamień na stojącego w dole i złamał mu kark. Obaj runęli na

bruk. Williamowi na moment zakręciło się w głowie, ale dzięki ćwiczeniom i refleksowi szybko odzyskał sprawność umysłu. Zorientowawszy się, że siedzi na trupie, błyskawicznie wstał i lekko się zgarbił, szykując się do walki.

Odruchowo wyciągnawszy miecz, stwierdził, że stoi naprzeciwko ogłupiałego i lekko przestraszonego niespodziewanym pojawieniem się wrogów człowieka, który też trzymał rapier. James zataczał bokiem koło, a jego przeciwnik robił to samo, usiłując znaleźć sposobność do ucieczki lub ataku. Ten, na którego giermek skoczył z dachu, pojękiwał głucho, leżąc na ziemi.

Przeciwnik Williama, którym był krępy jegomość o mięśniach tragarza, nagle pchnął sztychem. William, choć lekko jeszcze oszołomiony upadkiem, bez wysiłku odbił pchnięcie i wykonał unik, nadziewając przeciwnika na podstępnie podstawiony mu bark.

1 Przeciwnik zachwiał się, ale zdążył się zastawić, zanim William zdołał wykorzystać chwilową przewagę. William zamrugał, usiłując zatrzymać tańczące wokół budynki, a gdy wzrok ponownie mu się wyostrzył, zobaczył, że jego przeciwnik rzuca miecz i podnosi ręce do góry. Za nim stał James, który wciskał sztych swego rapiera w plecy opryszka.

– O tak, mój zuchu – stwierdził James. – Po co zdychać tu bez potrzeby z innymi, prawda?

Nieznajomy nie odpowiedział, tylko postąpił mały krok do przodu, jakby chciał uciec, a potem nagle targnął się w tył, nadziewając grzbiet na sztych rapiera książęcego giermka.

– Niech mnie gęś kopnie! – zaklął William.

James szarpnął rapier i schwycił padającego za kołnierz.

Trup – stwierdził rzeczowo, obróciwszy go ku sobie i zajrzawszy mu w oczy.

Czemu się zabił?

James sięgnął za pazuchę nieboszczyka i wyjął zawieszony na rzemieniu amulet. Była to płytką z ciemnego metalu, na której ktoś wyrył głowę jastrzębia.

Nocne Jastrzębie – stwierdził James. – Znowu oni. – Rozejrzał się dookoła. – Zaczekaj tu. – William nie protestował, gdy James dał nura w mrok. Czas ciągnął się powoli i młody porucznik zaczął się zastanawiać, co też porabia jego przyjaciel. Na wszelki wypadek podniósł miecz. Zaczął się akurat zastanawiać, czy nie powinien pójść i poszukać ceklarzy, kiedy James wrócił z dwoma konstablami. – Macie – rzekł, wskazując trupy. – Niech jeden z was ich popilnuje, a drugi pójdzie i poszuka jakiegoś wozu. Przywieźcie ich do pałacu.

Tak jest, mości giermku – odpowiedział jeden z konstablów, spoglądając na towarzysza, który zaraz odwrócił się i znikł w ciemnościach.

Co teraz? – spytał William.

Jak tylko zjawi się wóz, wracamy do pałacu.

William patrzył, ogarnięty otępiającym zmęczeniem, jak konstabl dokonywał oględzin zwłok opryszków. James się nie odzywał, a William też nie miał ochoty na rozmowę. Młody porucznik czuł niepokój, ponieważ nie bardzo wiedział, czy dobrze się sprawił, dbając o bezpieczeństwo Diuka, przestach budził w nim I ogrom postawionego przed nimi zadania i zastanawiał się, czy potrafi mu sprostać. Nabrawszy tchu w płuca, złożył sobie w duchu przysięgę, że zrobi wszystko, co będzie mógł, zostawiając bogom ocenę swoich wysiłków.

Arutha stał pośrodku celi, w której złożono ciała czterech skrytobójców. Dwaj żołnierze rozebrali nieboszczyków i dokładnie ich teraz oglądali. Nieopodal stali przypatrujący się wszystkiemu James i William.

Przejrzano każdą część odzieży, broni i przedmiotów osobistego użytku, szukając jakiegokolwiek wskazówki, która mogłaby powiedzieć, skąd pochodzili ci ludzie. Jak się tego spodziewano, badanie dało niewiele. Każdy z nieboszczyków miał na szyi taki sam, jak inni, amulet z jastrzębiem. Poza bronią, pojedynczym pierścieniem na palcu jednego z mężczyzn i małą sakiewką ze złotymi monetami, którą miał inny, ludzie ci nie mieli niczego, co mogłoby wskazać ich pochodzenie. Mogli pojawić się zewsząd. W pewnej chwili Arutha wskazał jedną z koszul.

Podajcie mi to. – Jeden z żołnierzy podał ją Księżciu, który uważnie ją obejrzał. – Chciałbym wiedzieć o szyciu tyle, co moja żona, ale myślę, że to tkanina kashańska.

Buty! – Podskoczył nagle James.

Arutha skinął dłonią i żołnierze złożyli na stole trzewiki wszystkich nieboszczyków. William, James i Arutha obejrzel je starannie i znaleźli znaki kilku szewców.

Nie potrafię ich rozpoznać – stwierdził Arutha – ale tych butów z pewnością nie robiono w Krondorze.

Wezmę papier i je odrysuję – odezwał się James. – Jutro do południa będę wiedział, kto robił te buty.

Arutha kiwnął głową, a giermek posłał pazia po papier i przybory do rysowania. Chłopak wrócił po niespełna pięciu minutach.

Mości giermku, powiedziano mi, że cały czas was szukają.

Kto go szuka? – spytał Arutha przez ramię.

– Naczelnik więzienia Morgon i jego ludzie, sir. Arutha pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Ciekawe, czego od ciebie chce naczelnik więzienia, mój chwacie.

Zaraz się dowiem – odpowiedział James. Podał pióro i papier Williamowi. – Postaraj się odrysować wszystko jak najlepiej – powiedział.

Zostawiwszy oględziny nieboszczyków Księciu, pospieszył za paziem. Szybko ruszyli po schodach na parter pałacu, gdzie James zostawił pazia i ruszył do lochu. Dotarłszy do drzwi niewielkiej celi, którą zajmował naczelnik więziennej straży, energicznie zapukał.

Kto tam? – rozległo się pytanie zza drzwi.

Giermek książęcy James. Posyłałście po mnie?

– A jakże – odpowiedział głos. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich szef więziennych dozorców, Morgon, odziany już do snu w szarą, flanelową nocną koszulę. – Właśnie się kładłem, mości giermku. Posłałem po was tego chłopaka kilka godzin temu.

Byłem poza pałacem i wróciłem niedawno. Co mogę dla was zrobić?

Dla mnie nic – odparł Morgon – ale tam na dole mamy w turmie jegomościa, który utrzymuje, że musi z wami pomówić.

Naczelnik pałacowego aresztu był człkiem o pociągłej twarzy, posuniętym już w latach, ale jak James sięgał pamięcią, zawsze miał niemal czarne włosy, które przycinał prosto nad czołem i przed uszami, tak że wyglądał, jakby nosił czarną czapę z nausznikami.

Gdyby mnie ktoś raczył spytać o zdanie, rzekłbym, że to dość osobliwe. Siedzi tu od trzech tygodni i do nikogo nie otworzył gęby. Jutro mają go sądzić... i nagle zażądał widzenia z wami.

Wiecie, jak się nazywa?

Nie pytałem – odpowiedział Morgon, tłumiąc ziewnięcie. – A powinienem?

Pójdę zobaczyć, co to za sprawa. Kto ma służbę?

Sikes. On was zaprowadzi.

Dobrej nocy, mości Morgonie.

I wam dobrej nocy, mości giermku – odpowiedział naczelnik, zamykając drzwi.

James ruszył wąskim korytarzem wiodącym ku schodom w dół do niżej położonych lochów. Pałacowe więzienie miało dwa poziomy. Na wyższym przez wąskie okienka do cel dostawało się nieco dziennego światła i czekający na wykonanie wyroku mogli oglądać egzekucje.

Na niższym poziomie było ciemno jak na dnie dziupli. Była tu właściwie jedna obszerna piwnica z czterema celami po rogach. Cele tworzyły metalowe sztaby wbite pionowo w posadzkę i sklepienie. Przy wejściu do lochu umieszczono w ścianie jedną pochodnię, która rzucała na całą piwnicę dość kiepskie światło. Obok pochodni stał żołnierz, który ujrawszy Jamesa, karnie się wyprężył.

Na rozkaz, mości giermku – powitał przybysza.

Ktoś tu chciał się ze mną zobaczyć? – spytał giermek.

Jeden tam w głębi. Zaprowadzę was.

Żołnierz wyjął pochodnię z kuny i poprowadził Jamesa obok dwóch pierwszych cel, z których obie były puste. Te wgłębi zapełniali śpiący teraz mężczyźni i kilka Kobiet, które kuliły się razem w kątach. Towarzystwo składało się głównie z awanturników, pijaków i rozrabiaczy, którzy łamali prawo dostatecznie często, by w końcu zwrócić na siebie uwagę książęcych sędziów. Niektórzy zwracali się do Jamesa z prośbami, ten jednak wszystkie ignorował.

Żołnierz zaprowadził Jamesa na koniec jednej z cel, gdzie stał rosły mężczyzna trzymający dłonie na kratkach.

Ujrawszy giermka, więzień uśmiechnął się lekko.

Miło cię widzieć, Jimmy.

Ethan? – zdumiał się James. – Myślałem, żeś już dawno dał nogę.



Były opat Zakonu Ishapian, niegdysiejszy Szyderca i przywódca krontorskich łamignatów, skrzywił usta.

Chciałem... ale bogowie mieli wobec nas inne plany.

Wobec nas?

Są tu ze mną Kat i Limm. – Ethan skinieniem podbródka wskazał za siebie.

Kiedy stajesz przed sędzią?

Jutro.

O co cię oskarżają?

O, trochę się zebrało. Ucieczka przed prawem, stawia nie oporu przy zatrzymaniu, pobicie przedstawicieli prawa i dla dobrej miary zdrada.

Wypuście ich stąd i zaprowadźcie do mojej izby – polecił James żołnierzowi.

Co proszę?

Powiedziałem, żebyście ich stąd wypuścili i zaprowadzi li do mojej izby. Postawcie przed drzwiami ludzi, którzy zaczekają, aż ich tu odeślę. – Strażnik jeszcze się wahał. – Może wolicie, bym poszedł do Księcia i zirytował go prośbą o pisemny rozkaz dla was? – spytał James.

Strażnik, jak zresztą niemal wszyscy w pałacu, doskonale wiedział, że James bez trudu może uzyskać od Księcia potrzebny glejt, pomyślał więc, że nie ma się co stawiać.

– Pójdę po kilku chłopaków, którzy ich do was zaprowadzą – stwierdził rzeczowo.

Zobaczymy się na górze, Ethan – rzekł James i wyszedł. Niedługo potem rozległo się pukanie do drzwi jego izby. Otworzywszy je, giermek zobaczył Ethana, Kat i Limma, stojących przed nim z łańcuchami na rękach. – Rozkujcie ich i poczekajcie na zewnątrz – polecił James.

Wedle rozkazu, mości giermku – odparł starszy nadzorca.

Gdy więźniom zdjęto kajdany i gdy strażnicy zostali za zamkniętymi drzwiami, James wskazał stół, na którym wcześniej już ustawił tacę z dzbanem piwa, gomółką sera i płatami wędliny. Limm bez wahania zaczął wpychać w siebie jadło. Graves | też nałożył na talerze sobie i Kat, a dziewczyna napełniła piwem dwa kufle.

Kiedy się ostatnio widzieliśmy, Ethan, miałeś zamiar zabrać Kat gdzieś do Kesh.

Owszem, miałem – odparł Graves.

No to co się stało?

Znalezienie Kat zajęło mi tydzień – odpowiedział Graves.

– Potem zająłem się organizacją ucieczki do Kesh. Siedzieliśmy cicho w niezłej kryjówce w Dzielnicy Biedaków, czekając na dzień, w którym nasz statek miał podnieść kotwicę. I wtedy zaczęły się te morderstwa. – W tym miejscu Ethan przerwał i wskazał na Limma, nakazując mu kontynuowanie opowieści.

– Mamy na pieńku z tym Pełzaczem i jego ludźmi, mości giermku – zaczęła Limm. – Pamiętacie ten dzień, kiedy zna leziono Starego Donka, martwego jak wypatroszony sztokfisz?

– James kiwnął głową, choć nie bardzo wiedział, kim był Stary Donk, a tym bardziej nie pamiętał, kiedy go zabito. – No to musieliście słyszeć i o tym, jak to w porcie zabito kilku naszych osiłków. – James znów kiwnął głową, zorientowawszy się, że opowieść Limma ma związek z tym, co mu powiedział Walter Blunt o walce jego ludzi z opryszkami Pełzacza. – Tak więc, kiedy draby Pełzacza uderzyły na Matecznik, wszyscy poszliśmy w rozsypkę – ciągnął Limm. – Szukałem Kat i Gravesa, bo oni się ukrywali, i nagle gruchnęła wieść, że zabito Mistrza Dnia. Znaleziono go w zatoce. Mistrz Dnia zabrał Micka Giffena Rega deVrise'a i Phila Palucha, poszli gdzieś razem i wrócili z wiadomością, że Cnotliwy nie żyje. Zaraz potem,

jak wiecie, rozpętała się wojna w kanałach. Większość chłopaków i łamignatów pozabijano. – Limm przerwał dla nabrania tchu, a potem terkotał dalej. – Graves, Kat i ja mieliśmy prysnąć do Kesh, udając porządną rodzinę, ale nas capnęli, gdy w porcie wybuchły burdy. No a resztę znacie.

Ostatnio jak na mój gust za wiele było zabijania – stwierdził James. Opowiedział więźniom to, co uznał za potrzebne, zatrzymując dla siebie szczegóły ostatnich wydarzeń, które mogłyby narazić na szwank bezpieczeństwo Królestwa.

Obecność tych keshzańskich zabójców wcale mnie nie zdziwiła – stwierdził Graves, wysłuchawszy Jamesa. – Jak szliśmy do portu, zanim wyleźliśmy na górę i zanim nas złapano, spostrzegłem w kanałach kilku niezbyt miło wyglądających Keshan. Nie muszę chyba dodawać, że wolałem się nie zatrzymywać i wcale nie miałem ochoty pytać, co tam robią.

– Niektórzy z tych, co zabijali uliczników, byli Keshanami – zabębnił Limm.

James przez chwilę się zastanawiał, ile może bezpiecznie ujawnić niegdysiejszemu wspólnikowi. W końcu podjął decyzję.

– Dlaczego zabijają magów?

Graves przerwał jedzenie. Wybałuszywszy oczy, przełknął kęs.

– Jedyne powód, jaki przychodzi mi do głowy, to ten, że ktoś podjął działania przeciwko Świątyni Ishap – stwierdził.

– Może jestem odstępcą, ale pewnych sekretów nie zdradzę, choćby nie wiem co. Nie ma to żadnego związku z moją wiernością wobec świątyni, ale mam obowiązki wobec bogów.

– A czy ma to jakiś związek z zajęciem domu stojącego naprzeciwko zachodnich wrót pałacu? – spytał James. Graves nie odpowiedział, ale w

jego oku pojawił się błysk czujności.

– A, nieważne – uciął James. – Choć nie jestem siwobrodym starcem, widziałem w życiu dość kapłanów i przysięg, żeby się im nie przeciwstawiać. Nie będę naciskał. Ale gdybyś przypadkiem wpadł na jakiś pomysł, który mógłby rzucić światło na te zabójstwa magów, zasłużyłbyś sobie na wdzięczność.

Twoją?

Korony – uśmiechnął się James.

Dostatecznie wielką, by nas wydobyć z tej celi i wysłać do Kesh?

Jeśli Księżę uzna za ważne to, co powiesz, wyjedziesz jeszcze tej nocy.

– No to zaprowadź mnie do Księcia – odparł Graves. James kiwnął głową.

Zostańcie tutaj – zwrócił się do Kat i Limma. Otworzywszy drzwi, polecił stojącemu na zewnątrz żołnierzowi, by nadal strzegł wyjścia, a potem zaprowadził Gravesa do piwnicy, w której Arutha i William oglądali jeszcze czterech zabitych w zaułku opryszków. Przedstawił niegdysiejszego opata Księciu. – On może nam pomóc w rozwikłaniu przynajmniej nie których supłów w tej sprawie – powiedział.

A konkretnie? – spytał Arutha.

Odejdę wolno? – to pytanie zadał Graves Jamesowi.

Jak to „wolno”? – zdziwił się Arutha.

Drobna sprawa dotycząca okazywania nieposłuszeństwa prawu, która miała być sądzona jutro rano.

Chcesz powiedzieć, dziś rano – stwierdził Księżę. – Świt będzie za trzy godziny. Jeżeli powiesz nam coś, co rzuci choć trochę światła na tajemnice, przed którymi stoimy, to myślę, że możemy przymknąć oczy na udział w niewielkiej burdzie.

Był to raczej niewielki bunt, ale w końcu nikogo nie zabito – rzekł James.

– Dowiedz się więc, Wasza Wysokość – zaczął Graves – że nie tak dawno jeszcze byłem opatem klasztoru Ishap na Krzyżu Malaka. Złamałem przysięgę, zdradziłem braci i teraz mam ponieść karę z ręki bogów.

Opacie Graves – odparł Arutha – wartość informacji, jaką musicie się z nami podzielić, skoczyła raptownie w górę. Znam wasze imię i wedle prawa powinienem was wydać waszym braciom, by wam wymierzili sprawiedliwość.

Mogę rzec tylko, Wasza Wysokość – zaczął Graves – że w naszym kraju działają agenci mrocznych sił, którzy chcą nam szkodzić dla niepojętych przez zwykłych śmiertelników celów. Kryją się w cieniu i do swych knowań wynajmują ludzi, którzy niekiedy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, komu i czemu służą. Zbliża się wydarzenie bardzo wielkiej wagi. Sądzę, że wiecie o czym mówię, i wiecie, dlaczego nie mogę rzec niczego więcej.

Księżę skinął głową.

Mów dalej.

Są tacy, którzy skorzystają na tym, jeżeli sprawy pójdą w złym kierunku. Tym mrocznym siłom nie zależy na zwycięstwie, tylko na upadku świątyni.

– Czy chcesz, żebym ostrzegł świątynie? – spytał Księżę.

Na twarzy Gravesa pojawił się uśmiech.

Wasza Miłość, wszystko, com tu rzekł, jest wiadome każdemu w Świątyni Ishap, kto piastuje ważniejsze stanowisko, doskonale też wiedzą o tym prałaci innych Zakonów. Próbuję uświadomić Waszej Dostojności jedną rzecz: wasi nieprzyjaciele działają jakby na oślep, a nawet chaotycznie, ponieważ nie mają innego celu jak ten, by wam przysporzyć jak najwięcej trudności.

Jak do tej pory nie usłyszałem niczego nowego – stwierdził spokojnie Arutha.

Powiem więc Waszej Miłości coś, czego nie wiesz. Istnieje organizacja, której przewodzi człowiek znany ci jako Pełzacz. Usiłuje wysadzić z siodła krontorskich Szyderców, próbuje też przejąć kontrolę nad innymi łotrzykami w całym Królestwie. Pozornie chce tylko dwóch rzeczy – władzy i bogactwa. Ale dla ich zdobycia poszukał sobie sprzymierzeńców: Jastrzębie.

Mów dalej – odezwał się Arutha.

Niepewny to sojusz, bo wygląda na to, że Jastrzębie mają własne cele na oku i dążą ku nim, pracując na rzecz tych sił mroku, o których wspomniałem wcześniej. Ludzie Pełzacza byli tymi, co tępil w naszym mieście Szyderców. Zabijanie magów to robota Jastrzębi.

A wiesz coś o zamachu na życie Diuka Olasko?

No, plotki docierają i do lochów. Mówi się, że jest to dzieło Pełzacza albo Jastrzębi. Jeżeli stał za tym Pełzacz, to dlatego że Diuk był przeszkodą na drodze do realizacji jego planów. Jastrzębie zabiliby Diuka, gdyby jego śmierć była przydatna do realizacji celu tych mrocznych sił, o jakich wspomniałem.

Czy słyszałeś o tym, by dla Jastrzębi pracowali jacyś magowie? – spytał James.

Nie, ale Pełzacz też nie może się pochwalić tym, że ma swoich magów. Złodzieje nie ufają tym, którzy praktykują magię, o czym dobrze powinien wiedzieć ktoś, kto znany był kiedyś pod imieniem Jimmy'ego Rączki.

Usłyszawszy to miano, Arutha się uśmiechnął.

James wie także, jakie zadawać pytania, by usłyszeć prawdę.

Gdybyśmy więc ujawnili, że ci, co podjęli próbę zabicia Diuka, byli magami, a ich celem naprawdę nie był Diuk, lecz następca tronu Olasko, to

co byś powiedział?

Że była to sprawka kogoś trzeciego – odparł Graves. – Być może, te siły mroku, dla upewnienia się, że dopną swego, wysłały dodatkowych agentów, działających niezależnie od Jastrzębi i Pełzacza.

Arutha westchnął.

Niech mnie gęś kopnie... czasami chciałbym wiedzieć, kto jest moim nieprzyjacielem.

Wasza Wysokość – odezwał się Graves. – Jednego mogę ci nazwać.

Co mówisz? – spytał Księżę.

Graves podszedł do najbliższego nieboszczyka.

Bywa, że po śmierci człek nie zawsze wygląda tak, jak za życia, ale tego tu poznaję. Nazywał się Jendi, a przynajmniej ja go znałem pod takim imieniem. Był rabusiem z Jal-Pur, z którym Cnotliwy robił niekiedy interesy. Morderca, rabuś i handlarz niewolników. – Graves spojrzął na Księcia. – Skąd się tu wziął?

Powiedzmy, że wbrew mojej woli chciał zawrzeć ze mną znajomość – odpowiedział James.

Graves się uśmiechnął.

Gdyby uciał sobie z tobą pogawędkę, wyglądałaby tak, że mówiłbyś mu wszystko, czego chciałby się dowiedzieć, on zaś słuchałby, dopóki nie doszedłby do wniosku, że trzeba cię zabić.

Znasz więc tego człowieka – odezwał się Księżę. – Jak sądzisz, dla kogo mógł pracować?

Mówiło się tu i ówdzie, że choć Jendi był zwykłym opryszkiem, czasami pracował z ludźmi znacznie bardziej odeń groźnymi – z Jastrzębiami.

Jakże to możliwe? – spytał zdziwiony Arutha. – Myślałem, że Jastrzębie unikają kontaktów z obcymi.

Owszem, ale czasami trzeba coś z kimś załatwić, więc wykorzystują ludzi przekupionych albo zastraszonych. Kiedy na przykład mowa o zabójstwie dla korzyści, ktoś musi prowadzić negocjacje w ich imieniu.

Myślałem, że gdy potrzebujesz usług skrytobójcy, wystarczy, że zostawiasz gdzieś nazwisko ofiary, i ktoś do ciebie przychodzi, by pogadać o cenie.

Owszem – odparł Graves – ale ktoś musi przekazać im to nazwisko i powiadomić zleceniodawcę o wysokości ceny. Oni sami się tym nie zajmują.

Nie wiesz przypadkiem, czy wśród Jastrzębi nie widziano Keshan? – spytał Arulha.

Wasza Wysokość, to bractwo nie uznaje narodów. Mordercy z Królestwa traktują Izmalisów jako krewniaków.

No, ale przynajmniej jedno się wyjaśniło – stwierdził Arulha. – Możemy Jastrzębi umieścić w tym samym worku, co zabójców z Kesh.

Dosłownie – dodał Graves.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Że Wasza Wysokość znajdzie waszych Nocnych Jastrzębi, zarówno tych z Królestwa, jak i tych z Kesh, w miejscu do którego jeździec dotarłby stąd w ciągu tygodnia.

Gdzie to jest? – spytał Arulha. – Powiedz, a daruję ci twoje przestępstwa i dam wolny przejazd, dokądkolwiek zechcesz.

Na południe od zatoki Shandon – odparł Graves – jest stary szlak, którym dawniej prowadzono karawany. Dziś już nikt go nie używa. Dalej ku południowi leży łańcuch wzgórz, na którym kiedyś Keshanie zbudowali fortecę. Wiem o tym tylko dlatego, że ten tu człowiek – wskazał na rozpoznane przez siebie ciało – wygadał się kiedyś po pijaku. Na jakiejś



starej mapie możecie jeszcze znaleźć tę fortecę. Wiedźcie jednak, że leży w ruinie i gniazdo naszych ptaszków można znaleźć w podziemnych tunelach.

Podobną kryjówkę mieli w Cavell – stwierdził James.

Mają tam wodę – ciągnął Graves. – To stare źródło, a żywność chyłkiem sprowadzają z Krańca Ziemi i Shamaty, przy czym dostawcy nie mają pojęcia, z kim handlują. Gniazdo to leży dość blisko Krondoru, by uderzać, kiedy im wygodnie, a jeżeli człek nie wie, czego szuka, minie je, niczego nie podejrzewając. Przejedziecie, Wasza Wysokość, nie zdając sobie sprawy, żeście zostawili za sobą kryjówkę zbrodniczej szajki.

Pospieszaj do moich komnat – odezwał się Arutha do Williama, który aż do tej pory słuchał wszystkiego w milczeniu. – Weź tylu ludzi, ilu ci trzeba, ale chcę, byście przejrzyli wszystkie stare mapy i znaleźli choć ślad tej keshkańskiej twierdzy.

Chłopcze, czytasz keshkańskie pismo? – spytał Graves.

Owszem – odparł William.

To szukaj miejsca zwanego Doliną Straceńców. Jak je znajdziesz, przesun palec ku wschodowi. Jeżeli ta forteca jest na mapie, może została opisana jako Grobowiec Utraconych Nadziei.

Podejrzewam, że nie było to miejsce, które wybierali ochotnicy – wtrącił niewinnie James.

Niewiele o nim wiem – odpowiedział Graves – oprócz tego, co mówił ten pijak. Powiedział, że załogę tamecznej twierdzy zostawiono, by jej bronili do śmierci, co też uczyniono. Tak przynajmniej głoszą niektóre keshkańskie legendy. Powiadają, że miejsce to jest nawiedzone przez duchy żołnierzy, krwiożercze upiory lub coś w tym guście.

Ethan, gdybyś wiedział o Jastrzębiach to, co my wiemy, inaczej byś zaśpiewał – stwierdził James. – Niezwykle irytująca jest na przykład

konieczność powtórnego ich zabijania po tym, jak raz już któregoś załatwiłeś.

Graves wykonał święty znak.

Wasza Miłość, mówiłem wam, że w sprawę zamieszane są mroczne siły... i to te najgorsze.

Odwołamy twój poranny proces, Gravesie – odezwał się Arutha. – Ale jeszcze przez jakiś czas będziesz naszym gościem. Jeżeli twoja opowieść okaże się prawdziwa, damy ci przejazd statkiem do Queg, Kesh, czy dokąd tam zechcesz. Jamesie, zaprowadź go ponownie do jego celi.

Tak jest, sir – odpowiedział James, oddając Księżciu honory.

No, poszło nie najgorzej – stwierdził rzeczowo, wyprowadziwszy Gravesa z komnaty.

Jeżeli tak mówisz, Jimmy... – odparł Graves.

No, nie wydał cię Ishapianom i nie posłał na stryk, prawda?

Owszem, jeżeli spojrzeć na to z tej strony – uśmiechnął się Graves.

Wrócili do izby Jamesa, skąd zabrali Limma z Kat i całe towarzystwo odprowadzono na powrót do lochów. Choć daleko im było do wygod, miejsce to pozostawało najbezpieczniejszym w Krondorze. „O ile w ogóle jakiegokolwiek miejsce w Krondorze można było uważać za bezpieczne” – pomyślał James, opuszczając podziemia.

# ROZDZIAŁ 11

## PODEBODY

O tej porze pod Tęczową Papugą było pusto. – Lucas! – zawołał Jimmy. William rozejrzał się dookoła i w chwilę później został nagrodzony widokiem Talii wychodzącej z kuchni.

– William! – powitała gościa promiennym uśmiechem.

– I James. – Uśmiech przybladł nieco. – Ojciec ładuje śmieci nad rzeką. Jeżeli zechcecie poczekać, to wróci lada moment.

– Dziękujemy – odpowiedział młody porucznik z uśmiechem. James chwycił Williama za łokieć, powstrzymując go przed zajęciem miejsca za jednym ze stołów.

– Chyba słusznie się domyślam, że Talia rano wybiera się na zakupy?

Uśmiech dziewczyny znów się pogłębił.

No... tak, w rzeczy samej. Miałam wyjść, jak tylko ojciec wróci.

Williamie, czemu nie miałbyś odprowadzić Talii na targ, podczas gdy ja porozmawiam z jej ojcem o pewnych sprawach natury osobistej?

Niewiele brakło, a William byłby się przewrócił o krzesło, tak mu było spieszno podać Talii ramię.

– Czy mogę? – zapytał.

Dziewczyna wdzięcznym gestem wsunęła mu dłoń pod ramię.

Ależ oczywiście, rada będę waszej kompanii. Nie macie nic przeciwko temu, bym was tu zostawiła samych, mości giermku? – spytała, zwracając się do Jamesa.

Nie, z chęcią posiedzę kilka chwil samotnie w ciszy i spokoju – odpowiedział James. Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

– W pałacu ostatnio jest straszny ruch... goście z zagranicy i ta kie tam...  
– dodał szybko.

Uśmiech wrócił na twarzyczkę Talii.

– A, tak. Słyszałam, że przyjechali jacyś magnaci ze Wschodu. – Odwróciwszy się od Jamesa, spojrzała zalotnie na Williama. – Musicie mi o wszystkim opowiedzieć.

Korzystając z tego, iż dziewczyna stanęła doń tyłem, James lekko potrząsnął głową, ostrzegając Williama, że z pewnością nie powinien opowiadać dziewczynie o wszystkim.

– Jestem pewien, Talio, że William pamięta, jak się noszą damy ze wschodnich dworów.

William dał się wyprowadzić, James zaś, czekając na Lucasa, rozsiadł się wygodnie. Nie musiał zresztą czekać długo, bo oberżysta wrócił po kilku minutach, wchodząc do środka przez drzwi kuchenne.

Talio! – zawołał, a potem ujrzał siedzącego samotnie Jamesa. – Gdzie moja dziewczyna?

Poszła na targ z Williamem. Powiedziałem jej, że popilnuję posterunku, dopóki nie wrócisz.

Lucas zmierzył Jamesa podejrzliwym spojrzeniem.

– Ty coś kombinujesz, Jimmy. Zbyt dobrze cię znam, by się nie spostrzec. O co chodzi?

James wstał i podszedłszy do baru, oparł się o szynkwę obok oberżysty.

– Sytuacja jest trochę niezręczna, mój stary. Chciałbym ci zadać pytanie, ale nie mogę, dopóki mi nie przysięgniesz, że zachowasz wszystko w tajemnicy.

Lucas przez chwilę milczał, pocierając dłonią podbródek.

– Nie mogę tego zrobić, dopóki się nie dowiem, o co chodzi – odpowiedział, pomyślawszy przez chwilę. – Mam pewne zobowiązania, o

czym niechybnie dobrze wiesz.

Jimmy w istocie wiedział. Lucas był jednym z niewielu oberżystów w Krondorze, prowadzących swój interes bez opieki potężnego magnata, gildii czy Szyderców. W przeszłości udało mu się oddać poważne przysługi rozmaitym ludziom, w tym kilku wpływowym szlachcicom zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Jako niegdysiejszy członek Bractwa Szyderców, James wiedział, że Lucasowi udało się zachować niezależność i od nich. Stary był uparciuchem z natury, wiadomo było wszem wobec, że jeżeli ktoś zechce coś na nim wymusić, Lucas natychmiast odwoła się do tych, którzy mieli wobec niego długi wdzięczności. W sumie znacznie łatwiej było mu przemówić do rozumu, niż skłonić do czegoś siłą.

James, który przygotował już sobie wcześniej całą przemowę, nabrał tchu i zaczął.

– Obaj wiemy, że Szydercy nie są już główną siłą miejskiego podziemia. Obaj też wiemy, że ktoś inny – onże Pełzacz – usiłuje przejąć kontrolę nad wszystkimi w Krondorze, którzy żyją na bakier z prawem. – Lucas kiwnął głową. – Wiemy również – z tego, co ludzie gadają tu i tam – że Cnotliwy nie żyje.

Lucas uśmiechnął się lekko.

Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Szczwany z niego lis. Może w rzeczy samej nie żyje... a może się tylko gdzieś ukrył.

Może – odpowiedział James – ale to na jedno wychodzi, bo pozwolił, by Szydercy się rozproszyli jak kupa liści na wietrze.

Może i masz rację... ale nie sądzisz, że mogło mu o to chodzić?

James uśmiechnął się szeroko.

Wszyscy mi mówili, że rozmowa z tobą jest jak rwanie zębów.

Taaa... – odparł Lucas. – Ale nie z każdym chce mi się gadać.

Posłuchaj więc... potrzebuję... odpowiednio umieszczonych przyjaciół.

Lucas parsknął śmiechem.

Chłopcze, może zacznij od Księcia Kronloru. Nie umiem sobie wyobrazić, by ktoś był lepiej, niż on, umieszczony w Zachodnich Dziedzinach.

Mam na myśli ludzi umieszczonych tam, gdzie mogą usłyszeć rozmaite nowiny.

Lucas milczał przez chwilę, dokładnie rozważając to, co usłyszał.

Jimmy, wiele lat pracowałem na to, by ludzie pozna li mnie jako człowieka, który choć ma dobry słuch, nie jest za bardzo gadatliwy. Dlatego wielu ludzi robi ze mną interesy, mój zuch. Są tacy, co na przykład chcą przewieźć jakieś towary bez wiedzy księżęcych akcyźników albo niuchaczy Szyderców, a ja znam przewodników karawan, które jadą w głąb kraju. Są też tacy, co potrzebują się rozmówić z ludźmi, którzy chętnie by im przeciągnęli smykiem po gardle. Ja potrafię urządzić im spotka nie bez rozlewu krwi. Różnie bywa. Ale wszystko przepadnie, jeżeli się rozejdzie, że jestem informatorem królewskich.

Lucas, ja nie szukam informatorów – zachnął się James z niemal szczerą urazą. – Tych mam dość na każdym rogu ulicy. Potrzebni mi ludzie, którym będę mógł zaufać. Muszę mieć informacje prawdziwe, nie jakieś plotki wymyślone dla zarobienia kilku miedziaków. Co więcej, jak się już ugodzimy, potrzebny mi ktoś, kto będzie trzymał moją stronę, niezależnie od tego, co powie innym. – Spojrzał Lucasowi prosto w oczy. – Myślę, że wiesz, o czym mówię. I Lucas przez chwilę się zastanawiał.

– Przykro mi, Jimmy – odparł z westchnieniem – ale nie będę dla nikogo szpiegował, choćby nie wiem co. To niepewna i śliska ścieżka, nawet dla kogoś takiego jak ja. – Stary prze szedł za szynkwias. – Powiem ci jednak, że nigdy nie podejmę żadnych działań przeciwko Koronie. Byłem kiedyś żołnierzem, I a moi chłopcy zginęli za Królestwo. Masz na to moje słowo.

A jeżeli dowiem się czegoś o tym, o czym rozmawialiśmy, to się postaram, by szybko to do ciebie dotarło. Co ty na to?

Cóż, musi mi to wystarczyć – odparł James.

Napijesz się piwa?

Trochę na to za wcześnie. – James parsknął śmiechem. – No, na mnie już czas. Jak William wróci z Talią, powiedz mu, żeby stawił się w garnizonie i złożył raport.

Posłuchaj... – odezwał się Lucas. – Ten młody człowiek...

Tak?

To porządny chłopak, prawda?

– Owszem, porządny chłopak – odpowiedział James. Lucas kiwnął głową, a potem wziął szmatkę i zaczął wycierać ładę.

– Wiesz... mówiłem ci, że oprócz Tali nie mam nikogo I na świecie. Chciałbym, żeby wszystko było jak należy... jeżeli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Rozumiem – uśmiechnął się James. – Powiem tak... niełatwo by ci było znaleźć w Krondorze porządniejszego i pocziwszego chłopaka od Williama.

Mówiłeś, że jego ojcem jest jakiś diuk? – Rozpromienił się Lucas.

James znów się roześmiał i wyszedł, machnąwszy starem dłońią na pożegnanie.

William czuł, że się czerwieni, lekko kręciło mu się w głowie i nie wiedział, czy jest zakochany, czy tylko oszołomiony i zmęczony. Kiedy dorastał, wielokrotnie rozmawiał z rodzicami o sprawach dotyczących wzajemnych relacji między mężczyznami i kobietami, wysłuchał też licznych opinii słuchaczy Akademii. Można by rzec, że teoretycznie przerósł wiedzą wielu swoich rówieśników, ale miał znacznie mniej niż oni praktyki.

Starał się słuchać Talii, która terkotała jak najęta i dzieliła się z nim miejscowymi ploteczkami, ale myślami błądził gdzie indziej. Znał dziewczęta od dziecka, poczynając od swej przybranej siostry Gaminy, ale choć miał wśród nich wiele przyjaciółek, raz tylko był zakochany, a przynajmniej tak uważał.

Próbował odepchnąć wizerunek Jazhary jak najgłębiej w mroki niepamięci, ale im silniej próbował, tym częściej o niej myślał. Była o cztery lata starsza od niego i przybyła, by studiować w Stardock, kiedy miał jedenaście lat.

Początkowo spoglądała nań z góry – była z urodzenia Keshanką ze szlacheckiej rodziny, która przyjmowała jego chłopięce zauroczenie z sympatią, i pozwalała się adorować. Na rok przed jego wyjazdem do Kronloru rzeczy uległy zmianie. Nie był już niezdarnym chłopcem – wyrósł na inteligentnego młodego człowieka z charakterem i na krótko odpowiedziała mu przychylnością. Ich miłość była burzliwa, żywiołowa i przyniosła Williamowi wiele bólu.

Wszystko skończyło się niedobrze, on zaś wciąż jeszcze nie wiedział, co sprawiło, że sprawy pomiędzy nimi tak się skomplikowały, i dopóki nie dotarła do niego wieść o jej przyjeździe do Kronloru, myślał, że się nigdy nie dowie, dlaczego został odepchnięty. Teraz rozmyślał o możliwym spotkaniu z niepokojem i ukrywanym podnieceniem.

Ty mnie nie słuchasz! – Głos Talii przebił się przez jego zamyślenie. Przed chwilą przeszli na ty.

Przepraszam – odpowiedział z uśmiechem. – Pod czas kilku ostatnich nocy nie miałem zbyt wielu okazji do snu. – Dziewczyna zmarszczyła brwi. – Sprawy państwowe – dodał szybko.

Uśmiech wrócił na jej twarzyczkę, a gdy zbliżyli się do targu, dziewczyna znów ujęła go pod ramię.



To ciesz się słońcem. Udawajmy, że Księżę i sprawy Królestwa są daleko stąd. I obiecaj mi, że dobrze się wyśpisz, zgoda?

Zrobię, co się da – odpowiedział William. Spojrzał na profil młodej kobiety, kiedy się zatrzymała, by obejrzyć towary, które rano przywieziono do miasta.

Wezmę sześć sztuk – powiedziała, wskazując na pęk dorodnych, złocistych cebul.

Podczas gry Talia targowała się z handlarzem, William znów wrócił myślami do różnic pomiędzy Jazharą i Talią. Pierwsza była Keshanką z pustynnych nomadów i wedle miar Królestwa miała w sobie ich mroczną urodę. Była czarodziejką o sporych umiejętnościach, wielkich możliwościach, a z bronią radziła sobie lepiej od większości znanych mu ludzi. Z doświadczenia wiedział, że potrafi rozbić wrogowi czaszkę równie szybko, jak utkać czar czy zaklęcie, a wykształcona była bardziej od wszystkich kobiet, jakie spotkał – władała kilkunastoma językami i dialektami, znała historię Kesh oraz Królestwa, potrafiła też rozmawiać o nauce, biegu gwiazd i tajemnicach bogów.

Talia była jej przeciwieństwem – miała szczerą, przyjazną ludzkom usposobienie, była pełna radości i wdzięku. Odwróciwszy się, spostrzegła, że William ją obserwuje.

– O co chodzi? – spytała. Młody oficer się uśmiechnął.

Ot, pomyślałem sobie, że nigdy wcześniej nie spotkałem równie ładnej dziewczyny jak ty.

Pochlebca. – Talia stanęła w pąsach.

Czując nagłe zakłopotanie jej odpowiedzią, William postanowił zmienić temat.

– Powiedz mi... gdzie i czego się uczyłaś? Mówiłaś właśnie, że się wychowywałaś w Zakonie...

Dziewczyna podała sprzedawcy kilka miedziaków i włożyła cebule do kosza na zakupy.

– Wychowały mnie Siostry Kahooli – odpowiedziała z uśmiechem.

William poczuł, że jego szczeka lada moment walnie o uliczny bruk.

– Ka... Kahooli! – zdołał w końcu wystękać. Kilkunastu pobliskich sklepikarzy odwróciło się ku niemu, by zobaczyć, kto też wypowiada imię Boga Zemsty i Odwetu.

Przywykłam do takich reakcji. – Dziewczyna poklepała go po ramieniu.

Ja myślałem... że Lucas odesłał cię do...

...bardziej kobiecego Zakonu? – dokończyła.

No... mniej więcej.

Kobiety służą Poszukiwaczowi Zemsty – stwierdziła dziewczyna. – Ojciec postanowił, że jeżeli mam być wychowana poza miastem, powinnam poznać sposoby obrony. – Dziewczyna wyciągnęła rękę i dotknęła rękojeści jego miecza wskazującym palcem prawej dłoni. – Ten miecz jest trochę za wielki, jak na mój gust, ale gdybym musiała, potrafiłabym go użyć z wielką szkodą dla przeciwnika.

Nie wątpię – odpowiedział. Członkowie Zakonu Kahooli początkowo poświęcali się tropieniu złoczyńców i wykonywaniu na nich sprawiedliwych wyroków. Najszlachetniejsi z nich wspierali miejscowych stróżów prawa, odnajdywali rozmaitych opryszków i albo ich chwyтали sami, albo wskazywali ich kryjówki. Groźniejsi i bardziej niebezpieczni byli ci, którzy ignorowali lokalne prawa i królewską sprawiedliwość, ścigając złoczyńców na własną rękę i samodzielnie dokonując egzekucji. Najgorsi odrzucali wszelką myśl o tym, że niektóre z ich ofiar bywały niewinne. O sługach Kahooli często powiadano, że ich wyzna nie wiary zamykało się w słowach: „Zabijmy wszystkich, a winnych od niewinnych

niech oddzieli Kahooli”. W wielu wypadkach stwarzali problemy poważniejsze niż te, które usuwali.

Wiem, o czym myślisz – uśmiechnęła się Talia.

O czym? – William potężnie się zaczerwienił.

Myślisz sobie: „Wiać teraz czy poczekać, aż się odwróci plecami?”.

Nic podobnego. – Parsknął śmiechem. – Po prostu...

– Nie próbuj mnie skrzywdzić, Williamie, a nic ci nie grozi. Miała tak wesoły, przyjazny uśmiech, że też musiał się uśmiechnąć.

Nie będę. Masz na to moje słowo.

To dobrze – stwierdziła, dając mu lekkiego kuksańca.

– Nie będę zatem musiała cię tropić i się mścić.

– Żartujesz, prawda?

Teraz ona parsknęła śmiechem.

– Williamie, byłam wychowana przez członków Zakonu Kahooli. Nie składałam mu ślubów posłuszeństwa.

William zrozumiał, że dziewczyna żartuje.

– Wiesz, na chwilę mnie przyłapałaś...

Wsunęła mu dłoń pod ramię i pociągnęła za sobą ku kolejnym straganom.

– Myślę, że chciałabym cię przyłapać na dłużej – szepnęła cicho.

William udał, że nie słyszał. W tej chwili nie bardzo wiedział, co myśleć. Cieszyło go miłe, przyjemne ciepło, które się rozlewało w jego sercu, gdy na nią spoglądał. Podobały mu się jej ciemne włosy, jasna karnacja, gibka sylwetka i energia, która z niej emanowała przy każdym niemal ruchu. Na razie chciał tylko iść obok niej tak jak teraz i nigdy już nie myśleć o niczym niemiłym.

– Poruczniku! – rozległo się nieopodal zawołanie. Bardziej niemiłego głosu nie mógłby sobie wyobrazić.

Odwróciwszy się, zobaczył podchodzącego do nich Kapitana Treggara, za którym szli dwaj gwardziści.

Sir! – William powitał przełożonego wzorowo oddany mi honorami.

Wysłano mnie za wami, poruczniku, i za giermkim Jamesem – zaczął Treggar tonem, w którym warczał cały ocean gróźb. Zmierzywszy Williama i dziewczynę ostrym spojrzeniem, dodał:

Rozkaz wydał mi osobiście Jego Wysokość. – W głosie Kapitana brzmiała ledwo powstrzymywana furia z powodu obarczenia go taką misją. Spojrzawszy na Talię, Kapitan podjął wątek.

Rozumiem, że macie co innego do roboty, i dlaczego nie chciało się wam nawet popatrzeć na wykaz służb w pałacu, ale Jego Wysokość uznał powiadomienie was o konieczności stawienia się przed nim za dostatecznie ważne, by posłać mnie osobiście po was i po giermka Jamesa.

– Aaa... – zaczął William – giermek James, jak sędzę, jest w Tęczowej Papudze.

– Nie, jestem tutaj. – Odwróciwszy się, William zobaczył sadzącego ku nim długie kroki Jamesa. – O co chodzi, Kapitanie?

– Z rozkazu Księcia macie obaj z porucznikiem natychmiast wrócić do pałacu.

William spojrzał pytająco na Jamesa.

Doskonale – rzekł James. Potem zwrócił się do Talii. – Zechciejcie nam wybaczyć, ale musimy się na razie pożegnać.

Było mi bardzo miło – odpowiedziała Talia. – Mam nadzieję, Williamie, że wkrótce się odezwiesz.

Oczywiście – odpowiedział William. – Jak tylko służba pozwoli – dodał, zerknąwszy na Treggara.

Talia odwróciła się i poszła dalej oglądać wystawione towary, zatrzymawszy się jednak niedaleko, rzuciła Williamowi ostatni uśmiech

przez ramię.

– A więc, za waszym pozwolenie, mości giermku... – zaczął Treggar.

James kiwnął głową i poprowadził całą grupkę ku pałacowi.

William szedł o krok za Treggarem, za nim zaś szli dwaj żołnierze. Pomiedzy młodym porucznikiem i Kapitanem rosło napięcie, które William musiał jakoś rozładować, wiedział bowiem, że jeżeli tego nie uczyni, zyska sobie wroga do końca swego pobytu w armii.

Arutha powiódł wzrokiem po komnacie. Treggar i dwaj żołnierze, których wysłał z nim po Jamesa i Williama, stanęli nieco z boku. Wokół wiszącej na ścianie mapy stali czterej Krondorscy Tropiciele, członkowie elitarnego oddziału, który miał swojego własnego Kapitana, i patrzyli na Księcia, który wskazał punkt na położony południe od zatoki Shandon.

– Tutaj. Jeżeli nasz informator się nie pomylił, to ich kryjówka jest gdzieś w tej okolicy.

Stojący obok Księcia James przyjrzał się niewyraźnemu napisowi na mapie.

– Dolina Straceńców. – Nieco niżej było jeszcze coś napisane po keshkańsku, tego jednak James nie umiał odczytać. – Wasza Wysokość, tak czy owak, to spory obszar do przeszukania.

Arutha kiwnął dłonią, wskazując czterech tropicieli.

Wyruszają za godzinę.

Zapamiętaliśmy dobrze tę mapę, Wasza Miłość – stwierdził jeden z nich.

Arutha kiwnął głową.

Główne siły podążą za wami w odległości jednego dnia drogi. Szukajcie ich – dziobnął palcem mapę, wskazując miejsce położone w odległości kilku mil od terenu do przeszukania – gdzieś tutaj. Jeden z was każdej nocy niech się z nami kontaktuje.

Tak jest, Wasza Wysokość – odpowiedział dowódca drużyny tropicieli, salutując, po czym dał swoim znak do odejścia.

Kapitanie – zwrócił się Arutha do Treggara, gdy tropi ciele wyszli z komnaty – przygotujcie plan działań. Powiedzcie wszystkim, że zamierzamy przeprowadzić manewry na północnym zachodzie i północnym wschodzie. Następnie wybierzcie dwustu najlepszych ludzi, ale takich, którzy służą pod waszymi rozkazami przynajmniej od pięciu lat. – James bez słowa kiwnął głową. W garnizonie Northwarden znalazło się trzech Jastrzębi, którzy zaciągnęli się tam do służby jako żołnierze. – Wasz wybór ma wyglądać na przypadkowy, ale pod koniec pierwsze go dnia chcę już prowadzić tych ludzi na południe. Resztę niech Kapitan Leland poprowadzi na północny wschód, więc musicie znaleźć jakiś powód, wyjaśniający podział sił.

Treggar kiwnął głową.

Sir, czy wolno mi zadać pytanie?

Pytajcie.

Czy nie byłoby lepiej powierzyć tę wyprawę Konetablowi?

Kapitanie, Konetabl Gardan przechodzi w stan spoczynku. Jutro w południe odbędzie się parada i uroczystie go pożegnamy. Wieczorem Konetabl wsiądzie na statek i odpłynie do Crydee.

A dziś będzie pożegnalne przyjęcie? – Uśmiechnął się James.

Owszem, ale ty zajmiesz się czymś innym. James westchnął dramatycznie.

Sir, jestem okropnie rozczarowany.

Wasza Miłość – odezwał się Treggar. – Będę miał tu zajęcia przed paradą.

Nie – odpowiedział Arutha. – Będziesz musiał się tu stawić dziś przed zmrokiem. W godzinę po zmroku wasza piątka – wskazał dłonią Treggara, Williama, Jamesa i dwóch stojących za kapitanem żołnierzy – wyrusza z karawaną do Kesh. Nie opodal Zatoki Shandon odbijecie w bok ku zachodowi i odszukacie ten stary szlak karawan. – Księżę wskazał cienką nitkę na mapie. – Ruszacie w pół dnia po tropicielach i macie jechać powoli. – Arutha znów stuknął palcem w mapę. – Powinniście dotrzeć do tego miejsca w trzy dni po tropicielach. To powinno im dać czas na odnalezienie naszych ptaszków.

– A gdy to zrobią, wy będziecie o pół dnia drogi za nami – stwierdził James.

– Owszem – odparł Arutha. Księżę znów powiódł wzrokiem po komnacie. – Jeżeli otrzymacie od nich wiadomość, jak najszybciej ruszajcie tam, gdzie tropiciele umiejscowią gniazdo Jastrzębi. Po drodze zostawiajcie wyraźne znaki. Wy i tropiciele macie unieszkodliwić wszystkich wartowników postrzega-czy i usunąć wszelkie przeszkody, ponieważ tym razem zamierzam uderzyć z moimi najlepszymi żołnierzami i zniszczyć to robactwo do cna.

James spojrzał na Aruthę, ale nie powiedział ani słowa. Wiedział, że Księżę wspomina w tej chwili dzień weselny, w którym trzymał w ramionach swoją Księżniczkę, trafioną w plecy bełtem z kuszy skrytobójcy, zawieszoną na krawędzi śmierci, podczas gdy on w żaden sposób nie mógł jej pomóc.

– Wasza Miłość, pozwól, że pójdziemy się przygotować – rzekł na koniec.

Wyprowadził pozostałych członków grupy z komnaty.

– Mości giermku, dlaczego ja? – zapytał Treaggar. – Księżę nigdy wcześniej nie powierzał mi tego rodzaju zadań.

James wzruszył ramionami.

– Posłano was, byście nas odszukali, więc już wiecie, że ja i William mamy specjalne zadanie. Powierzenie wam tej misji ogranicza liczbę osób, które wiedzą cokolwiek o niej. Jastrzębie mają irytujący zwyczaj wykluwania się w najmniej oczekiwanych miejscach, więc bardzo ważne jest, by jak najmniej osób wiedziało o podejmowanej przeciwko nim akcji.

– Coś drgnęło w twarzy Kapitana, James dodał więc jeszcze jeden argument.

i – Pozwolę sobie jeszcze powiedzieć, że Jego Wysokość nigdy by wam nie powierzył tej misji, gdyby nie był pewien, że sobie poradzicie. – Rozejrzawszy się dookoła, zakończył rzeczowo.

– Mości Kapitanie, na szlaku będziemy mieli dość czasu, by wszystko sobie dokładnie wyjaśnić. Na razie zaś wy musicie szybko wymyślić jakiś porządny plan ćwiczeń dla garnizonu, a ja poczynię pewne przygotowania.

Jakie przygotowania? – spytał William.

Poruczniku, nie możemy ot tak sobie włączyć się do bandy skrytobójców. A już na pewno poszkapimy, jeżeli zjawimy się tam w pełnych zbrojach i pod sztandarami. Musimy mieć jakieś przebrania. – James wyjrzał przez okno. – Już prawie południe. Jeżeli mamy wyjechać o zmroku, niewiele mi zostało czasu.

Kapitan Treggar skinął głową.

Mości giermku... – Pożegnał się z Jamesem. – Wy, poruczniku, chodźcie ze mną – zwrócił się do Williama.

Tak jest, sir – odpowiedział młody oficer i wraz z dwoma pozostałymi żołnierzami ruszył za Kapitanem.

James udał się w przeciwną stronę, ku swojemu ulubionemu wyjściu z pałacu – furtce dla służby, przez którą mógł się wymknąć, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Przed wyruszeniem na wyprawę przeciwko



Jastrzębiom musiał zobaczyć się z czterema osobami – z młodym Meansem i trzema opryszkami ukrywającymi się w miejskich kanałach; potem musiał jeszcze kupić to i owo, a na wszystko miał diabelnie mało czasu.

Nad równiną dał wiatr niosący z sobą kurz i piasek. Wokół mocno przeładowanego wozu kuliło się kilku podróżnych, dwa osły, wielbłąd i kilka kóz. Przypadkowy obserwator doszedłby do wniosku, że są to pustynni włóczędzy lub wędrująca skrycie ku jakiejś wiosce rodzina, której członkowie nie chcą się spotkać z poborcami ceł na rogatkach ani patrolującymi bite szlaki strażnikami granicznymi.

William zgarbił się pod swoim luźnym pustynnym burnusem. Naciągnął kaptur na czoło, by ochronić przed siekącymi dotkliwie ziarenkami piasku oczy, uszy, nozdrza i usta.

– Kapitanie, czy ktoś nas obserwuje? – zawołał, przekrzykując świst wiatru.

– Jeżeli tylko tam są, to z pewnością nas obserwują – odkrzyknął Treggar.

Trzy dni wcześniej wymknęli się chyłkiem z obozu karawany nieopodal południowego cypla Zatoki Shamaty. W odległości dwóch dni drogi za nimi jechał Książę Arutha z dwustu najlepszymi konnymi wybranymi z krondorskiego garnizonu. Gdzieś tam, pośród dmącego na równinie wiatru było kilku tropicieli, szukających ruin starej keshkańskiej twierdzy.

Wyglądasz uroczo, kochanie – odezwał się James do Williama Co mówiłeś?

Mówiłem, że wyglądasz uroczo, kochanie! – wrzasnął wściekle James, usiłując przekrzyczeć wiatr.

Williama, jako najniższego z całej kompanii, odziano w szaty kobiety z plemienia Beni-Shazda. Dwaj pozostali żołnierze, też przebrani za kobiety, parsknęli śmiechem, widząc skrywaną furję, z jaką William przyjął

pozornie niewinną uwagę Jamesa. Giermek dworował sobie z przebrania Williama od samego początku podróży. William popełnił poważny błąd, okazując urazę – bardziej doświadczeni żołnierze włożyli kobiecie szaty bez komentarzy– i James bezlitośnie wykorzystywał chwilową przewagę nad towarzyszem.

William zresztą już się zorientował, że jego sprzeciwy niewiele dadzą, teraz więc kucnął na piętach i potrząsnął głową z udaną rozpaczą.

Jeszcze parę dni temu spacerowałem sobie po rynku z uwieszoną na moim ramieniu najmiłszą i najbardziej urodziwą dziewczyną w Krondorze, miałem pełną kieszeń złota i piękne widoki na przyszłość. A teraz muszę się zadawać z takimi nędznymi obwiesiami jak wy. No... na pociechę mogę rzec, że oko lica jest wyjątkowo piękna. – Powiódł dłonią dookoła, wydmy i tumany piachu niesione przez wiatr.

Poruczniku, zaraz cię uderzę. – Ostrzegł go nagle Treggar. – Kiedy to zrobię, padnij i zacznij się czołgać u moich stóp.

– I nagle machnął dłonią, muskając ramię Williama w pozorowanym uderzeniu. William upadł, a Treggar stanął nad nim okrakiem. – Oni nas nie słyszą! – wrzasnął Kapitan. – No, może słyszą mój głos, ale nie rozróżniają słów!

James nawet się nie poruszył.

Gdzie ich zobaczyliście?

Drugi pagórek na wschód, mości giermku. Lekko na północ od szlaku. Coś tam drgnęło niezgodnie z kierunkiem wiatru. Po chwili wszystko się powtórzyło.

Niech wszyscy się zachowują zgodnie z ustaleniami – polecił James.

Dwaj pozostali żołnierze zaczęli biegać wokół obozu, jakby sprawdzali, czy wszystko jest bezpiecznie umocowane.

– Odczołgaj się, poruczniku! – wrzasnął Treggar do Williama. – Potem padnij przede mną na kolana, walnij czołem o ziemię, a na koniec wstań i zajmij się kozami! – William skrupulatnie wykonał polecenia. Treggar podszedł do wozu, podnosząc jedną ręką obszerny rękaw i zasłaniając nim twarz od wiatru. Zdjął z wozu coś, co z daleka można było wziąć za bukłak pełen wina, udał, że pije, a potem usiadł obok wozu w jego cieniu, opierając grzbiet o jedno z kół. – Teraz, poruczniku, podejdź i zacznij udawać, że mnie błagasz o przebaczenie, a podczas tego przedstawienia zerknij na wzgórze i sprawdź, czy ktoś tam się rusza!

William znów zrobił, co mu kazano, podnosząc dłonie w błagalnym geście.

Kapitanie, nic nie widzę.

No to skłoń się jeszcze raz!

William powtórzył całe przedstawienie, a tymczasem James przesunął się na skraj wozu i udając, że coś tam wiąże, obejrzał uważnie wskazane przez Treggara wzgórze. Po krótkiej chwili zobaczył jakiś ruch burzanów niezgodny z kierunkiem wiatru.

Rzeczywiście nas obserwują – stwierdził.

No to przestań giąć grzbiet, poruczniku – zwrócił się Treggar do Williama.

William podniósł się powoli.

Wezmę trochę jedzenia i rozdám wszystkim – zaproponował.

Tylko najpierw daj mnie i giermkowi, a potem pozostałym „żonom”.

Żołnierze tymczasem bez śladu uśmiechów na twarzach, udając że pilnie pracują, obserwowali wzgórze na zachodzie.

– Dziś powinien nas znaleźć jeden z tropicieli i jeżeli wszystko pójdzie dobrze, dowiemy się, gdzie jest kryjówka tych skurwysynów.

Aż do wieczora wszyscy odgrywali komedię, udając rodzinę koczowników. W godzinę po zmierzchu wiatr się uspokoił, więc rozpalili ognisko i zjedli skromny posiłek. Potem ułożyli się do snu i rozpoczęli czekanie.

Minęła noc, nadszedł świt, ale tropiciel się nie pokazał.

# ROZDZIAŁ 12

## IMPROWIZACJA

Treggar wstał i otrząsnął burnus z piaskowego pyłu. Niebo na wschodzie rozjaśniło się wraz z szybko nadciągającym świtem. Inni jeszcze się przeciągali, gdy Kapitan wykonał gest w kierunku wstającego słońca. Potem odwrócił się ku północy i powtórzył ukłon.

Co robicie? – spytał James.

Rozglądam się za naszymi przyjaciółmi – stwierdził rzeczowo Treggar, odwracając się ku zachodowi. – Mam nadzieję, że tamte draby wezmą to za jakiś poranny rytuał. – Skończył, zwracając się ku południowi. – Zagońcie „kobiety” do roboty, | giermku – powiedział.

James udał, że budzi Williama kopniakiem.

– Rozpal ogień i zajmij się gotowaniem – powiedział, błyskając przy tym zębami w przyjaznym uśmiechu. – Zgodnie z ich oczekiwaniami powinniśmy ruszyć w drogę, gdy słońce I oderwie się od horyzontu.

William zasłonił się przed kolejnym kopniakiem, licząc na I to, iż zrobił to dostatecznie przekonująco, by zwieść ukrytych obserwatorów, a potem pospiesznie zajął się rozniecaniem ogniska. Wrzucił w płomień kilka suchych „wielbłądzich placków” i wkrótce w kociołku wrzała woda.

Pozostałe „kobiety” przygotowały posiłek, nieustannie przeszukując wzrokiem horyzont i wypatrując obserwatorów. James usiadł z talerzem na skrzyżowanych nogach.

– Jeżeli gdzieś tam są, to ja ich nie widzę – stwierdził pomiędzy jednym a drugim kęsem.

– Ależ są– odpowiedział Treggar.– Przynajmniej jeden, który będzie nas obserwował tak długo, aż się upewni, że jesteśmy tymi, których udajemy. Gdyby znaleźli tropicieli i zaczęli podejrzewać, że mamy z nimi coś wspólnego, dawno już by nam popodrzynali gardła.

Jak sądzisz, Kapitanie, co się stało z tropicielami? – spytał William, pochylając się nad ramieniem Treggara, by mu napełnić kubek wodą z bukłaka.

Mogli wpaść w pułapkę, z której nie zdołali się wywinąć – odparł Treggar. – Pozabijano ich... albo się kryją. Może zresztą wracają właśnie do Aruthy, a nam się nie pokazali, bo spostrzegli, że jesteśmy obserwowani. – Napił się, a potem wstał. – Nie wiem, co się stało. Ale wiem, że powinniśmy ruszyć tyłki. Jak będziemy się szykować do wymarszu – zwrócił się do dwóch żołnierzy – niech każdy z was zejdzie do tego tam jaru i załatwi swoje potrzeby. – Rozejrzał się i jakby dając polecenia, wskazał na kozy. – Poruczniku, podejdź do tych kóz i obejrzyj je, jakbyś sprawdzał, czy dobrze się mają. I spróbuj udawać, że zostawiasz jakiś znak albo wiadomość.

Rozkaz lekko zdziwił Williama, ale wykonał go bez słowa sprzeciwu.

Jaki macie plan? – spytał James.

Myślę, że nasi przyjaciele ze wzgórze wrócili w nocy do domu, ale zostawili jednego, by miał na nas oko. Jak tylko stąd odjedziemy, przybiegnie tu i zacznie myszkować, sprawdzając, czy byliśmy tymi, których udawaliśmy. Chcę, żeby zlazł tam w dół i obwąchał te kamienie, które chłopaki teraz tak praco wicie zraszają, a potem by pogrzebał w kozim gównie... a ja tu otwarcie zostawię wiadomość, z której ksiązęcy zwiadowcy dowiedzą się, co w trawie piszczy.

James kiwnął głową, wstał i zaczął zawiązywać sznury mocujące ładunek na wozie.

Treggar podszedł do wozu, wziął bukłak i zalał ognisko wodą. Syknęła para i w niebo buchnęły kłęby białego dymu. Kapitan końcem buta zasypał piaskiem płonące węgle, niedbałym gestem wyrzucając potem wszystko z jamy.

James podszedł i wskazał kozy, jakby to one były przedmiotem rozmowy.

To jest ta wiadomość? – spytał.

Owszem – odparł Treggar. – Stara wojskowa sztuczka. W zależności od tego, którą część kręgu kamieni zniszczysz, treść wiadomości może się zmieniać. Północ oznacza: „Zaczekajcie tutaj”. Zachód mówi: „Szybko do mnie”. Wschód każe się cofnąć, a południe to wezwanie do sprowadzenia pomocy. Jak tylko zmyjemy się z oczu, zostawimy wóz ze zwierzętami i wrócimy w te skałki na południowym zachodzie, by zobaczyć, co tam znajdziemy.

Tego się obawiałem – stwierdził James. Spojrzawszy na krąg kamieni wokół niedawnego ogniska, zobaczył, że Treggar rozrzucił południową ćwiartkę.

Wedle tego, co mi o tobie mówiono, giermku – stwierdził Treggar – to nie lada z ciebie zuchwalec, który się nie ulęknie byle ryzyka.

Owszem – odparł James – ale wiele rzeczy wydaje mi się mniej niebezpiecznych albo mniej głupi, kiedy to ja jestem tym, który wymyśla plany.

Treggar zaśmiał się krótko.

– Ruszajmy! – rozkazał.

Niewidoczny obserwator wkrótce zobaczył, że grupka keshkańskich wędrowców znów podjęła marsz na zachód.

Wędrowali prawie przez cały dzień, aż wreszcie Treggar doszedł do wniosku, że nikt ich już nie obserwuje. Pół godziny przed zmierzchem

zatrzymał całą grupkę.

Wróćmy po naszych śladach do wąwozu, który zostawiliśmy pół mili za nami – powiedział. – Tam porzucimy wóz i rozpuścimy zwierzęta.

Przynajmniej wiemy już, gdzie się mieści ich kryjówka – stwierdził James.

– Skąd to wiesz... giermku? – spytał Treggar. James ukląkł i zaczął kreślić linie w piasku.

– O, tutaj. – Tknął piasek palcem. – W tym miejscu, podejrzewam, spostrzegli nas po raz pierwszy, zanim rozbiliśmy obóz.

– Nakreśliwszy prostą, długą na kilka cali linię w lewo, znów dziobnął piasek palcem, robiąc kolejny punkt. – Tutaj rozbiliśmy obóz wczoraj wieczorem. – Jeszcze jedno puknięcie palcem w piasek. – A ot, tu, nasz niewidzialny przyjaciel przestał nas śledzić.

I co z tego? – spytał Kapitan.

Pamiętasz mapę... Kapitanie?

Owszem – odpowiedział oficer.

W południe znaleźliśmy się na północ od rozległego płasko wyżu, z którego rozciąga się piękny widok na wiele mil w każdym kierunku. Ten jar, w którym zamierzasz zostawić zwierzęta, ciągnie się ku wzgórzom na południu. Pół mili od szlaku, po którym idziemy, skręca ku południowemu wschodowi i wznosi ku...?

Płaskowyżowi! – dokończył William.

I ruinom fortecy! – stwierdził Treggar. – Owszem, to świetna, stworzona przez naturę brama wjazdowa! Jedyna droga wejścia i wyjścia.

I jedyne miejsce w okolicy, które się nadaje na budowę fortecy.

I co teraz? – spytał William.

Może giermek nam powie, co zrobimy, bo choć to oczywiste, wyda mu się pewnie mniej niebezpieczne i głupie, jeżeli propozycja wyjdzie od niego



– rzekł Treggar z przekąsem.

James się skrzywił, jakby nagle go rozbolał ząb.

Zbadamy ten wąwóz. Jeżeli zjawi się tu Arutha i zobaczy znaki naszego przejazdu, może się wpakować w pułapkę. Musimy zadbać, by do tego nie doszło.

Sir? – odezwał się jeden z żołnierzy.

Tak? – odpowiedział Treggar.

Jeżeli ten jar biegnie tak, jak mówicie, co zrobimy z wozem i zwierzętami?

Treggar zerknął na Jamesa.

– Nie możemy zostawić ich tutaj, bo ktoś z tamtych może je znaleźć.

– My trzej więc zostajemy? – spytał William. James kiwnął głową.

– Jeden człowiek musi powozić, wielbłąda możemy uwiązać z tyłu.

Drugi musi zaopiekować się kozami.

Treggar wydał dwóm żołnierzom dokładniejsze rozkazy.

– Jedźcie, aż będzie godzina po zmroku – zakończył – i zostańcie w obozie przez trzy dni. Jeżeli po trzech dniach nikt nie nawiąże z wami kontaktu, wracajcie do Krondoru na własną rękę. Spróbujcie się dostać do posterunku na południowym krańcu Zatoki Shandon albo przedrzyjcie się do Krańca Ziemi. Zameldujcie o wszystkim, cośmy tu znaleźli. Ale przede wszystkim musicie dotrzeć do Krondoru.

Żołnierze skwitowali rozkazy, salutując, ale ich ponure miny świadczyły, że nie bardzo liczą na szczęśliwe zakończenie swej misji.

Treggar zrzucił swój ciężki burnus i przeistoczył się w najemnika, odzianego w skórzaną koszulę i kaftan, uzbrojonego w miecz, bez tarczy i hełmu.

James miał podobny strój, tyle że zamiast miecza u boku wisiał mu rapier. William uzbroił się w ciężki miecz, który można było ująć w dwie

ręce, ale dało się nim wywijać i jedną. Oręż ten porucznik przewiesił sobie przez plecy.

– Trzymajmy się południowego krańca szlaku i idźmy przy skałach, na wypadek, gdybyśmy nie byli tu sami – stwierdził krótko Treggar, rozejrzawszy się dookoła.

Cienie wydłużały się z minuty na minutę.

– Niełatwo będzie nas spostrzec, jeżeli tylko nie będziemy wzbijali stopami zbyt wielkich chmur kurzu. Ja pójdę pierwszy.

Kapitan nie wyraził sprzeciwu, a gdy James ruszył na wschód, Treggar obejrzał się przez ramię na znikający w półmroku wóz i dwóch żołnierzy.

William nie znał tych ludzi, wiedział jednak, o czym myśli Kapitan. Czy ci dwaj dotrą bezpiecznie do domu? Zerknąwszy ku górującym nad nimi skałom, porucznik pomyślał, że nie wiadomo, czy którykolwiek z nich wróci do domu.

Nad głowami wędrowców śmigają nietoperze, ścigające owady, które nie wiedzieć skąd się brały w tym suchym kraju. James klęczał w ciemnościach, usiłując wypatrzeć pułapkę lub zasadzkę, które gdzieś tu musiały być, wedle tego, co mówił mu zdrowy rozsądek. Jak do tej pory nie wypatrzył ani jednego, ani drugiego. Jeżeli ktokolwiek dostrzegł zbliżanie się trzech mężczyzn, niczym tego nie objawił.

– Wcale mi się to nie podoba. Idziemy prosto na ich paradne wejście. – Podniósł dłoń i szepnął do podchodzących bliżej Williama i Treggara.

To co proponujesz? – spytał Treggar.

Widziałeś kiedyś, Kapitanie, twierdzę bez tylnego wyjścia?

Prawdę rzekłszy, tak – odparł Treggar – ale tamte były I małymi forteczkami. Do kontroli tak rozległego obszaru, nawet w dawnych czasach, Keshanie musieli mieć tu przynajmniej setkę ludzi, a raczej dwie lub nawet trzy setki. W razie wojny ta twierdza była ważnym punktem

obrony, bo na nią szło główne uderzenie. A to oznacza, że musieli mieć tajne przejście, żeby niepostrzeżenie przemycać ludzi do środka i wyprowadzać ich na zewnątrz.

– Ale gdzie go szukać? – spytał zafrasowany James. – Może po drugiej stronie fortecy?

Gdyby ta forteca jeszcze stała – szepnął William – może j zdołalibyśmy się domyślić, gdzie jest jej druga strona, ale teraz, gdy wszystko na górze poszło w rozsypkę... – nie dokończył.

Przejdźmy jeszcze trochę dalej – zaproponował James – a jak niczego nie znajdziemy, wróćmy na szlak i spróbujmy od wschodniej strony tego płaskowyzu.

William nie odpowiedział, zrozumiał jednak w lot, że być może będą musieli się wspinać po skale. Dałby wiele, żeby tego uniknąć. Nie bardzo lubił wspinaczkę i góry.

Bezgłośnie szli przez noc... i nagle Williamowi wpadła do głowy pewna myśl.

Zaczekajcie – wyszeptał.

Co znowu? – spytał Treggar.

Zaraz... – William podniósł dłoń i zamknął oczy. Zaczął badać myślami otoczenie i dość szybko trafił na gryzonia mysz kującego gdzieś wyżej wśród skał. „Zaczekaj!” – wysłał szczurowi łagodne polecenia.

Szczur miał prymitywne i niełatwe do pojęcia myśli. Cały czas wahał się i zastanawiał, czy nie uciec. Trzy wielkie stwory kryły w sobie potencjalne zagrożenie, a w pobliżu nie było niczego ciekawego.

W dzieciństwie William porozumiewał się z gryzoniami – głównie ze szczurami i wiewiórkami. Wiedział, że mają bardzo niewielki zakres pojęć i kiepską zdolność zrozumienia. Doskonale jednak się orientowały w położeniu wszelkich dróg wejścia i wyjścia w pobliżu swoich norek.

Młody oficer spróbował sformułować pytanie, czy w pobliżu jest jakaś wielka nora. W myślach szczura mignął obraz rozległego tunelu – dostatecznie wyraźny, by William zorientował się w jego przebiegu. Potem szczur rzucił się do ucieczki.

Co tam? – powtórzył pytanie Treggar.

Myślę, że wiem, gdzie jest tylne wejście.

Skąd wiesz... poruczniku? – zdziwił się Kapitan.

Nie uwierzysz, Kapitanie, jak ci powiem – odpowiedział William. – Tędy. – Wskazał na szczyt skały, pod którą przycupnęli. – Ale żeby się tam dostać, będziemy musieli się wspiąć.

Treggar kiwnął głową.

– Pokaż, gdzie.

William rozejrzał się dookoła i wyciągnął rękę w górę.

To powinno być gdzieś nad tą ścianą.

Jazda za mną – polecił James. Pomacał nad sobą w górze na oślep i przesuwał dłoń po powierzchni skały, znalazł uchwyt. Zaciśnięwszy palce, podniósł prawą stopę i po chwili trafił na oparcie dla czubka trzewika. Powoli, krok po kroku, zaczął się wspinać coraz wyżej.

William odwrócił się do Treggara.

Kapitanie, czy wspinanie się na stromą skałę po omacku nie należy do przedsięwzięć głupich i niebezpiecznych?

Prawie nie mam wątpliwości, poruczniku – odpowiedział Treggar.

Chciałem się tylko upewnić. – Z tymi słowami William zaczął się wspinać w ślad za Jamesem.

Treggar odczekał chwilę, a gdy William zniknął w mroku, bez słowa ruszył za nim.

Wspinali się przy blasku Średniego Miesiąca, dopóki James nie trafił w skałach na rozpadlinę dostatecznie szeroką, by zmieścili się w niej wszyscy

trzej.

– Wysoko wleźliśmy? – zapytał William, kiedy Treggar do nich dołączył.

– Nie za bardzo – odpowiedział James. – Sto stóp może albo niewiele więcej.

William potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Myślałem, że ze dwa razy wyżej.

Z najwyższym trudem oparł się niepowstrzymanej chęci podejścia do krawędzi. Jak do tej pory wspinał się wyłącznie dzięki I sile woli, ignorując strach, który ogarniał go z coraz większą siłą. I Wydawało mu się, że ta wspinaczka na oślep i to wymacywanie uchwytów w ciemności nigdy się nie skończą– że zawsze I już będzie sprawdzał, czy nie wykruszy się występ, na którym stawia stopę, że do końca świata będzie się tak piał pod górę po kilka cali i będzie dusił w sobie strach, że skała pęknie pod jego nogą czy oderwie się uchwyt ręki.

Czuje się tę wysokość, prawda? – spytał Treggar.

Spójrzcie – rzekł James, wskazując w górę. Nad sobą zobaczyli usiane gwiazdami niebo i księżyc – przekonali się też, że szczyt skały, na którą się pięli, jest odległy może o dwadzieścia stóp. Williamowi wydało się jednak, że od wierzchołka dzieli go przynajmniej dwie setki stóp. Zerknąwszy w dół, zobaczył pod sobą jedynie mrok. Doszedł do wniosku, że nie ma szans na zobaczenie, na jaką wysokość się wdrapali, pogarsza jedynie sprawę. Postanowił też, że nie będzie więcej patrzył w dół. – No, nie ma na co czekać – stwierdził James. I zaczął ponowną wspinaczkę.

Ostrożnie – ostrzegł Treggar.

Wierz mi, że wcale nie zamierzam się spieszyć... Kapitanie – odpowiedział William .

Młody oficer wspinał się mozolnie, wpierając stopy na przemian to w jedną, to w drugą stronę szczeliny. Kiedy dotarł prawie do końca, zobaczył wysuwającą się mu na spotkanie rękę Jamesa. Gdy giermek wciągnął go na szczyt, William położył się na brzuchu, a potem sam wysunął rękę do Treggara. Gdy wszyscy trzej znaleźli się na półce, James spojrział w lewo, a potem w prawo.

Całe szczęście, że to już koniec wspinaczki – stwierdził rzeczowo.

Gdzie teraz? – spytał Kapitan.

William rozejrzył się dookoła. Niełatwo mu było skojarzyć otoczenie z przekazanym przez szczura wizerunkiem tunelu. Miałby z tym problem nawet za dnia: widziany ze szczurzej perspektywy tunel był ogromną jaskinią, podczas gdy William podejrzewał, że w rzeczy samej był to wąski korytarz, którym i jednocześnie mógł iść jeden, może dwóch ludzi.

– Chyba tędy – odpowiedział William, przeszukując wzrokiem okolice. Noc powinny oświetlać dwa księżyce: Średni i Mały – gdy Średni dotrze do zenitu, miał do niego dołączyć Mały, dając dostatecznie dużo światła, by każdy w miarę czujny wartownik zobaczył trzech intruzów.

James też się rozglądał, a zza jego pleców od czasu do czasu zerkał Treggar. Grzbiet, po którym szli, był skalisty i poszarpany – wszędzie sterczały w górę spore skalne iglice, wygładzone przez ziarnka piasku niesione przez dmący tu od stuleci wiatr. Krondorczycy musieli od czasu do czasu ostrożnie przestępować mniejsze ostre występy w miejscach, gdzie mógł przejść tylko jeden człowiek.

Po mniej więcej godzinnej wędrówce William się zatrzymał.

Myślę, że wejście, które miał na myśli mój szczurzy przyjaciel, leży gdzieś pod nami.

Szczurzy przyjaciel? – zdumiał się Treggar.

Powiem ci później – obiecał James. – Teraz musimy znaleźć drogę w dół.

William rozejrzał się dookoła i zauważył błysk światła.

– Co tam jest?

James spojrział w kierunku, który wskazywał przyjaciel.

– Światło księżyca odbija się od jakiejś gładziej powierzchni.

Jak sądzisz, daleko to?

Ze dwadzieścia stóp – odparł giermek, którego lata spędzone na przebieganiu Złodziejskiego Traktu nauczyły dokładnego oceniania odległości.

Jak się tam dostaniemy? – spytał Treggar.

Zwiesz się na rękach, a potem się puścisz i opadniesz – odparł James.

– Nawet wtedy upadek z takiej wysokości wystarczy, byś połamał nogi – stwierdził Kapitan. – Poza tym nie masz pojęcia, co tam jest na dole.

James zerknął na wznoszący się ku górze księżyc.

– Zaczekajmy parę minut.

Gdy glob wspiął się wyżej, rozjaśnił głębokie cienie w dole.

– To ścieżka! – szepnął Treggar po kilku minutach obserwacji.

Pod nimi, pomiędzy dwiema kamiennymi ścianami, widać było skryte, wąskie przejście wiodące do twierdzy, wysoko ponad rozleglejszym jarem, który zostawili daleko w dole.

– Williamie – odezwał się James. – Połóż się na brzuchu i spuść mnie na rękach. Spadnę, a potem postaram się złapać pierwszego i drugiego z was.

Wszyscy trzej szybko opuścili się na wąską ścieżkę. Gdy Treggar znalazł się na dole, rozejrzał się i mruknął: Mam nadzieję, że nie będziemy musieli się tędy pospiesznie wycofywać.

A to czemu? – spytał William.

Nie masz tu miejsca do walki, poruczniku.

William stwierdził, że Treggar ma rację. Przejście było tak wąskie, że jeden człowiek uzbrojony choćby w sztylet mógł w nim trzymać w szachu kilkunastu napastników. Skały po obu stronach ścieżki miały po kilkanaście stóp wysokości i były tak gładkie, że nie dawały żadnej możliwości wspinaczki.

– Tędy – stwierdził William, ruszając przodem. Nawet gdyby chciał, nie miał wyboru – w tej wąskiej kiszce mogliby zmienić kolejność marszu, tylko przełaząc jeden przez drugiego.

– Popatrzcie na skały! – szepnął William, gdy na niebie znalazły się oba księżycy.

James przystanął i zaczął badać powierzchnię kamienia.

– To robota człowieka. Widać ślady dłuta.

Nasi przyjaciele, jak sądzę – stwierdził Treggar.

Co oznacza, że przy starym wejściu na pewno zbudowano jakieś pułapki. – Milczał przez chwilę. – Nie przejdzie tędy żaden koń, albo więc mają gdzieś tu trzecią drogę do środka, albo niedaleko ukryli stajnię z zapasami owsa i siana.

Podejrzewam, że prawdziwe jest to ostatnie przypuszczenie – odezwał się Kapitan.

Szli dalej, aż w końcu, w miejscu, gdzie ścieżka nieco się rozszerzała, trafili na pozornie ślepy zaułek. William podniósł rękę, by zmacać ściany, ale James go powstrzymał.

– Niczego nie dotykaj! – William cofnął dłoń. – Cofnij się i pozwól, że się precysem obok ciebie – rozkazał.

Gdy zamienili się miejscami, niegdysiejszy krondorski złodziejaszek stał przez chwilę nieruchomo i przyglądał się powierzchni skały.

Chciałbym mieć tu trochę światła – mruknął sam do siebie.

Nie da rady – odpowiedział Treggar.



Cicho tam! – polecił James.

Wyciągnąwszy rękę, dotknął dłonią ściany z prawej, a potem przesunął palce aż do miejsca, gdzie łączyła się z płaszczyzną zamykającą mu drogę. Nacisnąwszy delikatnie, natychmiast cofnął rękę.

W ten sam sposób zbadał lewą ręką drugą ścianę, a potem odwrócił się ku towarzyszom.

Pułapka – powiedział.

Skąd wiesz? – spytał Treggar.

Bo wiem.

Jaka pułapka? – chciał wiedzieć William.

Paskudna – odpowiedział James, klękając. Zbadawszy w podobny sposób grunt przed ścianą zamykającą ścieżkę, polecił przyjaciołom: – Cofnijcie się. – Wszyscy się cofnęli o kilka stóp. – Jeżeli chcesz wiedzieć, skąd się znam na pułapkach, Kapitanie, to odpowiem, że jakbyś tak jak ja spędził pół życia na badaniu rozmaitych tajnych zamków, też byś sobie wyrobił osobliwy zmysł, ostrzegający cię przed nimi – stwierdził giermek zwracając się do Treggara. – Tę zrobiono bardzo przemyślnie, ale żadna naturalna formacja skalna nie ma dwóch pionowych równoległych szczelin naprzeciwko siebie. Ktoś wyciął ten blok i go tu osadził. – James sięgnął w dół i lekko pchnął. Pionowa, górna część ściany lekko odchyliła się w tył, a potem cicho się cofnęła. Giermek wsunął palce pod spód płyty i pociągnął ku sobie. Płyta dźwignęła się bezgłośnie, James odchylił ją pionowo na dwóch ukrytych trzpieniach, aż rozległo się ciche szczęknięcie. Obejrzał się przez ramię ku towarzyszom. – Wycięli te drzwi bardzo starannie – powiedział – ale oczywiście takich płyt nie da się dopasować idealnie tak, żeby nie zostawić szczeliny, choćby była cieńsza od włosa. Nie tykajcie niczego oprócz ziemi. Uważajcie, by nie dotknąć płyty ani boków drzwi, jak będziecie się pod nimi przeczołgiwać – powiedziawszy to, znikł w

mroku pod drzwiami. William i Kapitan ruszyli za nim. W tunelu było ciemno jak w piekielnej jamie. – Nie ruszajcie się! – ostrzegł ich szept Jamesa.

Minęło kilka ciągnących się niezwykle wolno chwil, aż wreszcie mrok rozjaśniła niewielka plamka światła w ręku Jamesa.

Jakżeś to zrobił? – spytał Treggar.

Pokażę ci później – odparł giermek. Podał Williamowi niewielką świeczkę. – Przejdźcie trochę w głąb tunelu.

Bardzo ostrożnie opuścił drzwi na miejsce, a potem się odwrócił i wyciągnął rękę do Williama. Porucznik oddał mu świeczkę. Płomyk dobrze oświetlał najbliższą przestrzeń, pomagając wybrać miejsce następnego kroku, ale niewiele rzucał światła w głąb korytarza. Zanim światło zostanie odkryte, będą już siedzieli na karku tego, co strzeże tunelu.

– Teraz trzeba wykorzystać wszystkie zmysły – szepnął James. – Uważajcie!

I ruszył naprzód. Tunel wyraźnie wiódł w dół, w głąb ziemi.

Szli dość długo i powoli, aż wreszcie zobaczyli daleko w przodzie blask światła. James natychmiast zgasił i schował swoją świeczkę. Tuż przed dotarciem do źródła światła natrafili na tunel przecinający pod kątem prostym korytarz, którym szli. James skręcił w prawo, odchodząc od jaśniej oświetlonego odcinka, i skinieniem dłoni wezwał Treggara i Williama, by poszli za nim. Gdy znów znaleźli się w mroku, zapalił świeczkę.

Ruszyli korytarzem dalej. Było to przejście uczynione ludzkimi dłońmi, wykładane po bokach doskonale dopasowanymi płytami i wybrukowaną posadzką.

To chyba o tej drodze myślał tamten szczur – mruknął cicho William.

Jaki szczur? – zdumiał się Treggar.

Co pewnie oznacza, że niedaleko jest kuchnia lub jakiś składzik żywności – odparł James, ignorując pytanie Kapitana.

Nagle usłyszeli czyjeś kroki – ktoś szedł w odległości kilku jardów przed nimi. James szybko zgasił ogarek. W chwilę później zobaczyli światło ponownie – dwóch mężczyzn przeszło prostopadłym korytarzem, idąc z prawej na lewą. Obaj milczeli i niełatwo było określić, co mieli na sobie – wszyscy trzej zobaczyli tylko, że ubrania tamtych miały ciemną barwę.

I co teraz? – spytał szeptem William.

Idziemy za nimi – odpowiedział James.

Zapamiętajmy drogę powrotną – odezwał się Treggar. – Jeden z nas powinien wrócić do Księcia i opowiedzieć mu o tym miejscu.

William i James nie odpowiedzieli.

Ostrożnie przeszli ku skrzyżowaniu korytarzy, a potem skręcili w lewo, by pójść za dwoma nieznajomymi.

Przeszedłszy kolejne sto kroków, usłyszeli pomruk wielu głosów. Kiedy się zbliżyli do jaśniejszej części korytarza, zobaczyli wielu ludzi stłoczonych przed wejściem do rozległej i dobrze oświetlonej komnaty. Wszyscy stali odwróceny plecami do przybyszów.

James rozejrzał się dookoła i wskazał portal, za którym widać było schody wiodące gdzieś w górę. Niedysiejszy krondorski urwis szybko wspiął się po schodach, a pozostali przybysze poszli za jego przykładem.

Znaleźli się w okrągłej komnacie, w której górnej części, nad czymś, co kiedyś musiało być zbrojownią, było miejsce wydzielone służbie do spania. Pod odległą ścianą stały jeszcze nieużywane od dawna piece i kowadła.

Najwyraźniej trafili do podziemi starej keshkańskiej twierdzy, które wyłobiono w litej skale, na jakiej wzniesiono fortecę. Pomruk głosów z dołu był na tyle głośny, że James zaryzykował.

– Tu musieli spać czeladnicy i terminatorzy pracujący w zbrojowni – wyszeptał, zwracając się do towarzyszy.

– Co się tam dzieje na dole? – spytał cicho William. James zaryzykował zerknięcie przez krawędź, i szybko się cofnął. Nawet w nikłym świetle padającym z niżej położonej części komnaty William i Treggar zobaczyli, że giermek zbladł.

– Zanim tam spojrzycie, głęboko sobie odetchnijcie – szepnął do obu towarzyszy.

William zerknął i zobaczył zgromadzonych w dole przynajmniej ze stu ludzi, wszystkich odzianych w czarne habity lub oponce i patrzących na ceremonię, jaka odbywała się na wprost miejsca, w którym się ukryli trzej Krondorczy. Starożytną zbrojownię przekształcono w świątynię, a brązowe, pokrywające tylną ścianę płamy wskazywały wyraźnie na to, że czczono tu jakieś mroczne siły.

Czterej ludzie, najwidoczniej pełniący role kapłanów, składali właśnie ofiarę i mocno trzymali za ręce oraz nogi człowieka leżącego na grzbiecie w poprzek wielkiego kamienia.

Na ścianie za kapłanami wisiała maska, większa od rosnącego mężczyzny, przedstawiająca złowrogiego stwora rodem z najgorszych, nocnych koszmarów. Przypominające z grubsza koński łeb oblicze miało wydłużoną, lisią paszczę, z której wystawały dwa długie, zagięte ku dołowi kły. Za uszami stwora widać było wygięte w tył, zwinięte jak u barana rogi, a w miejscu oczu płonęły dwa płomienie.

Przewodzący ceremonii kapłan zaczął rytmiczny zaśpiew, a wszyscy pozostali odpowiedzieli mu chórem, powtarzając jakieś słowa.

Co to za język? – spytał Treggar.

Brzmi jak keshkański – odparł William – ale nie przypomina żadnego znanego mi dialektu.

W dole nagle zagrzmiał bęben, głucho ryknął róg, a kapłan głośnym wrzaskiem wywołał jakieś imię. James poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po krzyżu.

Zaśpiew kapłanów brzmiał coraz głośniej. Jeden z nich otworzył wielką księgę i zaszedł leżącego człowieka z boku. Drugi wziął od stojącego w pobliżu złotą czarę i ukląkł przy głowie ofiary.

Zebrani nie przerywali inwokacji.

Trzej stojący kapłani przyspieszyli tempo śpiewu – a zebrani odpowiedzieli w podobnym rytmie. Chór zabrzmiał głośniej i bardziej natarczywie.

Mistrz ceremonii zamaszystym gestem obnażył czarny nóż, który na chwilę przytrzymał przed oczami ofiary. Nagi nieszczęśnik, któremu zostawiono tylko przepaskę na łądźwiach, nie mógł się ruszyć, ale ujrzawszy czarną klingę, wytrzeszczył oczy.

I wtedy kapłan zręcznym ruchem ciął bezbronnego biedaka w szyję, a z rany trysnęła fontanna krwi. Klęczący kapłan podstawił złotą czarę, która szybko się napełniła... a gdy wpadły w nią pierwsze krople, James poczuł, jak ogarnia go fala chłodu.

Poczuliście ten dreszcz? – spytał szeptem William, choć zebrani w dole z pewnością nie mogli słyszeć jego głosu, tłumionego przez ich rytmiczny śpiew.

Ja tak – odparł Treggar.

Magia – odparł William. – Wielka magia.

Nagle w komnacie pociemniało, choć pochodnie w ścianach nadal płonęły jasnym blaskiem. Za ołtarzem, na którym leżała targana ostatnimi drgawkami ofiara, zgęstniała chmura mroku, która z wolna zaczęła przybierać złowrogi kształt.

Precz stąd! – syknął William. Czarna chmura z sekundy na sekundę przybierała coraz wyraźniejszą formę, a śpiew kapłanów osiągnął szczyty natężenia.

Co to było? – spytał James, gdy trzech towarzysze cofnę li się w głąb niszy dla służby.

– Demon – odpowiedział William. – Dam za to głowę. Zachowajmy ciszę i nie wychylajmy się już. Kapłani mogli nas w ciemnościach nie zauważyć, ale demon ma bardziej bystry wzrok i słuch.

– Nisko pochyleni Krondorczycy szybko zeszli schodami na dół. Z prowizorycznej świątyni buchnęły wrzaski.

Co to było? – spytał Treggar.

Krew była potrzebna do sprowadzenia tego stwora tutaj – wysunął przypuszczenie William. – A teraz sam się karmi... ofiarami spośród wiernych.

Zahartowana w bitwach twarz Treggara, świadcząca o tym, że niejedno już widział w życiu, zbladła.

Co, oni sami oddają życie w ofierze? – spytał przez zęby, powstrzymując torsje.

To fanatycy – odpowiedział James. – Widywaliśmy już takich, Kapitanie. Pamiętasz Murmandamusa?

Treggar kiwnął głową.

– Czarni Zabójcy.

Musimy ostrzec Aruthę – odezwał się William. – Ma dość ludzi, by obrócić w perzynę to gniazdo morderców, ale nie wiele zdołają wskórać przeciwko demonowi. Książę nie zabrał magów ani kapłanów.

To nie pierwszy demon, któremu Arutha stawiałby czoło – stwierdził James, przypomniawszy sobie napaść na Księcia, jakiej był świadkiem w Opactwie Sarth.

Z nieczystej świątyni buchnęły nowe wrzaski.

– Jazda – ponaglił Treggar towarzyszy. – Musimy wracać. Na razie tamci mają co innego na głowie, ale nie wiadomo, jak długo to potrwa.

James kiwnął głową i ruszył przodem.

Szybko zeszli po schodach w dół i korytarzem cofnęli się ku sekretnemu wejściu. Przez cały czas ścigały ich okrzyki konających ludzi. Kilkakrotnie myśleli, że ceremonia dobiegła końca, za każdym jednak razem po krótkiej chwili ciszy wrzaski wybuchały na nowo.

Kiedy dotarli do mrocznej części korytarza, James zapalił swój ogarek.

Ten, co leżał na kamieniu, nawet nie jęknął – zauważył nagle William.

Ja myślę – odparł Treggar, że to był jeden z naszych tropicieli, a to twardzi ludzie.

James skwitował tę wymianę zdań milczeniem. Gdy dotarli do wyjścia, skinieniem dłoni zatrzymał towarzyszy i podał ogarek Williamowi.

Po dłuższych oględzinach przyłożył dłoń do ukrytych drzwi i pchnął, by je uchylić.

Kamienna płyta nawet nie drgnęła.

# ROZDZIAŁ 13

## KAMUSŁAŻ

James pchnął ponownie. Drzwi ani drgnęły.

Coś nie tak? – spytał Treggar.

Te drzwi się nie otwierają– odpowiedział James. Szybko przesunął palcami po krawędzi płyty, potem zbadał ścianę z prawej i z lewej strony.

Czemu się nie otwierają? – drążył Treggar.

Gdybym wiedział, to bym je otworzył! – syknął James.

Być może raczyłeś tego nie zauważyć, giermku – odciął się Treggar – ale utknęliśmy na końcu długiego korytarza i nie mamy się gdzie ukryć. Jeżeli nie zdołasz otworzyć tych drzwi w ciągu minuty, będziemy musieli się cofnąć i poszukać innej drogi.

James pracował w skupieniu, ale widać było pośpiech w jego ruchach.

– Nie wiem... – Szybko przesunął się na lewą stronę drzwi i kontynuował oględziny. Po chwili mruknął: – Chodźmy.

Ruszył ponownie w głąb fortecy, a na skrzyżowaniu skręcił w lewo.

Dokąd nas prowadzisz? – spytał William.

Nie mam pojęcia, ale wiem, że w tak wielkiej fortecy z pewnością znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy się mogli ukryć.

A czemu idziemy w tę stronę? – spytał Treggar.

Bo tam już byliśmy.

Treggar nie rzekł ani słowa, najwidoczniej uznając odpowiedź za wystarczającą.

Zostawiwszy za sobą skąpo oświetlony korytarz, weszli w ciemną czeluść i James znów zapalił swój ogarek.



Jak ty to robisz? – spytał William.

Pokażę ci, jak znajdziemy jakąś kryjówkę – odpowie dział giermek.

Dość długo szli w milczeniu, skręcając kilka razy, ponieważ James chciał się znaleźć jak najdalej od ohydnej świątyni. W pewnej chwili się zatrzymał.

– Kurz – stwierdził, zbliżywszy ogarek do ziemi. – Pod czas ostatnich kilku lat nikt tu nie przechodził. – Wyprostował się zaraz i ruszyli dalej. Wkrótce potem trafili na pomieszczenie, w którym kiedyś był jakiś składzik, dawno już nieużywany, o czym świadczyła zmurszała futryna i zardzewiałe zawiasy w drzwiach. Nie wiadomo też było, co się stało z samymi drzwiami. James wszedł do pomieszczenia i podniósł ogarek wysoko nad głowę. W migotliwym świetle ujrzeli izbę długą na jakieś dwadzieścia stóp, szeroką na dziesięć. Tylną ścianę komnatki ukrywało skalne rumowisko. – Chodźcie tutaj – odezwał się giermek, wskazując towarzyszom róg przeciwległy do wejścia. – Na razie nikt chyba nie będzie się tu kręcił, ale Ruthia – bogini szczęścia – to kapryśna pani, a ja nie chcę, by jakiś fanatyk zauważył światło w nie odwiedzanej od dawna komnacie.

Treggar spojrział na rumowisko.

– Ta izba świeci pustkami, bo tu nie jest bezpiecznie. Spójrzcie na tę kłodę.

James przesunął ogarek bliżej leżącej na szczycie rumowiska poprzecznej belki, która najwyraźniej była częścią futryny drzwi.

Sucha jak pieprz. – Odsunął kilka mniejszych kamieni i usiadł wygodnie na sporym głazie.

Myślałem, że stare drzewo twardnieje – mruknął William.

Niekiedy owszem, tak – stwierdził Treggar. – Widywałem stare budowle, w których belki były jak z żelaza. – Podniósłszy niewielki kawałek drewna, skruszył go w palcach. – A czasami... się kruszą, ot tak.

Jak uważacie, która godzina? – spytał James.

Już blisko świtu – odparł Treggar.

Założę się, że nasi przyjaciele zamieszkujący to miejsce śpią za dnia. Swoją robotą zajmują się w nocy. Spróbuję się wymknąć i trochę się rozejrzeć. Jeżeli nie znajdę innej drogi wiodącej na zewnątrz, obejrzę ponownie te drzwi. Nie możemy tu siedzieć za długo.

Zobacz, czy nie znajdziesz gdzieś jakiejś wody – rzekł William. – Strasznie chce mi się pić.

James kiwnął głową. Od chwili, w której zostawili swoje wyposażenie i zaczęli się wspinać ku sekretnemu wejściu, minęło sporo czasu.

Zobaczę, co się da zrobić.

Zanim odejdiesz, powiedz, co to za sztuczka z tym światłem? – spytał William.

James podał mu zapalony ogarek.

– Patrz uważnie. – Sięgnąwszy do zwisającej mu u pasa sakwy, wyjął jeszcze jedną długą pałeczkę wyglądającą jak gruba drzazga wolno się spalającego drewna, używanego do zapalania pochodni i ognisk. – Wtarłem w nią pewną substancję. – Pokazał niewielką fiolkę, z której wylał kilka kropel na pałeczkę. Przez chwilę nic się nie działo, a potem na końcu pałeczki zapłonął niewielki płomyk. – Kupiłem to w Krondorze od pewnego ulicznego magika. Bardzo poręczne, a najważniejsze, że nie trzeba krzesać ognia krzemieniem i stałą... i pali się nawet na silnym wietrze.

A ja myślałem, że stary Kulgan nauczył cię tej swojej sztuczki ze strzelaniem w palce – uśmiechnął się William.

Akurat! Zostawiam wam tę pałeczkę, ale mnie światło może być bardziej potrzebne niż wam.

William trzymał ogarek zostawiony przez Jamesa.

– Poruczniku, lepiej to zgaś – mruknął Treggar. William posłusznie zgasił płomień, pograżając pomieszczenie w ciemnościach.

Za pozwoleniem, przygotuję jednak krzesiwo i hubkę, ot tak, na wszelki wypadek.

Udzielam pozwolenia.

William usłyszał, jak Treggar szuka czegoś w mroku.

– Tu jest trochę tego drewna– powiedział Kapitan. – Gdybyś chciał szybko skrzesać ognia, powinno się łatwo zająć.

– Dziękuję, Kapitanie. Nastąpiła długa chwila ciszy.

Ten giermek... – zaczął Treggar. – Nie lada z niego ćwik, prawda?

Owszem – stwierdził William. – Wszyscy to potwierdzają. Ja znam go dość słabo; widywałem go od przypadku do przypadku, kiedy z ojcem przyjeżdżaliśmy do Krondoru. Ale ty... Kapitanie, od lat tkwisz w Krondorze. Myślałem, że znasz go lepiej niż ja.

– Nie za bardzo– odpowiedział Treggar. Nastąpiła kolejna, długa chwila ciszy, a potem Kapitan stwierdził:– Jest osobistym giermkiem Księcia. Kilku go nazywa „książęcym pieśczochem”, ale nikt nie powie mu tego w twarz. Ma wiele przywilejów, niedostępnych dla innych.

Z tego, co o nim wiem, na wszystkie rzetelnie sobie zasłużył.

Na to wygląda, prawda?

Kapitanie... – odezwał się William.

Co znowu?

Chciałbym tylko powiedzieć, że mam poważne podejście do służby. Moja nieobecność podczas pierwszego tygodnia... nie zależała tylko ode mnie.

Zaczynam to rozumieć.

Znów zapadła cisza.

Tak naprawdę – podjął wątek William – to nie chciałem zaczynać służby od Krondoru.

W rzeczy samej? A to czemu?

Naprawdę nie jestem krewnym Księcia. Mój ojciec przed wielu laty został adoptowany przez Lorda Borrica.

To czyni cię członkiem królewskiej rodziny, chłopcze.

Tak mi powiedziano. Ale ja chciałem być zwykłym żołnierzem, Kapitanie. Chcę pójść własną drogą.

Żołnierka to niełatwe życie – odparł Treggar po chwili milczenia. – Wielu chłopców ze szlacheckich domów zjawia się w pałacu i zaczyna szkolenie pod kierunkiem Miecznika, a potem odbierają rozkazy i wracają do swoich rodzin. Pokazują się na uroczystościach państwowych, w lśniących pancerzach, dosiadając koni, na jakich mnie nigdy nie było i nie będzie stać, a potem dostają... – Treggar umilkł.

A ty myślisz, że o tobie zapomniano, Kapitanie.

Można by tak powiedzieć. Zacząłem jako żołnierz... zaciągnąłem się w pierwszych latach Wojen o Przetokę. Byłem w garnizonie Dulanica, a potem pognali nas na front w Yabonie, gdy do miasta wkroczył Diuk Guy. – William był wtedy jeszcze dzieckiem, ale znał tę historię z opowiadań. – Twój giermek James był wtedy szczywanym złodziejaszkiem, a ja przestraszonym żołnierzem, który trzymając pikę, stał obok innych, równie przestraszonych chłopaków i patrzył, jak pędzą na nas ci tsurańscy wariaci z szaleństwem w oczach. – William milczał. – Tak czy owak, była to długa wojna i wielu chłopaków zostało w polu na zawsze. Podczas drugiej zimy w górach byłem sierżantem. W trzecim roku byłem już porucznikiem, a ponieważ trafiłem do książęcego garnizonu, zrobili mnie porucznikiem rycerstwa.

I– Treggar milczał przez chwilę. – No popatrz... mówię o sobie. Zwykle nie jestem gadatliwy.

Kapitanie, to dobrze, że mówisz. Dźwięk twojego głosu sprawia, że w tym mroku siedzi się jakoś... różniej.

Wiesz, Will... jestem najstarszym nieżonatym oficerem w garnizonie.

William zauważył, że Treggar użył jego imienia, po raz pierwszy nie zwracając się do niego służbowo.

– Niełatwo tak żyć, Kapitanie.

– Jestem oficerem, którego się nie zaprasza na tańce, gdzie można spotkać młode dziewczęta. Jestem oficerem, który nie ma żadnych możliwych krewnych. Mój ojciec był tragarzem portowym.

I nagle William zrozumiał, że Kapitan się boi. Ujawnienie ludzkich uczuć pod maską tyrana było jego sposobem na zwalczanie strachu. Młody porucznik nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to podobne wyznanie.

Mój ojciec był kuchcikiem. Treggar parsknął śmiechem.

Ale na tym nie poprzestał, prawda?

Owszem. – Zachichotał William. – A gdybyś miał możliwość wyboru, Kapitanie, to co byłbyś zrobił?

Chciałbym poznać jakąś kobietę. Nie musiałyby wcale być wielką panią... wystarczyłoby, gdyby była miłą kobietą. Chciałbym mieć jakiś garnizon, gdzie sam byłbym dowódcą. Gdzie nie musiałbym się nieustannie oglądać przez ramię, by zobaczyć, czy Miecznik albo Konetabl nie czyhają na moment, gdy stracę cierpliwość i dam w łeb jakiemuś kadetowi. Chciałbym po prostu robić to, co do mnie należy. Choćby w tej małej forteczce, którą odbudujemy nieopodal Zatoki Shandon. Pięćdziesięciu ludzi załogi, godny zaufania sierżant, ściganie przemytników, tępienie opryszków i dom, który mógłbym nazwać swoim i zjeść w nim obiad.

William parsknął śmiechem.

Kiedy się stąd wygrzebiemy, z chęcią poszedłbym za tobą, Kapitanie, i robiłbym dokładnie to samo. Ale... Podczas ostatnie go tygodnia odkryłem, że Księżę ma wobec mnie swoje plany.

To ciężkie brzemię. Znaczący... przynależność do rodziny królewskiej.

Tak właśnie mi powiedziano. – W mrocznym składziku zapadła cisza. Po dość długiej chwili przerwał ją William.

Ciekaw jestem, co też porabia James.

James czołgał się na brzuchu, starając się robić jak najmniej hałasu. Znalazł drogę wokół najbliższego zgromadzenia skrytobójców, wiedział jednak, że ani William, ani Treggar nie zdołają się tamtędy przemknąć niepostrzeżenie; gdyby nie jego niezwykle umiejętności, i jemu by ta sztuka się nie udała. Teraz próbował znaleźć inną drogę – i okazała się nią pęknięta rura odprowadzająca nieczystości, o ile gdzieś tam w przodzie nie trafi się zwężenie.

Budowla była stara. Keshanie opuścili tę fortecę setki lat temu, z powodów, które przepadły w pomroce dziejów. Być może gdzieś na granicach Imperium wybuchł jakiś bunt albo w stolicy rozgorzała walka o władzę.

W nikłym świetle zapalanego od czasu do czasu ogarka James zobaczył dostatecznie wiele, by żałować, że nie ma czasu na dokładniejsze badania. Znalazł komnatę pełną starych kości, z których wiele trafiło tu całkiem niedawno. Podejrzewał, że wrzucili je do niej aktualni lokatorzy starej fortecy.

Znalazł także kamienie z góry, wyblakłe i spękane na słońcu, usypane w stosy w kilku większych komnatach, z których jedna była chyba jadalnią starszyny, a trzy inne gromadnymi sypialniami, co mocno go zaskoczyło.

Doszedł do wniosku, że skrytobójcy robili coś pośród pozostałości starych ruin na górze, a potem usiłowali zatrzeć ślady swojej działalności.

Zobaczywszy przed sobą jakieś światło, podwoił ostrożność. Posuwał się cal po calu, aż znalazł się bezpośrednio pod nim. Górna część rury zapadła się pod dziurą w posadzce jakiegoś pomieszczenia. James odwrócił się na grzbiet i przez chwilę leżał nieruchomo, potem się podniósł i bardzo powoli usiadł.

Pomieszczenie było puste. Giermek wstał.

Znajdował się w jakiejś wartowni – w trzech ścianach były drzwi do trzech cel. Drzwi zewnętrzne wiodły do mrocznego korytarza. James zajrzał do najbliższej celi przez niewielkie, zakratowane okienko w okutych żelazem drzwiach. Pod przeciwległą ścianą siedział samotny mężczyzna, mający na sobie jedynie lnianą przepaskę na biodrach.

– Hej! – szepnął James.

Nieznajomy podniósł głowę i zamrugał, usiłując rozróżnić rysy twarzy człowieka, którego głowa zamykała małe okienko.

Ktoś ty? – zapytał w języku Królestwa.

James, giermek Krondoru.

Więzień wstał i podszedł do drzwi, pokazując Jamesowi twarz.

– Jestem Edwin, tropiciel. James kiwnął głową.

Widziałem, jak przed kilkoma godzinami składali w ofierze twojego towarzysza.

To był Banito. – Kiwnął ponuro głową więzień. – Ara-W8B8 zabili poprzedniej nocy. Ja będę następny, chyba że mnie stąd wyciągniecie.

Cierpliwości – odparł James. – Jak wypuszczę cię teraz, a oni tu przyjdą i sprawdzą, to się dowiedzą, że jesteśmy w twierdzy.

Ilu was jest?

Trzech. Ja i dwaj oficerowie. Czekamy na Księcia.

Te dranie też – odpowiedział Edwin. – Nie wiem, co planują, ale trochę rozumiem ich mowę i podsłuchałem dość, by się zorientować, że oni wiedzą o zbliżaniu się oddziału Księcia i szykują mu gorące powitanie.

Demon – mruknął James.

Demon? – spytał szeptem Edwin. – Wiedziałem, że macza w tym łapy jakiś mag oddany siłom mroku...

Jeszcze tu wrócę – obiecał James. – Jeżeli oni zamierza ją zabić cię dziś wieczorem, to mam jeszcze prawie cały dzień na znalezienie drogi wyjścia na zewnątrz.

Ja ją znam! Złapali mnie przy wschodniej bramie fortecy. Otworzyli stare wrota, prawdopodobnie mają tam wyjście. Mogą tamtędy przejechać dwaj konni obok siebie.

My znaleźliśmy inne wejście, ścieżkę wyciętą i ukrytą w skałach obok dawnej bramy głównej. Ale nie potrafię otworzyć drzwi od środka.

W tym nie mogę wam pomóc, mości giermku. Co zamierzacie?

Pierwej mi powiedz o wejściu, które odkryliście.

– Obok zbrojowni mają podziemną stajnię, w której trzymają zwierzęta. Stamtąd przez krótki, ale rozległy korytarz można się dostać do zwodzonego mostu i bramy nad wyschniętą fosą. Mają tam sprytnie ukryte posterunki obserwacyjne wzdłuż wschodniej skarpy i każdy, kto tamtędy nadciągnie, zostanie zauważony, zanim dotrze do bramy.

James przez chwilę rozmyślał o tym, co usłyszał. Powoli zaczął mu się rysować w głowie cały układ podziemi starej fortecy.

Wrócę jeszcze do ciebie. Na jak długo przed tą... piekielną ceremonią przyjdą po ciebie?

Godzinę wcześniej. Karmili mnie... raz dziennie. Powinni przyjść za kilka godzin.



Zjedz wszystko. Musisz odzyskać siły. Wymkniemy się stąd, zanim się zorientują, że cię nie ma.

Zaczekam tu na was... na razie nigdzie się nie wybieram – odparł tropiciel z przebłyskiem wisielczego humoru.

James cofnął się do korytarza w głębi. Przemknął szybko wzdłuż ściany do skrzyżowania i przepadł w ciemnościach.

Usłyszawszy ruch, Treggar i William sięgnęli po sztylety. Po rozmowie zamyślił się obaj i szmer ich zaskoczył.

Spokojnie – rozległ się w mroku głos Jamesa. W chwilę później zapłonął jego ogarek. – Mamy problem – stwierdził krótko.

Tylko jeden? – spytał Treggar z przekąsem.

Jeden, ale wielki. Ostatni z naszych tropicieli będzie zło żony w ofierze o północy, jeżeli go nie uwolnimy.

A możemy go uwolnić? – rzekł Treggar.

Owszem.

To na co czekamy?

Sprawa nie będzie łatwa. Nie mamy wody, żywności, koni, a do przybycia Aruthy zostało przynajmniej dwa dni – o ile w ogóle zdoła nas odnaleźć. Nie jestem pewien, ilu tych drani tu siedzi, ale podejrzewam, że przynajmniej ze trzy setki. – James podał ogarek Williamowi. – Potrzymaj. – Pochyliwszy się nad posadzką, zaczął kreślić szkic palcem w kurzu. – My jesteśmy tutaj – stwierdził. – Prosto na wschód znajduje się główne gniazdo tych Jastrzębi, czy kimkolwiek tam są. Na północy jest kilka opuszczonych pomieszczeń, głównie to magazyny i spiżarnie. Trochę czasu pomyszkowałem w kanałach...

Wcale nie śmierdzisz – zauważył Treggar.

Bo tej części kanałów nie używano od kilkuset lat. – James otoczył nakreślony przez siebie szkic niezbyt równym prostokątem. – Jesteśmy w

południowa zachodnim krańcu starego lochu. Widzieliśmy zbrojownię, w której te łajdaki urządziły sobie świątynię. Przebywają głównie w koszarach, prawdopodobnie gdzieś tu, ponieważ były tu podziemne kuchnie. Na północy znów są puste pomieszczenia. A na wschodzie mają stajnie i tam, właśnie znaj duje się tajne przejście, którego najczęściej używają.

A co z drogą, którą się tu dostaliśmy? – spytał William.

Sprawdziłem jeszcze raz, gdy tu wracałem. To drzwi uchylne, ale z zapadką, prawdopodobnie umieszczoną tam po to, by zatrzymać w środku tych niedowiarków spośród członków Bractwa Skrytobójców, którzy chcieliby się stąd wynieść chyłkiem. Mechanizm zapadkowy jest ukryty za jakimś fałszywym kamieniem po ostatnim skrzyżowaniu przed drzwiami. I trzeba uważać, jeżeli zechcesz go wyłączyć, a nie wiesz jak się do tego zabrać, uruchomisz pułapkę.

Jaką? – zaciekawił się Treggar.

Nie wiem, nie miałem nastroju do badań. Są tam jakieś druty i kółka zębate osadzone na trzpieniach. Uruchamia się nawet wtedy, gdy pchniesz drzwi z niewłaściwej strony. Pchnij w dół i po tobie.

Sposób, w jaki je otwierałeś, wydał mi się dość osobliwy – zauważył William.

Tak to zaplanowano. Właściwy sposób to ten, który jest najbardziej niewygodny.

Skąd wiedziałeś? – dociekał młody oficer.

Wiesz. Są głupi złodzieje i starzy złodzieje, ale nie masz starych i głupich złodziei. A sprytne młode złodziejaszki słuchają pilnie, kiedy starzy się przechwalają tym, jak to zręcznie unieszkodliwili jakąś szczególnie zmyślną pułapkę. Nie byłem głupim młodym złodziejaszkiem. Słuchałem. – Zachichotał. – Te drzwi zamiast zawiasów z jednej strony miały bolce w

jarzmach po obu stronach, jasne więc było, że ten, kto je skonstruował, nie chciał, by się otwierały jak zwykłe drzwi. Na dodatek pomyślałem sobie, że był na tyle przewrotny, by założyć, że sposób, w jaki do otwierania tych drzwi zabrałaby się większość ludzi, powinien uruchamiać śmiertelną pułapkę.

– A co z pierwotnym wejściem zachodnim? – spytał Treggar.

Nie mogłem znaleźć dogodnego dojścia – odpowiedział giermek. – Ale myślę, że znajdę jakąś drogę na górę. – Wskazał rumowisko pokrywające zachodnią ścianę pomieszczenia, w którym siedzieli.

Tędy? – spytał William.

Zupełnie możliwe – odpowiedział James. – Domyślam się, że główne wejście powinno prowadzić na dziedziniec paradny i mury wokół twierdzy. Mur i brama są więc gdzieś nad nami. Powinno być przynajmniej kilka korytarzy, którymi obrońcy w razie potrzeby mogli się dostać ze zbrojowni. – Wskazał za siebie w głąb korytarza. – Na znajdujący się nad nami dziedziniec.

Treggar wstał i zaczął badać rumowisko. Większość głazów dała się przesunąć, a kilka większych zalegało środek pomieszczenia. Podeszedłszy do jednego z nich, spróbował go ruszyć. Po kilku pchnięciach udało mu się go lekko przesunąć. Usatysfakcjonowany tym Kapitan dał na razie spokój.

Tak sobie myślę... – odezwał się James. – Belki są zmurszałe. Pociągnij za niewłaściwy kamień i zwali się na nas całe sklepienie. Na północ stąd jest jeszcze jeden korytarz, wiodący do komnaty nawet bardziej zawałonej kamieniami niż nasza. Jeżeli więc nie masz innej drogi, jeszcze dalej ku wschodowi, to jedynym wyjściem osiągalnym dla nas jest to, przez które tu wleźliśmy albo wschodnia furta.

Którędy zatem pójdziemy?

Łatwiej wydostać się tędy, którądy przyszliśmy, ale jak nasze ptaszki się spostrzegą, że Edwin tropiciel przepadł bez wieści, zaczną przeczesać okoliczne wzgórza. Jeżeli w ich stajni znajdziemy konie, może uda się nam je wykraść. A wtedy mamy szansę na dotarcie do Aruthy szybciej niż tamci... – Wzruszył ramionami.

A widziałeś te stajnie? – spytał Treggar. – Wiemy, jak otworzyć bramę? Uruchamia ją kołowrót czy może spuszcza na jest na linach? Jest w niej opuszczana krata? Może trzymają jakaś przeciwwaga? Nad tą fosą jest most, czy po drugiej stronie drzwi będzie płaski teren?

Kapitanie, wszystkie wasze pytania rozważymy po kolei – odpowiedział James.

– A poza tym... – ciągnął nieubłaganie Treggar. – Jeżeli uda nam się ucieczka i dotrzemy do Księcia, czy oni tu jeszcze będą, gdy nadciągną nasi? Czy nie dojdą do wniosku, że lepiej się rozproszyć i zebrać gdzieś w innym miejscu?

James spojrzał na Williama.

– Owszem, to możliwe – powiedział. – Muszę pomyśleć – dodał po chwili. Zgasił światło. William i Treggar usłyszeli, jak siada pod ścianą. W ciągu następnej godziny wszyscy trzej zawzięcie milczeli. A potem w ciemnościach rozległ się głos Jamesa. – Mam pewien pomysł!

James leżał nieruchomo wewnątrz pękniętej rury odpływowej i nadstawiał ucha.

Upewniwszy się, że na górze nie ma żadnych natrętów, wyczołgał się do wartowni obok celi Edwina i zajrzał do więźnia.

Teraz? – Edwin podniósł nań oczy pełne nadziei.

Mmm... – odpowiedział James, oglądając zamek. Mechanizm był stary, prosty niczym konstrukcja cepa i giermek mógłby go otworzyć z zawiązanymi oczami. Sięgnąwszy do sakwy, wyjął z niej długi, sprężysty

metalowy pręt, który wsunął w otwór na klucz. Po chwili rozległo się ciche szcęknięcie, a James prze kręcił pręt. Zamek się otworzył.

Tropiciel wyskoczył z celi w sekundę później, i zaraz dał nura za Jamesem do ciemnej rury.

Jak tylko się spostrzegą, że mnie nie ma, zaczną szukać pod każdym kamieniem – zauważył Erwin, kiedy czołgali się w mroku.

Na to właśnie liczę – stęknął James, podciągając się dalej. Gdy dotarli do końca rury, giermek lekko wysunął się na zewnątrz, chwycił jej krawędź dłońmi i opuścił się na posadzkę. – Jestem tutaj – wyszeptał, kierując głos w górę. – Zwieś się z rury i puść. To tylko trzy stopy.

Tropiciel bezgłośnie opadł na kamienie. James położył mu dłoń na ramieniu.

– Teraz nie piśnij, choćbyś wlaźł na kolec – szepnął.

– Trzymaj dłoń na moim ramieniu, ponieważ będziemy szli po ciemku.

Z niemałą ulgą spostrzegł, że choć sytuacja nie należała do zwykłych, Edwin zachował zimną krew i precyzję ruchów. Nie zatrzymał się ani na chwilę i nie przyspieszył, tak że James musiał zwolnić tylko bardzo nieznacznie.

Kilka razy zatrzymywał się i czekał, nasłuchując, czy oprócz nich ktoś jeszcze nie czai się w mroku. Z niemałą satysfakcją odnotował w pamięci, że Edwin ani razu nie spytał, czemu się zatrzymują.

Tropiciel otworzył usta dopiero wtedy, gdy dotarli do kryjówki Treggara i Williama.

Dziękuję, Jamesie. Giermek zapalił ogarek.

Zostały mi jeszcze tylko cztery, więc musimy oszczędzać.

Jak cię złapali? – spytał Treggar.

Znają tę okolicę lepiej od nas. – Edwin wzruszył ramio nami. – Kryłem się, ale są tu rozległe przestrzenie, na których można spostrzec każdy ruch,

wystarczy, że ktoś obserwuje. Arawan, Benito i ja zostaliśmy wyłapani w odstępach jednego dnia.

Myślałem, że Księżę wysłał czterech zwiadowców – stwierdził Treggar.

– Owszem, został jeszcze Bruno. – Edwin się uśmiechnął.

– Ten się nie dał złapać. Wciąż jeszcze gdzieś tam jest. – Możesz go znaleźć? – spytał James.

Owszem, mogę. – Edwin kiwnął głową.

To dobrze – skwitował stwierdzenie tropiciela James. – Myślę, że wiem, jak cię wyprowadzić na zewnątrz, ale najpierw wykradnę dla nas trochę jadła i coś do picia. Zaczekajcie tutaj. – Bez dalszych słów zgasił ogarek i zniknął w mroku.

– Nie cierpię, kiedy to robi – mruknął William. Treggar tylko zaśmiał się cicho.

James wtulił się w ścianę za rogiem, tuż obok pryczy kucharza. Czuł głód i pragnienie, osobliwie podczas ostatnich kilku godzin, kiedy jednak zbliżył się do kuchni, uczucia te szarpnęły jego wnętrznościami z niespotykaną siłą. Mieszkańcy gniazda spali za dnia, ale pracujący w kuchni mieli wstać lada moment, by się wziąć za przygotowanie posiłku.

Zajrzawszy ostrożnie za róg, zobaczył, że chrapiący potężnie kucharz odwrócił się na drugi bok. W odległości dwóch jardów leżeli dwaj chłopcy odziani w wyjątkowo obszarpane łachmany. Byli to najprawdopodobniej niewolnicy kupieni w Durbinie albo porwani z jakiejś karawany. Nieco dalej, na kołku wbitym w ścianę nad okrągłą studnią z ceglanym obmurowaniem, wisiał skórzany wór na wodę. Logiczne było, że pustynna forteca miała przynajmniej jedną własną studnię. Zerknąwszy w górę, James zobaczył dziurę w sklepieniu i zorientował się, że otwór musi wychodzić na dawny wewnętrzny dziedziniec twierdzy.

Teraz poczynił poprawki w swoim planie. Wcześniej nie wiedział o tej sztolni, a dzięki niej wiele spraw można było rozwiązać łatwiej. Pospiesznie podbiegł do wylotu i wskoczywszy na cembrowinę, oparł dłonie o przeciwległą ścianę, a potem spojrział w górę. Na wysokości stu stóp nad głową zobaczył krąg światła. Studnia wciąż miała wylot na fortecznym płaskowyżu!

Górna część studni została zburzona wraz z resztą warowni, nikt jednak nie zadał sobie trudu, by zasypać sztolnię.

Spojrzawszy w dół, James zobaczył linę z hakiem, której drugi koniec niknął w mroku.

Wziął worek z wodą. Był pełny. Spojrzawszy w bok, zobaczył kilka innych worków leżących pod ścianą. Powiesił jeden z nich na miejscu pełnego. Jeden z kuchcików dostanie prawdopodobnie w skórę za to, że nie napełnił wora, ale wkrótce nie będzie to miało znaczenia.

Jutro lub pojutrze chłopcy będą wolni... albo martwi.

Książęcy giermek powoli przemknął przez kuchnię, zabierając chleb, ser i suszone owoce. Wybiegłszy cicho na zewnątrz, odbiegł kawałek w głąb korytarza i położył wszystko na ziemi, a potem wrócił do kuchni i znów wspiał się na krawędź cembrowiny studni.

Wsunął się do sztolni, której ściany sięgały mu od góry do bioder, a potem podskoczył w górę i mocno wparł obie dłonie w ściany. Niewiele brakło, a byłby się obsunął do studni, ale zdołał szybko podciągnąć kolana i zaklinował się w wąskim szybie. Potem zaczął się wspinać w górę, ocierając sobie łokcie i kolana do krwi i strącając jednocześnie ogromną ilość kurzu w dół. Pomyślał, że jeżeli kucharz nie zobaczy tego wszystkiego, znaczy, że jest ślepy.

Opuścił się trochę w dół... a potem zacisnął zęby, skulił ramiona i nogi – zeskoczył w głąb studni.

Mijając krawędź cembrowiny, capnął ją dłońmi, jak demon duszę. Hałas wydał mu się straszny, kucharz jednak nawet nie drgnął. James poczuł szarpnięcie w stawach ramion, które omal mu nie urwało rąk, ale jakoś wytrzymał. Przypomniawszy sobie, że ostatni raz doświadczył czegoś takiego, gdy jako młody złodziejczyk stawił na krondorskich dachach czoło jednemu z Jastrzębi, ratując Księcia Aruthę przed bełtem z kuszy skrytobójcy. Czas wcale nie złagodził siły wstrząsu.

Odetchnął głęboko, a potem wydostał się ze studni. Postarał się przy tym, by nie stracić korony kurzu i gruzu, jaki wcześniej usypał na krawędzi cembrowiny. Cicho zeskoczył na stronę, a potem przyjrzał się rezultatom swoich starań. Wyraźnie zobaczył odciski dłoni w miejscu, gdzie spadając do studni, chwycił cegły cembrowiny. Szybko zatarł te ślady, mając nadzieję, że nikt nie będzie się im dokładnie przyglądał.

Nie tracąc już czasu, wybiegł z kuchni, podjął zostawioną żywność i wodę, a potem szybko wrócił do pomieszczenia, gdzie czekali pozostali Krondorczyki. Po drodze rozcierając sobie ramiona, podjął solenne postanowienie, że więcej już nigdy w życiu nie powtórzy tej sztuczki.

– Nie wiadomo, co się zdarzy pierwszej – stwierdził James, gdy wszyscy pochłaniali przyniesione jadlo. – Albo kucharz zauważy nieład przy studni, albo strażnicy zajdą po Edwina i przekonają się, że ptaszek uleciał. Liczę raczej na to pierwsze.

Dlaczego? – spytał William, który swój kawałek chleba pochłonał dwoma kłapnięciami zębów.

Ponieważ jeżeli stwierdzą, że Edwin zniknął, zaczną przeszukiwać każde pomieszczenie, przynajmniej dopóki nie odkryją tego gruzu na krawędzi cembrowiny studni w kuchni. Jeżeli pierwszej alarmu narobi kucharz, domyśla się, że więzień uciekł, sprawdzą, przekonają się, iż w rzeczy samej



zwiął, i od razu kopną się na górę, przeświadczeni, że uciekł przez dziurę nad studnią.

A jak się wydostaniemy? – spytał Edwin.

My nie wychodzimy – odpowiedział James. – Ty wychodzisz. Arutha nadciąga z dwiema setkami zbrojnych. Ale tu czekają na nich przynajmniej trzy setki fanatyków. Ktoś musi go ostrzec – a ty masz największe szansę, kiedy już się wydostaniesz z fortecy.

Jak zamierzasz go stąd wyprawić? – spytał William.

Przez wschodnią bramę – odpowiedział książęcy giermek. Sięgnąwszy do zawiniątka, które przyniósł z workiem jada, wyjął zeń czarną koszulę i kurtkę. – Włóż to. – Potem podał Edwinowi luźne czarne spodnie i takiej samej barwy nakrycie głowy z otworem na oczy. – Będziesz po prostu jeszcze jednym Izmalisem szukającym zbiegłego więźnia.

– A co wy będziecie tu robić, jak ja się stąd ulotnię? – zapytał Edwin.

– No, ktoś musi otworzyć Arucie bramę – odpowiedział James. – Jest nas tu trzech, co trzykrotnie zwiększa szansę, że ktoś zostanie przy życiu, by to zrobić.

– A widziałeś przynajmniej tę bramę? – zaciekał się Treggar.

Owszem, z przeciwległej strony korytarza, kiedy się ukryłem w stajni.

1 jak wygląda?

Dwoje wielkich drewnianych skrzydeł okutych żelazem, otwierających się do środka. W rzeczy samej jest tam dość miejsca, by dwóch jeźdźców wjechało obok siebie.

A jak ją otworzymy? – zapytał William.

Nie otworzymy – odpowiedział James. – Będziemy ją trzymali zamkniętą, aż przyjdzie pora, by ją otworzyć.

Nie rozumiem – przyznał Treggar.

Kapitanie, ilu ludzi wysłałbyś za tropicielem? – spytał James.

Wszystkich wolnych – odpowiedział Treggar. – Tropiciele zostali schwytani, bo zmierzali tutaj. Jeden, który ucieka w przeciwną stronę i potrafi się ukrywać... to sprawa zupełnie inna.

Jeżeli się stąd wymknę – stwierdził Edwin – i zdołam oddalić choćby na milę, zje diabła pierwej ten, co zechce mnie złapać.

I co teraz? – spytał William.

Czekamy – odpowiedział James.

Nie musieli czekać zbyt długo. Po godzinie usłyszeli niosące się korytarzami odgłosy wzmożonej aktywności.

Zaczekajcie – odezwał się James i poszedł zbadać przyczynę poruszenia. Szybko wrócił z nowiną. – Tam wrze jak w gnieździe szerszeni. Kucharz musiał się obudzić, zobaczył zostawione przeze mnie na cembrowinie studni resztki gruzu, a te syny nieprawości oczywiście pomyślały, że Edwin uciekł na górę. Zaczekajcie tutaj – zwrócił się do Williama i Treggara. – Jeżeli nie wrócę do godziny, możecie uznać, że mnie zabito i wtedy róbcie, co wam rozum każe. A ty chodź ze mną – zwrócił się do Edwina.

Kapitanie... – odezwał się William do Treggara, gdy tamci wyszli.

Słucham?

Czy nie peszy cię fakt, że przyjmujesz rozkazy od giermka? Treggar parsknął śmiechem.

Gdybyś mnie spytał tydzień temu, to bym ci odpowiedział, że pierwej zdechnę. Ale James różni się od wszystkich giermków, jakich spotkałem. A poza tym – dodał rzeczowo – ma za sobą autorytet Księcia, a z tym nigdy się nie będę spierał. A ciebie to irytuje?

Czasami – przyznał William. – Choć głównie dlatego, że on zawsze jest tak cholernie pewny siebie.

Treggar znów się roześmiał.

Co prawda, to prawda. Ale pewność siebie, choćby nawet tylko udawana, nie jest złą cechą u dowódcy. Nigdy o tym nie zapominaj. Jak będziesz Diukiem albo generałem i wydasz ludziom rozkazy, postaraj się, żeby zobaczyli w tobie człowieka, który wie, co robi. To bardzo ważne.

Będę o tym pamiętał.

Obaj umilkli i zaczęli nasłuchiwać hałasów czynionych przez gospodarzy zbójckiego gniazda przy przeszukiwaniu fortecy.

James i Edwin poruszali się bardzo ostrożnie. Odgłosy bieganiny zostały już za nimi. James wyczerpał możliwości, jakie otwierały przez zbiegami nieużywane korytarze i teraz przekradali się przez szereg niegdysiejszych magazynów, z których obecnie korzystali skrytobójcy. Miejsce, gdzie się aktualnie ukryli zbiegowie i stajnie przy wschodniej bramie dzieliły jeszcze dwie sale z korytarzem pomiędzy nimi.

Edwin trzymał w dłoni krótki kord, który James znalazł w mijanym przed chwilą pomieszczeniu. W ukradzionych czarnych szatach wyglądał jak jeden z Izmalisów.

Nagły ruch przed nimi sprawił, że James się zatrzymał. Nie musiał ostrzegać tropiciela, który też zamarł w bezruchu. „Nie jest złodziejem – pomyślał James – ale zna się na złodziejskim fachu”.

W ich stronę szli dwaj mężczyźni. James szybko pchnął Edwina przed siebie, sam zaś przyłgnął do ściany, tak że dwaj skrytobójcy na pierwszy rzut oka mogli osądzić, iż mają do czynienia z dwoma kompanami.

Oszustwo udało się na chwilę, ale gdy tamci podeszli bliżej, jeden z nich spojrzął i wytrzeszczył oczy. Edwin nie potrzebował więcej – wykonawszy dwa długie skoki, runął na przeciwnika.

Drugi z Izmalisów wyciągał miecz, kiedy ostrze sztyletu Jamesa trafiło go w pierś. Edwin zdążył już wziąć swojego wroga pod siebie i teraz jednym ruchem poderznął mu gardło.

– Musimy gdzieś ukryć te trupy – sapnął tropiciel.

– A ot, tam – stwierdził James, ciągnąc swojego nieboszczyka za ramię do sąsiedniego pomieszczenia. Znaleźli tam pustą skrzynię na broń, w której zdołali jakoś upchać obu Izmalisów.

Rozejrzawszy się szybko i sprawdziwszy, że nikt niczego nie zauważył, ruszyli dalej ku stajniom.

Dotarłszy do nich, odkryli, że wciąż jeszcze panuje tu zamęt, ponieważ gospodarze wyprawiali akurat na zewnątrz ostatnią grupę poszukiwaczy. Z czterdziestu mniej więcej boksów zajętych zostało jeszcze tylko sześć, a dwie większe zagrody też były puste.

Wysłali za tobą przynajmniej setkę jeźdźców – szepnął James Edwinowi.

Doskonale – mruknął tropiciel. – Im większe zamieszanie, tym łatwiej będzie się przemknąć.

Pośrodku stajni stała grupka ludzi, którzy zaciekle o czymś rozprawiali. Wszyscy mieli na sobie ciemne szaty, ale wyglądali bardziej na kapłanów niż na pospolitych Izmalisów.

W końcu jeden z nich się odwrócił i poprowadził pozostałych za sobą. Wszyscy wyszli przez zachodnie wrota stajni.

Po ich wyjściu na miejscu zostali tylko dwaj strażnicy przy wrotach i dwóch szczupłych ludzi, którzy jeszcze siodłali konie. James podejrzewał, że ci zostaną wykorzystani jako gońcy do odwołania pozostałych, jeżeli zbiegowie zostaną pojmani przez którąś z grup.

Skinieniem dłoni wskazał Edwinowi dwóch chudzielców niespiesznie siodłających konie. Obaj z Edwinem ruszyli chyłkiem, kryjąc się za przegrodami boksów i powoli podeszli do nie spodziewających się napaści gońców.

Kiedy znaleźli się w odległości dwóch boksów, James dał Edwinowi znak i ten wyszedł na otwartą przestrzeń, mijając pierwszego z jeźdźców,

który przelotnie spojrzął na przechodzącego, ale zobaczywszy towarzysza, wrócił do dociągania popręgów przy siodle. W ułamek sekundy później kątem oka zauważył jakiś ruch i podniósłszy wzrok, spostrzegł, że przybysz stanął w sąsiednim boksie za jego kompanem, a ten natychmiast obsunął się na ziemię.

Obecności Jamesa za swoimi plecami w ogóle nie zauważył – dopóki nie poczuł ostrza sztyletu wbijającego mu się ukośnie w górę od tyłu.

Giermek skwitował to skinieniem głowy, a potem obaj wyprowadzili konie z boksu, dosiedli i ruszyli wolno.

Jeden ze strażników spojrzął na nich, i niewiele czasu zajęło mu stwierdzenie, że jeden z jeźdźców nie ma na sobie „ubrania roboczego”. Wrzasnął głośno, a jego kompan zaczął się rozglądać, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

Edwin wprost z siodła skoczył na bystrzejszego, zwalając go na kamienie posadzki. Drugi wyjął krzywy sejmitar w tej samej chwili, w której James cisnął weń sztyletem. Izmalis uchylił się zręcznie i sztylet Krondorczyka zamiast go zabić, nieszkodliwie ześlizgnął się po ramieniu skrytobójcy.

– Tam do kata! – zaklął James, zeskakując z siodła i wyciągając własny kord. – Nie cierpię, kiedy nie chcą stać spokojnie!

Edwin zdążył już stłamsić opór swojego przeciwnika i właśnie przykładał mu ostrze do krtani. Jednym pchnięciem w dół przeciął grdykę wroga.

James prawie się nadział na sztych sejmitaru, zdążył jednak odskoczyć przed podstępny pchnięciem.

– Teraz mnie, bratku, naprawdę zdenerwowałeś! – syknął, odbijając głownię przeciwnika silnym ciosem z boku, a potem zadając powtórne cięcie w odsłoniętą szyję Izmalisa.

Skrytobójca szybko się cofnął, choć wytrzeszczył oczy zaskoczony szybkością reakcji Krondorczyka – ostrze Jamesa chybiło może o pół grubości włosa.

Keshanin odskoczył dwa kroki i przyczał się z lekko pochylonym ostrzem. James ruszył na niego, zadając energiczne cięcie.

Przeciwnik sparował, pchnął w odpowiedzi, a książęcy giermek wykonał zwód tułowiem. Gdy przeciwnik wracał na pozycję, James w tym samym tempie natarł ponownie.

Wszystko powtórzyło się trzy razy. James się wahał, ale nacierał. Za czwartym razem, gdy skrytobójca wykonywał pchnięcie, James zamiast zrobić unik, gibnął się do przodu i przeszył Izmalisa swoim rapierem.

– Nigdy się nie daj złapać na powtarzanie kombinacji – stwierdził, zwracając się do Edwina. – To cię może kosztować życie.

Tropiciel kiwnął głową i w milczeniu wskoczył na grzbiet najbliższego konia. Pożegnawszy Jamesa skinieniem dłoni, mocno uderzył końskie boki piętami. Koń z miejsca ruszył.

James szybko pobiegł zamknąć bramę, zanim pojawi się ktoś jeszcze. Z trudem umieścił na miejscu dwie ryglujące ją belki, a przy okazji nieźle się spocił.

Potem wciągnął dwa trupy do najbliższego boksu i przykrywszy je sianem, postąpił tak samo z dwoma skrytobójcami, których wespół z Edwinem uciszyli wcześniej.

Spieszył się tak bardzo, że zrezygnował z podchodów i stajnię opuścił biegiem, kierując się ku opuszczonej części podziemnej fortecy.

Dotarłszy do Treggara i Williama, był tak zasapany, że przez chwilę w milczeniu chwytał oddech. Usiadłszy na kamieniu, zapalił ostatni ogarek.

Edwin wydostał się na zewnątrz – wyjaśnił pomiędzy dwoma haustami powietrza. – Przy odrobinie szczęścia Arutha do jutra powinien się

dowiedzieć, co się tu wyrabia i gdzie jesteśmy.

Przy odrobinie szczęścia – powtórzył Treggar.

I co teraz? – spytał William. James wyrównał oddech.

Jedliście już?

Owszem – odpowiedział Kapitan. – Zdążyliśmy się rozprawić z naszymi porcjami. Zostawiliśmy coś dla ciebie, na wszelki wypadek, gdyby jednak cię nie zabito.

Dziękuję, ale przekaszę coś później, przy okazji. – Giermek spojrzał na obu kompanów. – Arutha prowadzi ze sobą dwustu ludzi. Jeżeli nadciągnie tu bezpośrednio, może się natknąć na niektórych z poszukiwaczy wysłanych za Edwinem.

Ja już bijalem Jastrzębi. W walce twarzą w twarz nie są lepsi od zwykłych ludzi. Ich siłą jest reputacja, zaskoczenie, podstęp i strach. Jeżeli Arutha natknie się na równą ich liczbę na zewnątrz, jego ludzie rozpędzą ich jak wicher kupę suchych liści.

A co z tymi, co tu jeszcze zostali?

Jeżeli tu trafi – zaczął rozważania James – i przybędzie do wschodniej bramy, znajdzie się naprzeciw nagiej kamiennej ściany z wielkimi drewnianymi wrotami. Nad wrotami wykuto w ścianie strzelnice dla łuczników, więc nasi stracą wielu ludzi podczas prób wyważenia tych drzwi. Pokonawszy wejście, jego ludzie natkną się na przeciwników w ciasnych przejściach, które tamci doskonale znają, a poza tym są mistrzami walki w mroku.

Znaczy, nasi mogą dostać w skórę – podsumował Treggar.

– No to co zrobimy? – znów spytał William. Treggar i James obnażyli swoje miecze.

– Musimy zadbać o to, by żaden z tych maniaków nie wymknął się na zewnątrz, zanim Arutha tu dotrze... a gdy będziemy czekali, możemy trochę

poprawić stosunek sił na korzyść naszych.

William popatrzył na Treggara i Jamesa... i też sięgnął po swój miecz.



# ROZDZIAŁ 14

## ZABIJANIE

James podniósł rękę.

Dał w ten sposób znak czekającym w sąsiednim pomieszczeniu Tregarowi i Williamowi. Kapitan podszedł lekko pochylony z mieczem w dłoni.

Za nim pojawił się William ze swoim dwuręcznym mieczem. Była to przerażająca broń, ale niezbyt poręczna w ciasnych korytarzach i małych izbach, więc wszyscy się zgodzili, że powinien zamykać tyły, ponieważ jego obecność mogła przeszkadzać towarzyszom w starciach.

James nabrał tchu i w duchu zaniósł modlitwę do wszystkich bogów, którzy byliby gotowi go wysłuchać. Wypuścił powietrze z płuc, wszedł do pomieszczenia i natychmiast cisnął sztyletem w najbliższego stojącego przeciwnika. Potem odskoczył w bok i na oczach zaskoczonych nagłym atakiem kompanów wyciągnął miecz.

Tregar minął Jamesa i zanim giermek zdążył obnażyć swój miecz, Kapitan zabrał się do dzieła. Jego styl walki nie był piękny, ale niezwykle skuteczny i bezwzględny. Stary wyjadacz zastosował wszelkie nieczyste sztuczki, które James mógł tylko podziwiać. Teraz oto udał zwodnicze cięcie z góry, a gdy skrytobójca uniósł sejmitar, by sparować uderzenie, Tregar wymierzył mu potężne kopnięcie w genitalia.

Giermek zmrużył oczy w udanym współczuciu, gdy Izmalis złożył się wpół, ale jednocześnie gwizdnął z uznaniem dla skuteczności taktyki starszego oficera. Zanim skrytobójca zdążył opanować obezwładniający ból na tyle, by podjąć jakąś skuteczną akcję obronną, Tregar rąbnął go w łeb

rękojeścią miecza, popchnął dla lepszego rozmachu i ciął, aż powietrze zawyło pod ostrzem.

James tymczasem szybko dobił swego przeciwnika, do pomieszczenia zaś wszedł William.

To już szesnastu włącznie z tymi, których zabiliście z Edwinem w stajniach – stwierdził rzeczowo.

Znaczy, zostało stu trzydziestu czterech – mruknął James, wyciągając swój sztylet z piersi pierwszego, którego zabił. – Wiecie, wciąż jeszcze panuje tu zamęt, ale niedługo przyjdzie czekać, jak natkną się na pierwsze trupy, a wtedy do ich czarnych serc zaczną się zakradać brzydkie podejrzenia... i zabiorą się do przeszukania podziemi.

Ktoś tu idzie! – rzekł Treggar.

– Nie mamy czasu, by ukryć tych nieboszczyków! – syknął James. – Tędy! – Wskazał boczny korytarz. Wszyscy trzej puścili się biegiem.

Pobiegli przez oświetlone osadzonymi w ścianach pochodniami komnaty, z których korzystali skrytobójcy. W trzeciej natknęli się na samotnego człowieka, który podniósł na nich zdziwiony wzrok i skonał, zanim zdążył zdać sobie sprawę z tego, że patrzy na wrogów. Treggar ciął na odlew, nie zmieniając nawet tempa biegu.

Zaraz potem dotarli do miejsca, w którym korytarz się rozwidłał – na prawo płonęły pochodnie, lewa część pogrążona była w mroku.

– Tędy! – James wskazał drogę w lewo.

Skoczyli w mrok, który dość szybko zmusił ich do zwolnienia tempa ucieczki. Ścigały ich odgłosy pogoni.

Trzymajcie się lewej ściany – poradził James. – Na prawo jest paskudna wyrwa w podłodze. Ale kiedy na mój znak przyłgniecie do ściany z lewej, przejdziecie bezpiecznie.

Skąd o niej wiesz? – spytał William.

Czy Miecznik cię nie uczył, że ojcem wiedzy jest doświadczenie? – James wolał się nie zagłębiać w szczegóły.

Niewiele brakło, a William byłby jednak stracił równowagę, gdy po kilku krokach jego prawa stopa trafiła w pustkę. Rad był z ostrzeżenia, bo z zimnego podmuchu, wionącego z dołu, domyślił się, że jama jest głęboka.

Po chwili dotarli do szeregu niewielkich pomieszczeń.

Myślałem, że to jakieś magazyny albo więzienne cele, ale brakuje tu drzwi – zauważył James.

Nic nie widzę – stwierdził Treggar.

Ja też, ale... powiedzmy, że w moim poprzednim fachu dobrze było wyrobić sobie zmysł wyczucia otoczenia, nawet jeżeli tkwiłeś po uszy w mroku.

Dokąd nas prowadzisz? – spytał William.

Do miejsca, w którym, jak sądzę, przez jakiś czas będzie my bezpieczni.

Sądzisz? – spytał Treggar.

Kapitanie... przyznaję, że nie jest to otoczenie, które osobliwie mi się podoba. Nie masz tu dachów, a i kanałów do ukrycia się też nie jest za wiele. Wszędzie solidna cegła albo kamień, a do tego od powierzchni ziemi dzieli nas z pięćdziesiąt stóp skały. Ośmielę się zwrócić uwagę na fakt, że mamy nieco ograniczony wybór, jeżeli idzie o kryjówki. Przejdźcie do prawej ściany i dotknijcie jej dłonią. A potem marsz za mną – polecił James po chwili dalszej wędrówki. – Treggar i William postąpi li zgodnie z jego poleceniem i wszyscy skręcili w kolejny korytarz. – Ale ja znalazłem jedno miejsce.

Co? – spytał William. – Daleko to?

Nie – odparł James. – Jesteśmy na miejscu.

Gdzie?

Ostatnim razem, jak tu byłem, miałem pochodnię. Prosto nad naszymi głowami jest szczelina w sklepieniu, a nad nią pusta przestrzeń. Niedoskonałość konstrukcji. Wygląda na to, że jest tam dość miejsca, byśmy się tam mogli choć na krótko ukryć.

Tylko tak wygląda?

Nie mogłem się wdrapać i sam sprawdzić – stwierdził James. – Podsadźcie mnie.

Po ciemku? – spytał William.

A masz inne światło?

Nie.

– Tak myślałem. No to nie gadaj, tylko mnie podsadź. William wsunął miecz do pochwy, a potem wyciągnął rękę i macał na oślep, dopóki nie trafił na ramię Jamesa.

Staniesz mi na rękach czy na ramionach?

Kłęknij, bym ci mógł wleźć na plecy, a jak powiem, to wstań.

Jak chcesz.

James stanął na ramionach Williama, balansując niczym linoskoczek.

Teraz – stęknął i młody porucznik wstał, trzymając towarzysza za kostki.

Puść – polecił James i William poczuł, że gniotący go ciężar ustąpił. Po chwili usłyszał z góry głos Jamesa. – Wsuń do góry rękę, a ja cię złapię i wciągnę.

Porucznik podskakiwał jednak trzy razy i dopiero za ostatnim razem James chwycił go za nadgarstki i podciągnął nad sklepienie. Potem obaj wywindowali Treggara. Wszyscy trzej znaleźli się wyżej i usiedli.

Co to za miejsce? – zapytał William.

Nie wiem. Być może była tu kiedyś pieczara z nierównym sklepieniem albo woda wyżłobiła skałę – odparł James.

Woda nie bierze się znikąd, a ostatnim razem, gdy tu byłem, nie widziałem w tej okolicy za wiele wody – stwierdził rzeczowo Treggar.

Ale jesteśmy pod ziemią, a może poziom wody w tej studni był kiedyś wyższy. Albo na przykład opadł tu sufit. Tak czy owak, możemy tu trochę posiedzieć.

Wiecie – odezwał się William – pomiędzy naszym poziomem i powierzchnią jest blisko pięćdziesiąt stóp skały. Może są tu i wyższe pomieszczenia.

Ale mówiłeś, żeś nie widział żadnych schodów – zwrócił się Treggar do Jamesa.

Na zachód od tego miejsca są przynajmniej dwie sale zawałone rumowiskiem kamieni. Może schody są za tymi osy-piskami?

I co teraz? – spytał William.

Poczekamy – odparł Treggar.

Po kilku minutach usłyszeli tupot kroków i przez szczelinę wdarło się światło. Pod sobą zobaczyli zbrojnych ludzi, którzy świecili pochodniami. Wszyscy nosili czarne zbroje, oprócz ostatniego, odzianego w szaty kapłana.

Kiedy przeszli, zbiegowie przez chwilę słyszeli jeszcze, jak tamci przeszukują pobliskie komnaty. Nikt się nie odezwał, dopóki światło pochodni mocno nie przybladło.

Jak tamci przechodzili pod nami z tym światłem, zobaczyłem nad nami kilka luźnych kamieni – stwierdził James.

Patrzyłeś w górę? – zdziwił się William.

Stare przyzwyczajenie – odpowiedział książęcy giermek. – Kiedy łazisz po kanałach albo w nocy myszkujesz po dachach i zobaczysz, że skądś pojawia się światło, uciekasz spojrzeniem w drugą stronę, by cię nie

oślepiło. – Podniósłszy ręce, zbadał sklepienie nad sobą. – To dzieło rąk ludzkich – stwierdził.

– Kwadraty o boku półtovej stopy.

– Być może tkwimy pod podłogą następnego poziomu – stwierdził Treggar.

– Pomóż mi pchnąć tę płytę – poprosił James, siłując się z kamieniem nad głową. Treggar zrobił dwa kroki w kucki i podszedł do Jamesa. Obaj wyciągnęli ręce i pchnęli. Na dół posypał się kurz i pokruszone kamyki zaprawy, a płyta z głuchym zgrzytem uniosła się w górę. James wsunął dłoń w dziurę i zmacał dookoła. – To jakaś komnata – stwierdził. Sąsiednie płyty i trzymały się lepiej, ale w końcu ustąpiły i gdy podniesiono jeszcze I dwie, można było przecisnąć się przez otwór i przedostać wyżej.

Przejdźcie w bok – polecił James. – Te płyty nad naszą niedawną kryjówką mogą nie wytrzymać nacisku naszych stóp.

Powietrze pachniało kurzem i wilgocią. I oczywiście mrok był kompletny. – Niech żaden z was się nie rusza, dopóki trochę tu nie pomyszkuję i zobaczę, jak wielkie jest to pomieszczenie.

William i Treggar stali spokojnie, podczas gdy James ostrożnie odszedł w bok. Giermek stapał bardzo lekko, ale w pomieszczeniu panowała taka cisza, że z łatwością mogli stwierdzić, gdzie jest.

Znalazłem ścianę. – Usłyszeli po kilku chwilach z odległości mniej więcej dwudziestu stóp. Potem doszły ich odgłosy kroków wzdłuż ściany i obaj się zorientowali, że James mierzy odległość.

– Posadzka trzyma dobrze, oprócz tej szczeliny – stwierdził f po chwili.

Daj nam znać, jak znajdziesz jakieś światło – powiedział William. – Ten mrok jest trochę denerwujący.

Przyzwyczaisz się – mruknął James zdawkowo. – A!

Co się stało? – spytał Treggar.

Drzwi. Drewniane. Zamknięte. – Po kilku sekundach błysnęła iskra. – Mamy światło – stwierdził James, zapalając pochodnię, którą znalazł tkwiącą w żelaznej obejmie w ścianie. – Zobacz my, co tu mamy – rzekł, chowając krzesiwo. Pomieszczenie było pustą, kwadratową komnatą, mającą mniej więcej czterdzieści stóp długości i szerokości, zastawioną pod ścianami pustymi stojakami na broń. Pośrodku stały jeszcze dwa stojaki, w których umieszczono długie włócznie gotowe do użycia. – Jeżeli pod nami jest zbrojownia... – zaczął się zastanawiać James.

– To tu trzymali zapasową broń, tak żeby ją mieć pod ręką – dokończył Treggar.

James włożył pochodnię w obejmę przy ścianie i podszedł do drzwi.

– Tędy powinno być przejście na dziedziniec ćwiczeń na górze. – Spróbował otworzyć drzwi. – Zatrzaśnięte. – Obejrzał je. – Przyjrzyjmy się zawiasom – mruknął.

William i Treggar wyjęli sztylety i zaczęli skrobać nimi starożytne żelastwo.

– Gdybyśmy mieli trochę oliwy... – stwierdził Treggar – to kto wie...

Skoczę po oliwę – odpowiedział James.

Dokąd? – zdumiał się Treggar.

Na dół. – James wskazał dziurę w posadzce.

Jesteś stuknięty!

– Niewykluczone – odparł James i zniknął im z oczu. William i Treggar spojrzeli na siebie, a potem usiedli i rozpoczęli czekanie.

Czas ciągnął się jak szewska dratwa.

Niech mi który poda rękę. – Nagle w mroku zabrzmiał głos Jamesa. William pospiesznie położył się na ziemi i wysunął ramię przez dziurę. James kilka razy chybił w mroku, ale potem chwycił i wywindował się na górę.

Nawet nie usłyszałem, jak się skradasz. – stwierdził William.

I nie miałeś usłyszeć – odparł cicho James. – Tam na dole szuka mnie kilku niezbyt miłych ludzi, a jak im się urwałem, nie chciałem, żeby usłyszeli, że się wspinam tu na górę.

Co się tam dzieje? – spytał Treggar.

Przeszukują wszystko po raz drugi. Zostawili chyba kogoś nad studnią, a ponieważ nie zobaczyli nikogo, kto tamtędy wyłazi, doszli do wniosku, że wciąż jeszcze musimy tu siedzieć. Ponieważ nic jeszcze o nas nie wiedzą, doszli pewnie do wniosku, że to ten twój tropiciel grasuje w mroku i morduje, kogo popadnie. Ale prędzej czy później ktoś nieco bystrzejszy od worka ziemniaków domyśli się, że musi gdzieś być przełaz na wyższy poziom, i zaraz potem zaczną badać sklepienie cał po calu.

I w końcu nas tu znajdą – stwierdził William.

To prawie pewne – odparł James. – Ale tym bym się na razie nie martwił.

– No to czym mamy się martwić? – spytał Treggar. James wyciągnął przed siebie solidny, dwustopowy łom.

Oliwa – poleciał później. Gdy William wylał trochę płynu na zawiasy, giermek podjął poprzedni wątek. – Martwi mnie to, że mogą nas schwytać, zanim nasza wiadomość dotrze do Aruthy. Jak długo my tu im się wymykamy, tamci myślą tylko o tym, by nas złapać, bo oni bardzo nie lubią, jak ktoś zabija ich... to odwraca porządek rzeczy, do jakiego przywykli. I oczywiście nie przygotowują niczego na powitanie Aruthy. Jeżeli wszystko pójdzie, tak jak sobie to ułożyłem, wracający z daremnej pogoni za Edwinem będą mieli na karkach krondorskich jeźdźców i trafią na zabarykadowane drzwi, a ich kompani będą tak zajęci pościgiem za nami, że nie otworzą im zbyt spieszenie.

Tak to sobie ułożyłeś? – spytał Treggar.



Owszem, ale to był stary plan. Jeżeli te drzwi wiodą tam, dokąd myślę, to mam nawet lepszy plan.

Korzystając z łomu i oliwy, wysadzili z miejsca ćwieki zawiasów. Treggar wepchnął łom pomiędzy drzwi i futrynę, a potem mocno nacisnął. Drzwi drgnęły, przesunęły się z tępym zgrzytem może o ćwierć cala i znieruchomiały.

Coś je tam trzyma – stwierdził oficer.

Kapitanie... może ja? – podsunął William.

Treggar podał łom Williamowi, który był odeń niższy, ale miał o połowę szersze bary.

William obejrzał drzwi, a potem wetknął łom w szczelinę futryny na wysokości swoich ramion. Pchnął w górę, potem w dół i drzwi drgnęły silniej. William pchnął jeszcze raz, drzwi ruszyły ponownie, a potem porucznik zważył się na plecy, gdy puściły zawiasy.

James i Treggar odskoczyli w bok, bo drzwi frunęły, jakby je ktoś z drugiej strony otworzył silnym kopnięciem. Obróciły się jeszcze w powietrzu i legły z głośnym trzaskiem na kamiennej posadzce. Powietrze wypełniły chmury kurzu, równie gęstego jak dym i wszyscy trzej Krondorczycy zanieśli się kaszlem.

– Patrzcie – wykrztusił po chwili William.

Pomieszczenie pierwotnie znajdowało się tuż pod powierzchnią dziedzińca twierdzy. Za drzwiami ku powierzchni wiodła pochyła rampa, a na jej szczycie, równoległe do podłogi, zamontowano zamknięte, poziome drzwi. W poprzek nich umieszczono zaporową belkę, która można było usunąć, ciągnąc za liny albo łańcuchy. Żelazne rygle zostały nietknięte, ale liny czy łańcuchy dawno już obróciły się w pył lub rdzę. James zbadał drzwi.

– Zmyślne to – stwierdził po chwili. – Tu są zawiasy – wskazał na przeciwległy koniec – więc uwolnione drzwi opadają, tworząc pochylnię.

To stara keshkańska sztuczka – stwierdził Treggar. – Ja tego nie widziałem, ale poprzedni Konetabl, Dulanica, opowie dział nam kiedyś o walce, jaka wynikła gdzieś tu na pustyni, kiedy zdobyli jakąś keshkańską forteczkę. Wdarli się na mury, i wydało im się, że wszyscy obrońcy już nie żyją. Weszli do środka, rozłożyli się obozem, a w nocy Keshanie pojawili się jakby spod ziemi. – Rozejrzał się dookoła. – Powiedział nam, że po zdobyciu keshkańskiej twierdzy zawsze należy ją przeszukać, wypatrując kryjówek takich jak ta, bo inaczej można się obudzić z keshkańskim sejmitem na gardle. – Kapitan wspiął się na rampę i stanąwszy obok Jamesa, przyłożył dłonie do drzwi. – Z drugiej strony prawdopodobnie była jakaś maskująca tkanina, na którą pewnie nasypali piachu i kamieni. Tyle, by łażąc po powierzchni, nie usłyszeć odgłosu pustki, gdy nastąpisz na te drzwi.

No, należy jeszcze dodać kilkusetletnią pokrywę kurzu – mruknął James, sprawdzając, jak drzwi napierają na ryglującą je belkę. – To nawet nie drgnie, dopóki nie przywiążemy tu kilku solidnych lin.

Żeby odciągnąć tę belkę przy całym leżącym z drugiej strony ciężarze, potrzebne będą konie – stwierdził Treggar.

Możliwe – odpowiedział James. Ponownie zbadał drzwi.

– Ale... może nam się uda poluzować te obejmy – orzekł na koniec.

– Spróbuję – odezwał się William, podchodząc do drzwi z łomem. Zabrawszy się do roboty, stwierdził po chwili: – To drewno jest mocno zmurszałe. Łatwo się kruszy. – Wkrótce dwa zawiasy upadły z brzękiem na kamienną posadzkę rampy. William zabrał się do kolejnego zawiasu i wkrótce ten też spadł na dół. Zaraz po nim opadła belka, która z impetem zsunęła się po rampie, zmuszając Jamesa do podskoku. William padł na

plecy, ale Treggar zdołał odskoczyć w bok. Młody conDoin leżał przez chwilę na grzbiecie, spodziewając się, że drzwi zwałą się nań lada moment, ale nic takiego się nie stało, wobec czego William przetoczył się na brzuch i odczołgał w tył, a potem wstał i zszedł z rampy. – Czy te drzwi nie powinny opaść w dół? – spytał.

Pewnie tak – odpowiedział Treggar. Ruszył ku rampie, ale James zatrzymał go dłonią.

Ja bym się tak nie spieszył. Poczekajmy jeszcze chwilę.

Chyba nie ma potrzeby. – Treggar odtrącił rękę giermka. Podeszedłszy do najbliższej krawędzi drzwi, uważnie ją obejrzał od spodu. Potem wsunął sztylet pomiędzy krawędź drzwi i futrynę, nacisnął lekko i coś wydobył. Wróciwszy do towarzyszy, podał im w palcach jakąś brązową, podługowatą bryłkę. – Błoto.

Błoto? – zdziwił się William. – Tutaj?

Rzeczywiście, w tej okolicy deszcze nie są zbyt częste – przyznał Treggar – ale czasami się zdarzają. W ciągu wielu lat drzwi wielokrotnie pokrywały się kurzem, potem przychodził deszcz, i znów robiło się gorąco.

Zeschnięte na kamień – stwierdził James, biorąc okruch z ręki Treggara. – Drzwi są pokryte dwu albo trzycalową warstwą tego skamieniałego blocka.

Ale co je trzyma w miejscu? – spytał William.

Siły przylegania – odpowiedział James. – Kilka razy zdarzyło mi się, że musiałem wyciągać przedmiot z błota. W pierwszej chwili trzeba użyć znacznie większej siły niż ciężar przedmiotu... właśnie dlatego, że błoto lubi się „przysysać”.

Znaczy, że tu utknęliśmy? – drążył temat William.

Niekoniecznie – odpowiedział ksiązący giermek. Podeszedł do jednego z większych stojaków na broń. – Pomóżcie mi to przesunąć na początek

pochylni – poprosił. Gdy stojak znalazł się tam, gdzie chciał James, giermek z pomocą przyjaciół przeniósł belkę rygła, którą jednym końcem wparł pod stojak, a drugim podparł drzwi. – Nie zatrzyma to tych drzwi, jeżeli zaczną spadać mi na łeb, ale zwolni ich upadek na tyle, że zdążę uciec.

Co chcesz zrobić? – spytał Treggar.

Zamierzam naciąć to błocko od spodu tak, że jeśli ktoś stanie na drzwiach od góry, zwałą się do środka.

– - Jesteś stuknięty – stwierdził Kapitan.

Dopiero teraz doszedłeś do tego wniosku? – Uśmiechnął się James. Podszedłszy nieco wyżej po rampie, zwrócił się do przyjaciół. – Cofnijcie się. Jak zacznie się walić, chcę mieć wolną drogę ucieczki. – Pracował ostrożnie i mozolnie, a tymczasem William zajął się obserwacją dziury w podłodze, czekając podświadomie na to, że zostaną odnalezieni przez prześladowców. – Powinno wystarczyć – stwierdził po godzinie James.

Na co? – zdziwił się William.

– Na to, żeby szybko ustąpiły, kiedy będę tego chciał.

– Uśmiechnął się James.

Kolejny plan? – spytał Treggar.

Zawsze trzeba mieć jakiś w zanadrzu. A teraz powiedzcie mi, która może być godzina?

Sądę, że gdzieś koło północy – odpowiedział Treggar.

– No, może ćwierć godziny wcześniej, czy później.

– No i dobrze – stwierdził giermek, siadając na posadzce.

– To teraz sobie poczekamy.

Na co? – spytał William.

Na to, by tych kilku zuchów, których zostawiono do obserwacji studni na górze, zmęczyło się i poczuło senność.

James wtulił się w ścianę pomiędzy dwoma kuchennymi regałami na talerze, usiłując zlać się w jedno z zalegającymi wolną przestrzeń cieniami. Nieopodal ściany stał samotny strażnik, który zajęty obieraniem jabłka ze skórki rozglądał się od czasu do czasu dookoła.

Giermek nie bardzo wiedział, co zrobić. Mógłby cisnąć w służbistę sztyletem, ale niewielkie były szanse na to, że uciszy go jednym rzutem. Niespodziewany skok przyniosłby rezultaty, ale w pobliżu z pewnością byli inni, którzy wsiedliby mu na kark, gdyby ofiara choć głośniejsz stęknęła.

James zjawił się w kuchni kilka sekund przed strażnikiem i dał nura w pierwszą kryjówkę, jaką miał pod ręką. Teraz mógł tylko zniechęcić w nadziei, że strażnik nie zauważy obcego kształtu w mroku pod ścianą.

W pewnej chwili strażnik spojrzał gdzieś w bok i James natychmiast, bez chwili namysłu, wykorzystał sposobność. Wszedł za jeden z regałów i okrążył go, przechodząc na przeciwległą stronę rzeźnickiego pniaka.

Strażnik obejrzał się i zobaczył spokojnie idącego ku niemu leniwym krokiem człowieka.

James uśmiechnął się przyjaźnie i odezwał się jedynym słowem, jakie znał w keshzańskim.

– Hej! Strażnik zamrugął.

– Hej? – odpowiedział i dodał jakieś pytanie w języku, który Krondorczyki wcześniej słyszeli w ustach skrytobójców.

James miał w rękawie ukryty sztylet i gdy Izmalis powtórzył pytanie, Krondorczyk ciął go błyskawicznie po krtani.

Strażnik zagulgotał cicho, chwycił się za gardło i chybnawszy się w tył, wpadł do studni.

Odgłosy zbliżających się kroków zmusiły giermka do skoku na krawędź cembrowiny. Powtarzając swój wcześniejszy wyczyn, podskoczył w górę i szybko podciągnawszy nogi, wparł dłonie i kolana w wyłożone kamieniami

ściany starożytnej sztolni. Jęknął przy tym zduszonym głosem, gdyż natychmiast pootwierały mu się ledwie zasklepione zadrapania i rany z poprzedniego wyczynu.

Szybko wspiął się wyżej, sykiem bólu kwitując niemal każdy cal zyskanej wysokości. Wiedział, że wobec coraz jaśniejszego nieba nad głową nie może zostać tu zbyt długo, szybko więc pokonał kilka ostatnich stóp.

Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie usłyszał żadnych dźwięków. Ostrożnie wytknąwszy głowę nad krawędź studni, zobaczył w pobliżu sześciu wartowników – z których czterech spało snem sprawiedliwych, a dwaj pogrążeni w cichej rozmowie w ogóle nie zwracali uwagi na studnię.

Oszacowawszy wzrokiem odległość, ocenił ją na dziesięć stóp i szybko doszedł do wniosku, że jeżeli spróbuje się wymknąć, któryś z nich z pewnością dostrzeże kątem oka nagły ruch. Z konieczności postanowił zaryzykować.

Odwróciwszy się plecami do obu wartowników, zaczął powoli przewijać się przez krawędź. Liczył na to, że nawet jeżeli któryś spojrzy w jego kierunku, w mroku przedświt nie zauważy niewielkiego chwilowego wybrzuszenia na brzegu studni. Oczywiście, gdyby popatrzył nań wprost, z pewnością byłby go zauważył. James modlił się w duchu, by żaden z nich nie doszedł w oczywisty sposób do głupiego – po tych wszystkich godzinach bezowocnego stróżowania przy studni – wniosku, że komuś chciałoby się teraz przekradać drogą tak trudną i niewygodną.

Przełożywszy ramiona nad cembrowiną, pozwolił, by jego własny ciężar przeniósł go na drugą stronę. Los okazał się łaskawy: Edwin tropiciel powinien już do tej pory spotkać swoich towarzyszy albo nawet stanąć przed Aruthą. Jeżeli tak, Arutha przebędzie za dzień, najdalej za dwa. W

przeciwnym razie James wolałby nie obliczać szans na to, czy wydostanie się stąd żywy i w jednym kawałku.

Wparłszy dłonie w ziemię, powoli opadł na grunt obok studni. Odwrócił się bezgłośnie i oparł plecy o cembrowinę, potem zaś wyjął miecz. Odetchnął głęboko, stłumił świadomość bólu w plecach oraz kolanach i nagle podskoczył, prostując się jednym ruchem.

Dwaj rozmawiający strażnicy nie od razu go spostrzegli – a gdy zaczęli się podnosić, James puścił się biegiem przed siebie.

Jeden z wartowników zaalarmował okrzykiem kompanów, którzy zaczęli się wolno budzić, dopytując zasapanymi głosami, co się stało. James tymczasem szybko niczym ścigany królik podbiegł do miejsca, gdzie wedle jego oceny były drzwi pochylni wiodące do podziemnej zbrojowni i zatrzymawszy się, ostrożnym stąpieniem spróbował odkryć ich położenie, nasłuchując pustego dźwięku z podłoża.

Nic z tego nie wyszło, ponieważ wrzaski z tyłu zagłuszyły wszelkie odgłosy z dołu, poczuł jednak, że w jednym miejscu grunt lekko ustępuje. Zatrzymał się ostrożnie, odwrócił i cofnął może o jard.

Grunt pod jego stopami wyraźnie się uginał. James cofnął się jeszcze o kilka kroków i pochylił, jakby czekając na ludzi, którzy gnali ku niemu z podniesioną bronią. Gdy zaczęli zwalniać, James zdał sobie nagle sprawę z faktu, iż tamci mogą go otoczyć.

Odwróciwszy się, ruszył biegiem, jakby wpadł w panikę, i usłyszał wrzaski rozkazów.

Zaraz potem rozległ się głośny trzask i łoskot. James odwrócił się i zobaczył, że pod nogami prześladowców nagle jakby się rozstała ziemia. Natychmiast skoczył za nimi. Mimo chwilowej przewagi zaskoczenia James i jego towarzysze mieli po dwóch wrogów na każdego.

Dopadłszy krańca pochylni, skoczył w dół, odwracając się w locie, tak że wylądował zwrócony twarzą do wnętrza podziemnego magazynu zbrojowni.

Spieczone błoto utrzymało jeden brzeg zapadni na miejscu, tak iż waląc się do środka, przechyliła się jednocześnie w bok, co spowodowało, że skrytobójcy poprzewracali się jeden na drugiego, tworząc bezładną kupę. Teraz James patrzył w dół pochylni, w mrok komnaty, w której Treggar i William toczyli zajadły bój z dwoma strażnikami.

I nagle James poczuł, że obcasy zjeżdżają mu w dół, a stopy wymykają się spod niego – a w sekundę później z okropnym trzaskiem pękającego drewna uderzył nogami dwóch skrytobójców, którzy akurat usiłowali wstać.

Zjeżdżając dalej, zobaczył, że jeden z Izmalisów, zamiast walczyć, usiłuje przemknąć obok niego i wydostać się na górę. Ciachnął go rapierem, ale chybił – a skrytobójca śmignął ku górze.

Nie mógł mu już poświęcić ani sekundy, bo drugi z zabójców usiadł i natychmiast ciął na odlew swoim sejmitarem. James mógł tylko rzucić się w tył – uderzając boleśnie głową o drewno pochylni – i przepuścił ostrze nad sobą. Leżąc na plecach, pchnął rapierem i zabił Izmalisa jednym ciosem.

Usiadłszy, zobaczył tuż przed sobą czyjeś odziane w czarną kurtkę plecy. Bez namysłu pchnął w nie sztyletem. Szumiało mu we łbie i wszystko pływało mu przed oczami – wstrząs upadku był dość silny.

Treggar stał już nad jednym martwym skrytobójcą, zawzięcie rąbiąc się z drugim.

William odbijał cios jednego z przeciwników, wymierzając jednocześnie kopniaka drugiemu.

James rzucił się na bliższego z dwóch przeciwników Williama i zbił go z nóg, a potem zaczął się z nim mocować, w tym czasie porucznik zabił



drugiego sztychem swego katowskiego miecza.

– Jeden ucieka! – ostrzegł Williama James.

– Zostaw go mnie! – zawołał William i przeskoczywszy przez konającego Izmalisa, pobiegł po rampie za uciekinierem.

Dopadłszy szczytu rampy, zobaczył zbiega w odległości trzystu kroków, gnającego ku szczelinie wiodącej do pochyłości w dół.

William puścił się za nim.

James i Treggar zabili ostatniego z Izmalisów i pojawili się na górze w samą porę, by zobaczyć Williama znikającego za wschodnią krawędzią płaskowyżu.

Pobiegnij za nim i jeżeli zabije tamtego, zabierz go ze sobą – zwrócił się James do Treggara.

Dokąd?

Musicie znaleźć Aruthę – wyjaśnił James. – Początkowo zamierzałem dostać się do stajni i utrzymać drzwi, podczas gdy Arutha wybije tych, co zostaną przed nimi na zewnątrz, a potem mieliśmy otworzyć bramę i wpuścić naszych, by wytłuc resztę tych drani w środku.

I co? My trzej mieliśmy sami utrzymać się przy bramie?

No, dlatego chciałem wcześniej wyrównać trochę szansę, Kapitanie.

A teraz?

Niech Arutha przyśle ze dwa tuziny ludzi przez tę zbrojownię i uderzy na warownię od wschodu. Powiedz mu, żeby wschodnią bramę potraktowali taranem. Tamci będą zajęci zapieraniem wrót od środka i nie zauważą uderzenia z tej strony.

A ty co zrobisz?

Spróbuję odwrócić ich uwagę. Jeżeli znajdą to wyjście na górę, stracimy znaczną przewagę, jaką nad nimi będziemy mieli.

Tregar popatrzył nań tak, jakby chciał coś rzec, ale potem tylko kiwnął głową, odwrócił się i pobiegł za Williamem.

James nabrał tchu w płuca i spojrzał tęsknie na słońce, a potem dał nura w głąb opuszczonej fortecy.

William nigdy nie był najszybszym biegaczem pośród dzieciarni w Stardock ani najbardziej chyżym z krontorskich kadetów, miał jednak sporą wytrzymałość. Wiedział, że do niej właśnie będzie się musiał odwołać, by doścignąć wyraźnie szybszego od siebie skrytobójcę. Zaczynając bieg, natychmiast pojął, że Izmalis popełnił błąd, wybierając ucieczkę starym jarem ku zachodowi, to znaczy drogą, z której, zbliżając się do warowni, skorzystali William i jego towarzysze. Gdyby pobiegł w przeciwną stronę, mógłby znaleźć sojuszników przy wschodniej bramie albo waląc w nią od zewnątrz, zwrócić na siebie uwagę i wezwać pomoc. W obecnej sytuacji William miał jednak spore szansę.

Zabójcę zobaczył przed sobą w miejscu, w którym jar się lekko rozszerzało, skręcając łagodnie ku północy. Zbiegając w dół, William zobaczył, że tamten nieco zwolnił. Początkowo gnały go strach albo podniecenie, teraz jednak zwalniał, przechodząc w długi, równomierny krok.

William nie był pewien, czy skrytobójca zdaje sobie sprawę z faktu, że ktoś go ściga, ponieważ ani razu się nie obejrzał. Porucznik czuł, że jego serce zaczyna walić coraz silniej, piekły go też oczy. Otarł dłonią zalewający je pot. Oddychał równo, choć szybko wyschło mu w gardle i czuł, że zaczynają go boleć mięśnie. Brak snu, wody i jedła zaczynał dawać mu się we znaki.

Zapominając o wszystkim, prócz stojącego przed nim zadania, zmusił się do przyspieszenia kroku i wkrótce się przekonał, że zaczyna doganiać Izmalisa. Nie bardzo wiedział, gdzie jest ani jak długo będzie musiał biec,

by dotrzeć do miejsca, w którym jar otwierał się na stary szlak. Być może skrytobójca już tam prawie dobiegał, a może trzeba było jeszcze przebiec milę. William nie miał pojęcia, który domysł jest prawdziwy.

Zobaczył, że zmniejszył o połowę odległość dzielącą go od ściganego; był mniej więcej o sto kroków, kiedy tamten obejrzał się przez ramię. Albo wyczuł za sobą obecność Krondorczyka, albo usłyszał odgłos jego kroków – tak czy owak wiedział już, że jest ścigany.

Tamten przyspieszył kroku i William przez chwilę musiał walczyć z ogarniającym go uczuciem rezygnacji. Jakikolwiek był plan Williama, z pewnością nie chciał, by skrytobójcy dowiedzieli się o tym, że do fortecy można niepostrzeżenie dotrzeć od strony płaskowyżu.

Gnał uparcie, ignorując ból w nogach i łoskot serca, które chciało rozwalić mu żebra. William pomyślał, że skrytobójca musiał być tak samo zmęczony. Potem przypomniał sobie, dlaczego nie wolno mu odpuścić. Księżę musi się dowiedzieć o tym miejscu, o drogach dojścia i o demonie. Młody porucznik pomyślał o swoich powinnościach i tych, którzy ufali, że w razie potrzeby stanie w ich obronie: o członkach rodziny królewskiej, zwykłych mieszkańcach Krondoru, pałacowych sługach... aż wreszcie pomyślał o Talii. Przypomniał sobie demona, którego tu widział podczas krwawego obrzędu, i przysiągł sobie, że pierwszej zginie, niż dopuści, by potwór mógł jej zagrozić.

Powoli, lecz uporczywie zmniejszał odległość dzielącą go od uciekiniera. Świadomość ta dodała mu otuchy i poczuł, że zmęczenie zeń opada. Jasne już było, że skrytobójca ma dość i wkrótce zewrą się w walce twarzą w twarz.

Ściany jaru rozbiegały się tu na boki i William zobaczył miejsce na szlaku, gdzie pożegnali dwóch żołnierzy, zostawiając ich pieczy wóz i kozy.

Dotarłszy do szlaku, skrytobójca zawahał się nad wyborem kierunku dalszej ucieczki i w ten sposób przypieczętował swój los. Teraz już musiał się odwrócić i stanąć do walki.

Uczynił to, wyciągając sejmitar i stając w odpowiedniej pozycji. Spodziewał się pewnie, że William zwolni i wtedy wyciągnie broń, zamiast tego jednak Krondorczyk sięgnął po swój miecz w biegu i zdołał go uwolnić z pochwy. Wydając jednocześnie bojowy okrzyk, uniósł ostrze nad głową.

Skrytobójca odskoczył w bok, zaskoczony, ale wcale nie zbity z tropu. Sparował cios Williama i odwrócił się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z Krondorczykiem, który zatrzymał się, wzbijając kłęb kurzu, i też się odwrócił.

Lekko się pochylili i spojrzeli sobie w oczy. Skrytobójca wyjął lewą ręką sztylet zza pasa i podniósł go do parowania ciosów. William wiedział, że taka taktyka nie na wiele się zda, gdy przeciwstawi jej długość swojego miecza. Musiał tylko zachować czujność, bo skrytobójca mógł rzucić sztyletem, gdyby tylko dostrzegł okazję. Bezpieczniejsze było założenie, że potrafi to uczynić i lewą ręką.

Skrytobójca był nieco niższy i stojąc ze zgiętymi kolanami w oczekiwaniu na kolejne posunięcie Williama, przedstawiał sobą mniejszy cel niż Krondorczyk.

William przesunął się w lewo, szukając okazji do natarcia. Gdy był wypoczęty, potrafił się posługiwać swoim katowskim mieczem znacznie szybciej niż inni ludzie zwykłym, ale teraz daleko mu było do naturalnej sprężystości i gibkości. Wiedział, że ma trzy, może tylko dwa ciosy i zostanie na lasce przeciwnika.

Skoczył przed siebie, odwracając klingę, tak by ciąć na odlew w prawe ramię skrytobójcy. Liczył na to, że zmusi Izmalisa do sparowania uderzenia

sejmitarem, który nie sprosta krondorskiej stali i pęknie.

Skrytobójca wyczuł to zagrożenie, bo zamiast sparować cios, odskoczył w tył. William dostrzegł kolejną możliwość natarcia. Nie kończąc cięcia, szarpnął ostrze i uderzył na prawo od trzymającej sztylet ręki Izmalisa.

Skrytobójca cisnął sztyletem, mierząc w krtań Williama, a raczej w miejsce, gdzie powinna być, gdyby Krondorczyk poszedł za ciosem.

Zamiast trafić w gardło, sztylet liznął ramię Williama w miejscu, gdzie łączyło się z szyją, przecinając mięśnie tuż nad plecioną kolczugą, jaką porucznik nosił pod kurtką.

– Do kata! – zaklął William, a w jego oczach pojawiły się łzy bólu.

Nie miał nawet czasu pomyśleć o swoim pechu – gdyby Izmalis uderzył o cal w prawo, sztylet odbiłby się nieszkodliwie od kolczugi – bo przeciwnik ciął potężnie swoim sejmitarem z góry.

William miał zaledwie czas podnieść miecz, by zablokować uderzenie keshkańskiej klingi, i w tejże chwili Izmalis uderzył go barkiem w pierś, pozbawiając tchu i waląc się z nim razem na ziemię.

Porucznik zignorował palący ból w ramieniu i odtoczywszy się w bok, spróbował wstać. Nie zdążył – Izmalis poczęstował go potężnym kopnięciem w twarz. Świat Williama wybuchł nagle bolesnym błyskiem czerwieni i żółci, porucznik poczuł, że od uderzenia obluzowały mu się wszystkie zęby, i musiał wypluć ślinę zmieszaną z krwią.

Usiłując zachować przytomność, nagle zdał sobie sprawę z faktu, że stracił miecz. Spróbował usiąść i znów dostał kopniaka w głowę, aż zadzwoniło mu pod czerepem. Na poły już nieprzytomny poczuł, że piersi gniecie mu jakiś ciężar.

Mrugając gorączkowo, William usiłował zmusić swe ciało do posłuszeństwa, a gdy wreszcie odzyskał zdolność widzenia, zobaczył nad

sobą śmierć. Skrytobójca stał nad nim, wpierając mu but w pierś i unosząc nad głową gotowy do zadania ciosu sejsmitar.

Po ułamku sekundy, jaki stracił na rozpoznanie sytuacji, uświadomienie sobie, że musi coś zrobić – na przykład chwycić but Izmalisa i szarpnięciem w bok pozbawić zabójcę równowagi – i zrozumienie, że na wszelkie działania jest już za późno, William zobaczył, że Keshanin sztywnieje, wytrzeszcza oczy, zamiera na chwilę w bezruchu... i wali się w tył.

Nad młodym oficerem stanął ktoś w kolczudze bardzo podobnej do jego własnej. Oszołomiony rozwojem wypadków William dopiero po chwili poznał Kapitana Treggara.

Starszy oficer opuścił miecz i klęknął nad swoim towarzyszem.

– Słyszysz mnie?

William zamrugał i nie bez bólu w gardle wychrypiał: Ta...ak!

Utrzymasz się na nogach?

Nie wiem – odpowiedział William. – Ale pomóż mi się podnieść, to zobaczymy.

Treggar wsunął dłoń pod ramię Williama i podniósł go z ziemi.

– Pozwól, że to obejrzę – powiedział, badając wzrokiem i palcami ranę na barku młodego porucznika. – No... przeżyjesz.

Williamowi wciąż dudniło w głowie i uginały się pod nim nogi, zdołał jednak wykrzywić wargi w uśmiechu.

Miło mi to słyszeć.

Ale będzie cię okropnie piekło, chyba że to jakoś opatrzemy.

Kapitan oddał pasmo ze swej koszuli, zrobił zeń zwitek i mocno przycisnął go do ramienia. William zachwiał się na nogach, ale Treggar go podtrzymał.

Poruczniku! Nie mamy czasu! Mdlął będziesz sobie później!

Tak jest, sir! – odpowiedział William, choć nie zabrzmiało to przekonująco.

Musimy znaleźć Księcia. Jeżeli będę musiał cię zostawić, to zostawię i tyle!

Rozumiem, sir! – odparł William, zmuszając się do głębokich oddechów.

Wiem, Will – odparł Treggar. – Chodźmy i miejmy nadzieję, że znajdziemy Księcia, zanim ci fanatycy znajdą nas.

William rozejrzył się dookoła.

– Gdzie jest James?.

– Raz jeszcze polazł do środka. Powiedział, że zamierza ich tak zająć, by gonili za nim, a nie za nami.

William nie odpowiedział, ale pomyślał, że sam chyba nie miałby dość odwagi do czegoś takiego. James będzie potrzebował ogromnego szczęścia, by dożyć chwili, w której oni zjawią się w gnieździe skrytobójców z Księciem i posiłkami.

Ruszyli na wschód, z początku powoli, a potem – w miarę, jak William odzyskiwał siły – coraz szybciej.

James rozejrzył się dookoła. Poświęcił kilka minut na to, by usunąć kamienie, które spadły, gdy z Williamem wyłamali kamień ze sklepienia przy szczelinie. Kurzu nie dało się sprzątnąć całkowicie, więc spróbował choć trochę zmieść go stopami.

Nie był z tego zadowolony, ale stwierdziwszy, że zrobił, co w tej sytuacji było możliwe, ruszył drogą, o której sądził, że dotrze nią tam, gdzie chciał się znaleźć, bez podniesienia na nogi armii rozjuszonych ludzi w czerni, mających do dyspozycji bogaty wybór broni.

„Ruthio... – zwrócił się w duchu do Bogini Ślepego Trafu i Przypadku – wiem, że ostatnio niezbyt często się do ciebie modliłem, co mogłabyś uznać mi za złe, mocno też zaniedbałem składanie wizyt w twojej świątyni, ale

przysięgam ci solennie, że jeżeli zechcesz o tym zapomnieć i obdarzysz mnie ostatni raz twoją przychylnością na kredyt, poprawię się i nie znajdziesz pilniejszego ode mnie wyznawcy”.

Odwróciwszy się, wkroczył do rozległej komnaty – o ułamek sekundy za późno zorientowawszy się, że po obu stronach drzwi stali bez ruchu czekający nań ludzie. Błyskawicznie sprężył się do skoku w tył – i poczuł, że w plecy wbijają mu się sztychy dwóch mieczów, a przez pozostałe drzwi do pomieszczenia wpadło naraz jeszcze kilkunastu odzianych w czerń skrytobójców.

Rozejrzawszy się dookoła, stwierdził, że opór jest bezcelowy, cisnął więc miecz na posadzkę i podniósł obie ręce w górę.

– Wiesz, Ruthio... – mruknął przez zęby – twoja odmowa nie musiała przybierać aż tak drastycznej formy.

Jeden ze skrytobójców podszedł i na odlew uderzył go grzbietem dłoni w twarz. James zwałił się na płyty posadzki, a oprawca kopnął go silnie w żebra.

Jamesem targnęły torsje i wyrzucił z siebie resztki posiłku.

– Ruthio – stęknął, odkaszlnąwszy – straszna z ciebie dziwka. – Potem oprawca kopnął go w głowę i Krondorczyk stracił przytomność.



# ROZDZIAŁ 15

## DESPERACJA

James powoli odzyskiwał przytomność.

W celi panował mrok – jedynym światłem był wpadający przez niewielkie okienko w drzwiach blask pochodni w przedsionku. James natychmiast pojął, że zamknięto go w tym samym pomieszczeniu, które przedtem zajmował Edwin.

Leżał na pryczy pokrytej na poły zgniłą słomą. Śmierdziało jeszcze bardziej niż podczas jego poprzedniej wizyty, ale przypomniał sobie, że wtedy nie zaglądał do celi.

Usiadł i natychmiast poczuł ból niemal w każdym zakątku ciała. W głowie wciąż mu dzwoniło od uderzeń, jakimi uraczyli go ciemiejcy. Przez chwilę zastanawiał się, czy na jego skórze są choć ze dwa sąsiadujące ze sobą kawałki, które można by przykryć kciukiem i na których nie ma siniaków czy zadrapań.

Odetchnąwszy głęboko, rozejrzał się dookoła. Nie zobaczył kubka z wodą ani talerza z jedzeniem, ale też nie spodziewał się po swoich wrogach, że zechcą zadbać o jego potrzeby. Podejrzewał zresztą, że w żadnym wypadku nie będzie mu sądzone przebywać tu tak długo, by te niewygody zaczęły mu doskwierać.

Fakt, iż zostawiono go przy życiu, mógł wskazywać na jedną z dwóch możliwości. Albo zamierzają go przesłuchać, by choćby na torturach wydusić zeń informacje o tym, ilu jeszcze ludzi zna położenie pustynnej kryjówki, albo... miał być honorowym gościem podczas kolejnego przywołania tego demona z piekła rodem.

Jeżeli prawdziwe jest jego pierwsze przypuszczenie, rozmyślał, to wciąż jeszcze nie jest z nim tak źle. Mógłby udawać, że pobicie tak bardzo go oszołomiło, iż jeszcze nie doszedł do siebie i jakieś sensowne odpowiedzi da się z niego wydusić dopiero, gdy oprzytomnieje – na co potrzeba trochę czasu. W drugim przypadku musiał jakoś dotrzeć do północy i liczyć, że pojawi się Arutha ze swoją armią i wydobędzie go z matni. Potrząsnął głową, by jakoś ją zmusić do lepszej pracy. Wstał powoli, spokojnie i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

Wyjrząwszy na zewnątrz, przekonał się, że w przedsionku postawiono strażę, na wypadek gdyby w fortecy ukrywali się jeszcze jacyś przyjaciele więźnia. James szybko się cofnął, nie chcąc, by strażnik zauważył, że jest już przytomny. „Jeżeli zamierzają mnie przesłuchiwać – pomyślał – im dłużej będą czekać z rozpoczęciem procedury, tym większe szansę na to, że przerwą ją ludzie Aruthy”.

Usiadł na pryczy i spróbował odpocząć. Kamienie nie były zimne, ale w tak głębokich podziemiach nie były też ciepłe. Słoma zamiast wygody była dlań tylko źródłem irytacji, ale po kilku minutach udało mu się zdrzemnąć.

W jakiś czas później obudził go dźwięk otwieranych drzwi. Do celi weszli dwaj strażnicy, którzy nic nie mówiąc, chwycili go pod ramiona. Wyciągnięto go za drzwi i na poły niesiony, na poły ciągnięty powędrował w głąb fortecy.

Zawiedziono go do tej części podziemnego labiryntu, której jak dotąd nie udało mu się spenetrować i gdzie – wedle jego przypuszczeń – mieszkali przywódcy bandy, kapłani wielbicieli demona. Wkrótce odkrył, że – niestety – jego przypuszczenia były prawidłowe.

Rzucony na kamienną podłogę przed stopy odzianego w czarne szaty mężczyzny, postanowił czekać na dalszy rozwój wypadków.

– Wstań, żebym mógł ci się przyjrzeć – odezwał się stojący nad nim człowiek głosem tak suchym, jak szelest stron dawno zetłalego pergaminu.

James spojrzał w górę i zobaczył twarz starca wpatzonego weń z osobliwą uwagą. Podniósł się powoli, aż wreszcie popatrzył staremu prosto w oczy. Były w nich moc i siła, mroczne i niebezpieczne. Starzec był nieprawdopodobnie wiekowy – jego twarz składała się chyba wyłącznie z poplamionej starczymi piegami bladej skóry pokrywającej kości. Zasłaniające tylko skronie resztki siwych włosów były kruche niczym pajęczne nici. Po chwili James zrozumiał z dreszczem zgrozy, że stojące przed nim stworzenie oddychało tylko wtedy, gdy musiało strumieniem powietrza poruszyć struny głosowe. Włos mu się zjeżył na karku, bo pojął, że człowiek, który nań patrzy, od dawna jest martwy, choć ożywiała go jakaś przeciwna naturze diabelska siła.

Coś ty za jeden? – zaskrzypiał stary. Stwierdziwszy, że nie ma potrzeby łąać, giermek odezwał się.

Mam na imię James.

Przybyłeś tu z Krondoru, by nas szpiegować? 4– Mniej więcej – odparł zagadnięty.

Ci, co z tobą przybyli, to tylko zwiadowcy, prawda?

Owszem, myślę, że już niedługo zobaczycie tu więcej moich krajanów.

To nie ma znaczenia. – Starzec uśmiechnął się, odsłaniając krzywe, żółte zęby. Nabrawszy znów tchu, stwór odezwał się skrzypiącym głosem. – Jesteśmy tu po to, by służyć do śmierci i dłużej. Niestraszne nam groty krondorskich kopijników. Wiemy, co ma być, i dzięki łasce, jaką nas darzy nasz pan, nie boimy się śmierci. Dziś w nocy rzucimy ostatni czar, a nasz pan przyśle nam narzędzie – demona, który zniszczy wasze Królestwo!

– Spojrzawszy Jamesowi w oczy, odezwał się do sterczących obok niczym słupy strażników. – Zawiedźcie go do świątyni. Już prawie czas.

James stracił język w gębie. Spodziewał się wielu pytań, może nawet kilkunastu bolesnych razów – a podczas tego wszystkiego miałby możliwość zwlekania z odpowiedziami i wyłgiwania się od prawdy. Zamiast tego miano go zawieść do komnaty, gdzie da gardło, by tamci mogli wezwać jakiegoś demona z piekła rodem.

Zabrano go do pomieszczenia sąsiadującego z niegdysiejszą zbrojownią i bezceremonialnie zdarto zeń koszulę, trzewiki i spodnie, zostawiając mu tylko przepaskę na biodrach. Dwaj ludzie chwycili go za ramiona i przytrzymali w bezruchu.

Potem do komnaty wszedł jeszcze jeden odziany w czarny habit kapłan i zaczął inkantacje. Trzymał w dłoni czarę wyrzezaną z ludzkiej czaszki, z której wyciągnął kość pokrytą obrzydliwym, ciemnym, lepkiem płynem. Machnął kością w powietrzu i James poczuł, że robi mu się zimno. Przedramiona pokryły mu się gęsią skórką i zjeżyły się włosy na karku. Kiedy kapłan dotknął kością czoła giermka, ten poczuł, że parzy go skóra.

Pojawił się też i trzeci kapłan, z czarą pełną lepkiej białej cieczy.

– Pij! – polecił władczo, podsuwając puchar Jamesowi do ust.

James zacisnął szczęki. Nie wiedział, co mu podają, podejrzewał jednak, że to jakiś oszałamiający napój, który ma mu odebrać chęć stawiania oporu.

Z tyłu z prawej wystąpił jeszcze jeden odziany na czarno mężczyzna. Ten chwycił Jamesa za szczęki twardymi niczym kleszcze palcami i usiłował je rozewrzeć. James pozornie się poddał, a potem zacisnął zęby na palcach ciemńcy, tak że poczuł smak krwi w ustach... i dostał potężne uderzenie w twarz.

– Bardzo dobrze – odezwał się stary kapłan. – Niech w pełni poczuje ból ostatnich chwil życia, kiedy nasz pan będzie pożerał jego duszę i rozszarpywał jego ciało. Ale trzymajcie go mocno, żeby nam nie zepsuł ceremonii. Nasz pan i władca nie ścierpi żadnego błędu.

Odwrócił się i wyszedł, a pozostali kapłani poszli za nim. Dwaj strażnicy wzięli Jamesa pomiędzy siebie, a dwaj inni ruszyli jako ubezpieczenie z tyłu.

Giermek czuł, że boli go każde ścięgno i każdy mięsień, wiedział też, iż jego szansę na przeżycie do ranka są równe niemal zeru, a jednak nie czuł strachu. Jak do tej pory unikał myśli o tym, że kiedyś przyjdzie mu umrzeć. Wiedział oczywiście, że to nastąpi – każdy śmiertelnik musiał odejść z tego świata w ten czy inny sposób, James jednak nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak to będzie wyglądało w jego przypadku.

„Nikommu jeszcze nie udało się wyjść z życia żywcem” – stwierdził kiedyś jego stary przyjaciel, Amos Trask.

Mimo wysokiego prawdopodobieństwa James nie umiał się pogodzić z faktem, iż śmierć może spotkać go tu i teraz. Część jego umysłu była tym prawdziwie zaskoczona: wiedział, że powinien płakać jak dziecko i błagać o darowanie mu życia.

I nagle zrozumiał, że dzieje się tak dlatego, iż w głębi duszy doskonale wie, że jeszcze nie pora mu umierać. Zamiast odczuwać strach, jego umysł zaczął poszukiwać sposobów wydostania się z tej kabały.

Przeszli tymczasem do zbrojowni, gdzie zobaczył, że ceremonia rozwijała się już w najlepsze. Mniej więcej stu skrytobójców uklękło, witając wejście kapłanów. Wszyscy śpiewali ponurymi głosami i całe miejsce przepełniała już atmosfera mrocznej magii.

Pomieszczenie oświetlały migotliwe płomienie pochodni i James poświęcił całą swoją uwagę na zanotowanie w pamięci szczegółów, których nie zauważył podczas pierwszej wizyty, gdy był świadkiem ponurej ceremonii. Stare miechy przy kuźni wciąż były nietknięte, choć pewnie nie używano ich od setek lat; łańcuchy, za pomocą których podnoszono i przemieszczano kotły z roztopionym metalem, z którego odlewano miecze i

pancerze, były zardzewiałe, ale nadawały się jeszcze do użytku. James zmierzył wzrokiem odległość pomiędzy podwyższeniem, dwoma kamiennymi stołami, na których naprawiano broń, piecem hutniczym, a także oszacował, jak blisko tych stołów wisały łańcuchy. Wiedział, że niewielkie są szanse na to, by zdołał przebiec przez ciżbę skrytobójców, musiał więc szybko znaleźć inne sposoby pospiesznej ewakuacji z tego miejsca.

Wielbiciele demona stali zwrócenii twarzami do podwyższenia, na którym miał oddać życie, i zawzięcie gapili się na wizerunek swojego pana na ścianie. Dwaj, którzy trzymali Jamesa, nadal zaciskali palce na jego ramionach, ale ci, co szli za nim, dołączyli do tłumu zgromadzonego w prowizorycznej świątyni.

Prowadzony po stopniach na podwyższenie, gdzie miano go rozciągnąć w poprzek stołu ofiarnego, James popatrzył na intrygujący wzór nakreślony kredą na posadzce – pięcioramienną gwiazdę z płonąca świecą na każdym z wierzchołków. Zauważył, że kapłan z wielką starannością unika tych punktów i nie przestępuje przez żadną z nakreślonych linii. Pospiesznie zaczął przeszukiwać pamięć; w tych liniach na posadzce było coś irytująco znajomego.

Kiedy podeszli do kamiennego ołtarza, James poczuł, że jego serce zaczyna bić coraz szybciej. Wciąż nie czuł strachu, opanowała go jednak potrzeba pośpiechu. Cokolwiek miał zrobić, trzeba to było wykonać podczas kilku najbliższych chwil, on zaś nie miał pojęcia, co by to mogło być.

I nagle zwiotczał w łapach trzymających go oprawców, krzycząc rozpaczliwie.

– Nie! Wszystko, tylko nie to!

Arcykapłan odwrócił się na chwilę, by zobaczyć, co stało się przyczyną zamieszania, ale widok ofiary błagającej o życie nie był dlań niczym nowym, ponownie więc zajął się snuciem czaru.

Jeden z akolitów otworzył wielką księgę i podniósł ją tak, by arcykapłan mógł spokojnie czytać jej tekst. Stary czytał przez chwilę w ciszy, a potem wydał okrzyk w obcym i szorstkim dla ucha języku. Komnata nagle pociemniała, jakby coś zaczęło pochłaniać blask pochodni – a pośrodku pentagramu zaczął się formować niewyraźny kształt.

James wiedział, że gdy tylko wytoczą jego krew, stwór przybierze materialną postać i zjawi się tu we własnej osobie. Poczuł, że dwaj oprawcy go podnieśli i podciągnęli ostatnie kilka stóp ku kamiennemu stołowi.

Zaczerpnął tchu, ponieważ zrozumiał, że nadszedł czas na działanie. Jeżeli da się położyć na tym kamieniu i przytrzymać za ręce i nogi, to będzie po nim.

Udając rozpaczliwe drgawki, łkając przeraźliwie i zanosząc się szlochem, padł na kolana, pociągając lekko obu oprawców ku sobie. I nagle wparłszy stopy w ziemię, poderwał się, wytrącając trzymających go Izmalisów z równowagi. Ignorując ból w stawach i mięśniach, pchnął dłonie w górę, zmuszając oprawców do instynktownego wzmocnienia uścisku na jego nadgarstkach. W następnym ułamku sekundy szarpnął się w dół i uwolnił ręce.

Prawą dłońią wyrwał sztylet z pasa oprawcy z prawej i uderzył go ramieniem, rzucając plecami na kamienny ofiarny stół. Natychmiast potem kopnął zakosem w lewo, odrzucając drugiego oprawcę w tył.

Izmalis z prawej sięgnął do pasa i odkrył, że zatknięta zań pochwa jest pusta.

Tego szukasz? – spytał James. I ciął sztyletem po szyi draba, otwierając arterię, z której natychmiast trysnęła fontanna krwi, zalewając stół i

posadzkę.

Nieeee! – zawył arcykapłan. – Nie teraz jeszcze! – Gdy na ołtarz padły pierwsze krople krwi, mglista figura zgęstniała, przybierając kształty jeszcze paskudniejsze niż te, które James zapamiętał. Potwór miał prawie dziewięć stóp wysokości. Pysk lisi, płonące oczy i dwa potężne, zakrzywione koźle rogi. Teraz, gdy pojawiła się i dolna część jego ciała, James zobaczył, że demon stał na kozich nogach. – Nie! – zaryczał ponownie arcykapłan.

Stwór spojrzał nań i spytał o coś niskim, przerażającym głosem w tym samym języku, jakiego użył kapłan. Temu brakło języka gębie – zamiast coś rzec, chwycił wiekowy tom, który upadł na posadzkę, i zaczął go gorączkowo wertować.

James tymczasem nadal walczył o życie. Izmalis z przeciętą krtanią dogorywał na kamieniu, a drugi usiłował odzyskać równowagę. James postanowił mu w tym pomóc – chwycił go za kurtkę na piersiach i szarpnął ku sobie, a potem odwrócił się i pchnął skrytobójcę na arcykapłana.

Gdy Izmalis przeleciał obok niego, książęcy giermek podniósł stopę i pchnął potężnie w piersi. Drab z wybałuszonymi oczami poleciał plecami na arcykapłana i drugiego z nieświętych mężów, usiłującego chwycić puchar, do którego miała polać się krew Jamesa.

Starożytna księga wyfrunęła ze starczych dłoni arcykapłana, ten zaś sięgnął po nią odruchowo.

– Nieeeee! – zawył.

Zgromadzeni wokół podwyższenia Izmalisi zaczęli wstawać, niepewni, co się dzieje, ci z tyłu jednak nadal klęczeli.

Arcykapłan usiłując odzyskać starą księgę, przestąpił przez jedną z linii pentagramu. Demon zawył z wściekłości, sięgnął potężnymi,



muskularnymi, zakończonymi szponami łapskami i zgniótł starego, jakby chciał zeń wycisnąć duszę.

Arcykapłan natychmiast pojął swą pomyłkę i wrzasnął z przerażenia, a potem w obliczu nieuniknionego końca, zaczął bełkotać coś niezrozumiale. Demon otworzył paszczę, obnażając kły długości palca dorosłego mężczyzny, z których kapłała lekko dymiąca ślina. Jednym kłapnięciem szczęk zmiażdżył twarz arcykapłanowi, obryzgując stojących w pobliżu śliną i jakimś paskudnym śluzem.

Na ułamek sekundy wszyscy obecni zagapili się na okropny widok – co natychmiast wykorzystał James. Chwycił drugiego z kapłanów za ramię i pas, a potem pchnął go potężnie na pentagram chwytem podpatrzonym u krondorskich oberżystów, którzy nazywali go „podkładką”.

Ranny Izmalis i kapłan z pucharem frunęli do wnętrza pentagramu. Po drodze kapłan potrącił jedną ze świec – i w starej zbrojowni rozpętało się piekło.

Demon zaryczał tak, że ze sklepienia sypnęły się kamienne okruchy. Chwyciwszy drugiego kapłana, natychmiast urwał mu głowę, a potem wyszarpał ramię rannemu Izmalisowi. Potwór od razu zaczął pożerać urwane szczątki, spryskując sobie paszczę krwią.

Pozostałe świece pogasły same i w pomieszczeniu zabrzmiały wrzaski trwogi.

Niektórzy z zebranych w zbrojowni członków bandy skrytobójców modlili się głośno, kołyszając się w tył i w przód, inni zerwali się na nogi, szukając drogi ucieczki. Dwaj chwycili za sejmitary, by się bronić przed demonem, inni jednak tylko oszołomieni wytrzeszczali oczy.

James doszedł do wniosku, że jest to idealna okazja do ucieczki. Skoczył na kamień ofiarny i spojrzał na demona. Demon odwrócił się ku niemu – a James z przerażającą jasnością zrozumiał, że bestia jest wolna.

Skoczył na jeden z łańcuchów w tej samej chwili, w której demon wyciągnął ku niemu łapska. James podkurczył nogi i zatoczył nimi łuk, o kilka zaledwie cali unikając chwytu szponów. Przeleciał pięknym łukiem nad salą, a potem puścił łańcuch i wylądował na roboczym stole, obok klęczących skrytobójców, którzy wytrzeszczyli nań zdumione oczy.

Nie trwało to długo, bo zaraz potem demon zeskoczył z podwyższenia i pospiesznie zabrał się do jedzenia – zajmując niepodzielną uwagę Izmalisów.

James przeskoczył na odległy o kilka stóp sąsiedni stół, a stamtąd na podłogę pomiędzy dwóch klęczących skrytobójców. Ci nie zwrócili na niego uwagi – choć mogli czuć religijne uniesienie, widząc swoich kompanów pożeranych przez wielbionego demona, ich zapał mocno przygasł, gdy okazało się, że sami też mogą stać się ofiarami.

Większość uciekających Izmalisów rzuciła się do stajen, James wolał więc nie podejmować ryzyka i nie pobiegł za nimi. Szybko dał nura w boczny korytarz i skoczył ku szczelinie w sklepieniu obok sali, gdzie wpadł w zasadzkę. Zaskoczyło go, jak szybko dotarł tam biegiem. Gdy poprzednio skradał się po ciemku, trwało to znacznie dłużej.

Spojrzawszy w górę, zaklął sążnięcie. Jeden rzut oka wystarczył, by się przekonać, że sam w żaden sposób nie dostanie się do szczeliny. Pospiesznie wbiegając do sąsiedniego pomieszczenia, znalazł w nim skrzynię na broń. Opróżniwszy ją, zaczął ciągnąć pustą pakę pod pęknięcie w sklepieniu.

O ile przedtem zdołał jakoś zignorować swe liczne rany i zadrapania, teraz wszystkie się uparły, by mu o sobie naraz przypomnieć. Pot zrosił mu włosy i tłuste, słone krople zaczęły mu się też zbierać na czubku nosa – a sól ostro piekła w każdym zadrapaniu i w każdej małej choćby rance na

skórze. Zmęczonymi mięśniami Jamesa targały też ostre skurcze, ale giermek się nie poddawał.

Przepchnąwszy skrzynię pod szczelinę, poczuł, że kręci mu się w głowie. Odetchnął kilkakrotnie i wspiął się na pokrywę. Wyciągnąwszy ręce w górę, z trudem podciągnął się i przepchnął przez szczelinę, choć niewiele brakło, a byłby stracił uchwyt i spadł na posadzkę. Trzymał się resztkami siły woli – wiedział, że po raz drugi nie zdobędzie się na taki wysiłek. Potem przeszedł po kamiennej mozaikowej posadzce i zobaczył rampę, a nad nią usiane gwiazdami niebo.

Z dołu dolatywały wrzaski i nieludzkie ryki – James wiedział, że ci, co tam zostali, wkrótce będą trupami. A potem demon zacznie szukać drogi na zewnątrz. Popędzany tą świadomością, giermek chwiejnym krokiem ruszył ku rampie. Zrobił jeden krok, drugi... a potem padł na twarz prosto w kurz i... stracił przytomność.

Ocknął się, czując, że ktoś leje mu wodę na twarz. Zamrugawszy, zobaczył nad sobą oblicze Williama, który podtrzymywał mu głowę, podczas gdy ktoś, kogo nie widział, podsuwał mu pod usta wylot bukłaka z wodą. Przypiął się doń jak konający z pragnienia.

Gdy odjęto mu bukłak od ust, zobaczył, że podający mu go człowiek miał na sobie krondorskie barwy. W komnacie rozbrzmiewały echa kroków, a kiedy usiadł, zobaczył ludzi idących ku dziurze w posadzce.

Zaczekajcie! – z trudem wychrypiał słabym głosem.

Na co? – spytał William.

Demon. Uwolnił się i szaleje gdzieś tam na dole. William chwycił najbliższego z żołnierzy za koszulę.

– Pilna wiadomość dla Księcia. Giermek James melduje, że w podziemiach fortecy jest demon, który wyrwał się na wolność. Zatrzymajcie się tutaj – zwrócił się do pozostałych w komnacie – Nie chcę,

żeby bez rozkazów ktokolwiek włąził do tej dziury. A ty chodź ze mną, Jamesie. Książę z pewnością zechce usłyszeć wszystko, co masz mu do powiedzenia. – Objął giermka ramieniem i pomógł mu dźwignąć się z ziemi, a potem wejść po rampie na górę. – Za faktem, iż znaleźliśmy cię tu na górze z twarzą w pyłe, odzianego jedynie w gatki, kryje się z pewnością fascynująca i bohaterska opowieść – na poły stwierdził, na poły spytał, gdy znaleźli się na powierzchni.

Nie bardzo bohaterska. – James skrzywił się lekko, bo wciąż jeszcze czuł ból nawet w koniuszkach włosów na głowie.

Dasz radę dosiąść konia? – spytał porucznik.

A mam jakiś wybór?

– No, możesz wsiąść na jedno siodło razem ze mną – odparł William, dając znak, by im podprowadzono wierzchowca. Żołnierz trzymający konie podszedł bliżej i potrzywał wodze, gdy William pomagał Jamesowi wdrapać się na koński grzbiet. Potem William usadowił się tuż za książęcym giermkim i wziął cugle. – Trzymaj się! – zawołał, uderzając końskie boki piętami.

James jęknął, ale jakoś udało mu się utrzymać w siodle. Gdy jechali jarem, wschodnią połąć nieba rozjaśniło wschodzące słońce.

Gdzie jest Arutha? – spytał James, przytulony do piersi Williama.

Przed wschodnią bramą! – odparł William. – Edwin dotarł do Księcia, który natychmiast rozkazał ruszyć forsownym marszem. Treggar i ja odszukaliśmy ich, gdy walczyli z tymi Izmalisami, i tam ich poprowadziliśmy.

Mam nadzieję, że bogowie uchronili go przed zaatakowaniem tamtej stajni.

Jadąc, co koń wyskoczy, dotarli do wyjścia z jaru i skręcili na wschód. Dość szybko dotarli do miejsca, gdzie znaleźli Aruthę – James mawiał

później, że była to najbardziej bolesna ze wszystkich jego przejażdżek konnych.

Krondorczycy nie rozbili obozu. Księżę Wraz z grupą oficerów zebrali się na szczycie niewielkiego wzgórza, patrząc na uszykowanie oddziału przed szturmem. Gdy William i James podjechali bliżej, Arutha obejrzał się przez ramię. Obok Księcia siedział Kapitan Treggar i dwaj inni oficerowie, wszyscy zaś otaczali stół, na którym położono mapę.

– Wyjdiesz z tego? – spytał Księżę Jamesa.

James na poły zeskoczył, na poły spadł na ziemię, ale zdołał się chwycić strzemięcia Williama.

– Nie, jeżeli będę mógł coś w tej sprawie zrobić – wystękał.

Arutha polecił gestem, by ktoś okrył prawie gołego giermka opończę. Jeden z żołnierzy szybko wykonał rozkaz, a potem Księżę zwrócił się do Jamesa.

Co tu się dzieje? Mniej więcej pięć mil stąd wpadliśmy na pierwszą grupkę tych skrytobójców, goniliśmy ich aż tutaj... i nagle zaczęli się tu stawiać, jakby na nowo odzyskali ochotę do walki. Musieliśmy się zatrzymać.

Demon – odpowiedział James. – Te bałwany wezwały go jakimś zaklęciem.

Arutha kiwnął głową.

– Rozkazy – zwrócił się do najbliższego gońca. – Powiedz porucznikowi Gordonowi, że na razie ma tylko utrzymywać pozycję. A ty, mości giermku, co mi możesz powiedzieć? – spytał Jamesa.

James skrzywił się i gestem poprosił Williama, by ten znów mu podał wodę.

– Nie znam się za dobrze na demonach, Wasza Wysokość, ale sądzę, że ten stwór nie wyjdzie stąd aż do zmroku. A jak wyjdzie, nie mam pojęcia,

w jaki sposób zdołamy go tu zatrzymać.

Arutha spojrział na otwarte wrota stajni.

Musimy więc wejść i skończyć z nim tam w środku.

Za pozwoleniem... – odezwał się James.

Tak, mości giermku? – spytał Księżę.

Wasza Wysokość wybaczy, ale widziałem to bydłę. Potrzebny nam jakiś plan.

Arutha pozwolił sobie na jeden z rzadkich u niego wybuchów śmiechu.

– Ty, mój giermku, miałbyś wymyślić jakiś plan? Niesłychane!

Wasza Wysokość, żarty na bok. Widziałem tego stwora. Jednym szarpnięciem potrafi urwać człowiekowi ramię. Potrzebny nam jakiś kapłan, by odesłał go tam, skąd przyszedł, albo jakiś mag, który go zniszczy.

Nie mamy jednego ani drugiego – stwierdził rzeczowo Arutha. – A z tego, co pamiętam z moich lektur o demonach, można go zabić, chyba że należy do sił wyższego rzędu. Nawet jeżeli nie boi się światła ani stali, mamy inne sposoby. – Księżę zwrócił się do Williama. – Poruczniku, wespół z Kapitanem wróćcie do drugiego wyjścia. Weźcie ze sobą drużynę łuczników. Nie dopuście, by ten stwór wylazł tamtędy na zewnątrz i postarajcie się go zapędzić do tych drzwi.

Treggar i William oddali honory i natychmiast odjechali. James chwycił strzemień Aruthy, by nie upaść.

– A jeżeli to bydłę będzie się stawiało, Wasza Wysokość?

– spytał giermek.

– To wejdziemy tam za nim – odpowiedział Księżę. Spojrzał z góry na Jamesa. – Mówiąc „my”, nie miałem na myśli ciebie. Widywałem cię w lepszej kondycji. – Skinieniem dłoni wezwał jednego z adiutantów. –

Zabierz gierańkę gdzieś, gdzie będzie mógł coś zjeść i wypić. I nie sądzę, by wierzgał, gdy będziesz go chciał położyć, aby odpoczął.

James poszedł za żołnierzem, który poprowadził go pod skalny występ, gdzie usiadł w cieniu i zaczął jeść porcję suchego prowiantu, którą popił nieco stęchlą wodą z bukłaka, chłodzonego dzięki parowaniu. Wiedział, że tabory zostały kilka mil za kolumną i że to samo, co wszyscy – nie wyłączając Księcia – jedli od kilku dni.

Pomiędzy jednym i drugim kęsem musiał się opierać senności. Pamiętał później, że ktoś przyniósł mu czyste spodnie i koszulę. Wiedział, że jego buty zostały w pomieszczeniu obok zbrojowni, gdzie go rozebrano, szykując do ofiary. Obiecał sobie, że gdy wszystko się skończy, będzie je musiał odnaleźć.

Była to jego ostatnia świadoma myśl.

Gdy William i Treggar zebrali ludzi, starszy oficer zwrócił się do młodszego.

Poruczniku...

Sir?

Zejdę na dół z pierwszą szóstką. Poczekaj trochę, a potem pošlij sierżanta z drugą szóstką, na koniec sam zejdź z ostatni mi. Łucznicy niech zostaną tutaj.

Tak jest, sir.

Pierwsza drużyna pójdzie prosto na wschód – ciągnął Treggar. – Druga niech pójdzie na południe. To dość wyraźny szlak, który później skręci na wschód. Will, tobie przypadnie najtrudniejsza część zadania – rzekł do młodego porucznika. – Ruszaj na północ, a potem do zbrojowni.

Tak jest, sir – odparł William.

Ci, co się natkną na tego demona, niech się nie rozpraszają i ściągną pozostałe drużyny. W razie potrzeby oczywiście macie się bronić, ale nie

zaczynajcie, dopóki wszyscy się nie znajdą na miejscach. Niech łucznicy postarają się nagonić bestię na ludzi Księcia.

Do podstawy dwóch ciężkich regałów przywiązano liny, które spuszczone w dół, tak że naraz mogło się spuścić i wspiąć dwóch ludzi.

Gdy wszystko zabezpieczono, Treggar poprowadził pierwszą drużynę w mrok.

William patrzył, jak Kapitan i jego sześciu ludzi znikają w dole – za nimi poszła szóstka pod dowództwem sierżanta, a na koniec przysłała kolej na jego drużynę. „Dwudziestu jeden ludzi – pomyślał – którzy mają wygonić demona na słońce”. Miał nadzieję, że tylu wystarczy. Choć sam nie był magiem, wychował się i wyrósł pomiędzy nimi i nigdy nie słyszał ani jednego dobrego słowa o choć jednym demonie.

Opędzając się od złych przecuć, wydał drużynie rozkaz wymarszu.

Szedł pierwszy, nie pozwalając się wyprzedzić żadnemu z żołnierzy. Usprawiedliwił to, tłumacząc, iż był tu wcześniej – po chwili dopiero zrozumiał, że wcale nie musi niczego usprawiedliwiać, wystarczy, że wyda rozkaz.

Szli powoli, przemierzając szereg komnat, które wyglądały, jakby ktoś niedawno urządził tu rzeźnię. Ściany zbryzgane były krwią i wszędzie leżały chaotycznie porozrzucane, porozrywane ludzkie ciała.

William dość szybko zauważył, że wszystkie trupy miały pourywane głowy, a z potrzaskanych czaszek wyżarto mózgi. Spojrzawszy po swoich ludziach, zobaczył, że zahartowane przecież w bojach krondorskie zabijaki wyraźnie pobladły. Sam musiał przełknąć ślinę, bo targało nim gwałtowne pragnienie torsji.

Odległy hałas dał mu znać o miejscu, w którym bestia się przyczała. Zatrzymał drużynę skinieniem dłoni, a sam ostrożnie wybrał się na



rekonesans. Nisko pochylony przekradał się pod ścianą – przed sobą, o ile pamięć go nie zawodziła, miał rozległą izbę sypialną.

Ostrożnie zajrzał przez drzwi, i nie dostrzegłszy niczego, powoli ruszył naprzód, zatrzymując się co parę stóp, by wykorzystać coraz szerszą perspektywę. Zbliżając się do drzwi, miał okropne przeczucie, że demon zaczął się w jednym z dwóch rogów przy tej samej ścianie i nie zobaczy go, dopóki nie wejdzie do środka.

„Prawy róg czy lewy?” – zapytywał sam siebie.

Demon oszczędził mu podejmowania decyzji, ponieważ usłyszał jakiś ruch z lewej, j William przylepił się niemal do prawej ściany, poruszając się nisko i bardzo powoli. Najpierw zobaczył kończyny stwora. Porucznik zrozumiał, że bydlę siedzi na posadzce z wyciągniętymi przed siebie nogami.

„Na co on czeka?” – zadał sobie pytanie porucznik.

I nagle zrozumiał: demon czeka na zachód słońca. William poczuł rozterkę, targany pragnieniem natychmiastowego odwrotu i wezwania łuczników albo zajrzeniem za drzwi w celu lepszego przyjrzenia się potworowi. Po chwili doszedł do wniosku, że warto zaryzykować.

Poruszył się bardzo powoli, w obawie, że nagły ruch przyciągnie uwagę potwora. Zajrzawszy za drzwi, zobaczył, iż demon patrzy w inną stronę, a na jego ciele jest kilkanaście ran.

Cofnął się powoli, walcząc z chęcią szybkiego odskoku od drzwi. Gdy dotarł do miejsca, w którym mogli go zobaczyć jego ludzie, przyłożył palec do ust, nakazując ciszę, a potem skinieniem ręki zarządził odwrót.

Poprowadził ludzi do ostatniego skrzyżowania.

Demon jest w tej komnacie przed nami – szepnął, kiedy odeszli dostatecznie daleko, by nie zostać usłyszanymi. – Wygląda na to, że ci skrytobójcy dostali to, co im się należało. Ale to bydlę trochę krwawi.

Dobra nasza! – syknął jeden z ludzi.

Zawróć łukiem na południe i znajdź Kapitana Treggara z resztą ludzi – zwrócił się do niego William. Żołnierz ruszył wykonać rozkaz. – Biegiem skocz po łuczników – polecił porucznik drugiemu żołnierzowi. I ten żołnierz śmignął w głąb labiryntu. – Przygotujcie się – te słowa William, skierował do pozostałych ludzi z drużyny – ale bez mojego rozkazu niech nikt się nie odważy nawet mrugnąć.

Wszyscy skinęli głowami i znieruchomieli.

# ROZDZIAŁ 16

## ODKRYCIE

Na łuczników nie trzeba było długo czekać.

Sześciu z nich w milczeniu ustawiło się w szereg za Williamem. Wkrótce potem dołączyli do nich Kapitan Treggar i jego ludzie.

Will, jak stoją sprawy? – spytał Treggar. William nakreślił mu z grubsza sytuację, rysując w kurzu podłogi plan komnaty, by pokazać miejsca, gdzie czekał demon. Treggar zaklął sążnście.– Nie wykurzymy go stamtąd tak łatwo. Pierwsi chłopcy, którzy przejdą przez te drzwi, najpewniej zginą.

Nie, jeżeli się nie zatrzymają– odparł William.

Coś ty tam znowu wykombinował? – spytał Treggar.

– Może by spróbować zabawy w psa i królika? Treggar lekko się uśmiechnął.

– Jeżeli demon pogna za nimi, króliki zawiodą go do stajni. A wtedy wyprzemy go na ludzi Księcia.

William zaczął zdejmować plecioną kolczugę.

– Ja sam będę królikiem. -Ty?

Tylko ja i ty znamy drogę, Kapitanie. Z całym szacunkiem. .. stawiam miesięczny żołd przeciwko garści łupin po orzechach, że jestem szybszy od ciebie.

Ale wczoraj cię dogoniłem – sapnął Treggar nie bez urazy w głosie.

Za co, jeżeli bogowie obdarzą mnie życiem wiecznym, będę ci zawsze wdzięczny – uśmiechnął się William. Podał pochwę z mieczem jednemu z żołnierzy. Został tylko w koszuli, spodniach i butach. Skinieniem dłoni poprosił o pochodnię, którą zaraz podał mu jeden z żołnierzy z tyłu. –

Uwielbiam biegi z pochodniami – stwierdził William z wisielczym humorem.

Przebiegłszy przez korytarz, wpadł w drzwi komnaty, gdzie odpoczywał demon. Dopiero na środku zaryzykował obejrzenie się przez ramię i stwierdził z przerażeniem, że bestia zerwała się z miejsca i runęła za nim. Wściekły ryk i widok obnażonych kłów demona mógłby wyleczyć z chronicznego zaparcia największego krondorskiego twardziela.

Przed chwilą jeszcze William czuł ból i zmęczenie po wczorajszej walce i późniejszej jeździe do Aruthy, ale teraz jego ciało podporządkowało się jednemu tylko rozkazowi: ucieczce przed natychmiastowym, śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Gnał przez siebie, licząc na to, że instykt nie pozwoli mu skrócić w niewłaściwy zaułek. Przedarłszy się przez długi korytarz, przeleciał przez wielką salę i wpadł do kolejnego korytarza, cały czas czując na karku gorący oddech następującej mu na pięty bestii.

Niewiele brakło, a byłby się dał złapać, ale zdołał wpaść do stajni i dał nura w stronę paleniska pieca. Odbiwszy się od kamiennej obudowy, schylił się pod metalowym okapem zakończonym kominem. Wiedział, że gdyby utknął albo gdyby odbił w bok, demon byłby go capnął.

Z niekłamaną ulgą odkrył, że demon nie był tak zwrotny, ponieważ w kilka sekund później usłyszał łoskot uderzenia cielska potwora o mocny okap i zawiedziony ryk bestii, której wymknęła się ofiara.

Na końcu stajni zobaczył płamę słonecznego światła i ruszył do ostatniego wyścigu. Było to nie więcej jak sto stóp, ale Williamowi się wydało, że bieg trwa całą wieczność.

Wypadłszy na otwartą przestrzeń, zamrugał, na poły oślepiiony blaskiem. Osloniwszy powieki dłonią, zobaczył przed sobą Księcia Aruthę i

kompanię jeźdźców. Goniący go demon zatrzymał się jak wryty, na krawędzi stajni, w miejscu, gdzie promienie słońca kreśliły złotą linię.

„Stwór nie należał może do przesadnie inteligentnych, nie był wszakże też idiotą” – pomyślał William. „Poznał, że wciągają go w zasadzkę, i miał dość rozumu, by nie dać się w nią złapać”.

William odwrócił się i wyciągnął miecz. Potem nabrał tchu w płuca i wydał głośny okrzyk bojowego wyzwania.

Demon zaryczał wściekle, nie była to jednak odpowiedź na wyzwanie Williama, tylko reakcja na atak sześciu łuczników z tyłu, którzy zakradłszy się poprzez stajnię i ujrawszy cel, zasypali go ulewą strzał, szyjąc z łuków z nieprawdopodobną szybkością. Bydlę odwróciło się błyskawicznie i William zobaczył trzy strzały, które aż po brzechwy utkwily w kosmatym grzbiecie. Jedna tkwiła z boku – widać też było kilka mniejszych ran od strzał, które nie zdołały przebić, grubszej pewnie niż bycza, skóry bestii.

Demon runął w głąb stajen, a William rzucił się tuż za nim. Wpadłszy do środka, zobaczył, że bestia zatrzymała się w połowie przejścia, a łucznicy szyli zza ścian boksów. William ujrzał, że tylko kilka grotów, które trafiły prosto w cel, przecięło skórę. Inne strzały odbijały się, a niektóre roztrzaskiwały o magicznie wzmocnioną cielesną powłokę stwora.

Niewiele brakło, a sam też byłby dostał chybionym grotem.

– Przestańcie strzelać! – zawołał do łuczników. – Zabijecie któregoś z naszych.

Deszcz strzał natychmiast ustał. Wtedy William ujął miecz w obie dłonie i runął na stwora.

Zamachnąwszy się zza głowy, ciął potężnie kosmaty grzbiet, ale gdy cios doszedł celu, porucznik poczuł wstrząs w dłoniach, jakby uderzył w pień starego dębu. Demon zaryczał straszliwie i odwrócił się, uderzając na

odlew łapą. Gdyby William natychmiast po zadaniu ciosu nie odskoczył w tył, straszliwe szpony zerwałyby mu głowę z ramion.

Przeturlawszy się po ziemi, skoczył ku drzwiom, nie bardzo wiedząc, czy bestia go ściga, czy zajęła się innymi. Dopadł drzwi w tej samej chwili, w której potężne uderzenie w plecy powiedziało mu, co stwór myśli o napaściach z tyłu.

Runął na twarz, kalecząc sobie boleśnie dłonie i przedramiona, ale szybko zerwał się na nogi. Wrzask zza pleców powiedział mu, że ktoś odwrócił uwagę bestii, pozwalając mu na ucieczkę. William poderwał się na nogi w samą porę, by zobaczyć gnających prosto na niego kilkunastu jeźdźców.

Coraz głośniejszy łoskot kopyt o kamienie i drżenie ziemi pod stopami zmusiły go do pospiesznego obejrzenia się na boki w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Nie zobaczywszy żadnej, zrobił jedyną rzecz, jaka była możliwa w tych okolicznościach – znieruchomiał w nadziei, że konni ominą go z boków.

Jeźdźcy spięli konie i jednocześnie zeskoczyli z siodeł– najbliższy wylądował o krok od Williama. Z wprawą, jaką mogły dać tylko lata wspólnych ćwiczeń, czterech w każdej grupie rzuciło wodze piątemu, który odprowadził konie w tył – jego towarzysze tymczasem jednym ruchem wyjęli miecze, sformowali szereg i poczekali, aż do grupy dołączył Arutha. Potem wszyscy ruszyli do ataku.

William ujął miecz i skoczył razem z nimi.

W pogoni za łucznikami demon zapuścił się w głąb stajni, odwrócił się jednak, gdy usłyszał dźwięki oznajmiające pojawienie się nowych przeciwników. Krondorczycy szybko się rozproszyli i otoczyli bestię kręgiem tarcz.

– Atakować kolejno z tyłu, gdy będzie odwrócony grzbietem do was! – zagrział Arutha.

Usłyszawszy okrzyk Księcia, demon odwrócił się w jego stronę i natychmiast dwaj żołnierze śmignęli ku niemu, uderzając z całej siły. Bestia okręciła się jak smagnięta batem, po to tylko, by znów dostać kolejne pchnięcia.

Przez kilka chwil demon kręcił się w miejscu, a jego grzbiet zaczął spływać krwią.

Taktyka Kronдорczyków, choć skuteczna, nie obywała się jednak bez strat. Przynajmniej trzech ludzi dostało tak potężne uderzenia, że przelecieli przez całe pomieszczenie i legli pod ścianą martwi lub pozbawieni przytomności; dwaj inni odnieśli poważne rany. Demon uderzał na lewo i prawo, bez wyboru, ale co i raz trafiał w tarczę, albo – co gorsza – siekł szponami ponad tarczą w kolczugę lub w niechronione ciało.

Ludzie sypali przekleństwami, broczyli krwią, kilku jeszcze zginęło – ale walczyli.

William, wypatrywszy okazję, zadał straszliwe cięcie swoim dwuręcznym mieczem i z satysfakcją spostrzegł, że katowska klinga otworzyła w grzbiecie stwora głęboką ranę, z której trysnęła fontanna czarnej, dymiącej krwi. Demon odwrócił się gwałtownie i sięgnął szponami ku Williamowi, ten zaś sparował uderzenie mieczem. Gdy czarne szpony zderzyły się ze stalą, sypnęły się iskry, ale gdy stwór podniósł drugą łapę, wrzasnął boleśnie uderzony z tyłu.

William cofnął się o krok i podniósł miecz do kolejnego cięcia, gdy usłyszał głos zza pleców bestii.

– No i jak, poruczniku?

– Nieprzyjemna robota, Wasza Wysokość – odpowiedział William, rozpoznawszy głos Księcia. – Bydlę krwawi, ale nie bardzo ma ochotę

zdychać.

Arutha, trzymając swój miecz w gotowości, stanął u boku Williama.

Młody oficer, ujrawszy Księcia, natychmiast przypomniał sobie, że jego kuzyn nie jest władcą, który rządzi zza pleców dworaków i wkłada zbroję tylko z okazji państwowych uroczystości. W osobie Aruthy Krondor miał władcę-wojownika, który brał udział w większej liczbie orężnych potyczek niż dwukrotnie odeń starsi żołnierze.

Księżę tymczasem wysunął się przed Williama i wymierzył ostrze miecza w potwora. Pod lewym ramieniem bestii widać było niewielki kawałek odsłoniętej skóry. Atak Aruthy był tak szybki, że William zdał sobie z niego sprawę dopiero, gdy Księżę już się cofał.

Demon na ułamek sekundy zamarł w bezruchu, a potem zadrżał i ryknął tak, jak nigdy przedtem. Nie był to jednak ryk wściekłości, tylko wrzask przerażenia. Demon zwrócił się ku Księżciu i wbił weń spojrzenie płonących ślepiów, jakby Arutha był jego jedynym wrogiem w tym pomieszczeniu.

Żołnierze z tyłu natychmiast natarli, tnąc i dźgając w już skrwawiony grzbiet potwora. Ale ogniste ślepia demona wciąż pozostały utkwione w Arucie – i bestia sięgnęła ku Księżciu szponami.

Arutha odskoczył zręcznie i znów ciął rapierem – a w łapie demona pojawiła się kolejna, dymiąca rana. Potwór uderzył na odlew, co zmusiło Williama do gwałtownego odskoku w tył, Arutha jednak tylko usunął się w bok, a potem natarł szybko niczym szerszeń i ciął bestię w pierś.

Księżę, twoja klinga! – zawołał William. – On się jej boi!

Przy okazji... – stęknął Arutha – trzeba będzie zapytać o to twego ojca! Teraz jestem zajęty!

Księżę Krondoru był najszybszym szermierzem, jakiego Williamowi dane było kiedykolwiek poznać – i demon po prostu nie umiał mu niczego przeciwstawić.



William przyłączył się do pozostałych, którzy niepokoiili bestię z boku, demon jednak uparcie parł na gibkiego i nieuchwytnego Księcia.

Walka przetoczyła się z głębi stajni aż do wyjścia, gdzie demon się zorientował, że lada moment znajdzie się na słońcu. Bestia się zatrzymała i wyszczerzyła kły ku przeciwnikom z prawej. William cofnął się o krok. Stwór wyraźnie osłabiony postąpił kolejny krok ku przodowi, ryzykując wyjście na światło, by tylko dopaść Aruthę.

William poczuł, że ramiona i barki sztywnieją mu z wysiłku oraz zmęczenia, zmusił się jednak do kolejnego natarcia z boku. Grzbiet i ramiona potwora były już jedną otwartą raną, a futro na koźlich nogach bestii wyglądało jak masa kłaków, pozlepianych ociekającą z boków i pleców krwią.

Oslabiony demon poruszał się już wyraźnie wolniej, Arutha tymczasem zdwoił szybkość uderzeń. Jego ostrze śmigło niczym błyskawica, każdym mignięciem wydobywając z paszczy bestii ryk bólu.

W końcu demon zachwiał się na nogach... i runął na ziemię, aż zadudniło.

Arutha natychmiast skoczył ku przodowi i bez wahań wbił ostrze rapiera głęboko w miejsce, gdzie szyja bestii łączyła się z piersią. Naparł na klingę, zanurzając ją aż do połowy długości, a potem wyciągnął, przy okazji ją silnie skręcając.

Demon jęknął okropnie, zadygotał... i po chwili znieruchomiał całkowicie. Z głowni Aruthy kapąły krople dymiącej krwi... a z rany w piersi demona buchnął niewielki płomień. Ogień szybko się powiększył, zmuszając wszystkich do cofnięcia się. Płomień miał zieloną barwę i nappełnił powietrze smrodem gnijącego mięsa i siarki.

Większość ludzi zanosila się kaszlem, kilku dostało torsji, a tymczasem demon po kilku chwilach zniknął, zostawiając tylko czarny zarys kształtu

na kamieniach posadzki i okropny smród wiszący w powietrzu.

Przywołany skinieniem dłoni do Aruthy podbiegł paź. Książę otworzył torbę, którą chłopiec miał u boku, i wyjął z niej pęk bandaży. Wytarł starannie ostrze swego rapiera – w miejscu, w którym płótno zetknęło się z krwią, pozostały czarne, osmalone plamy.

Poruczniku – odezwał się Książę tonem towarzyskiej rozmowy – zechciejcie ostrzec ludzi, by uważali, czyszcząc broń z krwi tej bestii.

Tak jest, sir! – odpowiedział słuźbiście William; co prawda wszyscy obecni widzieli, jaki był skutek zetknięcia się bandaży z czarną posoką potwora.

Ha! – odezwał się Arutha. – Widywałem większe jatki, ale nieczęsto i niewiele większe. – Rozejrzawszy się dookoła, zobaczył stojącego obok Treggara. – Kapitanie...

Na rozkaz, sir! – Treggar wyprężył się na baczność.

Doskonale się spisaliście. A teraz zabierzmy się do roboty... a sporo jej jeszcze przed nami. Roześlijcie drużyny na okoliczne wzgórza, niech się rozglądają za wszystkimi skrytobójcami, którym się udało wymknąć z tej rzeźni.

W tej chwili, Wasza Wysokość! – odpowiedział Treggar, odwracając się, by wydać rozkazy.

Poruczniku! – Arutha zwrócił się do Williama.

Słucham, Wasza Wysokość!

Nie mogę cię winić o okazywanie dzielności, ale jeżeli jeszcze raz zobaczę, że robisz coś równie głupiego, jak ten powrót do stajni, to aż do przejścia w stan spoczynku będziesz nadzorował pralnie Księżnej Pani. Mamy tuzin ludzi w pełnej zbroi, a ty nie miałeś na sobie żadnej! Zachowałeś się mężnie, ale głupio, poruczniku!

Skarcony tak William zaczerwienił się potężnie, co było widać mimo brudu i krwi pokrywających mu twarz.

Przepraszam Waszą Wysokość...

Wszyscy popełniamy błędy – stwierdzi Księżę, uśmiechając się lekko. – Rzecz w tym, by wyciągać z nich nauki... o ile uda nam się przeżyć.

William rozejrzał się dookoła.

– Nie skarżyłbym się bogom, gdyby ta nauka była ostatnią, jaką mnie doświadczyli.

Arutha położył dłoń na ramieniu młodego oficera.

Pierwszemu z demonów, z którymi przyszło mi walczyć, musiałem stawić czoło, kiedy jeszcze nie minął rok od objęcia przeze mnie władzy w Krondorze. I tamta walka wcale mnie nie przygotowała na tę. A ta walka nie dała ci doświadczenia, z którego będziesz mógł korzystać w następnej. Nigdy nie będziesz gotów, Will – odezwał się cicho, tak żeby mógł go usłyszeć tylko porucznik. – Po prostu robisz, co możesz w danej sytuacji. W momencie, gdy zaczyna się walka, wszystkie najlepsze plany biorą w łeb. Dobry dowódca to ten, który potrafi improwizować i dba o swoich ludzi. Zrozumiałeś, poruczniku? – spytał, pod nosząc głós.

Myślę, że tak, Wasza Wysokość.

To dobrze. A teraz chodźmy i zobaczymy, co znajdziemy wewnątrz. – Treggar rozesłał ludzi, by przeszukali okoliczne wzgórza, Arutha zaś zwołał kilkunastu piechurów, którzy wspólnie z Williamem ruszyli na przeszukanie podziemnej fortecy.

Kiedy weszli do zbryzganej krwią stajni, William rozejrzał się.

– Powinien być tu z nami James – powiedział. – On dość dokładnie zbadał to miejsce.

Na ustach Aruthy pojawił się jeden z rzadkich uśmiechów.

O ile wiem, James chrapie teraz bohaterskim snem... a zasłużył sobie na każdą minutę, jaką mu się uda wykraść obowiązkom.

Wyglądał na trochę... sponiewieranego – zauważył William.

Jak mawiał mój stary nadzorca stajen w Crydee, zajeżdżono go niemal na śmierć i trzeba pozwolić, by choć wysechł...

To musiał być Algon, sir – zaśmiał się William. Arutha uniósł pytająco jedną brew. – Ojciec często nam opowiadał historyjki o swoim dzieciństwie w Crydee, słyszałem z jego ust niejedną cytata, który przypisywał swoim nauczycielom. Kilka zabawnych powiedzonek miał Kulgan.

Niewątpliwie. – Arutha rozejrzał się dookoła. Pamiętał talent, z jakim stary mag potrafił rzucić kąśliwą uwagę w chwili, gdy wprawiała słuchaczy w największe zakłopotanie.

Weszli do zbrojowni i William znów poczuł, że lada moment padnie ofiarą torsji. Kilku żołnierzy, zobaczywszy porzucane wszędzie bezładnie i okropnie poszarpane ciała, natychmiast zwróciło posiłki.

Demon poczynił tu największe spustoszenia.

– Byli mordercami o sercach czarnych jak noc, ale żaden człowiek nie zasłużył na taki koniec... – wyszeptał Arutha, rozejrzawszy się dookoła. Książę nie odwrócił wzroku, ale uważnie obejrzał wszystko, jakby chciał to sobie dobrze zapamiętać. Wszystko niemal było zbryzgane krwią. Wszędzie leżały bezładnie porozdzierane okropnie ciała. Powyrywane organy wewnętrzne leżały i przyciągały stada much, a w powietrzu unosił się coraz silniejszy i coraz bardziej nieznośny smród zgnilizny. – Gdy stąd wyjdziemy – oznajmił Książę – trzeba to miejsce oczyścić ogniem.

William kiwnął głową i wydał rozkazy dwóm ludziom.

– Ruszajcie w konie i przywieźcie każdy kawałek drewna, który zdołacie znaleźć. W komnatach na południu – zwrócił się do dwóch innych – są dzbany z oliwą; znajdźcie je i przywieście tutaj.

Arutha tymczasem spostrzegł wielką księgę, którą arcykapłan skrytobójców odrzucił w chwili śmierci, i skinieniem dłoni polecił, by mu ją przyniesiono.

Jeden z żołnierzy podał ciężki tom Księciu, ten zaś przez chwilę oglądał znalezisko.

To, co tu napisano, będzie musiał ocenić ktoś inny – zawyrokował.

Czy mogę, Wasza Wysokość? – spytał William. Arutha podał mu księgę. – Nie uprawiam magii – uśmiechnął się lekko William. – Ale kiedyś pobierałem początki nauk. Wasza Wysokość wie to lepiej od innych – ciągnął lekko zakłopotany. Przeczytawszy kilka pierwszych wierszy, pospiesznie zatrzasnął księgę. – Nie znam tego języka – oświadczył – ale to pismo ludzi szukających mocy. Zimno mi się robi na sam jego widok. Myślę, że to sprawa dla jakiegoś kapłana. Wasza Wysokość, ze względu na bezpieczeństwo nie wolno pozwolić, by ktokolwiek to zaczął czytać, dopóki na tę księgę nie zostaną nałożone silne zaklęcia zabezpieczające.

Arutha skinął głową na znak, że rozumie i zgadza się z opinią porucznika. Podał księgę jednemu z przybocznych.

– Włożyć mi to do juków przy siodle... i strzec jak oka w głowie. – Żołnierz karnie zasalutował i wyszedł, niosąc księgę tak, jakby trzymał w rękach gniazdo szerszeni. Arutha spojrzał na Williama: – To kolejny dowód na poparcie tezy, że trzeba ponownie powołać kogoś na urząd nadwornego maga. Jak sądzisz, co by powiedziała nasza czarodziejka, gdyby była tutaj?

William przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, a po jego twarzy przemykały naraz różnorakie emocje. W pierwszej chwili zamierzał powiedzieć o Jazharze coś uszczypliwego albo udać, że nie potrafi ocenić jej kompetencji. W końcu jednak, gdy ludzie rozeszli się, by przeszukać dalsze części podziemi, odezwał się.

Wasza Wysokość, mogę tylko zgadywać. Wiem jednak, iż potrafiłaby nam powiedzieć wiele o tym, co się tu wydarzyło. Ona... – zawahał się, ale dzielnie dokończył – ..była utalentowaną badaczką i dobrze się orientowała w rozmaitych gałęziach Sztuki.

Tym bardziej więc żałuję, że jej tu z nami nie ma – stwierdził Arutha.

Przeszedłszy przez korytarz, trafili do komnat, które wyglądały na ogólne sypialnie. Ludzie szybko je przeszukali, znajdując kilka oprawnych w skórę ksiąg. Arutha rozkazał, by także i je zabrano do Krondoru.

W końcu dotarli do ostatniej sali, z której żołnierze wyciągali drewnianą skrzynkę. Nieopodal znaleźli inną, zamkniętą.

Wasza Wysokość – odezwał się jeden z żołnierzy, ujrawszy wchodzącego do sali Księcia. – Jest na niej pieczęć i po myślałem, że lepiej będzie jej nie ruszać.

I dobrze pomyślałeś – stwierdził Książę. – Zabierzcie ją do Krondoru, gdzie oddamy ją do zbadania tym, co się na takich rzeczach znają lepiej niż my.

A po co, Wasza Miłość? – rozległ się głos z tyłu. – Tu też jest ktoś, kto potrafi otwierać rozmaite rzeczy.

Odwróciwszy się, William i Książę zobaczyli stojącego w drzwiach z dłonią na klamce Jamesa. Giermek trzymał w dłoni parę pięknych, wysokich butów.

Nie mogłem odjechać bez nich – rzekł, jakby to wyjaśniało wszystko.

Miałeś dość sił, by tu przyjść? – spytał Arutha.

Przecież tu jestem, prawda? – odpowiedział James, wzruszając ramionami i usiłując popisać się dawną dzielnością i bez troską. – Chyba się nie spodziewałeś, Wasza Miłość, że uda mi się zasnąć w tym całym zgiełku, jakiego narobiliście, zabijając tego biednego demona?

Arutha uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową.

– Powiedz mi, co możesz rzec o tej skrzyni?

James opadł na kolana i uważnie przyjrzał się zamkowi i pieczęci. Potem przez kilka chwil oglądał zawiasy i okucia.

Mogę rzec tylko tyle, że pomysł zabrania jej do Krondoru jest całkiem dobrym pomysłem – stwierdził wreszcie. – Gdy kapłani zrobią, co trzeba, aby po złamaniu pieczęci nie zdarzyło się nic paskudnego, mogę otworzyć zamek. Mam w pałacu odpowiednie narzędzia, sir.

Wasza Miłość powinien to obejrzeć – odezwał się jeden z żołnierzy przeszukujących otwartą skrzynię, podając Księżciu jakiś pergamin.

Arutha spojrzął i zwrócił się do żołnierza.

Wiesz, co to jest?

Sir – odparł zapytany – znam w mowie i na piśmie trzy języki keshkańskie równie dobrze jak nasz własny. To pismo jest podobne do języka plemion pustyni, ale nie na tyle, bym mógł je przeczytać. Lecz znam to słowo, o tutaj...

William poskromił ciekawość, James jednak zajrzał Księżciu przez ramię.

– Co tu jest napisane, sir?

– To nazwisko – odpowiedział cicho Arutha. – Radswil z Olasko. Williamie, zostaniesz tu i przeszukasz wszystkie pomieszczenia – odezwał się po chwili, otrząsając się zaskoczenia. – Każdy dokument, który znajdziecie, ma zostać dostarczony do pałacu. Jamesie, jedziesz ze mną. Natychmiast wyruszamy do Krondoru.

William zabrał się do wydawania rozkazów i ludzie ruszyli, by je wykonać.

Choć Księżę zachował spokój i nie dał po sobie niczego poznać, wszyscy w komnacie zrozumieli potrzebę pośpiechu.

William pożegnał wzrokiem znikających w głębi korytarza Aruthę i Jamesa, po czym zabrał się do skrzętnego przeszukania tej siedziby

zbrodniarzy. Ludzie wnosili już drewno i oliwę, a młody porucznik nie bez przyjemności pomyślał, że gdy przyjdzie czas, by się stąd wynieść, chętnie przyłoży pochodnię do oblanych tłuszczem szczap.

Ocknąwszy się z zamyślenia, zabrał się do poszukiwań tak dokładnych, jakby je przeprowadzał pod okiem samego Aruthy.



# ROZDZIAŁ 17

## **BŁĘDNY TROP**

Wiatr targał proporcami.

Zostawiwszy za sobą forteczne ruiny, jechali ostro, forsując konie do granic wyczerpania i po sześciu dniach – zamiast spodziewanych ośmiu – dotarli do najbliższego krondorskiego garnizonu. Arutha wskazał niewielką warownię na brzegu Zatoki Shandon. Wiatr dmący na wzgórzach niósł kłęby kurzu, a konie niecierpliwie uderzały kopytami o ziemię, wyczuwając niedaleką wodę i owies w paśnikach.

– Wygląda na to, że mamy towarzystwo – stwierdził James.

Podczas jazdy powoli odzyskiwał siły, i choć nie czuł się tak dziarsko, jak po odpoczynku w łożu, większość z jego ran już się zasklepiła. Wciąż miał na sobie więcej siniaków niż nietkniętych miejsc, ale żadne z jego obrażeń nie wyglądało na trwałe.

– Owszem, na to wygląda – odpowiedział Arutha.

Gdy wypływali z Krondoru do tego portu, położonego na południowym krańcu Zatoki Shandon, wydał rozkaz, by okręt czekał aż do jego powrotu. Teraz jednak na redzie niewielkiego portu stały jeszcze trzy inne okręty.

James parsknął śmiechem.

To okręt Amosa, prawda?

Tak – odparł Arutha. – To Królewski Lampart. I Królewski Szerszeń. Oraz Królewska Łania. Najlepsze okręty z jego eskadry. – Gdy zbliżyli się do forteczki, ujrzeli zebranych przed bramą, stojących i wyprężonych niczym struny żołnierzy z załogi. Dowodzący garnizonem kapitan przygotował skromne przyjęcie, Arutha jednak się spieszył. Zeskoczywszy

z konia, pod szedł, by się przywitać z krępyim mężczyzną stojącym obok Kapitana. – Amos! – odezwał się Książę. – Jakiemuż kaprysowi losu zawdzięczamy fakt, że Admirał Zachodniej Floty czeka tu na nas, jakby na zamówienie?

Czarna, choć poznaczona już tu i ówdzie siwizną broda Amosa Traska pękła w uśmiechu. Oczy Admirała połyskiwały weselem, a obaj przybysze – James i Arutha – wiedzieli, że ów błysk nie zniknął z nich nawet w walce.

Kiedy płynę na południe – zagrzmiął niegdysiejszy przemytnik– zawsze zaglądam do tej zatoki. Odkryłem, że keshkańscy przemytnicy i zwykli piraci chętnie się gdzieś tu czają na kupców, którzy kryją się w zatoczkach północnego brzegu przed kaprysami pogody. Płynąłem sobie spokojnie, gdy spostrzegłem tu Królewskiego Sokoła – wskazał okręt stojący nieopodal na kotwicy – pod królewską banderą. Zapytałem więc sam siebie: „Co też Arutha porabia w tym zapomnianym przez bogów i ludzi zakątku Królestwa?”. Postanowiłem przybić do brzegu i za czekać, by się dowiedzieć samemu.

Ponieważ masz szybszy okręt – stwierdził Arutha – prze niesiemy moje osobiste rzeczy na Lamparta.

Już się tym zająłem – odparł Amos z szerokim uśmiechem.

Kiedy możemy odpłynąć?

Za godzinę – odparł Admirał. – Jeżeli chcesz wypocząć, Książę, to rano.

Dziękuję za powitanie. – Te słowa Arutha skierował do dowódcy garnizonu. – Ale sprawy wagi państwowej wymagają, bym szybko wrócił do Krondoru. Mości Kapitanie, niech ludzie i konie trochę tu odpoczną – zwrócił się do Treggara – a gdy nadciągną tabory, rusza, za nami...

...ponownie – dodał pod nosem James. Arutha natknął się po drodze na własny tabor i mijając go, wydał rozkaz, by wozy zawrócono do Krondoru.

... na pokładzie Sokoła.

– Zrozumiałem, Wasza Miłość – odparł Treggar.

William z drużyną dogнали Aruthę pod koniec drugiego dnia po opuszczeniu fortecy. Przywieźli ze sobą sporą ilość dokumentów i kilka przedmiotów, o których sądzono, iż mają magiczne właściwości.

– Poruczniku – odezwał się Arutha – weźcie ze sobą to, coście tam znaleźli, i płyncie ze mną. Odbijamy natychmiast. – Te słowa Arutha skierował do Amosa.

Amos ustąpił w bok, dając Arucie przejście.

– Spodziewałem się, że będzie ci spieszno, Książę, więc jak tylko wejdiesz na pokład, podnosimy kotwicę.

Arutha dał znak i podprowadzono jego konia. Książę wyjął z juków przy siodle worek z księgami oraz dokumentami odebranymi skrytobójcom i podał go Williamowi, który trzymał już jeden taki wór z podobną zawartością. Zaraz potem Arutha ruszył ku brzegowi, gdzie czekała już nań szalupa, by zabrać ich na pokład admiralskiego okrętu.

Książę, William i James wsiedli do łodzi, a zaraz za nimi wszedł do niej Amos. Marynarze i żołnierze zepchnęli szalupę na wody zatoki.

Po godzinie wszyscy już byli na pokładzie i trzy okręty pod pełnymi żaglami wypływały na morze, korzystając z wieczornego przypływu i bryzy. Arutha i James zajęli kabinę Admirala, który czasowo przyjął gościnę u pierwszego oficera, podczas gdy drugi oficer podzielił kajutę z Williamem. James akurat zdążył rozpakować bagaże, kiedy do drzwi kajuty zapukał Admirał.

– Kazałem tu przynieść skromną kolację – oznajmił Amos, usiadłszy przy stole, a spojrzawszy na giermka, dodał: – Jimmy, mój chłopcze, widywałem już na twojej gębie siniaki i zadrapania, ale teraz musiałeś trafić w ręce ludzi, którzy naprawdę nie lubią obcych. Mam tylko nadzieję, że tamci wyglądają gorzej?

– Znacznie gorzej – odpowiedział James. Arutha uśmiechnął się do starego przyjaciela.

– Z tego, że cię widzę, cieszę się prawie tak samo, jak z możliwości szybkiej podróży.

Rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich William.

Wasza Wysokość. – Skłonił się, witając Księcia. – Mości Admirale...

Znam cię, poruczniku – stwierdził Amos. – Jesteś synem Puga. Nie widziałem cię, ile to już? Dziesięć lat?

William lekko się zaczerwienił.

Mniej więcej, sir.

No to siadaj i rozgość się. Kolacja powinna... – Amosowi przerwało pukanie do drzwi. – Wejść! – zagrzmiął. Drzwi się otworzyły i do kajuty weszli dwaj marynarze niosący jadło i napitki. Podawszy wszystko na stół, wyszli. Amos sięgnął po dzban wina, nalał sobie do pucharu i pociągnął długi łyk. – Opowiadajcie, opowiadajcie!

Arutha zarysował więc ogólny przebieg wydarzeń, od pozornie przypadkowych morderstw w Krondorze aż po ostatnie uderzenie na gniazdo skrytobójców.

Mamy więc ten dokument w języku, którego nie potrafi my przeczytać – ani ja, ani William – ale jest na nim nazwisko Diuka Olasko.

Pozwól, że go obejrzę, Książę – poprosił niegdysiejszy pirat. – Kiedy... pływałem u keshkańskich wybrzeży, poznałem mowę kilku tych pustynnych plemion.

James lekko się uśmiechnął. Znany pod imieniem Trencharda pirat w młodości pustoszył ogniem i mieczem porty keshkańskie równie często, jak miasta królewskie. Amos dwukrotnie przeczytał dokument.

Sęk w tym, że to nie tylko jeden z mniej znanych dialektów, ale i skryba popełnił sporo błędów. Tak czy owak, z tego, com tu wyczytał, wynika, że

to zamówienie na zabójstwo. Ktoś płaci... nie, to tylko moje przypuszczenie. Ktoś polecił skrytobójcom zabić Diuka Olasko.

A myśmy myśleli, że to błędny trop – stwierdził Arutha.

Naprawdę? – zdziwił się Amos. – Zechciej mi to wyjaśnić, Książę.

W tej grupie jest także następca tronu Olasko, a oficer odpowiedzialny za ochronę Diuka stwierdził, że to on był celem ataku.

Amos ponownie przejrzał dokument.

Są tu jeszcze inne imiona: Vladic, Kazamir i Paulina.

To wszystko członkowie panujących rodów Olasko i Rolden – stwierdził Arutha.

Ktoś chce, żeby ich też zabito. – Amos przez chwilę jeszcze badał dokument, a potem odsunął go na bok. – Ja wyczytałem z tego coś innego. Pokażcie to jeszcze jakiemuś biegłemu tłumaczowi, bo może się mylę. – Po chwili namysłu jeszcze się odezwał. – Tak czy owak, wygląda na to, iż ktoś zamierza rozpętać wojnę pomiędzy Królestwem i Olasko.

– Kto? – spytał William. Amos spojrzał nań i uniósł brwi.

– Dowiedz się, dlaczego, a będziesz wiedział, kto to taki.

James cofnął się i oparł plecy o ścianę. Wyglądając przez szerokie rufowe okna, zobaczył wznoszący się na niebie mały księżyc. Zastanawiał się nad postawionym przez Amosa problemem.

– Dlaczego? – zadał sobie na głos pytanie.

Dopływając do Kronloru, mieli prawie idealną pogodę. Amos kazał wywiesić swoją banderę Admirała Królewskiej Floty Zachodu i królewski proporzec Księcia Kronloru, więc gdy jego okręt wpływał do portu, wszystkie inne się rozstąpiły, dając mu wolną drogę.

Jak zawsze przewidujący i skuteczny Mistrz Ceremonii de Lacy wystawił w porcie do powitania kompanię gwardii przybocznej. Pojawiła się też Księżna i dzieci. Arutha skrócił powitanie do kilku niezbędnych

chwil, pospiesznie ucałował rodzinę. Zaraz potem przeprosił wszystkich i wespół z Jamesem oraz Amosem udał się na naradę.

Anita знаła męża dostatecznie dobrze, by zrozumieć, że sprawa jest pilna, zabrała więc dzieci do swoich komnat. Arutha polecił, by jak najszybciej sprowadzono mu najlepszego w Krondorze znawcę kesdańskich pustynnych języków i zajął się przebieraniem w czyste szaty.

William pożegnał się z Jamesem i pospiesznie ruszył do kwater oficerskich, gdzie opędzając się od pytań, pognął do łaźni, a potem włożył czysty mundur.

Gdy młody porucznik pospiesznie pucował buty, pojawił się Gordon O'Donald.

Williamie! Mój najlepszy przyjacielu! Gdzieś ty się podziewał?

Najlepszy przyjacielu? – uśmiechnął się William.

Za takiego cię uznaliśmy z wdzięczności za to, iż zabrałeś stąd Treggara na kilka tygodni. Nie powiem, że żyło się tu nam jak w niebie... ale wszyscy stwierdzili, iż niewiele nam do tego brakowało.

William utkwiał w nim surowe spojrzenie.

Gordonie, myślę, że nazbyt surowo osądzacie Kapitana. Uwierz mi na słowo: gdy kiedykolwiek będziesz brał udział w bitwie, niełatwo ci będzie znaleźć kogoś, kto wesprze cię skuteczniej od niego.

No, skoro tak twierdzisz... – Gordon potarł podbródek. – Ale tu z pewnością było znacznie spokojniej.

William zachichotał.

Jak wyglądam? – spytał.

Jak młody, świeżo wyprany porucznik.

To dobrze. Muszę wrócić do Księcia na naradę.

O! A ja myślałem, że zechcesz odwiedzić tę małą przyjaciółkę w Tęczowej Papudze.

William już był na schodach, ale odwrócił się tak szybko, że niewiele brakło, a byłby się wykopyrtnął.

Talia?

No, wiesz, pod twoją nieobecność zająłem tam kilka razy – stwierdził skromnie O'Donald.

Twarz Williama powlekła się chmurą.

– Oczywiście, były to tylko przyjacielskie wizyty – dodał szybko filut.

– Przyjacielskie wizyty... – powtórzył ponuro William. Gordon westchnął teatralnie.

– Powiedziałem dokładnie to, co należało. Ta dziewczyna w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Innych chłopaków też ma za nic. Wydaje mi się, że zdobyłeś jej serce, Will.

– Tak myślisz? – William nie potrafił ukryć uśmiechu. O'Donald dał mu przyjacielskiego kuksańca.

– Nie pozwól Księżciu czekać za długo. Później z pewnością znajdziesz chwilę czasu, by się zobaczyć z Talią. – Uwaga Gordona tak rozproszyła Williama, że porucznik potknął się na schodach, odzyskując równowagę dopiero na półpiętrze. Ujrawszy to, Gordon znów parsknął śmiechem. – No, idź już. Nie daj Księżciu czekać.

William pobiegł przez zbrojownię i plac ćwiczeń do pałacu. Gdy pojawił się w komnacie narad, zobaczył, że inni także już przybyli.

Rozejrzawszy się dookoła, spostrzegł Jamesa, który skinieniem dłoni poprosił go, by usiadł obok niego koło Księcia. Pomiedzy Jamesem i Aruthą stało puste krzesło przeznaczone dla Konetabla Krondoru, obecnie puste, jako że stanowisko zwolnione przez Gardana pozostało nieobsadzone. W naradzie, oprócz Amosa, wzięli też udział Kapitan Guruth, Szeryf Means i Kapitan Issacs, który dowodził Królewską Gwardią Przyboczną.

– Nad tymi pergaminami biedzi się teraz sześciu naszych skrybów, biegłych w najmniej znanych dialektach keshkańskich – oznajmił Arutha. – Skrzynię bada Ojciec Belson ze Świątyni Prandura, który wkrótce do nas dołączy, by opowiedzieć o swoich pierwszych wrażeniach. – Spojrzawszy na obu Kapitanów i Szeryfa, dodał: – Pozwólcie, że tym, co z nie byli z nami na południu, pokrótce wyjaśnię, jaką mamy sytuację.

Nawet po wielu latach współpracy z Księciem James nie umiał się oprzeć podziwowi, obserwując precyzję, z jaką działał umysł Aruthy. Potrafił on podsumować całą sytuację bez zbędnych szczegółów, ale dokładnie wymienił wszystkie jej elementy, oceniając jednocześnie wagę każdego z nich.

Gdy Arutha skończył opis sytuacji i ostatnich wydarzeń, do pomieszczenia wszedł Ojciec Belson.

– Wasza Miłość – zaczął kapłan Prandura – użyłem wszelkich dostępnych mi sposobów i mogę zaryzykować stwierdzenie, że w tej pieczęci nie masz nic mistycznego. Wygląda na to, że mamy do czynienia ze zwykłą woskową pieczęcią, która ma tylko wskazać komuś, czy skrzynia była otwierana, czy nie.

Arutha skinieniem dłoni wskazał mu wolne krzesło.

Zbadamy ją później po naradzie. – Zwrócił się do pozostałych. – Chcę, by przy Diuku i członkach jego rodziny podwojono strażę do czasu ich wyjazdu.

Sir – odezwał się nieco speszony Kapitan Issacs. – Jego Łaskawość leczy swoje rany, ale się skarży na tych strażników, którzy go pilnują. On... zawarł znajomość z kilkoma damami, które teraz go... odwiedzają.

Arutha zrobił minę, w której gniew mieszał się z rozbawieniem.

– Cóż, Kapitanie, mogę wam tylko poradzić, byście zwrócili mu uwagę na fakt, że jego małżonka z pewnością chciała by, żeby był chroniony.



Może powinniście mu to rzec tak, żeby usłyszały to owe... damy... o których wspomnieliście.

James uśmiechnął się szeroko, a William musiał mocno zacisnąć zęby, by też nie okazać wesołości. Amos ryknął śmiechem i walnął łapą w stół. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Arutha go ubiegł.

– Nawet nie myśl o tym, by mi rzec, że odbieram życiu cały jego urok. – Amos ryknął jeszcze głośniejsze. – Zniszczyliśmy gniazdo Nocnych Jastrzębi w tej okolicy – zwrócił się Arutha do Kapitana Gurutha i Szeryfa Meansa – ale z pewnością jacyś jeszcze zostali.

Amos kiwnął głową.

– To robactwo jest jak karaluchy. Zapal lampę, a rozbiegną się po kątach. Przeważnie ich nie widać, ale możesz być pewien, że gdzieś tam są.

James nadal się uśmiechał, choć Arutha nie wyglądał na zadowolonego z tego, iż mu przerwano.

– Jak powiedziałem, nie zniszczyliśmy ich całkowicie. Jeżeli niektórzy z nich dotrą do miasta i odnajdą swoich wysłanych tu wcześniej agentów, mogą podjąć kolejną próbę napaści na Diuka, by się wywiązać z wcześniejszych powinności.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i żołnierz wpuścił skrybę, który zgiął się w ukłonie.

Wasza Wysokość, przeczytałem tekst, który uznaliście za najważniejszy. – Skryba był niewysokim, szczupłym człowiekiem w niebieskiej kurtce, szarych spodniach i czarnych trzewikach. Jego najbardziej charakterystyczną cechą był silny zez.

I co mi możecie powiedzieć? – spytał Księżę.

Admirał Trask wspomniał o możliwości, iż piszący te słowa nie był człowiekiem wykształconym – ciągnął skryba.

– Tak mógłby sądzić człowiek nieobeznany z tajnikami sekretnej korespondencji, ale rzecz ma się inaczej. To bardzo spryt nie pomyślany kod.

Kod?

Nie jest to szyfr podobny do tego, jakiego używają ci z Queg – kiepsko to robią, jeżeli wolno mi wyrazić swoją opinię – ale zestaw uzgodnionych wcześniej zdań, które mają swoje zupełnie inne znaczenie. Łatwo odczytać imiona Diuka i członków jego rodziny, ale pozostała część informacji jest zreżymnie ukryta w pozornie niewinnych zdaniach. Pozwólcie, że podam przykład: „Nasz pan rozkazuje, by wszyscy byli na miejscu o czasie zielonego spełnienia”. „Czas zielonego spełnienia” to oczy wiście określona data, uzgodniona wcześniej przez autora i adresata tego pisma. A oto inny przykład: „Dar musi dotrzeć do wskazanego, zanim odejdzie jako uczta dla kruków”.

Czy mamy możliwość odkrycia tych znaczeń?

Gdyby Wasza Książęca Mość miał jeńca znającego klucz do tego kodu, i gdyby dało się go skłonić do zdradzenia nam tych znaczeń, wszystko byłoby jasne. Ale próba odgadnięcia na chybił trafił jest skazana na niepowodzenie.

Przeczytajcie coś jeszcze – poprosił James.

Nooo... – zaczął skryba. – O! „Pan musi otrzymać wieści przed nadejściem najbardziej chłodnej z zimowych nocy”.

Wątpię, czy to cokolwiek pomoże, ale była tu kiedyś szajka kashańskich opryszków, którzy sprowadzali niewolników do Durbinu. Nazywali siebie Żalonym Bractwem, czy jakoś tak.

Bractwo Żalności – poprawił go Amos. – Kilka razy się na nich natknąłem... za czasów mojej bujnej, junackiej młodości. Łotry, jakich ze

świecą szukać po całym świecie. W każdym kraju za nic mieli prawo, porywali wolnych i niewolnych, sprzedawali ich na targu w Durbinie.

Niekiedy pojawiali się w Krondorze. Szydercy tępil ich, gdziekolwiek się na nich natknęli – stwierdził James. – Słyszałem, że używali kodu, w którym miejsce stawało się osobą, osoba czasem, a czas miejscem, czy coś w tym rodzaju.

A więc „uczta kruków” zamiast wydarzenia może oznaczać miejsce? – spytał Arutha.

Właśnie – stwierdził James. – Nie sądzę, by to się na coś przydało, ale skoro sobie to przypomniałem...

Może jednak się przyda – odparł Arutha, wpierając łokieć w stół. – Pomoże wara to w czymś? – zapytał, spojrzawszy na skrybę.

Być może tak – odparł skryba. – Mamy kilka takich zdań w znacznej liczbie dokumentów. Może się czegoś dowie my, szukając podobnych albo takich samych fraz.

Arutha odprawił go skinieniem dłoni.

– Bierzcie się do roboty, a rano powiadomcie mnie o tym, czegoście się dowiedzieli – powiedział Książę. Potem zwrócił się do Kapitanów i Szeryfa. – Zajrzyjcie pod każdy kamień w Krondorze, i jeżeli znajdziecie któregośkolwiek z tych ptaszków, przyprowadźcie go tutaj, ale nie pozwólcie, by ktokolwiek się z nim kontaktował. – Trzej oficerowie zasalutowali i wyszli. Arutha wstał i pozostali w komnacie natychmiast zrobili to samo. – Obejrzyjmy tę skrzynię. Ojczy – zwrócił się do kapłana – czy mógłbyś z nami zostać, ot, na wszelki wypadek, gdyby jednak odrobina magii uszła twej uwadze?

– Kapłan Prandura bez słowa kiwnął głową. William i Ja mes stanęli obok księcia. – Przyłączysz się do nas? – spytał Arutha Amosa.

– Pytasz, Książę, jakbyś mógł mnie powstrzymać – zaśmiał się Trask.

Przeszli do większej komnaty, używanej przez członków książęcej rodziny do różnych celów. Obecnie pełna była rozmaitych mebli, skrzyń ze starymi ubraniami, zabawek, które tu odnoszono w miarę, jak dzieci dorastały, i innych przedmiotów używanych przez książęcą rodzinę.

Może zanim ją otworzymy, powinniśmy przenieść tę skrzynię do lochów? – spytał James.

Mój giermku, jak zbadasz zamek i stwierdzisz, że to nie bezpieczna sztuka, z pewnością tak zrobimy.

James wyjął zestaw narzędzi zawiniętych w skórzany futerał. Rozwiązał rzemienie, rozwinął i wyjął stalowy sztyft. Przez chwilę przyglądał się zamkowi, potem wsunął sztyft do środka i obrócił go kilkakrotnie.

– Jest tu pułapka, ale to prosta igła, choć z pewnością zatruta – stwierdził. Wyjął jeden z wytrychów i wsunął go w otwór zamka. Po kilku próbach wszyscy usłyszeli ciche szczęknięcie. W tej samej chwili James wyjął wytrych, i szybko przeciął igłę stalowymi szczypcami. – Na wszelki wypadek – oznajmił – proponuję, by wszyscy się cofnęli.

I podniósłszy skobel, otworzył skrzynię.

W komnacie pociemniało na chwilę, jakby każdą lampę ogarnęła chmura cienia. Ze skrzyni wionęło mrokiem... i podniósł się z niej ciemny, wiotki kształt.

Był podobny do ludzkiej sylwetki, brakowało mu jednak głębi – wyglądał jak cień, który zawisnął w powietrzu, bez powierzchni, na której mógłby spocząć. Przez chwilę wyglądało na to, że rozgląda się po komnacie, a potem nagle spieszenie ruszył ku drzwiom.

Wszyscy obecni zastygli na miejscach, ogarnięci zdumieniem, dopóki nie obudził ich okrzyk Jamesa.

– Zatrzymać to!

Arutha wyciągnął miecz; to samo zrobił Amos. William jako jedyny znalazł się pomiędzy mrocznym stworem i drzwiami. Spróbował go zatrzymać, przebijając mieczem. Stwór przeniknął przez klingę jak przez powietrze.

Za nim! – zawołał Arutha. – Co to jest? – spytał Jamesa.

Nigdy czegoś takiego nie widziałem – stwierdził Amos.

Ani ja – odparł James – Ale słyszałem o nich.

Cóż więc to jest? – spytał ponownie Arutha.

To Mroczny Łowca. Magiczny zabójca. Ta skrzynia dała się tak łatwo otworzyć, dlatego że ktoś chciał, by się tu znalazła i byśmy ją otworzyli!

Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ci skrytobójcy pozwolili się wyróżnić, żebyśmy mogli przywieźć tu tę skrzynię – rzekł Arutha, rzucając się w pogoń za stworem, który przesączył się przez zamknięte drzwi na korytarz.

Otworzyli drzwi i wyjrzeli na zewnątrz. Stwór gdzieś przepadł.

Nie, Wasza Miłość, ale mogli mieć tę skrzynię gotową do transportu w jakieś miejsce, gdzie byśmy ją i tak znaleźli Tam! – Wskazał w głąb korytarza.

Co? – spytał Arutha.

Jakiś ruch w cieniu.

Nic nie widzę – stwierdził Amos.

Jimmy gnał już korytarzem; Arutha pędził krok za giermkim.

– Admirale, mógłbyś go nie zobaczyć, nawet gdybyś patrzył prosto na niego! – zawołał James do Traska.

Nagle nad ich głowami przeleciała ognista kula, która zatrzymała się w miejscu, gdzie korytarz skręcał w prawo. Jaskrawy blask unicestwił wszystkie cienie – z wyjątkiem człekokształtnego zabójcy, który teraz został wyraźnie ujawniony.

Arutha i jego towarzysze obejrzeni się i zobaczyli Ojca Belsona, który stał za nimi z uniesionymi rękoma, jakby naprowadzał kulę na cel.

– Wasza Wysokość, ogień Prandura pali jak się patrzy! Nie wiem, czy zdołam zatrzymać tego stwora, ale z pewnością mogę wam pokazać, gdzie się kryje.

Chodź więc z nami, Ojczy! – zawołał Arutha.

Wasza Wysokość? – zapytał William. – Dokąd ten stwór się kieruje?

Tam, gdzie przebywa teraz Jego Łaskawość, Diuk Olasko – odpowiedział Arutha.

Kieruje się do skrzydła dla gości! – stwierdził James. Arutha tymczasem dopadł stwora i ciął go rapierem. Ostrze gładko przeszło przez człekokształtny cień, ten jednak na chwilę się zatrzymał, poruszając głową, jakby chciał się rozejrzeć... a po chwili ruszył dalej. – Poczuję, choć chyba nie za bardzo mu to zaszkodziło – orzekł James.

Chętnie wysłucham każdej propozycji dotyczącej sposobu, w jaki mamy się rozprawić z tym stworzeniem – mruknął Arutha z przekąsem.

Po prostu nie ustawaj w wysiłkach, Książę – podsunął Amos.

Arutha dogonił szybko poruszający się cień i znów kilkakrotnie ciął go rapierem. Stwór zatrzymał się na chwilę, zadrgał, a potem podleciał ku sklepieniu korytarza, gdzie rozciągnął się swobodnie, przypominając teraz namalowaną czernią ludzką sylwetkę. Zatrzymawszy się na moment, ruszył dalej do swego celu.

Ognista kula zgasła i stwór znikł w mroku.

Tam! – wskazał James.

Jeżeli wywołam kolejną kulę, mogę wyczerpać siły i nie wiele już wskóram – stwierdził ojciec Belson.

– A czy masz, Ojczy, inne zaklęcia, które mogłyby zatrzymać to stworzenie? – spytał Arutha, biegnąc, by się zrównać z Jamesem.

Wasza Wysokość, przeznaczone do walki zaklęcia i czary naszego Zakonu potrafią narobić straszliwych zniszczeń.

Ojcze, żeby powstrzymać wybuch wojny, gotów jestem choćby spalić pałac!

Ale może i to nie wystarczy – odparł kapłan.

Pobiegnę przodem i przygotuję gwardię – rzekł William.

Przygotujesz? Na co? – odpowiedział pytaniem Arutha.

– Broń naszych gwardzistów go nie zatrzyma.

James biegł obok, nie odrywając wzroku od sklepienia, by nie stracić stwora z oczu.

– Wszyscy precz z drogi! – ryknął Amos, gdyż wpadli do sali pełnej ludzi.

Zgromadzeni w niej gwardziści, służba i dworacy szybko usunęli się do rogów, z których nie bez zdziwienia patrzyli na osobliwy widok, jaki przedstawiał sobą ich władca i kilku jego towarzyszy, biegnący przez salę z oczyma utkwionymi w sklepieniu. Ci, którzy popatrzyli w górę, zobaczyli tylko nieznaczny ruch wśród cieni na płafonie i nic więcej.

Teraz przynajmniej wiem, kto i dlaczego mordował krondorskich magów – stwierdził James.

Czy Księżę nie powinien posłać po któregoś z nich, by zatrzymał tego stwora? – spytał William.

Albo sprawdzić skrzynię magią inną niż ta, której użył nasz dobry Ojciec – mruknął Amos.

Co jeszcze wiesz o tych stworach? – spytał Arutha Jamesa.

Wiem tylko to, co mi rzekł kiedyś pewien stary uliczny magik – odparł giermek, nie spuszczając wzroku z poruszające go się po sklepieniu sali cienia. – To istota bezrozumna. Czarnoksiężnik wskazuje jej cel, ona zaś nie

ustanie w wysiłkach, dopóki nie zabije ofiary albo dopóki nie zostanie zniszczona.

Istnieją zaklęcia, które mogą odczynić określony czar, nie mam jednak pojęcia, jakie byłoby potrzebne, by rozproszyć akurat ten, a nie mamy czasu, by zasięgnąć rady u moich przełożonych w Świątyni albo wezwać pomocy u innych Zakonów – stwierdził kapłan.

Myślę, że może coś wiem... – odezwał się William.

Co takiego? – spytał Arutha.

Zgaduję tylko... ale mam pewien pomysł.

Will, jak coś wiesz, to mów! – syknął James. – Zbliża my się do skrzydła, w którym umieszczono gości.

Tak jak ja to widzę, ten stwór może zabić na dwa sposoby. Albo się zmaterializuje i spróbuje zabić Diuka, jak byliby to zrobił człowiek – użyje broni, udusi go łapami, albo...

– .. .skreć mu kark– przerwał mówiącemu Amos. – Owszem, pojmiemy. Co dalej?

– Albo będzie musiał... powiedzmy, wszczepić mu jakąś truciznę, zarazić go jakąś chorobą, lub zrobić coś w tym rodzaju.

Ojcze? – spytał Arutha.– Jeżeli ten Łowca zarazi Diuka jakąś chorobą albo jakoś go zrani, będziesz mógł coś na to poradzić?

Mogę utrzymać Diuka przy życiu... – stwierdził kapłan. – Z pewnością przynajmniej na czas potrzebny wam do sprowadzenia uzdrowiciela.

– A jeżeli ten stwór się zmaterializuje? – spytał James, dotarłszy do wielkich drzwi wiodących do kwater Aruthy. – Otwórzcie drzwi! – polecił dwóm strzegącym ich żołnierzom.

A jeżeli ten stwór się zmaterializuje? – powtórzył pytanie Amos.

To go zabijemy – odparł Książę.



William wybiegł naprzód i rozkazał gwardzistom otworzyć drzwi, zanim James stracił z oczu ruchliwy cień na pułapie. W ciągu paru chwil dotarli do komnat książęcych. Stwór zignorował te drzwi i pognął korytarzem dalej. Dotarłszy do kolejnych, zatrzymał się przed nimi.

– Otwórzcie te drzwi! – zawołał Arutha.

Gwardziści zawahali się na moment, i zaraz potem usłuchali – ale ta chwila wystarczyła, by stwór prześlizgnął się pomiędzy futryną i górną krawędzią drzwi.

Vladic, książę, następca tronu Olasko, usiadł na łożu, a leżąca u jego boku kobieta dała nura pod koce, by się schować.

– Co to ma znaczyć? – zawołał książę.

James spojrział na sufit, potem rozejrzał się po komnacie.

– Ojcze, jeżeli wolno prosić... – odezwał się lekko nagłą cym tonem.

Kapłan wyczarował kolejną ognistą kulę i Vladic odskoczył w tył.

Co się dzieje? – zawołał, wyskakując z łoża i chwytając za miecz.

Tam! – zawołał James, bo stwór znów stał się widoczny. Skulił się na ścianie za Vladikiem.

William, ujrawszy cień wskazany przez Jamesa, skoczył, chwycił Vladica za ramię i jednym szarpnięciem rzucił nim w bok.

W tejże samej chwili cień oderwał się od ściany i zstąpił na podłogę. Na oczach wszystkich jakby się nadał, wypełnił i zmaterializował jako bryła mroku.

Arutha stanął przed Vladikiem.

– Wasza Wysokość wybaczy...

Vladic stał z mieczem w dłoni, nie zwracając uwagi na swą nagość.

Co to jest?

Coś, co was nie lubi, książę – odparł James, stając obok Aruthy. Giermek też miał w ręku swój rapier.

Mroczny Łowca wyglądał teraz jak w pełni realny człowiek, bez widocznych jednak rysów twarzy, włosów i innych cech charakterystycznych. Był czarny niczym sadza i nie odbijały się odeń żadne promienie światła.

Arutha ciął rapierem i stwór znów zadrgał, a ostrze przeszło przezeń na wylot.

A potem Łowca skoczył na Vladica.

# ROZDZIAŁ 18

## ŻDEMASKOWANIE

William rzucił się przed siebie.

Pchnął księcia Vladica w bok w tej samej chwili, w której potwór uderzył. Do komnaty wpadli żołnierze, a jednocześnie Amos i Arutha przygotowali się do natarcia na Łowcę. Kilku żołnierzy skoczyło na potwora w próbie obrony swojego księcia. Pierwszy z nich uderzył tarczą, usiłując zbić bestię z nóg. Tarcza jęknęła, jakby trafiła w pień drzewa, a Łowca machnął na odlew łapą, rozdzierając żołnierzowi gardło. Krew trysnęła fontanną prosto na ścianę.

James ostrożnie zachodził bestię z tyłu, Arutha zaś okrzykiem wezwał łuczników.

Jeden z żołnierzy wybiegł z komnaty, aby przekazać rozkaz dalej, a na Łowcę ruszyli dwaj inni, uzbrojeni w długie włócznie. Była to broń bogato zdobiona, o pięknie polerowanym drzewcu i złożonym grocie, ale sprawna i groźna w dłoniach ludzi, którzy wiedzieli, jak jej używać. Krongorscy gwardziści doskonale umieli się nią posługiwać i teraz zbliżali się ostrożnie, golowi pchnąć grotem albo zaczepić potwora hakiem.

Pierwszy pchnął z całej siły tak, że stalowy grot powinien gładko przebić Łowcę na wylot – ale zamiast tego ześlizgnął się w bok, nie czyniąc bestii żadnej szkody. Łowca chwycił broń pod pachę i ostrym uderzeniem drugiej łapy złamał opalane i znane z twardości drzewce niczym słomkę.

– Do kata, to przecie dąb! – zawołał Amos.

William tymczasem przeciągnął Vladica przez łożę, obok młodej kobiety skulonej w rogu przeciwległym do tego, w który zagnano Łowcę.

Wyczuwając, że ofiara mu uchodzi, bestia skoczyła na łożo, a dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie, zakrywając dłońmi łono. Utkany z Cienia zabójca w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

Arutha podbiegł wokół łoża i pchnął rapierem – sztych ześlizgnął się po skórze Łowcy.

– Wasza Miłość! – zawołał James. – Niewiele wskórasz! Prosimy pokornie: nie daj się zabić!

Amos wybrał działanie bardziej bezpośrednie, łapiąc Aruthę za ramię i odciągając go. W ułamek sekundy później potwór się odwrócił i chlasnął łapą w miejsce, gdzie stał Książę.

– Zaczynasz mnie irytować, Arutho – stwierdził niegdysiejszy pirat.

Do komnaty wpadli łucznicy i puścili strzały w tej samej chwili, w której William na poły ciągnąc, wyprowadził Vladica na korytarz. Groty ześlizgnęły się po skórze potwora albo popękały.

– To na nic! – zawołał Arutha. – Cofnijcie się, ale nie za szybko... trzymajcie go!

Żołnierze zbrojni w tarcze i miecze utworzyli stalową ścianę, za nimi zaś ustawili się ci z dzidami. Tarczownicy stanęli ramię w ramię, zakładając tarcze jedna na drugą, jak łuski. Pikinierzy wytknęli groty ponad ramionami towarzyszy i stworzyli barierę, ale bestia nie zwróciła na nią uwagi, wchodząc po prostu na groty. Krzepcy przecież żołnierze zebrali się w sobie, gdy ciężkie drzewce zaczęły się wyginać.

Łowca podniósł obie łapy i uderzył nimi z góry. Jedna pika trzasnęła niczym cienkie drewnisko, a druga uderzyła o posadzkę, wybita z uchwytu trzymającego ją wojaka. Jeszcze kilku żołnierzy rzuciło się na pomoc towarzyszom, a sierżant obejrzał się na Williama, jakby czekał na jakiś rozkaz.



Nie! – zawołał James.

Spod stosu leżących bezładnie jeden na drugim żołnierzy wymknął się płaski cień i przemknął po posadzce do miejsca, gdzie stali Arutha i Vladic. Tam Łowca wstał i natychmiast znów się zmaterializował.

Arutha uderzył rapierem, na nic już nie czekając.

Klinga zamigotała i stała się prawie niewidoczna. Księżę uderzał sztychem i ciął ostrzem, które obdarzył mocą talizmanu Ishap jeszcze Czarny Macros, przed ostateczną konfrontacją Aruthy z Murmandamusem pod Koniec Wielkiego Buntu Moredhelów. Od tamtej pory siłę tej magicznej broni poznał tylko demon z gniazda Izmalisów.

A przecież Mroczny Łowca wyglądał bardziej na zaskoczonego niż na porażonego ostrzem Aruthy. Bestia zadrgała tylko lekko i wymierzyła Księżciu potężny cios na odlew.

Arutha uchylił się zręcznie, a James podskoczył z tyłu i z całej siły pchnął swoim rapierem. Ostrze zadzwoniło, odbiło się, a zaskoczony giermek poczuł wstrząs aż w ramieniu.

Możecie coś zrobić? – zawołał James, zwracając się do Ojca Belsona.

Przychodzi mi na myśl tylko jedno... – odkrzyknął kapłan. – Ale to bardzo niebezpieczna sztuka!

Arutha zaangażował się w pojedynek, którego nie mógł wygrać, dość skutecznie jednak zagradzał bestii drogę do księcia Vladica, który do tej pory nie odniósł żadnej rany.

– Ojcze, tak czy owak, gorzej już być nie może! – zawołał do kapłana.

Belson odstąpił w bok i zaczął inkantację w sekretnym języku swego Zakonu. James znów uderzył bestię z tyłu. Czuł się tak, jakby atakował kamienny posąg.

W sypialni tymczasem robiło się coraz bardziej gorąco. Ojciec Belson stał z podniesionymi dłońmi, a nad jego głową uformował się krąg

wirujących płomieni, których żar odczuli wszyscy obecni stojący w pobliżu. Krąg poruszał się coraz szybciej, a jego żar przybierał z każdą sekundą na mocy. Kapłan skończył wreszcie tkać czar.

– Uciekajcie wszyscy! – zawołał.

Wezwania nie trzeba było nikomu powtarzać. Ludzie błyskawicznie opuścili komnatę, oprócz Aruthy, który po raz ostatni zaatakował Łowcę, darowując towarzyszom kilka sekund na ucieczkę, a potem też się odwrócił i wypadł za drzwi.

Ranni leżący na posadzce za potworem odczołgali się i na miejscu zostali tylko nieprzytomni.

Kapłan wykrzyknął ostatnie słowo zaklęcia w tajnym języku Zakonu Prandura i płomień zespolił się w ognistą sylwetkę, podobną z kształtu do Łowcy. Niesamowity żar wyczuli nawet uciekający – Aruthę zapiekły plecy, jakby stanął za blisko paleniska kuźni.

James odwrócił się i zobaczył, że ognisty stwór ustawił się pomiędzy Łowcą i Vladikiem, który stał jak skamieniały i gapił się na wszystko z otwartymi ustami.

– Płomienny stworze! – zwołał Ojciec Belson. – Żywiolo ognia, zniszcz mrok!

Żywiołak ruszył do natarcia i obecni poczuli kolejną falę żaru tak intensywnego, że cofnęli się jeszcze dalej. Jedyne kapłan Prandura stał, jakby nieznośny skwar nie robił na nim żadnego wrażenia.

Łowca zrezygnował z prześladowań Vladica i zebrał się w sobie, by stawić czoło ognistemu wrogowi. Oba stwory w milczeniu chwyciły się za bary. Jedyne dźwiękiem był cichy trzask płomieni.

James wybiegł z korytarza i poprzez przedpokój przedostał się na boczny pasaż. Przebiegł do jego końca, skręcił w boczną galerię i wrócił do

główniej sali nieopodal miejsca, gdzie stali Arutha z Vladikiem. Dał znak najbliższemu gwardziście.

Idź tam. – I wskazał kierunek, z którego przyszedł. – Na drugim krańcu korytarza leżą ranni. W tym upale bardzo cierpią. Wezwij drużynę i zabierzcie ich stamtąd.

Tak jest, mości giermku! – Żołnierz strzelił obcasami i skinieniem dłoni wezwawszy innych, poprowadził kilku ludzi w kierunku wskazanym przez Jamesa.

Powinienem był o tym pomyśleć – stwierdził Arutha, nie odrywając wzroku od walki ognia z cieniem.

Jesteś zajęty, Książę – odparł James, gestem polecając pozostałym strażnikom zdjąć swój płaszcz. Potem podał go z ukłonem Vladicowi. – W zasadzie jest tu ciepło – stwierdził – ale...

Vladic, nie odrywając wzroku od rozgrywającej się przed nim sceny, wziął płaszcz i okrył się.

– Dziękuję.

Dwa magiczne stwory zwały się ramionami. Początkowo stały w miejscu, kołysząc się z boku na bok, potem zaczęły się wodzić po komnacie niczym dwaj podpici zapaśnicy w karczemnej zwadzie. Za każdym razem, gdy Ognisty zbliżał się do czegoś, co mogło się zapalić, rzecz zaczynała dymić, czerniała, a gdy zatrzymał się przy niej dłużej, stawała w płomieniach. Łowca uderzał Ognistym o ścianę, w nadziei, że zdoła się wyrwać z rozpalonych kleszczy, żywiołak jednak trzymał mocno i milcząco znosił potężne ciosy. Nagle sam okręcił się wokół osi i rąbnął Łowcę o mur.

– Jeżeli to potrwa trochę dłużej, z mojego pałacu zostanie kupa zgliszczy – stwierdził Arutha.

Kilka ozdobnych gobelinów już się dymiło, a dwa zajęły się ogniem. Łowca odepchnął Ognistego na ozdobny stół, na którym stała waza pełna



świeżo zerwanych kwiatów. Płatki w oka mgnieniu zmarniały, stół buchnął płomieniami, a waza pękła z gorąca.

– Patrzcie! – zawołał James. – Coś się dzieje!

W miejscach uchwytów żywiołaka z Łowcy zaczynały się sączyć strużki dymu, gęste, czarne, oleiste i z każdą chwilą grubsze. Wkrótce pod sklepieniem komnaty kłębiły się gęste opary, napełniając ją paskudnym smrodem.

Łowca szamotał się dziko, usiłując za wszelką cenę wyrwać się Ognistemu, ale ten trzymał mocno i nie puszczał.

W komnacie panował już nieznośny żar.

Wyprowadzić wszystkich z tego skrzydła! I duchem po wodę! – krzyknął Arutha do żołnierzy. Ci szybko utworzyli szereg, wzdłuż którego zaczęły krążyć wiadra z wodą, ponieważ ciężkie, drewniane belki podtrzymujące sklepienie zaczęły dymić i zajmować się ogniem.

Patrzcie! – zawołał James. – One się kurczą!

Obie sylwetki walczących zaciekle magicznych wojowników zwały się w kołowym tańcu sił, systematycznie przyspieszając w miarę jak malały. Dym buchał coraz gęstszy, napełniając komnatę i przyległy korytarz dławiącą, lepłą chmurą. Groźba, że wszyscy się poduszą, z każdą chwilą robiła się bardziej realna.

– Wszyscy precz! – zagrział Arutha. – Do ogrodów!

Nieopodal zachodniego skrzydła był jeden z kilku starannie utrzymywanych pałacowych ogrodów. James podskoczył do wielkich podwójnych szklanych drzwi i szybko otworzył je na oścież. Po skwarze i smrodzie panującym w korytarzu haust świeżego powietrza działał cuda.

Ludzie wychodzili chwiejnie, a mijając Jamesa, kaszlali, parskali i płakali rzewnymi łzami. W korytarzu śmierdziało potężnie siarką i zgnilizną.

W pobliskich rejonach pałacu wszczęła się wrzawa, gdy ogłoszono alarm pożarowy. James obejrzał się i wbił wzrok w dym.

Czy Ojciec Belson wyszedł? – spytał Amosa.

Był za nami – odpowiedział Admirał. – Teraz go nie widzę.

James odwrócił się i skoczył ku drzwiom komnaty, padając na posadzkę, by łyknąć możliwie najmniejszą porcję dymu. Kwaśne, gryzące opary sprawiły, że oczy zaczęły mu łzawić, a obrzydliwy smród wykręcił niemal nos. Klepki pułapu już się zajęły ogniem i sklepienie wyglądało niczym rzeka płomieni. James zamrugał, by oczyścić oczy z łez, i zobaczył stojącą w głębi samotną postać kapłana.

Święty mąż stał z uniesionymi i rozłożonymi szeroko nad głową ramionami, śpiewając głośno zaklęcie. James prawie go nie widział – Ojciec Belson był tylko ciemnym zarysem kształtu na tle niebieskoszarej mgiełki, która wypełniała komnatę pod sklepieniem gęstych, czarnych, kłębiących się u pułapu chmur dymu.

Pieśń kapłana obróciła się w posepny, mroczny pean, który poraził swoim smutkiem słuchającego Jamesa.

– Ojczy, uciekaj! Ten ogień cię pochłonie! – zawołał, spojrzawszy w górę, przepełniony strachem przed walącymi się kamieniami.

I nagle płomienie liżące ściany zadrgały, a potem się cofnęły, jakby bóg wciągnął dech i zdmuchnął je ze sklepienia. Za płomieniami rozwił się i dym.

Giermek obejrzał się na ludzi, którzy zostali w ogrodzie, i zobaczył, że wszyscy gapią się bezbrzeżnie zdumieni cofnięciem się pożaru. Potem odwrócił się do zakonnika i ujrzał, że dym i ogień zebrały się w jedną wielką ognistą kulę nad głową stojącego nieruchomo Ojca Belsona. Sfera szybko się kurczyła, jednocześnie płonęła coraz mocniejszym blaskiem. Pod koniec procesu zmniejszyła się do rozmiarów dziecięcej piłki, choć bił

od niej blask jak od słońca. James szybko musiał odwrócić wzrok. Blask sfery padał na ogród, kreśląc w nim długie, czarne cienie.

I nagle zniknął, a wszystko pogrążyło się w mroku. James wstał i wrócił do ogrodu, kaszląc i przecierając załzawione oczy.

Co się stało? – spytał Arutha.

Myślę, że już po wszystkim. – Po chwili zza drzwi wyszedł Ojciec Belson. U jego stóp snuły się smugi dymu, który wydobywał się też cienkimi nitkami z jego habitu. Twarz zakonnika pokrywały sadze... ale poza tym nie odniósł chyba obrażeń. – Nic wam się nie stało? – spytał James.

– Młodzieńcze – odezwał się kapłan cierpkim tonem – ogień jest ostatnią rzeczą, jakiej się powinien obawiać kapłan Prandura. Wasza Miłość – zwrócił się do Aruthy. – Przepraszam za te szkody, ale... – I wzruszył ramionami.

Księżę Vladic otulił się płaszczem Jamesa.

– Kapłanie, za to, żeś mi uratował życie, odbuduję całe skrzydło, a w Olasko ufunduję świątynię Prandura!

Ojciec Belson uśmiechnął się z satysfakcją.

– To będzie ładny gest... – stwierdził i osunął się na trawę.

James ukląkł przy nim i zbadał puls mnicha.

Zemdlał – powiedział rzeczowo.

Zanieście go do jego komnat – rozkazał Księżę i czterej paziowie w rzeczy samej zanieśli wyczerpanego kapłana do łóżka.

W ogrodzie pojawił się skryba, który przedzierając się przez grupę ludzi otaczających Księcia, z niedowierzaniem gapił się na zniszczenia i dym.

Sir! – zawołał.

O co chodzi?

My... – Skryba zamrugał, bo dym wgrzył mu się w po wieki. – Wasza Wysokość... kche! kche!... raczy wybaczyć, ale ten dym...

O co chodzi? – powtórzył Arutha.

Jeszcze raz przepraszam, sir. Udało nam się odszyfrować kolejne dokumenty. Niektóre napisali tutejsi agenci z Krondoru, były i pisma przysłane z innych miast. Jedno wydało nam się bardzo pilne, więc przyszedłem, jak tylko mi dostarczono przekład.

O co chodzi? – zapytał po raz trzeci Arutha, zaciskając zęby, bo już mu się kończyła cierpliwość.

Skryba podał mu pergamin.

– Ta wiadomość dotyczy dostarczenia do pałacu pewnej skrzyni, która kryje w sobie jakąś pułapkę. Uważam, że ważne jest, aby ostrzec Waszą Wysokość na wypadek, gdyby tu dostarczono taką skrzynię.

Arutha potrząsnął tylko głową. Po długiej chwili milczenia obejrzał się na członków Rady.

Wracajcie do swojej pracy – polecił skrybie. – Powiadomcie mnie o zawartości innych dokumentów... powiedzmy, jutro po śniadaniu.

Sir... – skryba znów się rozkaszał, potem się skłonił i wyszedł rad, że może opuścić to pełne dymu miejsce.

Wasza Wysokość – odezwał się James. – Nie bądź dla niego zbyt surowy.

Nie będę – obiecał Arutha. – Staraj się ze wszystkich sił. Po prostu... rozminęliśmy się w czasie.

William i Amos parsknęli śmiechem.

– Powinienem wrócić do moich komnat – rzekł książę Vladic – o ile dym ich za bardzo nie uszkodził i włożyć... na siebie coś... bardziej odpowiedniego na kolację z Waszą Wysokością.

Arutha skinął głową i polecił strażnikom, by odprowadzili wschodniego magnata.

Gdybyśmy wiedzieli... – zwrócił się do Jamesa.

To i tak bylibyśmy otworzyli te skrzynie – stwierdził giermek. – Tyle że prawdopodobnie zrobilibyśmy to w najgłębszym pałacowym lochu w towarzystwie tylko tuzina gwardzistów, a to dopiero byłaby klęska.

Arutha spojrział nań z ukosa.

Mój giermku, ty zawsze starasz się dostrzegać we wszystkim jaśniejszą stronę. Chodźmy coś zjeść. Jestem pewien, że moja żona zechce się dowiedzieć, dlaczego spaliliśmy znaczną część pałacu.

Powiedz jej tylko, Księżę, że liczysz na to, iż zajmie się dekoracją tych sal, gdy sieje doprowadzi do porządku, a nie zapyta o nic więcej – odparł James z szelmowskim uśmiechem.

Arutha wzniósł oczy do nieba, jak ktoś niesłusznie dręczony przez los.

– Będę się tylko modlił gorąco, mój chwacie, żeby prze znaczonej ci kobieta, którą niechybnie kiedyś spotkasz, okazała ci odrobinę litości, ponieważ w przeciwnym razie będzie ci bardzo pochyło...

– Nie omieszkać sobie tego zapamiętać – odciął się James sucho.

Do Księcia podszedł William.

– Wasza Wysokość, czy będę jeszcze potrzebny? Arutha zatrzymał się i zmierzył młodego oficera podejrzliwym spojrzeniem.

– Cóż to, poruczniku? Macie coś ważnego do załatwienia gdzie indziej?

William zaczerwienił się jak burak.

– Nie, ja tylko... James parsknął śmiechem.

Williamie, po prostu sobie z siebie żartowałem – stwierdził Arutha. – Idź, zobacz się z tą młodą damą i korzystaj z życia.

Młodą damą? – Williama zaskoczyła ta uwaga. Spojrział na Jamesa. – Czy już wszyscy wiedzą? – spytał.

James uśmiechnął się szeroko, ale odpowiedział za niego Arutha.

Mój giermek dba o to, bym się orientował we wszystkich poważniejszych sprawach dotyczących członków rodziny. No, idź już.

Sir! – William zasalutował energicznie, ale lekko się przy tym zaczerwienił.

Rano wszyscy będziemy musieli odbyć poważną naradę. Ale do tego czasu rozerwij się trochę. Potraktuj to jak rozkaz.

William odwrócił się, by odejść, ale zatrzymał się, usłyszawszy głos Jamesa.

Willy...

O co chodzi? – spytał przez ramię porucznik.

Na twoim miejscu pierwaj byłbym się przebrał. Wyglądasz, jakby cię użyto do czyszczenia kominów.

William rozejrzał się dookoła, spostrzegł, że wszyscy po uszy usmarowani są sadzą i doszedł do jedynie słusznego wniosku, że dotyczy to i jego.

Dziękuję – odezwał się.

Drobiazg.

James popatrzył za oddalającym się Williamem, który pognał do zbrojowni.

Zazdroszczę mu – powiedział.

Czego? – spytał Arutha. – Tego zadurzenia?

Owszem. Spodziewam się, że któregoś dnia spotkam kogoś szczególnego... a może i nie, ale tak czy owak, nie zaznałem tej... chłopięcej radości wynikającej z poznania uroczej dziewczyny.

Jimmy! – parsknął śmiechem Arutha. – Gdy się poznaliśmy, byłeś cynicznym staruchem. Ile miałeś wtedy? Czternaście lat?

Mniej więcej. – James też się roześmiał. – Jeżeli Wasza Wysokość pozwoli, to pójde się umyć i przebrać przed kolacją.

– Ja też – odezwał się Amos. – Czuję się lekko... przypieczony. Arutha kiwnął głową.

– Idźcie. Nasza Wysokość pozwala. Zamówię trochę wina, piwa i pozwolimy sobie na odrobinę wesela. A jutro... – Przy tych słowach jego twarz znów się okryła mrokiem. – ...Jutro wrócimy do naszych krwawych spraw.

James i Amos spojrzeli jeden na drugiego i odeszli bez słowa. Obaj znali Aruthę dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie ustanie w wysiłkach, aby odnaleźć człowieka, który stał za skrytobójczym zamachem na następcę tronu Olasko – a gdy dopnie swego, każe mu krwawo zapłacić za zniszczenia w pałacu i śmierć kilku wiernych gwardzistów.

William przedzierał się przez zatłoczoną izbę ogólną oberży i znalazł Talię za szynkwasem, pomagającą ojcu w podawaniu piwa. O tej porze niewiele się jadło – oberża pełna była ludzi, którzy zajrzeli tu, szukając chwilki wytchnienia po pracy przed udaniem się do domów na spoczynek.

Zająwszy skromnie miejsce na końcu baru, młody porucznik czekał, aż zostanie zauważony.

Will! Kiedy wróciłeś? – Słowom tym towarzyszył szeroki uśmiech. Dziewczyna podeszła i szybko cmoknęła go w policzek.

Dziś wieczorem – odpowiedział, oblewając się rumieńcem. – Miałem trochę zajęcia w pałacu, a potem Księżę zwolnił mnie na resztę nocy.

Jadłeś coś?

William nagle zdał sobie sprawę z faktu, że ostatni posiłek jadł w południe, na pokładzie admiralskiego okrętu.

No... właściwie to nie.

Coś ci przygotuję – odparła. – Ojczy, popatrz, przy szedł Will!

Lucas podniósł wzrok i machnął Williamowi dłonią.

– Witaj, chłopcze.

– Sir... – wybąkał młodzieniec. Talia znikła w kuchni.

Lucas podszedł bliżej.

No... nabrałeś wyglądu.

Jakiego wyglądu, sir?

Wyglądu żołnierza, który widział już to i owo.

Owszem, widziałem to i owo – odparł William, kiwając głową.

Ciężko było?

Ciężko – odpowiedział młody porucznik. – Kilku porządnych chłopców straciło życie.

Lucas po ojcowsku klepnął Williama po ramieniu.

Rad jestem, żeś wrócił, chłopcze.

Dziękuję, sir.

Talia wróciła z tacą naładowaną tak, że najadłoby się tuzin głodomorów.

– Zaraz przyniosę piwa – stwierdziła. Przyniosła potężny kufel i postawiła go obok tacy. – Tęskniłam za tobą – powie działa z błyszczącymi podejrzenie oczami. – Wiem, że takie słowa to zuchwalstwo ze strony dziewczyny... ale tęskniłam.

William się zaczerwienił nie wiedzieć już który raz tego wieczoru. Wbił wzrok w kufel... i zebrał swoją całą młodzieńczą odwagę.

– Cieszę się, że to powiedziałaś – odrzekł. – Ja... myślałem trochę o tobie, choć byłem daleko stąd.

Rozejrzała się po izbie, by zobaczyć, czy ktoś nie potrzebuje jej usług. Ojciec machnął dłonią, dając do zrozumienia, że może kilka minut poświęcić Williamowi.

– Więc powiedz mi o wszystkich dzielnych wyczynach, jakich dokonałeś – zaproponowała.



William się roześmiał.

– Chciałaś powiedzieć, o popełnionych przeze mnie głupstwach...  
zważywszy te wszystkie skaleczenia i rany, jakich się dorobiłem.

Jesteś ranny? – spytała. W jej oczach pojawiła się praw dziwa troska.

Nie. – Znów się roześmiał. – Wystarczy, że umyję te „rany” i opatrę  
czystym bandażem.

Dziewczyna zrobiła minkę pełną udanej zawziętości.

– To dobrze. W przeciwnym razie musiałabym cię pomścić.

Naprawdę? – spytał ze śmiechem.

Naprawdę – odpowiedziała. – Nie zapominaj, że wychowały mnie  
Siostry Kahooli.

William umilkł i zajął się jedzeniem, od czasu do czasu spoglądając z  
zachwytem na twarzyczkę dziewczyny.

Arutha był na nogach przez całą noc. Stało się to dla Jamesa oczywiste  
w chwili, w której wkroczył do książęcego gabinetu. Sądząc z wyglądu,  
William też nie zmrużył oka przez całą noc, ale powód miał tak daleki od  
tego, który powstrzymał od snu Księcia, jak to tylko było możliwe –  
pojawiający się na jego twarzy co kilka chwil uśmiech mówił sam za siebie.

Książę był w swoim zwykłym nastroju: nic nie uchodziło jego uwagi i w  
lot chwycił każdy dowcip.

Wskazując Jamesowi krzesło, odezwał się.

– Mam nadzieję, żeś doszedł do siebie po wyczynach ostatniej nocy?

Dostatecznie, by znów poczuć, że życie jest warte odrobiny wysiłku, sir  
– odparł James, siadając.

To dobrze, ponieważ jest kilka spraw, które wymagają, byś się nimi  
natychmiast zajął. – Rozejrzawszy się dookoła, Książę podjął wątek. –  
Amos, powierzałem ci swoje życie częściej, niż mógłbym spamiętać.  
Williamie, jesteś członkiem mojej rodziny i powinienes też o tym wiedzieć.

Jakiś czas temu upoważniłem Jamesa do tego, by utworzył korpus wywiadu.

W samą porę – odezwał się Amos z szerokim uśmiechem. – Muszę przyznać, że choć kocham go jak syna, które go oby nigdy mi bogowie nie dali, jest on najbardziej szczwanym małym skurczybykiem, jakiego znam.

Mam nadzieję, że to był komplement – odparł James, patrząc na Admirala z ukosa.

Wiesz, nie miałbym nic przeciwko synowi – ciągnął Amos. – Może nawet mam jednego czy dwóch, o których nic nie wiem, ale gdybym spotkał któregoś z nich i stwierdził, że choć trochę mi ciebie przypomina, utopiłbym łobuza własnymi rękoma.

Zapamiętam to, na wypadek gdybym spotkał któregoś z twoich synów – odparł James z przekąsem. – I jeżeli spotkam któregoś z nich, natychmiast pomogę mu w ucieczce.

Dość. – Uciał Arutha przekomarzania przyjaciół. Zwykła powaga Księcia ustąpiła marsowi na jego czole i obaj adwersarze natychmiast umilkli. – To, co tu zostanie powiedziane, nie może wyjść poza ściany tej komnaty. Wtajemniczam was dwóch z kil ku powodów. Po pierwsze, jeżeli cokolwiek mi się stanie, waszą powinnością będzie poinformowanie mojego następcy o szczególnej pozycji Jamesa na moim dworze. Na przykład, gdyby Liam przysłał kogoś jako regenta, zanim księżę Randolf osiągnie odpowiedni wiek. Po drugie, jeżeli coś się stanie Jamesowi, chcę mieć w pałacu ludzi, przed którymi będzie się mógł ujawnić jego następcę. – Rozejrzał się po komnacie. – Tymi ludźmi będziemy my trzej – powiedział, zwracając się do Williama i Amosa.

Następcę... to brzmi tak ostatecznie – odezwał się James z udaną troską. – Mam nadzieję, że Księżę miałeś na myśli sytuację, jaka powstanie po moim wycofaniu się ze służby.

Arutha nie mógł powstrzymać śmiechu.

Nikomu, nie wyłączając nas trzech, nie mów, kto nim będzie. We właściwym czasie opracujemy sposoby, dzięki którym będzie on się mógł ujawnić i zostanie uznany przez każdego z naszej trójki. Polecam ci także, by nasi agenci wiedzieli jeden o drugim możliwie jak najmniej.

Nie może być inaczej, Wasza Wysokość – odparł James. – Wymyśliłem już system, który pozwoli mi mieć kilkunastu agentów, tak by żaden niczego nie wiedział o pozostałych.

To dobrze – odparł Arutha. – Tak właśnie sobie pomyślałem. I na koniec: jest jeszcze jedna osoba, która musi wiedzieć o twojej pozycji: Jerome.

James z najwyższym trudem powstrzymał się od jęku.

Jerome?! Wasza Wysokość, dlaczego on?

Mistrz de Lacy wkrótce przejdzie w stan spoczynku, a Jerome, naturalną i logiczną kolejną rzeczą, zastąpi go w obowiązkach. Będziesz potrzebował pieniędzy na swoje przedsięwzięcie, a w biurach Mistrza Ceremonii znajdują się odpowiednio dyskretne fundusze. Uwierz mojej opinii – Jerome potrafi ci to zapewnić skutecznie i bez rozgłosu. – James cofnął się w głąb krzesła, nie za bardzo uszczęśliwiony usłyszaną wiadomością, ale świadomy tego, że Arutha dogłębnie już wszystko przemyślał. – Teraz przejdźmy do spraw bieżących. Skrybom udało się przełożyć wszystkie dokumenty i wiemy już, kto się krył za atakami na księcia Vladica.

Kto? – wypalił James.

Jego stryj, Diuk Radswil.

– Ależ, Książę! – zachnął się William. – Podczas pierwszej napaści niewiele brakło, by on sam i jego syn zostali zabici!

Być może napastnikom coś poszło nie tak albo mieliście do czynienia ze sprzecznymi interesami, ponieważ tak się składa, że znaleźliśmy jeszcze...

dla braku lepszego słowa nazwijmy to „zamówieniem”... więc znaleźliśmy zamówienie na śmierć Diuka Radswiła i Kazamira.

Czy na tych „zamówieniach” były jakieś podpisy? – spytał James.

Nie – odpowiedział Aratha. – To byłoby zbyt proste, prawda? Wszystkie kończą się tymi tajemniczymi frazami. Może pewnego dnia je odczytamy i dowiemy się, kto był autorem tych „zamówień”. Na razie jednak nie mamy żadnych dowodów przeciwko ludziom, którzy są za nie odpowiedzialni.

I co zamierzasz zrobić? – spytał Amos.

Oddam Diuka, jego syna i córkę pod straż, nazwę to „ochroną drogich gości” i odeślę wszystkich do Olasko z długim listem, zapieczętowanym moją osobistą pieczęcią i skierowanym do brata Diuka. Interesuje mnie jedynie zapobieżenie wybuchowi wojny pomiędzy Królestwem i Olasko. Wymierzenie sprawiedliwości mieszkańcom Olasko zostawię tamtejszym władzom; niech arcyksiążę sam rozstrzygnie, kto jest mu bliższy; brat czy syn. Poza tym niech sam spróbuje odkryć, kto wydał wyrok śmierci na jego brata i bratanka. – Arutha westchnął. – Odczuję ulgę, gdy cała czwórka opuści ziemie Królestwa.

A co z Nocnymi Jastrzębiami? – spytał James. – Wykończyliśmy ich czy nie?

Arutha cofnął się w głąb fotela, a na jego twarzy na chwilę pojawiła się świadomość daremności niektórych usiłowań.

Zadaliśmy im poważny cios, ale wciąż mają gdzieś tu swoich agentów. Myślę, że ponad tamtymi kapłanami jest ktoś, kto wydawał im rozkazy.

Pan i Mistrz – zgodził się James. Giermek opisał Księżciu każdy szczegół swojej utarczki z kapłanami, zanim demon wyrwał im się spod kontroli.

Ale być może minie kilka lat, zanim zdołają się podnieść po naszym uderzeniu – zauważył Amos.

Na to liczymy. Tak czy owak, chcę, by nasza służba wywiadowcza zajęła się poszukiwaniem wszelkich śladów działalności Nocnych Jastrzębi, na równi z tropieniem agentów Kesh albo wszelkich innych.

Zacnę jeszcze dzisiaj – obiecał James.

Jak sądzisz, ile to zajmie czasu? – spytał Amos z kpiną w głosie. – Tydzień, dwa?

– Całe lata, Amosie, całe lata – odparł James. – Myślę też, że powinienem zacząć marzyć w nieco szerszych kategoriach... – dodał, spojrzawszy na Aruthę. – Nie James, Diuk Krondoru, ale James, Diuk Rillanonu!

Arutha parsknął śmiechem.

A owszem, przecież któregoś dnia będziesz musiał zacząć budować siatkę i na Wschodzie. Ale to chyba jeszcze nie w tym tygodniu, prawda?

Nie w tym tygodniu, Wasza Miłość. – Uśmiechnął się szeroko giermek.

Nas wszystkich czeka jeszcze sporo pracy – stwierdził Arutha. – Teraz muszę pójść i rozjuszyć Diuka, a także zepsuć skądinąd przyjemny dzień księciu Vladicowi.

Wasza Miłość, jeszcze jedna sprawa, jeżeli można – ode zwał się James. Słucham.

Czy mógłbyś, Książę, namówić Jej Wysokość, by niedługo wydała jeszcze jedno przyjęcie?

Arutha podnosił się od stołu, ale usłyszawszy niespodziewaną prośbę, usiadł ponownie.

– Mości giermku, przyznam, że mnie zaskoczyłeś. Do tej pory nie kryłeś się z opinią, że wolisz pełzać po krondorskich kanałach ściekowych, niż brać udział w wieczornych przyjęciach Anity.

W tejże chwili William odchrząknął nieco zmieszany.

Wasza Miłość, właściwie to moja prośba. James mi obiecał, że poprosi w moim imieniu.

Nie rozumiem – odparł Arutha, patrząc to na jednego, to na drugiego młodego człowieka.

William bardzo by chciał – odezwał się James – żeby Wasza Księżęca Wysokość nagrodził Kapitana Treggara za bohaterskie czyny, ogłosił to publicznie, a potem przedstawił go kilku młodym damom z dobrych rodzin.

Arutha spojrzał Williamowi prosto w oczy.

– Dlaczego ci na tym zależy? William znów się zaczerwienił.

Jest naprawdę dobrym oficerem, popisał się wielką odwagą... i uratował mi życie.

Owszem, to akurat nie wymaga potwierdzeń – kiwnął głową Arutha.

I może jeszcze... dałbyś mu, Księżę, jakiś majątek – dodał William. – Niekoniecznie duży, ot, żeby dochody z niego wystarczyły na godne życie.

Ha! – zachichotał Arutha. – Może jeszcze do tego jakiś tytuł?

Mógłbyś go mianować giermkim dworu. – James kiwnął głową.

Co wy dwaj knujecie? – spytał podejrzliwie Księżę.

Nie widzisz? – Amos ryknął śmiechem. – Te dwa prze biegłe łobuzy chcą ci ożenić Kapitana!

– Ożenić? William westchnął.

– Sir, chodzi o innych młodszych oficerów. Kazali mi obiecać, że wymyślę jakiś sposób, by się pozbyć Treggara z kwater dla nieżonatych członków kadry.

Amos ryknął jeszcze głośniejszym, a po chwili dołączyli doń James i Arutha, zostawiając Williama w oczekiwaniu na księżęcą odpowiedź.

# Epilog

## **SPOTKANIA**

Wysoko w górze krążyły mewy.

Gdy James i jego trzech towarzysze spiesznie szli ku okrętowi, w porcie panował codzienny ruch. Statki podnosiły kotwice i odpływały, korzystając z wieczornej bryzy. Na kilku z nich, które wydostały się za falochron, podnoszono żagle, inne płynęły na holu ciągnięte przez szalupy, pod kierunkiem Kapitana portu i jego pilotów.

James, Graves, Kat i Limm zatrzymali się przy burcie Królewskiego Lamparta. Na dole, przy trapie, stali dwaj marynarze, którzy zasalutowali, widząc, że na powitanie giermka schodzi sam Admirał Trask.

– Mości Admirale, czy wolno mi będzie przedstawić moich znajomych?  
– spytał James.

Amos uśmiechnął się szeroko.

Mówisz tak, jakbym ich nie znał. – Skinieniem głowy powitał Gravesa i Limma, a potem ujął Kat za rękę. – Powie dziano mi, panienko, że spodziewasz się dziecka?

Tak – pisnęła Kat, stając w pąsach.

James mrugnął porozumiewawczo do Gravesa. Znał Kat od dawna, ale jeszcze nigdy nie widział, by młoda złodziejka spiekła raka.

– Moja droga, znajdziemy jakąś kajutę dla ciebie i twojego małżonka. Ten zaś tu urwis może spać razem z chłopcem okrętowym. – I Admirał poprowadził Kat w górę po trapie.

Żegnaj, Kat! – odezwał się James. Dziewczyna odwróciła się i pomachała mu ręką.

Zaraz tam będziemy – stwierdził Ethan.

Limm... – zwrócił się James do młodego urwisa. – Muszę porozmawiać z Ethanem na osobności.

Przyjmijcie więc moje dzięki, wielce szlachetny panie giermku – odparł młodociany złodziejasek. – Jestem waszym dłużnikiem, póki starczy mi tchu w piersiach, sir.

James z trudem ukrył uśmiech, tak bardzo go rozbawiła ta fanfaronada.

– No, ruszaj, Limm, i dobrze wykorzystaj fakt, że możesz wszystko zacząć od nowa. Pamiętaj, że Durbin to nie Krondor. Jest tam wiele pokus, które będą cię odwodziły od uczciwego życia.

– Nie musicie się o mnie martwić, szlachetny giermku, sir. Jesteście moim bohaterem i postaram się wzorować moje życie wedle waszego. Jeżeli wy mogliście się wznieść ponad łajdactwa i złodziejstwa, to i ja mogę.

– Pomogę mu nie zboczyć z wąskiej i prostej drogi, Jimmy – obiecał Graves ze śmiechem. – No, a teraz zmykaj! – Żartobliwie klepnął Limma w plecy i posłał go w górę po trapie.

James poczekał, aż chłopak znajdzie się na górze, a potem skinieniem dłoni poprosił Gravesa na bok, z dala od strażników przy trapie. Sięgnąwszy za pazuchę, wyjął ciężką sakwę i podał ją Gravesowi.

Trzymaj – powiedział.

Jimmy, nie mogę wziąć twego złota. I tak już wiele dla nas zrobiłeś.

Będziesz potrzebował pieniędzy na początek. Uznaj to za zaliczkę na poczet przyszłych usług.

Graves kiwnął głową.

Rozumiem i dziękuję. – Wziął złoto i wsunął je sobie pod kurtkę.

Amos powiada, że zna w Durbinie dwóch ludzi, którym gotów byłby zawierzyć swoje życie. Powie ci, jak się z nimi skon taktować. Jeden jest



okrętowym cieślą i pracuje przy naprawie statków, drugi zajmuje się dostawami żywności. Obaj będą mogli przekazać wiadomości od ciebie na jakiś okręt królewski.

Już dwukrotnie złamałem raz dane obietnice i przysięgi – stwierdził Graves. – Co pozwala ci wierzyć, że nie złamię słowa, które dałem tobie?

James wzruszył ramionami.

– Nic... poza tym, że cię znam, Ethan, i wiem, czemu złamałeś śluby. Mógłbym cię ostrzec, że gniew Księcia potrafiłby cię dosięgnąć i w Durbinie, ale to bezcelowe. Jesteś chyba najbardziej nieustraszonym ze znanych mi ludzi... – przerwał, milczał przez chwilę, a potem kontynuował – ..gdy chodzi o twoje własne bezpieczeństwo.

Graves obejrzał się na pokład, gdzie Amos robił, co mógł, by oczarować sobą Kat i Limma.

– Rozumiem... – powiedział. Jego twarz oblekła się chmurą, a w głosie pojawiły się zimne nutki.

James potrząsnął głową.

Źle mnie zrozumiałeś, Ethan. Im nic nie grozi i nigdy nie będzie groziło, masz na to moje słowo. – Twarz Gravesa wyraż nie odtajała. – Chciałem tylko powiedzieć, że ciężąca na nas odpowiedzialność zmienia nasze zapatrywania na niemal wszystko – stwierdził James z uśmiechem. – Spójrz tylko na mnie.

Jimmy Rączka nigdy się nie zmieni... przynajmniej w nie których sprawach – odrzekł były przywódca krondorskich łamignatów, odpowiadając byłemu złodziejaskowi szerokim uśmiechem. – Co zamierzasz zrobić z Walterem i innymi?

Nic – odpowiedział James. – Zajrzę jutro do kryjówki w kanałach i powiadomię ich, że mogą bezpiecznie wyjść na zewnątrz. Będą udawali, że pracują dla mnie, ale ja ich znam, jak pies zna swoje pchły. Sprzedadzą

mnie za dwa szelągi, jeżeli uznają, że ujdzie im to na sucho. – James się zamyślił. – Poza tym zaś sądzę, że należy się spodziewać nieoczekiwanego powrotu Cnotliwego i tamci natychmiast wrócą na łono Szyderców, zanim jeszcze Matecznik zostanie odbudowany. Nie, mnie potrzebni są ludzie twojego pokroju, Ethan... i trochę to wszystko potrwa, bo tacy jak ty, to rzadkie ptaki.

Raz jeszcze ci dziękuję – oznajmił Ethan, podając mu dłoń. – Nieczęsto się zdarza, że człowiek otrzymuje w życiu drugą szansę... a trzecia to cud.

Cóż... może Ishap ma w stosunku do ciebie inne plany, niż myślałeś.

Najwidoczniej tak. – Skinął głową Ethan.

Jak dotrzecie do Durbinu, wykup tam jakąś miłą oberżę, może blisko koszar albo pałacu gubernatora. Niech to będzie miejsce, gdzie chętnie zaglądamy żołnierze po służbie i pomniejsi urzędnicy. Utrzymuj ceny na przyzwoitym poziomie i słuchaj wszystkiego, co się będzie mówiło.

Zobaczę, co się da zrobić – rzekł Graves.

No to wskakuj na pokład – polecił James. – Ja mam jeszcze dziś do załatwienia jedną sprawę.

Przez chwilę patrzył, jak Graves wspina się na górę, a potem zobaczył, że Amos daje znak do wciągnięcia trapu i rzucenia cum. Załoga zakręciła się przy wykonaniu rozkazów, a gdy pilot stojący na dziobie wydał odpowiednie rozkazy, szalupa holownicza zaczęła wyprowadzać Lamparta z przystani.

James po raz ostatni spojrział na swojego starego przyjaciela Ethana, a potem się odwrócił i ruszył wzdłuż nabrzeża. Młody człowiek miał szeroko zakrojone ambicje i dawno już dał sobie słowo, że któregoś dnia zwerbuje albo wprowadzi swoich ludzi do pałacu Imperatorowej Wielkiego Kesh, na razie jednak zadowolilo go skłonienie Gravesa do zapoczątkowania sieci agentów w Durbinie. To będzie pierwsza próba obmyślonego przezeń

modelu. Graves pośle Limma do dwóch ludzi, których wskaże mu Amos i wkrótce królewskie okręty będą mu stale przywoziły wieści z Durbinu.

Zostawiwszy port za sobą, zobaczył czekającego nań Jonathana Meansa. Młody konstabl na powitanie kiwnął mu głową.

Znalazłeś go? – spytał James.

Tak jest, mości giermku. Ma niewielki sklepik na końcu mola. Na szyldzie jest kotwica i dwa skrzyżowane wiosła. To kupiec, który dostarcza wszelkiego rodzaju zaopatrzenie na statki i wyrabia świece.

Rozmawiałeś z nim?

Nie – odpowiedział Jonathan. – Patrzyłem z daleka, by się upewnić, że otworzył swój skład, a potem przyszedłem tutaj.

– - Bardzo dobrze zrobiłeś – stwierdził James. – Wracaj do zwykłej służby. I nie omieszkaj podziękować ojcu za to, że odkrył, iż ten człek znów się pojawił w mieście.

Jonatan poszedł więc swoją drogą, a James zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. W braku lepszych rozwiązań postanowił zaryzykować i ruszył do opisanego przez młodego konstabla sklepu.

Dotarłszy na miejsce, przez chwilę zastanawiał się, jak zacząć rozmowę. Zawahał się przy drzwiach, a potem pchnął je lekko, poruszając mały dzwonek, który brzękiem oznajmił jego wejście.

Za ladą tkwił człowiek w średnim wieku, lecz o siwiejących już włosach. Był krzepko zbudowany, lecz miał w sobie bardzo niewiele tłuszczu. Odwrócił się ku wchodzącemu.

Zamierzałem już zamknąć, młody panie. Czy nie możecie poczekać z waszą sprawą do jutra?

Nazywacie się Donald? – spytał James. Właściciel kiwnął głową i oparł się o ladę. Za jego plecami widać było rozmaite przedmioty, jakie znajdowały się w każdym kantorze dostarczającym zaopatrzenie na okręty:

beczułki z gwoździami, rozmaite narzędzia, zwoje lin, kotwice, łańcuchy, szekle. – Jestem giermek James, z dworu Księcia Krondoru – stwierdził młodzieniec, zawieszając głos, by zobaczyć, jaka będzie reakcja rozmówcy.

Ten jednak stał, jakby w ogóle niczego nie usłyszał. Odezwał się po chwili milczenia.

– Chłopcze, znam królewskiego dostawcę, który dba o zaopatrzenie dworu. Jeżeli to on was tu przysłał, powiedzcie mi, po co przyszliście, żebym mógł pójść do domu i dać trochę odpocząć nogom.

James lekko się uśmiechnął. Jego rozmówca nie wyglądał na zbitego z tropu wzmianką o Księżu – czego zresztą młodzieniec się spodziewał.

– W zasadzie moje zainteresowania skupiają się na problemach związanych z przestrzeganiem i nieprzestrzeganiem prawa.

Znów nie doczekał się żadnej reakcji.

– Wasze nazwisko ostatnio się pojawiło na liście.

Zaciśnięte na ladzie palce kupca lekko zbieleły pod paznokciami, ale poza tym James nie dostrzegł żadnej reakcji na nieruchomej jak kamienna rzeźba twarzy rozmówcy.

Na jakiej liście? – spytał spokojnie, nie odrywając spojrzenia niebieskich oczu od twarzy giermka.

Na liście ludzi, których ostatnio zamordowano.

A, mówicie o tych zabójstwach? Słyszałem, słyszałem. Cóż, jak widzicie, jestem jak najbardziej żywy. Nie mam pojęcia, w jaki sposób moje imię znalazło się na tej liście.

– Gdzie byliście podczas tych ostatnich pięciu tygodni? Donald uśmiechnął się skąpo.

– Odwiedzałem rodzinę na wybrzeżu. Zostawiłem wiadomość kilku ludziom. Jestem zdziwiony, że żaden z nich nie powie dział waszym konstablom, iż wyjechałem na miesiąc.

– Też jestem zdziwiony – stwierdził James. – Czy nie zechcielibyście mi powiedzieć, komu zostawiliście tę wiadomość? Rozmówca wzruszył ramionami.

– A... kilku chłopakom w pobliskich tawernach. I wspomniałem jeszcze paru właścicielom okrętów, którzy się u mnie zaopatrywali. No tak, i jeszcze Markowi Zagielnikowi, który ma warsztat tu obok... tej nocy, kiedy wyjeżdżałem.

James kiwnął głową. Był pewien, że tkacza żagli uprzedzono niedawno, a pozostałych niełatwo będzie odnaleźć, ale z pewnością potwierdzą to, co usłyszał.

Cóż... – stwierdził. – Kiedy okazało się, żeście gdzieś przepadli, to przy tych wszystkich morderstwach w okolicy nasuwał się wniosek, że i was zabito.

Nie będę się z tym spierał – rzekł kupiec. – I co, udało się wam położyć kres temu zabijaniu?

W dużej mierze tak – odpowiedział James. – Choć wciąż jeszcze padają trupy w kanałach, mordują się złodzieje i tacy tam... sami wiecie, jak to jest.

Nie jest to miejsce dla uczciwego człeka – stwierdził Donald. – A co na górze?

No, sprawy wracają do dawnego stanu – odpowiedział James. – Znaczy, z grubsza do tego, jaki panował przedtem, zanim się zaczęły te morderstwa.

Dobrze wiedzieć – odpowiedział kupiec. – A teraz, jeżeli nie macie więcej pytań, mości giermku, to powinienem do domu...

James kiwnął głową.

– Jestem pewien, że jeszcze kiedyś porozmawiamy – powie dział.

Gospodarz odprowadził Jamesa do drzwi, a gdy je zamykał, książęcy giermek odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć mu w twarz. Postanowił, że dobrze ją sobie zapamięta. Był prawie pewien, że rozmawiał z Cnotliwym.

Szydercy wrócą i znów się wezmą za łby z ludźmi Pełacza, ale niemal rozbici Jastrzębie nie będą mogli się wmieszać do walki i zamęt w Krondorze w końcu się uspokoi.

James szedł ku pałacowi. Arutha nauczył go jednej prawdy: z zamętu wyłaniają się różne okazje. Podczas gdy Cnotliwy będzie odbudowywał swoje podziemne imperium, James będzie miał spore szansę na wetknięcie jednego czy dwóch agentów w jego otoczenie. Z tym, co wiedział o strukturze złodziejskiego bractwa, pewien był, że uda mu się oczyścić kandydata z wszelkich możliwych podejrzeń.

„To jednak są troski, którymi trzeba się będzie zająć w przyszłości” – pomyślał niegdysiejszy złodziejasek. Teraz miał na głowie inne sprawy i Arutha zażądał, by natychmiast po odprowadzeniu do portu Ethana i innych stawiał się w pałacu.

Otwarta na przykład pozostała sprawa wydobycia choćby spod ziemi informacji o Pełaczu. James zyskiwał stopniowo coraz większą pewność, że Pełacza nie masz w Krondorze; łotr dyrygował swoimi ludźmi z zewnątrz – sam przebywał pewnie gdzieś w Queg, Kesh albo w którymś z Wolnych Miast. Na szczycie listy podejrzeń James umieścił Kesh, ponieważ przemawiała za tym liczba pracujących dla Pełacza Keshan.

Kolejnym problemem pozostało rozwikłanie skomplikowanych zależności, jakie wiązały Pełacza i Bractwo Nocnych Jastrzębi. James gotów byłby się zgodzić z opinią Aruthy, który podejrzewał, że Jastrzębie mają swoje własne cele. Ich pustynne gniazdo wyglądało raczej na siedzibę niewielkiej armii, niż na mizerną szajkę skrytobójców do wynajęcia.

„I magia. Kto się krył za tym wszystkim?” – zastanawiał się James.

Dotarłszy do pałacowej bramy otwierającej się na port, obojętnym gestem skwitował honory, które oddali mu dwaj stojący na warcie gwardziści. Tyle tajemnic i innych problemów. Był jednak młody, pozostał

przy życiu i miał do dyspozycji całą swoją przebiegłość. Być może zajmie mu to kilka lat, ale w końcu odkryje, kto stał za wszystkimi utrapieniami, jakie ostatnio spadały na mieszkańców Królestwa.

Stwór był kiedyś żywym człowiekiem – magiem o niemałej mocy i umiejętnościach. Siedział teraz na tronie wyrzeźbionym z jednego głazu i ustawionym w jednej z jaskiń w podziemnym labiryncie pieczar. Odległy szum przyboju raczej się tu czuło, niż słyszało, ponieważ ukryta świątynia spoczywała głęboko pod poziomem morza. Otaczające pieczarę skały lśniły wilgocią, wilgoć przesycała też jej powietrze.

Przed tronem leżała ogromna kamienna dłoń, wyrzeźbiona z jednego głazu, trzymająca w palcach wielką czarną jagodę. Stał też przed nim mag, odziany w zwykłe kupieckie szaty. Siedzący na tronie stwór zwrócił ku niemu swoje oblicze. Jastrzębionosy mężczyzna bez trwogi spoglądał na siedzącego na tronie licza – ożywionego przeciwną naturze magiczną sztuką człekokształtnego stwora, który niegdyś był człowiekiem. Sługami licza były równie złowrogie stwory – ożywione szkielety Gwardii Umarłych. Mag zresztą nie obawiał się i tych kościejów.

– Zawiodłeś – odezwał się licz do maga. Jego głos był równie suchy, jak jaskinia pełna była wilgoci.

Sidi odwrócił się ku niemu i machnął palcem.

– Nie, zawiedli Jastrzębie, nie ja. My zawsze osiągamy swój cel. Ludzie umierali, a krondorski Książę będzie pod każdym kamieniem szukał odpowiedzialnego za to wszystko i na próżno będzie się starał znaleźć jakąś prawidłowość, której po prostu nie znajdzie, bo ona nie istnieje.

– Ale czy zniszczenia są dostatecznie wielkie? Szczupły mag wzruszył ramionami.

– A czy kiedykolwiek są dostateczne? Odrobina przesady i Ishapianie zmienią swoje plany. Doprowadzenie do tego wszystkiego zajęło mi

dwadzieścia lat i nie chciałbym niepotrzebnie ryzykować, po to żeby stwierdzić nagle, iż w wyniku zmiany pewnych okoliczności będę musiał czekać kolejne dwadzieścia lat albo zaczynać wszystko od początku. Bogowie mogą czekać w nieskończoność, my nie.

Siedzący na tronie stwór zaśmiał się suchym śmiechem, brzęczącym niczym darcie starego pergaminu. Skóra na jego twarzy z trudem opinała czaszkę, a na widocznych spod habitu nadgarstkach zostało tylko kilka jej strzępów okrywających nagie kości. Licz podniósł rękę i wyciągnął ją w stronę maga.

– Ty może nie masz przed sobą wieczności, ale ja mam!

Sidi pochylił się lekko ku przodowi.

Sawanie, nie unoś się pychą z powodu tych mizernych nekromanckich sztuczek. Nie na wiele się zdały twemu bratu, kiedy ten wszędobyłski szpieg Aruthy rzucił go demonowi.

Myślałem, że jak powierzę Namanowi nadzór nad Jastrzębiami, to będzie miał jakieś pożyteczne zajęcie. Nie przygotował się dostatecznie na wezwanie demona. Był szalony.

Wam wszystkim, którzy wstajecie z martwych, udziela się odrobina szaleństwa... wygląda na to, że nie da się tego uniknąć – odparł Sidi. – Dlatego gdy wstałeś z grobu, trzymałem cię tu pod kluczem przez kilka lat, pamiętasz? – Machnął dłonią, jakby dla podkreślenia bezcelowości sporów. – Szaleństwo można wykorzystać – stwierdził, kiwając głową. – W rzeczy samej, niekiedy bywa bardzo przydatne. – Odwrócił się i spojrzał na liczą, który nagle zachichotał. – O co chodzi? – spytał Sidi.

Ty jesteś tak samo szalony jak ja – stwierdził ożywiony trup.

Sidi parsknął śmiechem.

Być może, ale nie dbam o to. – Przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. – On już tu jest.



Kto?

Ten, który zdobędzie dla nas to, czego szukaliśmy od dwudziestu lat, Sawanie. Nie chcę, by tu wchodził, nie jest jeszcze gotów na to, by zobaczyć ciebie i twoje sługi i by się dowiedzieć, komu naprawdę przysiągł wierność. Kiedy dam mu nasz dar i kiedy ten zacznie nań działać... może wtedy tak. No, to już pójdę.

Gdy Sidi odchodził, martwy od dawna mag zawołał za nim.

Zwiąż go tak, by nam służył!

To się stanie już wkrótce.

Sidi ruszył tunelem wiodącym ku przejściu na powierzchnię. Wkrótce na brzegu miał w niewielkiej szalupie wylądować pirat zwany Niedźwiedziem, którego łódź lawirowała teraz wśród podwodnych skał i wystających nad fale głazów otaczających skalisty półwysep zwany Wdowim Cyplem. Sidi miał się z nim spotkać na plaży przed sekretnym wejściem do Świątyni Czarnej Jagody. „Któregoś dnia – pomyślał Sidi – jeżeli Niedźwiedź z powodzeniem wykona postawione przed nim zadanie i wykaże swoją przydatność, będzie mógł wejść do Świątyni i złożyć mi przysięgę wierności”.

Do tego jednak czasu Sidi pozwolił mu myśleć, że pracuje dla jednej organizacji, jak przez wiele lat wierzyli Jastrzębie, zanim odkryli, że pracują dla większego celu, niż ich mizerne rody i klanowe powinności. Gdy Niedźwiedź pozna prawdę, będzie już dlań za późno na odwrót.

Zbliżając się do sekretnego wyjścia, Sidi sięgnął do głęboko ukrytej w fałdach powłóczystej szaty kieszeni i wyjął z niej amulet. Ukształtowany z ciemnego brązu ciężki łańcuch był osobliwie poczerniały, patyny tej nie można było usunąć żadnym środkiem polerującym. Była to twarz – ikona wybrana przez tych, co służyli Bezimiennemu, którego łącznikiem był lisiogłowy demon z zaświatów.

„Tak wiele pozostało jeszcze do zrobienia – pomyślał Sidi – i tak wiele mam sług, na których nie sposób polegać”. Poruszył ukrytą dźwignię, uwalniając przesuwne drzwi ukryte wśród nadmorskich skał. Naprawdę rozpaczliwie potrzebował kogoś, kto byłby go nie zawiódł i na kim mógłby się oprzeć. Musiał przyznać sam przed sobą, że brak odpowiedzialnych sług był ceną, jaką trzeba było zapłacić za sekrety – ze wszystkich, którzy służyli Sidiemu, nikt nie wiedział, dla kogo naprawdę pracuje i nikt nie znał rzeczywistego źródła jego mrocznej potęgi. Gdy drzwi ze zgrzytem zaczęły odsuwać się na bok, mag pomyślał, że dobrze byłoby mieć kiedyś kogoś, komu mógłby zaufać, kto byłby kimś więcej, niż tylko bezmyślnym pionkiem. Drzwi stanęły otworem i Sidi szybko zepchnął te myśli w głąb najbardziej mrocznych zakamarków swego umysłu.

Zachodni wiatr dmuchnął mu w twarz słonym oddechem, gdy Sidi podniósł dłonie, by osłonić oczy przed promieniami purpurowego już o tej wieczornej godzinie słońca, zapadającego pod morskie fale. Na końcu cypla stał na kotwicy okręt, niegdysiejsza wojenna quegańska galera, zdobyta podstępnym napadem. Jej czarna sylwetka ostro rysowała się na tle czerwonego nieba.

Pomiędzy wystającymi z wody masztami okrętu, który osiadł na skalach podczas złej pogody, ostrożnie lawirowała samotna szalupa. Ten skalisty cypel nie bez powodu nosił nazwę Wdowiego Cypla – niewielu przyplęwało w jego pobliże z własnej woli, co sprawiało, że był idealnym miejscem, z którego można było przeprowadzić nagły, a skryty atak na jakiś statek. Zbliżający się do brzegu pirat doskonale znał te wody, bo już kilkakrotnie stąd właśnie wyprowadzał swe rajdy.

Gdy szalupa uniosła się na falach przyboju i na chwilę jakby zatrzymała się na szczycie grzywacza, Sidi raz jeszcze spojrzał na relief amuletu. Rubinowe oczy lisiogłowego demona zaczynały płonąć niesamowitym

blaskiem. Utworzenie amuletu, który zamierzał dać piratowi, zajęło Sidiemu całe lata, ale w rezultacie talizman miał ochronić Niedźwiedzia przed magią kapłanów i fizycznymi obrażeniami. Nikt nie zdoła zadać mu najmniejszej choćby rany, dopóki będzie go miał na szyi. Co więcej, pozwoli Mistrzowi przemawiać doń we snach i w rezultacie pirat stanie się jego sługą.

Pomimo poniesionej na pustyni porażki i pomimo niepowodzeń podczas próby usunięcia Cnotliwego z Krondoru, Sidi czuł, że lada moment zatriumfuje nad wszystkimi wrogami, ponieważ wkrótce już posiada najpotężniejszy artefakt tego świata – a gdy to się stanie, zacznie swą pracę dla prawdziwego Mistrza.

Rosły pirat wysiadł z łodzi i brnął ku Sidiemu w głębokiej po kolana wodzie, a mag pławił się w świadomości niedalekiego już ostatecznego zwycięstwa.